

TOM CLANCY



OP-CENTER
CENTRUM SZYBKIEGO REAGOWANIA



LINIA KONTROLI

Seria Toma Clancy'ego i Steve'a Pieczenika
Tekst Jeff Rovin

TOM CLANCY

BEZ SKRUPUŁÓW

CZAS PATRIOTÓW

CZERWONY KRÓLIK

CZERWONY SZTORM

DZIEL I ZDOBYWAJ

KARDYNAŁ Z KREMLA

LINIA KONTROLI

MORZE OGNI

POLOWANIE NA „CZERWONY PAŹDZIERNIK”

STAN ZAGROŻENIA

TECZA SZEŚĆ

ZĘBY TYGRYSA

TOM

CLANCY

OP-CENTER CENTRUM

SZYBKIEGO REAGOWANIA

LINIA KONTROLI

Seria Toma Clancy'ego i Stevela Pieczenika

Tekst Jeff Rovin

PROLOG

Sjaczen, baza numer 3, Kaszmir

Środa, 5.42

M

Major Dev Puri nie mógł spać. Nie przyzwyczał się jeszcze do niewygodnych łóżek polowych armii indyjskiej. Ani do rozrzedzonego górskiego powietrza i ciszy. Wokół swoich dawnych koszar w Udampurze zawsze słyszał ciężarówki, samochody osobowe i żołnierzy. Tutejsza cisza przypominała mu szpital. Albo kostnicę.

Włożył oliwkowozielony mundur i czerwony turban. Wyszedł z namiotu i podszedł do pierwszej linii okopów. Za nim wschodziło słońce. Patrzył, jak pomarańczowy blask oświetla powoli dolinę i płaską, pustą strefę zdemilitaryzowaną, najslabszą zaporę w najbardziej niebezpiecznym miejscu na świecie.

Tutaj, u podnóży Himalajów, w Kaszmirze, ludzie zawsze żyli w niebezpieczeństwie. Stale zagrażały im ekstremalne warunki klimatyczne i trudny teren. W cieplejszych, niżej położonych rejonach czyhały w ukryciu zabójcze kobry królewskie i kobry indyjskie naja naja.

Komary roznosiły choroby, zdarzały się ukąszenia jadowitych brunatnych wdów. Jeszcze bardziej niebezpiecznie było kilka kilometrów dalej na północ, na lodowcu Sjaczen. Na stromych, oślepiająco białych wzgórzach ledwo starczało powietrza do oddychania. Pieszym patrolom codziennie groziły lawiny i dawały się we znaki niskie temperatury. Ale to nie warunki naturalne czyniły z tego regionu najbardziej niebezpieczne miejsce na ziemi. Wszystkie tamte zagrożenia były niczym w porównaniu z tym, czym wzajemnie grozili sobie tutaj ludzie. Te niebezpieczeństwa nie zależały od pory dnia czy roku. Istniały stale, codziennie, w każdej minucie każdej godziny każdej doby od blisko sześćdziesięciu lat.

Puri stał na aluminiowej drabinie w okopie ze ścianami z blachy falistej. Tuż przed nim wznosiła się półtorametrowa warstwa worków z piaskiem. Chronił ją drut kolczasty rozciągnięty powyżej między stalowymi słupkami. Na prawo, w odległości około dziesięciu metrów, za workami z piaskiem stała drewniana budka wartownicza. Jej dach zasłaniała zielonkawa siatka maskująca. Piętnaście metrów dalej było drugie takie stanowisko.

Sto dwadzieścia metrów przed Purim, na zachód od niego, ciągnął się niemal identyczny okop pakistański.

Oficer z celową powolnością wyjął z kieszeni spodni woreczek z ghutką, tytoniem do żucia.

Gwałtowne ruchy były tu niebezpieczne. Mogły zostać zauważone i mylnie zinterpretowane jako sięgnięcie po broń. Odpakował tytoń i włożył mały kawałek do ust. Żołnierzom odradzano palenie, gdyż żar papierosa mógł zdradzić pozycję zwiadowcy lub patrolu.

Puri żuł tytoń i patrzył na roje czarnych much. Zaczynały swoje poranne poszukiwania odchodów wiewiórek, kozic i innych zwierząt roślinożernych, które budziły się i pożywiały przed świtem. Była wczesna zima. Puri słyszał, że latem owadów jest dużo więcej. Unoszą się nisko nad ziemią. Ich gęste roje przypominają chmury dymu.

Major zastanawiał się, czy dożyje tego widoku. Bywały tygodnie, kiedy po obu stronach ginęły tysiące ludzi. Takie straty były nieuniknione, gdy naprzeciw siebie stacjonował ponad milion fanatyków. Rozdzielała ich tylko wąska „linia kontroli” o długości trzystu dwudziestu kilometrów. Major Puri widział teraz niektórych z tych żołnierzy w okopach za pasem piasku.

Usta mieli zasłonięte czarnymi muzułmańskimi chustami, które chroniły ich przed wiatrami z zachodu. Ale w oczach i na ogorzałych twarzach płonęła nienawiść rozbudzona w VIII wieku.

Wtedy po raz pierwszy doszło w tym regionie do starcia hindusów z muzułmanami. Rolnicy i kupcy chwycili za broń i zaczęli walczyć o szlaki handlowe, prawo do ziemi i wody i o ideologię. Walki nasiliły się w roku 1947, gdy Brytyjczycy opuścili swoje imperium na subkontynencie. Zostawili rywalizującym ze sobą hindusom i muzułmanom Indie i Pakistan.

Podział na dwa państwa dał Indiom kontrolę nad zdominowanym przez muzułmanów Kaszmiem. Od tamtej pory Pakistańczycy uważają Hindusów za okupantów. Obie strony niemal bez przerwy walczą o terytorium, które stało się symbolicznym sercem konfliktu.

A ja jestem w samym środku tych zmagania, pomyślał Puri.

Baza numer 3 była potencjalnym punktem zapalnym, ufortyfikowaną strefą najbliżej Pakistanu i Chin. Co za ironia, pomyślał Puri. To miejsce wyglądało dokładnie tak samo, jak jego rodzinne miasteczko Dabhoi u podnóża

pasma górskiego Satpura w środkowych Indiach. Dabhoi nie obchodziło nikogo poza jego mieszkańcami - w większości kupcami - i ludźmi podróżującymi do miasta Bharuć nad Zatoką Kambajską. Tam mogli tanio kupić ryby. To niepokojące, że nienawiść, a nie współpraca, decyduje o tym, że jedno miejsce jest ważniejsze niż inne. Zamiast rozwijać to, co mają wspólnego, ludzie starają się zniszczyć to, co ich różni.

Oficer popatrzył na linię przzerwania ognia. Wzdłuż worków z piaskiem stały pomarańczowe lornety zamontowane na małych metalowych podstawach. Tylko co do jednego Hindusi i Pakistańczycy byli zawsze zgodni: lornety mają być pomarańczowe, żeby odróżniały się od broni. Ale Puri nie potrzebował lornety. Gołym okiem wyraźnie widział ciemne twarze Pakistańczyków za ich umocnieniami z żuzłobetonu. Wyglądali tak samo jak Hindusi, tyle że byli po niewłaściwej stronie linii kontroli.

Puri starał się równo oddychać. Pas ziemi nazywany linią kontroli zwężał się miejscami tak bardzo, że obie strony widziały obłoczki wydychanej pary. Dzięki temu wartownicy po obu stronach wiedzieli, czy przeciwnicy są niespokojni i oddychają szybko, czy też śpią i oddychają wolno. Niewłaściwe słowo wyszeptane do kolegi i podsłuchane przez drugą stronę mogło przerwać kruchy rozejm. Gwóźdź należało wbijać młotkiem owiniętym szmatą, żeby uderzenie nie zabrzmiało jak wystrzał i nie sprowokowało przeciwnika do otwarcia ognia z karabinów, potem użycia artylerii, a później broni nuklearnej. Atak jądrowy mógłby nastąpić tak szybko, że mocno ufortyfikowane bazy wyparowałyby, zanim echo pierwszych strzałów zamarłoby w wysokogórskich przełęczach.

Służba na tym trudnym odcinku była tak wyczerpująca psychicznie i At zyczenie, że każdy oficer po zakończeniu rocznej tury kwalifikował się automatycznie do pracy za biurkiem w

„bezpiecznej strefie”, takiej jak Kalkuta czy New Delhi. Na to czekał czterdziestojednoletni Puri. Trzy miesiące wcześniej przeniesiono go tu z Kwatery Głównej Północnego Dowództwa Wojsk Lądowych, gdzie szkolił patrole graniczne. Jeszcze dziewięć miesięcy dowodzenia tą małą bazą - „zabawy odbezpieczonym granatem”, jak określił to jego poprzednik - i będzie mógł wygodnie spędzić resztę życia. Poświęcić się swojej pasji, wykopaliskom antropologicznym. Uwielbiał zgłębiać historię swojego narodu. Na Nizinie Indusu cywilizacja istniała już ponad 4500 lat temu. Mieszkańcy tego terytorium nie byli wówczas podzieleni.

Pokój trwał tysiąc lat. Dopóki do regionu nie zawitała religia.

Major Puri żuł tytoń. Poczul zapach herbaty dochodzący ze stołówki w jednym z namiotów.

Czas na śniadanie. Potem spotka się z ludźmi na porannej 7

odprawie. Jeszcze przez chwilę rozkoszował się porankiem. Nowy dzień nie przynosił nowej nadziei - oznaczał tylko, że noc minęła bez konfrontacji.

Puri odwrócił się i zszedł na dół. Nie łudził się, że w najbliższych tygodniach będzie wiele takich poranków jak ten. Jeśli jego przyjaciele w naczelnym dowództwie mieli dobre wiadomości, ktoś zamierzał wkrótce zapalić lont pod tą beczką prochu.

ROZDZIAŁ 1

Waszyngton Środa, 5.56

Chłód nie pasował do pory roku. Nad bazą lotniczą Andrews wisiały nisko gęste, ciemnoszare chmury. Ale mimo ponurej pogody Mikę Rodgers czuł się wspaniale.

Czterdziestosiedmioletni dwugwiazdkowy generał zostawił swojego czarnego forda mustanga rocznik 1970 na parkingu dla oficerów. Przeciął energicznym krokiem wypielęgnowany trawnik przy biurach Centrum Szybkiego Reagowania. Jasnopiwne oczy Rodgersa błyszczą tak, że wydawały się niemal złociste. Generał nucił jeszcze ostatnie takty piosenki, której słuchał z fkpfr nośnego odtwarzacza CD - utworu Davida Seville'a *Wiich Doctor* z lat pięć-

dziesiątych w wykonaniu Victorii Bundonis. Niski, sentymentalny głos młodej wokalistki zawsze dodawał Rodgersowi energii na początku dnia. Zwykle szedł przez ten trawnik w innym nastroju. O tak wczesnej porze na jego lśniących butach osiadała rosa, podeszwy zapadały się w miękką ziemię. Silny wiatr szarpał starannie odprasowanym mundurem i mierzwił krótko ostrzyżone czarne, siwiejące włosy. Ale generał zwykle traktował obojętnie ziemię, wiatr i wodę - trzy z czterech odwiecznych żywiołów. Interesował go tylko czwarty: ogień. Dlatego że płonął w nim samym. Rodgers obchodził się z nim delikatnie, jakby nosił w sobie nitroglicerynę. Jeden gwałtowny ruch i wybuchnie.

Ale nie dziś.

W wejściu była kabina z kuloodpornego szkła. Stał w niej młody wartownik. Na widok generała zasalutował sprężysto.

- Dzień dobry, sir - powiedział.
- Dzień dobry - odrzekł Rodgers. - „Rosomak”.

9

Tak brzmiało jego osobiste hasło na dziś. Dostał je poprzedniej nocy na pager przez rządową sieć łączności GovNet od Jenkinsa Wynne'a, szefa ochrony wewnętrznej Centrum Szybkiego Reagowania. Gdyby hasło nie zgadzało się z tym, co wartownik miał w swoim komputerze, generał nie mógłby wejść.

- Dziękuję, sir - powiedział wartownik i znów zasalutował. Wcisnął przycisk i drzwi się otworzyły. Rodgers wszedł.

Na wprost była pojedyncza winda. Kiedy generał szedł w jej kierunku, zastanawiał się, ile lat może mieć młody lotnik przy wejściu. Dwadzieścia dwa? Dwadzieścia trzy? Kilka miesięcy temu Rodgers

oddalby swój stopień wojskowy, doświadczenie, wiedzę i wszystko, co posiadał, żeby znów być w wieku młodego wartownika. Być zdrowym i bystrym, mieć przed sobą perspektywy. Takie myśli nachodziły go po katastrofalnym teście polowym ROC -

Regionalnego Centrum Szybkiego Reagowania. Ruchome stanowisko wyposażone w najnowszą technikę zatrzymano na Bliskim Wschodzie. Generał i jego personel zostali uwięzieni i byli torturowani. Po uwolnieniu zespołu senator Barbara Fox i członkowie CIOĆ -

Kongresowej Komisji Nadzoru nad Służbami Wywiadowczymi - jeszcze raz przeanalizowali program ROC. Uznali, że baza amerykańskiego wywiadu działająca otwarcie na obcej ziemi bardziej prowokuje, niż odstrasza przeciwnika. Rodgers odpowiadał za ROC i czuł się winny tego, co się stało. Obawiał się też, że zmarnował swoją ostatnią, najlepszą szansę powrotu do pracy w terenie.

Mylił się. Stany Zjednoczone potrzebowały informacji, czy w Kaszmirze jest broń nuklearna. Chciały wiedzieć, czy Pakistan rozmieścił głowice jądrowe głęboko w górach tamtego regionu. Indyjscy agenci nie mogli wyruszyć w teren. Gdyby zostali złapani przez Pakistańczyków, mogłoby dojść do wojny, której Stany Zjednoczone miały nadzieję uniknąć.

Amerykańska jednostka miałaby większą swobodę działania. Zwłaszcza gdyby mogła dowieść, że dostarcza Pakistanowi informacji o indyjskiej broni nuklearnej. Te dane przekazałby Rodgersowi łącznik NSA - Agencji Bezpieczeństwa Narodowego - w mieście Śrinagar.

Indyjscy wojskowi nie wiedzieliby, oczywiście, że je ma. Cała sprawa była wielką, niebezpieczną grą w trzy karty. Prowadzący ją musiał tylko pamiętać, gdzie jest każda karta, i nie mógł się pomylić.

Rodgers wszedł do małej, jasno oświetlonej windy i zjechał do podziemia.

Centrum Szybkiego Reagowania, którego oficjalna nazwa brzmiała Narodowe Centrum Zarządzania Kryzysowego - w skrócie NCMC, mieściło się w skromnym dwupoziomowym budynku koloru kości słoniowej ulokowanym przy lotnisku rezerwy marynarki wojennej. W

okresie zimnej wojny

stacjonowały tu wymiennie doborowe załogi samolotów. W razie ataku jądrowego miały ewakuować z Waszyngtonu najważniejsze osobistości. Po rozpadzie Związku Radzieckiego i zmniejszeniu powietrznych sił szybkiego reagowania nuklearnego budynek przekazano nowo utworzonemu NCMC.

W biurach na górze nie prowadzono tajnych operacji. Zajmowano się tam monitorowaniem wiadomości podawanych przez media, finansami i zasobami ludzkimi. W podziemiach pracowali Hood, Rodgers, szef wywiadu Bob Herbert i personel gromadzący i przetwarzający dane wywiadowcze.

Rodgers wysiadł na dole. Przeszedł przez boksy na środku pomieszczenia do swojego biura.

Wyjął spod biurka stary skórzany neseser. Zapakował laptop i zaczął zbierać dyskiety potrzebne do podróży. Pliki zawierały raporty wywiadowcze z Indii i Pakistanu, mapy Kaszmiru, nazwiska kontaktów i adresy bezpiecznych domów w regionie. Kiedy pakował

swoje narzędzia pracy, czuł się niemal jak w czasach dzieciństwa w rodzinnym Hartford w stanie Connecticut. W Hartford były zamiecie śnieżne. Przed włożeniem zimowego kombinezonu Rodgers brał wiadro, linę, łopatę, gogle pływackie i wrzucał do szkolnej torby sportowej. To matka nalegała, żeby nosił gogle. Wiedziała, że nie może przeszkodzić synowi w walce, ale nie chciała, żeby stracił oko po trafieniu śnieżną kulą. Na dworze, kiedy inne dzieci budowały śnieżne fortece, Rodgers wdrapywał się na drzewo i budował śnieżny dom na kawałku dykty. Nikt się nie spodziewał gradu śnieżnych kul z grubej gałęzi.

Po spakowaniu nesesera Rodgers miał pójść do wózka golfowego zaparkowanego przy tylnych drzwiach. Takie pojazdy przerzucały oficerów z odprawy na odprawę w czasie operacji „Pustynna Tarcza” i „Pustynna Burza”. Pentagon kupił ich tysiące tuż przed końcem epoki narad strategicznych twarzą w twarz, które zostały zastąpione bezpiecznymi wideokonferencjami. Wózki wyszły z użycia i rozesłano je do baz wojskowych w całym kraju jako prezenty gwiazdkowe dla wyższych oficerów.

Rodgers nie musiał jechać daleko. Hercules C-130 stał czterysta metrów od niego na płycie lotniska przy pasie startowym, który biegł za budynkiem NCMC. Za niecałą godzinę trzydziestometrowy transportowiec miał wyruszyć w podróż z zaopatrzeniem dla NATO i potajemnie dostarczyć Rodgersa oraz jego jednostkę Striker z Andrews na lotnisko Królewskich Sił Powietrznych w Alconbury w Wielkiej Brytanii i dalej do bazy NATO pod Ankarą w Turcji. Tam na jednostkę będzie czekał transportowiec AN-12 indyjskich sił

powietrznych należący do eskadry Himalajskich Orłów. Zabierze ludzi Rodgersa do położonej wysoko w górach bazy w Chushul blisko granicy z Chinami, skąd dotrą helikopterem do Śrinagaru na spotkanie z ich kontaktem. Długa i trudna podróż potrwa ponad dobę. Po przylocie do Indii nie będzie czasu na odpoczynek. Drużyna musiała być gotowa do działania tuż po wylądowaniu.

Ale Rodgersowi to odpowiadało. Od lat był „gotowy do działania”. Nigdy nie chciał być zastępcą dowódcy. Podczas wojny hiszpańsko-amerykańskiej jego prapradziadek kapitan Malachai T.

Rodgers najpierw dowodził oddziałem, a potem przeszedł pod rozkazy podpułkownika z awansu społecznego Teddy'ego Roosevelta. Kapitan Rodgers napisał

wówczas do żony: „Nie ma nic lepszego niż kierowanie sprawami. I nie ma nic gorszego niż rola zastępcy, nawet dżentelmena, którego się szanuje”.

Malachai Rodgers miał rację. Mikę Rodgers objął stanowisko zastępcy dyrektora tylko dlatego, że nie spodziewał się, iż Paul Hood zostanie w Centrum Szybkiego Reagowania.

Przypuszczał, że były burmistrz Los Angeles, polityk z krwi i kości, będzie się ubiegał o miejsce w Senacie lub Białym Domu. Mylił się. Następne wielkie zaskoczenie spotkało generała, kiedy Hood odszedł z pracy, żeby mieć więcej czasu dla rodziny. Myślał, że wreszcie zostanie szefem Centrum. Ale Paul i Sharon Kent Hood nie zdołali uratować swojego małżeństwa. Doszło do separacji i Hood wrócił do Centrum, a Rodgers do roli człowieka numer dwa.

Rodgers potrzebował dowodzenia. Kilka tygodni wcześniej on i Hood uwolnili zakładników przetrzymywanych w ONZ-ecie. Operacją kierował Rodgers. Przypomnił sobie wtedy, jak bardzo lubi akcje, w których musi przechytrzyć i pokonać przeciwnika w bezpośrednim starciu. Robienie tego bezpiecznie zza biurka to nie to samo.

Rodgers odwrócił się do otwartych drzwi. Sekundę później w progu pojawił się Bob Herbert, człowiek numer trzy w Centrum Szybkiego Reagowania. Jego bliską obecność zawsze sygnalizował cichy warkot elektrycznego wózka inwalidzkiego.

- Cześć, Mikę - powiedział Herbert.

- Cześć, Bob - odrzekł Rodgers.

- Można?

- Proszę bardzo.

Herbert wjechał do środka. Łysiejący trzydziestodwuletni geniusz wywiadowczy stracił władzę w nogach podczas zamachu bombowego na ambasadę amerykańską w Bejrucie w 1983 roku. W ataku terrorystycznym zginęła jego ukochana żona. Wózek inwalidzki Herberta był cudem techniki. Pomógł go skonstruować komputerowy guru Centrum Szybkiego Reagowania Matt Stoli. W otwieranym podłokietniku umieścił komputer, w skrzynce przymocowanej z tyłu do oparcia małą antenę satelitarną.

12

- Chciałem ci tylko życzyć szczęścia - powiedział Herbert.
- Dzięki.
- Paul pytał, czy wpadniesz przed wyjazdem. Rozmawia przez telefon z senator Fox i chciałby się z tobą pożegnać.

Rodgers zerknął na zegarek.

- Pani senator wcześniej wstała. Ciekawe, dlaczego?
- Nie wiem, ale Paul nie wygląda na zachwyconego - odparł Herbert. -Możliwe, że dostaje kolejny opieprz za sprawę w ONZ-ecie.

Rodgers pomyślał, że jeśli tak, to stanowisko człowieka numer dwa ma swoje zalety. Nie musi słuchać tych bzdur. W ONZ-ecie wszystko zrobili prawidłowo. Uratowali zakładników i zabili złych facetów.

- Pewnie będą się nas czepiali, dopóki sekretarz generalna nie przestanie narzekać - powiedział.

- Senator Fox jest w tym dobra - odrzekł Herbert. - Wali cię mocno z tyłu i mówi twoim wrogom, że to kara, a przyjaciołom, że poklepywanie po plecach. Tylko ty wiesz, co to naprawdę jest. Tak czy inaczej, Paul się tym zajmie. - Wyciągnął rękę. - Wybierasz się do obcego, nieprzyjaznego regionu.

Rodgers uścisnął mu dłoń i uśmiechnął się szeroko.

- Wiem. Ale jestem obcym, nieprzyjaznym facetem. Kaszmir i ja dogania my się.

Rodgers chciał cofnąć rękę, ale Herbert nie puszczał jej.

- Co jest? - zapytał generał.

- Nie mogę się dowiedzieć, z kim masz się tam skontaktować.
- Spotka się z nami oficer Gwardii Bezpieczeństwa Narodowego, kapitan Prem Nazir - odparł Rodgers. - To nic niezwykłego.

- Nie dla mnie. - Herbert pokręcił głową. - Kilka telefonów, parę obietnic, drobna wymiana informacji wywiadowczych zwykle zapewnia mi dostęp do tego, co mnie interesuje. Mogę sprawdzić ludzi i upewnić się, czy druga strona nie chce nas wykołować. Ale nie tym razem.

Nie mogę się niczego dowiedzieć nawet o kapitanie Nazirze.

Rodgers roześmiał się.

- Szczerze mówiąc, jestem zadowolony, że przynajmniej raz wszystko odbywa się w ścisłej tajemnicy,
- Ścisła tajemnica jest wtedy, kiedy przeciwnik nie wie, co się dzieje -odparł Herbert. - Nie podoba mi się, że nikt z naszych nie może mi powiedzieć, o co właściwie chodzi.

-- Nie może czy nie chce?

- Nie potrafi.

- 13Zadzwoń do Mali Chatterjee - podsunął Rodgers. - Założę się, że będzie zachwycona i chętnie ci pomoże.
- To nie jest śmieszne - odpowiedział Herbert.

Mała Chatterjee, młoda indyjska pacyfistka sprawująca funkcję sekretarza generalnego ONZ-etu, najgłośniej krytykowała Centrum Szybkiego Reagowania i sposób, w jaki poradzili sobie z ostatnim kryzysem.

- Rozmawiałem z moimi ludźmi w CIA i naszych ambasadach w Islamabadzie i New Delhi

- ciągnął Herbert. - Nic nie wiedzą o tej operacji. To niezwykle. A Agencja Bezpieczeństwa Narodowego nie do końca ma sprawy pod kontrolą. Nie zrobiono symulacji komputerowej planu. Lewis jest za bardzo zajęty sprzątnięciem swojego podwórka.

- Wiem - odrzekł Rodgers.

Symulację komputerową robiono zawsze, kiedy zatwierdzano jakiś plan operacyjny w terenie. Agencja będąca autorem projektu całymi dniami prowadziła symulacje, żeby znaleźć luki w głównym planie i opracować warianty awaryjne dla agentów kierowanych w teren. Ale NSA wstrząsnęła ostatnio rezygnacją jej dyrektora, Jacka Fenwicka. Hood zidentyfikował go jako jednego z przywódców grupy spiskowców, którzy zamierzali usunąć prezydenta ze stanowiska. Następca Fenwicka, Hank Lewis, były asystent prezydenta do spraw planowania strategicznego, pozbywał się teraz współpracowników swojego poprzednika.

- Nic nam nie grozi - zapewnił Rodgers. - W Wietnamie moje plany zawsze trzymały się kupy tylko na ślinie.

• Jasne, ale wtedy przynajmniej wiedziałeś, kto jest wrogiem - zauważył Herbert. - Chcę tylko, żebyś był ze mną w kontakcie. Gdyby wyglądało na to, że coś jest nie tak, będę miał

możliwość zawiadomienia cię o tym.

- Dobrze, będę - obiecał Rodgers. Mieli podróżować z telefonem TAC-

-SAT. Aparat zapewniał jednostce Striker łączność z Centrum Szybkiego Reagowania z każdego miejsca na świecie.

Gdy Herbert opuścił pokój, Rodgers wziął dokumenty i dyskietki, które chciał ze sobą zabrać. Do pracy przysłała dzienna zmiana i w korytarzu za drzwiami zaczął się ruch - w nocy personel był niemal trzykrotnie mniejszy - ale Rodgers czuł się dziwnie odizolowany od krzątający na zewnątrz. Nie tylko dlatego, że koncentrował się na swojej misji. Zachowywał

ostrożność, jakby już był w terenie. W Waszyngtonie i wokół miasta nie było to dalekie od prawdy.

Wciąż słyszał w głowie słowa Herberta. Szef wywiadu nie był alarmistą i jego obawy trochę zaniepokoiły Rodgersa. Nie chodziło mu o siebie ani nawet o starego przyjaciela, pułkownika Brett Augusta, który dowodził Strike-14

rem, elitarną jednostką komandosów Centrum Szybkiego Reagowania. Martwił się o młodych żołnierzy, którzy będą mu towarzyszyć w Kaszmirze. Zawsze myślał o swoich podwładnych.

Zwłaszcza teraz, po rozmowie z Herbertem.

Ale noszenie munduru i wysoka emerytura wiązały się z ryzykiem. Rodgers zrobiłby wszystko, żeby zapewnić bezpieczeństwo swojemu personelowi i wykonać zadanie, bo cel akcji, jakie przeprowadzali on i Brett August, był wart ryzyka.

ROZDZIAŁ 2

Śrinagar, Indie Środa, 15.51

P

ięć godzin po podaniu fałszywego nazwiska urzędnikom Regionalnego Biura Rejestracji Cudzoziemców na lotnisku w Śrinagarze Ron Friday szedł ulicami miasta, w którym miał

nadzieję spędzić następny rok lub dwa lata. Zameldował się w małym, tanim hotelu nieopodal Shervani Road. Po raz pierwszy usłyszał o Binoo's Pałace w czasie ostatniego pobytu tutaj.

Na tyłach mieścił się salon gier hazardowych, co oznaczało, że miejscowa policja bierze forszę za ochronę tego miejsca. Friday mógł tu mieszkać anonimowo i bezpiecznie.

Oficer Agencji Bezpieczeństwa Narodowego był zadowolony, że wyjechał z Baku w Azerbejdżanie. Cieszył się, że opuścił dawną republikę radziecką i jest tutaj, w Śrinagarze, niecałe czterdzieści kilometrów od linii kontroli. Bywał już w stolicy północnego stanu i zawsze wstępowała tu w niego energia. Z oddali wciąż dochodził ogień artylerii i przytłumione wybuchy min lądowych w górach. Wczesnym rankiem słychać było huk odrzutowców, charakterystyczne odgłosy ich bomb i jeszcze

głośniejsze eksplozje pocisków raketowych.

Dniem i nocą czuło się również strach. Stare uzdrowisko patrolowali indyjscy żołnierze, wyznawcy hinduizmu, natomiast handel kontrolowali kaszmirscy muzułmanie. Nie było tygodnia, żeby w zamachach bombowych, strzelaninach albo podczas przetrzymywania zakładników nie zginęło kilka osób.

Friday to uwielbiał. Nigdzie nie czuł się lepiej niż na polu minowym.

Miał czterdzieści siedem lat i pochodził z Michigan. Szedł teraz przez największy plac targowy w mieście. Bazar znajdował się na wschodnim krańcu Śrinagaru, w pobliżu wzgórz, które kiedyś były żyznymi pastwiskami. Teraz latały tu helikoptery wojskowe i przejeżdżały konwoje kierujące się do linii

kontroli. Nieco dalej na północ wznosił się hotel Centanr Lake View, w któryrn mieszkała większość zagranicznych turystów. Sąsiadował z dobrze utrzymanym terenem nad wodą, znanym jako Ogrody Mogołów. Naturalne ogrody dały nazwę Kaszmirowi, co w języku mogońskich osadników oznaczało raj.

Chłodna mżawka nie odstraszała codziennych tłumów i cudzoziemców. Friday nigdzie indziej nie spotkał takiej mieszanki zapachów. Nad targiem unosiła się woń piżma wydzielana przez owce i mokre rattanowe dachy straganów, aromat lawendowego kadzidła i ostry zapach oleju napędowego, Rejon obsługiwały mikrobusy, taksówki i skutery-riksze. Były tu kobiety w sari i młodzi studenci ubrani po europejsku. Wszyscy tłoczyli się przy drewnianych straganach, szukając najświeższych owoców, warzyw i wypieków. Handlarze przeganiali małymi batami zabłąkane owce, które wypłoszyli z pobliskich nędznych pastwisk żołnierze ćwiczący strzelanie do celu. Owce próbowały zjadać marchew i kapustę na straganach. Inni klienci, głównie arabscy i azjatyccy biznesmeni, oglądali wystawione na stoiskach szale, ozdobne pudełka z papier mache i skórzane damskie torebki. Ludzi z Zachodu było niewielu, bo amerykański Departament Stanu, brytyjskie Foreign Office i ministerstwa spraw zagranicznych innych krajów europejskich odradzały swoim obywatelom podróże do Śrinagaru i reszty Kaszmiru.

Niektórzy kupcy sprzedawali kilimy. Rolnicy przynosili w koszach świeży chleb i inne produkty ze swoich furgonetek i furmanek zaparkowanych na skraju bazaru. Żołnierzy było niemal tylu, ilu cywilów. Zupełnie jak w Izraelu, pomyślał Friday. Był pewien, że kręcą się tu członkowie Służby Ochrony Pogranicza, formacji szpiegowskiej utworzonej wspólnie przez CIA oraz indyjskie Wojskowe Biuro Badań i Analiz. SOP paraliżowała dopływ materiałów Wojennych i danych wywiadowczych do i z pozycji wroga. W tłumie są też na pewno członkowie pakistańskiej Grupy Służb Specjalnych, która podlegała Zarządowi Połączonych Służb Wywiadowczych i monitorowała działania za liniami wroga. Miała także niezależnych współpracowników operacyjnych, z którymi dokonywała zamachów terrorystycznych na obywateli Indii.

Śrinagar bardzo różnił się od Baku, gdzie na bazarach panował porządek, a miejscowa społeczność zachowywała się stosunkowo spokojnie. Friday wołał Śrinagar. Tu trzeba było wypatrywać wroga i jednocześnie starać się wyżywić rodzinę.

W ambasadzie amerykańskiej w Baku oficjalnie pracował w zespole podlegającym wiceambasador Dorothy Williamson, którego zadaniem było powstrzymanie roszczeń Azerbejdżanu do kaspijskiej ropy. Williamson chętnie zatrudniła Fridaya, bo przez lata był

prawnikiem firmy Mara Oil. Rzetelnie

wywiązywał się z obowiązków, ale tak naprawdę fascynowała go potajemna praca dla Jacka

Fenwicka, byłego doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa stwa narodowego.

Fridaya zwerbowano do NSA, kiedy jeszcze studiował prawo. Jeden z jego wykładowców, Vincent Van Heusen, był w czasie II wojny światowej pracownikiem operacyjnym OSS -

Biura Służb Strategicznych. Profesor Van Heusen dostrzegł u swojego ucznia cechy, które sam miał w młodości, między innymi niezależność. Friday nauczył się jej w lasach rodzinnego Michigan, gdzie polował z ojcem dla zdobycia żywności - nie tylko ze strzelbą, ale również z łukiem. Po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Nowojorskim przeszedł przeszkolenie w NSA. Kiedy po roku podjął pracę w branży naftowej, jednocześnie zaczął działać jako szpieg.

Nawiązał kontakty w Europie, na Bliskim Wschodzie i w rejonie Morza Kaspijskiego i dostał nazwiska tamtejszych agentów CIA. Od czasu do czasu proszono go, by ich obserwował.

Szpiegował szpiegów, żeby sprawdzić, czy pracują tylko dla Stanów Zjednoczonych.

Przed pięcioma laty odszedł z sektora prywatnego. Miał dość pracy na pełnym etacie w branży naftowej i po godzinach dla NSA. Był też sfrustrowany nieudanymi operacjami wywiadowczymi za granicą. Wielu agentów, zwłaszcza w krajach Trzeciego Świata i w Azji, nie miało doświadczenia; bali się i rezygnowali. Wybierali wygodne życie. On nie. On lubił

niepokój, upał, zimno, ból i wyzwania.

Kolejny problem polegał na tym, że szpiegów coraz częściej zastępowała elektronika. W

rezultacie zdobywano znacznie mniej danych wywiadowczych. Fridayowi przypominało to kupowanie mięsa w rzeźni zamiast polowania. Mięso nie miało smaku, a jego zdobywanie nie dawało satysfakcji. I w końcu myśliwy stawał się mięczakiem.

Friday nie zamierzał być mięczakiem. Kiedy Jack Fenwick zaprosił go na rozmowę, nie mógł się jej doczekać. Spotkali się w barze Off the Record w hotelu Hay-Adams, kilka dni przed objęciem urzędu przez nowego prezydenta. Fenwick zwerbował Fridaya do

„Przedsięwzięcia”, jak to nazwał. Chodziło o obalenie prezydenta i wprowadzenie do Białego Domu innej, bardziej odpowiedniej osoby. Jeden z najpoważniejszych problemów Ameryki -

tłumaczył Fenwick - to zagrożenie terrorystyczne. Wiceprezydent Cotten poradziłby sobie z tym. Zagroziłby krajom finansującym ataki na strefy interesów amerykańskich, że ich stolicy zostaną zrównane z ziemią. Uwolnienie Amerykanów wyjeżdżających za granicę od strachu sprzyjałoby rozwojowi handlu oraz turystyki i tym samym ułatwiłoby agencjom wywiadowczym

infiltrację organizacji nacjonalistycznych, stowarzyszeń religijnych i innych grup ekstremistycznych.

Ale spiskowcom przeszkodzono. Świat znów stał się bezpieczny dla zwolenników wojen, anarchistów i międzynarodowych awanturników.

Na szczęście dymisje wiceprezydenta, Fenwicka i innych wysoko postawionych konspiratorów były jak wypalenie rany. Administracja miała głównych winowajców i wyglądało na to, że nie interesuje się innymi uczestnikami spisku. Nie wykryto, jaką rolę odegrał Friday w sprawie terrorysty Harpunnika i zabójstwa agenta CIA. Hank Lewis starał

się jak najszybciej zdobyć jak najwięcej danych wywiadowczych, żeby móc patrzeć w przyszłość, nie w przeszłość. Pracowników operacyjnych NSA spoza Waszyngtonu wysłano do najbardziej zapalnych punktów, żeby pomagali w operacjach wywiadowczych i przysyłali raporty z pierwszej ręki. Dlatego Fridaya odwołano z Baku. Początkowo starał się o przydział

do Pakistanu, ale na specjalną prośbę rządu indyjskiego przeniesiono go do Indii. Pracował tu wcześniej dla Mara Oil: pomagał oszacować przyszłe wydobycie ropy w Kaszmirze oraz na pustyni Thar wzdłuż granicy między indyjskim stanem Radżasthan i Pakistanem. Znał kraj, język i ludzi.

Jak na ironię, teraz miał pomóc jednostce komandosów z Centrum Szybkiego Reagowania wykonać zadanie ważne dla pokoju w regionie. Musiał współpracować z Centrum, które przeszkodziło w zrealizowaniu „Przedsięwzięcia”.

W polityce zdarzają się dziwne sojusze, a w tajnych operacjach jeszcze dziwniejsze. Ale agenci wywiadu - w odróżnieniu od polityków - nie zapominają o dawnych urazach.

Nigdy.

ROZDZIAŁ 3

Waszyngton Środa, 6.32

M

ike Rodgers szedł korytarzem do biura Paula Hooda. Niósł spakowany neseser i wciąż nucił

Witch Doctor. Rozpierała go energia: podjął niebezpieczne wyzwanie, będzie więc miał

odmianę od codzienności i wreszcie wyrwie się z biura bez okien.

Asystent Hooda, Stephen Pluskwa Benet, jeszcze nie przyjechał. Rodgers minął mały sekretariat, zapukał do gabinetu Hooda. Zapukał i otworzył drzwi. Dyrektor Centrum krążył

po pokoju w słuchawkach na uszach. Właśnie kon-

czył rozmowę telefoniczną z Senator Fox. Przywołał gestem generała. Rodgers podszedł do sofy i postawił neseser, ale nie usiadł. Jutro dość się nasiedzi przez cały dzień.

Hood miał czterdzieści pięć lat, niewiele mniej od Rodgersa, wyglądał jednak dużo młodziej.

Może dlatego, że często się uśmiechał i był optymistą. Rodgers uważał się za realistę - wolał

to określenie od pesymisty - a realiści zawsze wydają się starsi, bardziej dojrzały. Jak kiedyś powiedział jego stary przyjaciel, członek Izby Reprezentantów z Karoliny Południowej, Layne Mały: „Nikt nie wdusi ci słońca w dupę, więc nie widać go na moich ustach”. Rodgers wyznawał identyczną filozofię życiową.

Nie, żeby Hood miał wiele powodów do radości. Jego małżeństwo się rozpadło, a córka Harleigh, którą przetrzymywano jako zakładniczkę w ONZ--ecie, cierpiała teraz na stres pourazowy. Był też krytykowany przez prasę światową i liberalne media amerykańskie za siłowe rozwiązanie w siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych. Rodgersa nie zaskoczyło, że senator Fox miała o to pretensje do Hooda. Cholerna sprawa, pomyślał. Nic tak nie cieszy naszych wrogów, jak to, że walczyliśmy między sobą. Rodgers niemal słyszał

radość Japończyków, fundamentalistów islamskich, Niemców, Francuzów i reszty eurocentrystów. Oni się cieszą, a my się kłócimy po uratowaniu życia ich ambasadorom.

Pokręcony świat. Gdyby to zależało od Rodgersa, załatwiłby kilku ambasadorów podczas odwrotu z ONZ-etu.

Hood zdjął słuchawki i spojrzał na Rodgersa z wyrazem frustracji w ciem-nopiwnych oczach. Czarne włosy miał w nieładzie, co było do niego niepodobne. I nie uśmiechał się.

• Jak leci? - spytał. - Wszystko załatwione? Rodgers skinął głową.

• Świetnie.

• A co słysząc tutaj? - spytał Rodgers.

• Nic dobrego. Senator Fox uważa, że staliśmy się za bardzo widoczni. Zamierza coś z tym zrobić.

• Co? - zainteresował się Rodgers.

• Chce nas zredukować. Zamierza zaproponować innym członkom CIOĆ, żeby przekształcić Centrum w mniejszą, bardziej tajną organizację.

• Czuję w tym rękę Kirka Pike'a - powiedział Rodgers.

Pike został niedawno szefem Centralnej Agencji Wywiadowczej. Przedtem kierował

wywiadem marynarki wojennej. Był ambitny i bardzo lubiany na Kapitolu. Przyjął nowe stanowisko, żeby skupić jak najwięcej narodowych sił wywiadowczych pod jednym dachem.

19

- Pewnie maczał w tym palce, ale chyba nie tylko on *odparł Hood*. -*Fox powiedziała, że sekretarz generalna Ghattarjee chce nas postawić przed Trybunałem Międzynarodowym pod zarzutem zabójstwa i wtargnięcia.*
- Sprytnie - przyznał Rodgers. - Z tego pierwszego nic jej nie wyjdzie, ale to drugie prawnicy mogą jej załatwić.
- Właśnie. - Pokaże, że jest silna, i potwierdzi suwerenność ONZ-etu. Przy okazji zdobędzie punkty u pacyfistów i państw o nastawieniu antyame-rykańskim. Najwyraźniej Fox uważa, że nie dojdzie do tego, jeśli nasze uprawnienia zostaną cofnięte i po cichu zmienione.
- Rozumiem. CIOĆ chce ubiec Chatterjee, żeby pokazać, że jej działania to niepotrzebne awanturnictwo.
- Otóż to - odrzekł Hood.
- I tak będzie?
- Nie wiem - przyznał Hood. - Fox jeszcze o tym nie rozmawiała z innymi członkami komisji.
- Ale chce, żeby tak było. Hood przytaknął.
- Więc tak będzie - stwierdził Rodgers.
- Jeszcze nie wiem, czy się na to zgodzę - odparł Hood. - Posłuchaj. Nie chcę, żebyś zawracał sobie głowę polityką. Zależy mi, żebyś wykonał tę robotę w Kaszmirze. Chatterjee może sobie być sekretarzem generalnym ONZ--etu, ale jest również Hinduską. Jeśli zdobędziesz punkt dla jej drużyny, trudno jej będzie nadal się nas czepiać.
- Chyba że przekaze pałeczkę Pike'owi - zauważył Rodgers.
- Dlaczego miałyby to zrobić? - spytał Hood.
- Wzajemne poparcie i dostęp do informacji - odparł Rodgers. - Mnóstwo danych wywiadowczych, które mam o Kaszmirze, pochodzi z CIA. Firma ściśle współpracuje z Indyjskim Biurem Wywiadowczym.

' - Z-grupą obserwacji krajowej.

- Zgadza się.

Na mocy ustawy o telekomunikacji Indyjskie Biuro Wywiadowcze ma prawo kontrolować wszystkie formy korespondencji elektronicznej, między innymi faksy i e-maile z Afganistanu i innych krajów islamskich. To IBW wszczęło alarm w 2000 roku po wykryciu afery z lekami dostarczonymi do Iraku. Sankcje ONZ-etu nie objęły pomocy humanitarnej, ale leki nie trafiały do irackich szpitali i klinik, tylko do rąk ministra zdrowia. Potem sprzedano je na czarnym rynku za twardą walutę, a pieniądze uzyskane ze sprzedaży przeznaczono na zakup luksusowych towarów dla członków rządu.

- IB W dzieli się zdobytymi informacjami z CIA - ciągnął Rodgers. -r- Jeśli Pike pomoże Chatterjee, Hindusi nadal będą współpracowali tylko z nim.
- Niech Pike zapewni sobie wyłączność, jeśli chce - odparł Hood. - My mamy własne źródła wywiadowcze.
- Ale on chce nie tylko tego - powiedział Rodgers. - Nie wystarczy mu zwycięstwo w Waszyngtonie. Będzie chciał zniszczyć konkurenta. I w razie potrzeby dobierze się do jego rodziny i przyjaciół.
- Musiałby użyć sił specjalnych - odrzekł Hood cicho. - Moja rodzina jest rozproszona.

Rodgersowi zrobiło się głupio. Paul Hood rozstał się z żoną, a jego córka spędza mnóstwo czasu na terapii. Sugerowanie, że rodzina Hoodów może być w niebezpieczeństwie, było bezmyślnością.

- Przepraszam, Paul - powiedział.
- Nie ma sprawy - odparł Hood. - Wiem, o co ci chodzi. Ale nie sądzę, żeby Pike przekroczył pewną granicę. Mamy speców od wygrzebywania brudów i świetną rzeczniczkę prasową. Pike nie zaryzykuje otwartej konfrontacji.

Rodgers nie był tego pewien. Od kilku dni w biurze krążyła plotka, że Paul Hood i jego rzeczniczka prasowa Ann Farris, atrakcyjna rozwódka, mają romans. Ann zostawała dłużej w pracy, a któregoś ranka widziano, jak oboje wychodzili z hotelu Hooda. Rodgersa to nie obchodziło, dopóki ich związek nie zakłócał funkcjonowania Centrum.

- Skoro mowa o rodzinie, co u Harleigh? - zapytał. Chciał mieć z głowy temat Pike'a, zanim odleci do Indii. Zwalczanie własnych ludzi napawało go odrazą.
- Zмага się z tym, co się stało w Nowym Jorku, i z tym, że się wyprowadziłem z domu - odrzekł Hood. - Na szczęście terapia zdaje egzamin, no i bardzo pomaga jej brat.
- Alexander to dobry chłopak. Miło słyszeć, że się w to włączył. A co u Sharon?
- Jest wściekła. Ma prawo.
- Przejdzie jej - zapewnił Rodgers.
- Liz mówi, że nie wiadomo - odparł Hood.

Liz Gordon była psychologiem Centrum. Nie opiekowała się Harleigh, ale udzielała porad Hoodowi.

- Mam nadzieję, że Sharon przestanie się wściekać - ciągnął Hood. -

Wątpię, żebyśmy kiedykolwiek znów byli przyjaciółmi, ale może uda nam się utrzymywać poprawne stosunki.

21

- Cholera, to więcej niż ja kiedykolwiek osiągnąłem z kobietą- zauważył

Rodgers.

Hood uśmiechnął się szeroko.

- Faktycznie. Zaczęło się od twojej przyjaciółki Biscuit w piątej klasie podstawówki.
- Zgadza się - przyznał Rodgers. - Ale ty jesteś dyplomata, a ja żołnierzem, niewolnikiem mojej natury i taktyki spalonej ziemi.

Uśmiech Hooda zniknął.

- Chętnie pożyczylbym od ciebie trochę ognia do rozgrywki z senator Fox.
 - Rób uniki -doradził Rodgers. -1 miej na oku Pike'a. Po powrocie zajmę się nim.
- Umowa stoi - odparł Hood. - Uważaj na siebie.

Rodgers skinął głową i uściśnieli sobie dłonie.

Generał wyszedł i skierował się do windy. Martwił się o Hooda. Szef był dziwnie spokojny, jakby nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia. Zaprzętał go rychły rozwód, zdrowie Harleigh i codzienne obowiązki. A przecież po zebraniu CIOĆ senator Fox znacznie wywierać na niego jeszcze silniejszą presję. Rodgers postanowił zadzwonić z pokładu C-I30 do Boba Herberta i poprosić go, żeby miał Hooda na oku.

(Obserwator obserwujący obserwatora, pomyślał. Szef wywiadu Centrum pilnujący dyrektora Centrum, który śledzi Kirka Pike'a. Przy tylu ludzkich dramatach dookoła wyprawa w teren w poszukiwaniu pocisków nuklearnych wydała mu się niemal rutynowym zajęciem.

Ale kiedy wszedł na płytę lotniska, znów spojrzał na to z właściwej perspektywy. Przy transportowym herculesie zbierali się komandosi Strikera. Wszyscy w mundurach, z bronią i sprzętem przy nogach. Pułkownik August i jego nowy zastępca porucznik Orjuela sprawdzali listę obecności.

W siedzibie Centrum stawką były ludzkie kariery. Mężczyźni i kobiety na lotnisku mieli za chwilę wyruszyć do Indii i tam narażać życie.

Rodgers przysiągł sobie, że w dniu, w którym przestanie być pewien, co jest naprawdę ważne,

powiesi mundur na kołku.

Ruszył sprężystym krokiem w kierunku samolotu i salutujących mu żołnierzy.

22ROZDZIAŁ 4

Kargil, Kaszmir Środa, 16.11

Apu Kumar siedział na starej puchowej pierzynie, której używała już jego babka, i patrzył

na cztery nagie ściany małej sypialni. Kiedyś wisiały tu oprawione zdjęcia jego zmarłej żony, córki i zięcia oraz lustro, ale usunęli je goście. Szkło mogło posłużyć za broń.

Łóżko stało w rogu pokoju, który Apu dzielił ze swoją dwudziestodwuletnią wnuczką Nandą. Teraz Nanda czyściła kurnik. Kiedy skończy, weźmie prysznic w małej kabinie za domem i wróci do pokoju. Rozłoży stolik do kart, postawi przy łóżku dziadka i przysunie drewniane krzesło. Drzwi sypialni będą uchylone. Apu i Nanda dostaną wegetariański posiłek w małych drewnianych miskach. Potem posłuchają radia, zagrają w szachy, poczytają, pomedytują i pomodlą się za rodziców Nandy, którzy zginęli w ryczącym piekle, jakie rozpętało się w Kargilu cztery lata temu. Około dziesiątej albo jedenastej pójdą spać. Jeśli dopisze mu szczęście, Apu pośni do świtu. Wszelkie hałasy natychmiast go budzą. Wracają wtedy wspomnienia trwających całymi tygodniami nalotów bombowych.

Rano pozwolono mu wyjść z domu i zająć się kurami. Zawsze towarzyszył mu jeden z gości, żeby nie próbował ucieczki. Ciężarówka Apa wciąż była zaparkowana obok kurnika.

Pakistańczycy zabrali wprawdzie kluczyki, ale przecież mógł połączyć przewody zapłonowe i odjechać. Oczywiście z wnuczką. Dlatego nigdy nie wypuszczano ich na dwór razem.

Apu nakarmił kury, przemówił do nich i sprawdził, czy nie zniosły jajek. Potem musiał

wrócić do pokoju. Późnym popołudniem przyszła kolej Nandy na wyjście z domu. Czekala ją cięższa praca - czyszczenie kurnika. Mógłby to robić Apu, ale goście woleli, żeby chodziła tam Nanda. Lepiej, jeśli zawzięta młoda kobieta będzie zmęczona. Kiedy zbierali tyle jajek, że opłacało się zawieźć je na targ w Śrinagarze, jechał tam jeden z gości. Potem zawsze oddawał Apu pieniądze. Pakistańczycy nie siedzieli tu dla zysku. Apu starał się ich podsłuchiwać, ale wciąż nie był pewien, dlaczego tu są. Niewiele robili; głównie rozmawiali.

Zjawili się w piątkę pięć miesięcy temu w środku nocy. Od tamtej pory egzystencję sześćdziesięcioletniego hodowcy drobiu określała monotonna codzienność. Mimo to Apu nie stracił rozsądku, nie upadł na duchu, i co najważniejsze, zachował godność. Umacniał

swoją głęboką wiarę medytacjami.. Pokazywał islamskim intruzom, że jego wiara i stanowczość są tak samo silne jak ich.

Apu podciągnął trochę wyżej starą poduszkę, której używały trzy pokolenia Kumarów. Na jego ogorzalej twarzy pojawił się uśmiech. Puch już dość wycierpiał, pomyślał. Może kaczką znajdzie zadowolenie w innym wcieleniu.

Nie, nie wolno tak myśleć, upomniał się w duchu. Coś takiego mogłaby powiedzieć jego wnuczka. Jemu nie wypada. Najwyraźniej miesiące aresztu domowego przyćmiły mu umysł.

Spojrzał na Nandę. Spała w śpiworze w innej części pokoju. Czasami Apu budził się nad ranem i słuchał jej oddechu. Lubił to. Uwięzienie pozwoliło im lepiej się poznać. Choć martwiły go nowoczesne poglądy wnuczki na religię, cieszył się, że wie, jakie są. Nie można walczyć z wrogiem, nie znając jego twarzy.

W małym kamiennym domu były jeszcze dwa inne pokoje. Za dnia Pakistańczycy siedzieli w salonie. Na noc przenosili się do dawnej sypialni Apu. Jeden zawsze czuwał. Musiał nie tylko pilnować, żeby Apu i Nanda nie wyszli z domu, ale również obserwować, czy ktoś nie zbliża się do kurzej fermy. Wprawdzie w pobliżu nikt nie mieszkał, ale okoliczne wzgórza patrolowała czasem armia indyjska. Kiedy Pakistańczycy - czterej mężczyźni i kobieta -

zjawili się na fermie, obiecali swoim przymusowym gospodarzom, że zostaną najwyżej sześć miesięcy. I że jeśli Apu i Nanda będą wykonywali ich polecenia, nie stanie im się nic złego.

Apu nie był pewien, czy można wierzyć pakistańskim gościom, ale zgodził się dać im czas, o który prosili. W końcu jaki miał wybór?

Choć zmartwiłby się, gdyby zjawili się władze i zastrzeliły intruzów, sam nie robił nic, by im zaszkodzić. Był pewien, że jako ludzie potrafiliby się dogadać. Ale wszystko psuły polityka i religia. Sąsiedzi żyli w zgodzie, dopóki obcy nie zrobili z nich wrogów.

Okiennice jedyne okna w pokoju były zamknięte i przybite gwoździami, oświetlała go więc tylko mała lampa na nocnym stoliku. Jej blask padał na stary tom Upaniszad w skórzanej oprawie. Stanowiły one część Wed, świętych ksiąg hinduizmu.

Wrócił myślami do treści. Właśnie czytał najstarsze Upaniszady, będące podstawą filozofii hinduizmu. W hinduizmie, podobnie jak w innych religiach Wschodu, najwyższym celem jest nirwana, czyli uwolnienie się od cyklu kolejnych wcieleń i od cierpienia, które-zgodnie z prawem karmy, powodują nasze czyny. Można ją osiągnąć tylko poprzez medytację. Apu dążył do tego celu, choć mógł tylko marzyć o jego osiągnięciu. Studiował również purany, opisujące powtarzający się cykl początku i końca wszechświata symbolizowany przez świętą trójcę: Brahmę- stwórcę, Wisznu - opie-24

kuna, oraz Śiwę - niszczyciela, Apu miał ciężkie życie, przypisane jego kaście wajsjów. Ale wierzył, że to tylko chwila w kosmicznym cyklu. Inaczej nie miałby do czego dążyć, nie widziałby ostatecznego celu.

Nanda była inna. Woląca świętych poetów, którzy pisali pieśni religijne i eposy bohaterskie.

Do Nandy bardziej przemawiały Opowieści o czynach i uczuciach ludzi niż teksty filozoficzne.

Zawsze lubiła bohaterów. Odziedziczyła to po matce. Mówić to, co się myśli. Walczyć.

Stawiać opór.

Taka postawa kosztowała córkę i zięcia Apu życie. Kiedy zjawili się pakistańscy agresorzy, robili koktajle Mołotowa dla pospiesznie zorganizowanego ruchu oporu. Po dwóch tygodniach Savitri i jej mąż Mandżaj zostali złapani, gdy wieźli je w workach z wełną w ciężarówce. Worki zapaliły się, kiedy oboje byli uwięzieni w kabinie. Następnego dnia Apu i Nanda znaleźli ciała w zwęglonym wraku. Dla Nandy stali się męczennikami. Apu uważał, że byli lekkomyślni. Jego schorowana żona nie przeżyła tego ciosu. Umarła osiem dni później.

Jest napisane: „Wszystkie ludzkie błędy wynikają z niecierpliwości”. Gdyby Savitri i Mandżaj poprosili Apu o radę, powiedziałyby im, żeby zaczekali. Czas przynosi równowagę.

Wojsko indyjskie wyparło w końcu z regionu większość Pakistańczyków. Nie było powodu więc, żeby dzieci Apu stosowały przemoc. Zrobiły krzywdę innym i obciążły swoje sumienia.

Łzy napłynęły mu do oczu, jak zawsze, gdy wspominał żonę i córkę. Gdy odeszły, jeszcze bardziej pokochał Nandę. Tylko ona mu została.

W pokoju obok powstało nagle zamieszanie. Apu zamknął książkę i odłożył na rozchwiany stolik. Wsunął nogi w pantofle, przeszedł cicho po drewnianej podłodze i wyjrzał przez drzwi.

Pakistańczycy poruszali głowami i rękami nad czymś, co znajdowało się między nimi. Trzej mężczyźni byli odwróceny plecami do Apu, więc nie widział, co robią. Tylko kobieta miała twarz zwróconą w jego kierunku. Była szczupła, śniada, miała krótkie czarne włosy i groźną minę. Mężczyźni nazywali ją Szarab, ale Apu nie wiedział, czy to jej prawdziwe imię.

Machnęła pistoletem w jego kierunku.

- Wracaj do siebie! - rozkazała.

Apu zwlekał z odejściem, zdumiony nietypowym zachowaniem gości. Przedtem zawsze byli spokojni. Wychodzili z domu, wracali i rozmawiali. Czasem patrzyli na mapy. Dzisiaj coś się działo. Przysunął się bliżej. Na podłodze między mężczyznami leżał worek. Jeden z Pakistańczyków kucał obok. Zajmował się czymś, co było w worku.

- Wracaj do siebie! - powtórzyła kobieta.

W jej głosie było napięcie, którego Apu nie słyszał nigdy wcześniej. Zrobił, co mu kazała.

Zrzucił pantofle i z powrotem położył się na łóżku. Usłyszał, że otwierają się drzwi frontowe. Pewnie piąty Pakistańczyk i Nanda. Rozpoznał to po głośnym skrzypnięciu. Nanda zawsze otwierała drzwi z rozmachem, jakby chciała uderzyć nimi kogoś, kto stoi za progiem.

Apu uśmiechnął się. Zawsze cieszył się na widok wnuczki. Nawet jeśli wyszła tylko na godzinę czy dwie.

Ale tym razem nie usłyszał jej kroków, tylko cichą rozmowę. Wstrzymał oddech i wyteżył

słuch. Serce waliło mu tak mocno, że zagłuszało słowa. Wstał więc z łóżka i podkradł się do drzwi, uważając, żeby nie było go widać. Nadstawił uszu.

Cisza.

Powoli pchnął drzwi. Zobaczył Pakistańczyka wyglądającego przez okno. W jednej ręce trzymał pistolet, a w drugiej papierosa. Mężczyzna obejrzał się na Apu.

- Wracaj do swojego pokoju - powiedział cicho.
- Gdzie jest moja wnuczka? - zapytał Apu. Nie podobało mu się to. Coś było nie tak.
- Wyszła z innymi - odrzekł Pakistańczyk.
- Wyszła? Dokąd? - zdziwił się Apu.

Mężczyzna znów wyjrzał przez okno. Zaciągnął się papierosem.

- Pojechali na bazar - odparł.

ROZDZIAŁ 5

Waszyngton Środa, 7.00

P

ułkownik Brett August nie pamiętał, ile razy leciał trzęsącym się, przepastnym transportowcem C-130. Nie cierpiał tych lotów. Ten hercules był jednym z nowszych modeli, ekonomiczną wersją dalekiego zasięgu SAR HC-130H. Pułkownik podróżował już różnymi typami C-130: wersją C-130D z płozami do lądowania, KC-130 - latającą cysterną, C-130F -

transportowcem szturmowym, i wieloma innymi. Zdziwiałe, ale żaden z tych samolotów nie oferował wygodnych warunków podróży. Kadłuby były pozbawione warstwy izolacyjnej, żeby zmniejszyć ciężar maszyny i zwiększyć jej zasięg, niewiele więc chroniło pasażerów przed zimnem i hałasem.

26

A cztery potężne silniki turbośmigłowe pracowały tak głośno* że wibracje przesuwały łańcuszki identyfikatorów żołnierzy.

Najwyraźniej konstruktorzy samolotu nie znali słowa „Jkomfort”. Siedzenia w tym modelu, umieszczone wzdłuż ścian kadłuba, miały wysokie, grubo wyściełane oparcia i zagłówki, ale nie miały podłokietników i oddzielała je bardzo wąska przestrzeń, więc worki z rzeczami osobistymi trzeba było upychać pod fotelami. Faceci, którzy to zaprojektowali, nie różnili się chyba od facetów układających plany bitew. Wszystko wyglądało wspaniale na papierze.

Nie, żeby pułkownik August narzekał. Pamiętał pewną wojenną opowieść swojego ojca. Sid August służył w 101. Dywizji Powietrznodesantowej, która została okrążona przez 15.

Dywizję Grenadierów Pancernych. Żołnierze mieli do jedzenia tylko racje żywnościowe nazywane K, gdyż wymyślił je fizjolog nazwiskiem Ancel Benjamin Keys, bez wątpienia sadysta. Składały się z sucharów bez smaku, plastra suchego mięsa, kilku kostek cukru, bulio-nu w proszku, gumy do żucia i czekolady, oznaczonej kodem D. Nikt nie wiedział, dlaczego czekolada musi mieć kod, ale żołnierze podejrzewali, że głodujący Niemcy będą walczyli zacieklej, wiedząc, że w norach nieprzyjaciela jest nie tylko suche mięso i tekturopodobne suchary.

Spadochroniarze zjadali racje K i siedzieli cicho. Po kilku dniach lotnictwu udało się zrzucić nocą kilka skrzynek z racjami C i dodatkową amunicję. Racje C były porcjami obiadowymi złożonymi z mięsa i ziemniaków. Porządne jedzenie wywołało u żołnierzy takie sensacje żołądkowe, że odgłosy i zapachy zdradziły ich pozycję niemieckiemu patrolowi.

Spadochroniarze musieli się przebijać przez linię wroga. Ta historia zawsze przypominała Brettowi Augustowi, że nadmiar bywa niebezpieczny.

Na prawo od Brett siedział Mikę Rodgers. Ledwie wystartowali, generał wetknął nos -

okropnie krzywy, bo cztery razy złamany podczas meczów koszykówki w college'u - do nesesera pełnego dokumentów. August latał z Rodgersem od dawna i znał jego zwyczaje.

Kiedy tylko pilot pozwoli używać urządzeń elektronicznych, Rodgers wyciągnie papiery z teczki. Położy je na lewym kolanie, a na prawym ustawi laptop. Gdy skończy czytać materiały, przekaze je Augustowi. Mniej więcej w połowie lotu nad Atlantykiem zaczną rozmawiać o tym, co przeczytali.

Brett August i Mikę Rodgers byli przyjaciółmi od dziecka. Poznali się w Hartford w Connecticut, kiedy mieli po sześć lat. Obaj uwielbiali baseball i obu pasjonowały samoloty.

W weekendy jeździli na rowerach na lotnisko Bradley odległe o osiem kilometrów. Siadali na

pustym polu i patrzyli na startujące i lądujące maszyny. Pamiętali czasy, kiedy samoloty śmigłowe ustąpiły

miejsca odrzutowym. Szaleli, gdy nad ich głowami przelatywał 707. Samoloty śmigłowe buczały znajomo i uspokajająco. Te nowe wywoływały u chłopców wewnętrzne drżenie.

Uwielbiali to.

Codziennie razem odrabiali lekcje. Dzielili się pracą domową, żeby szybciej skończyć.

Potem budowali plastikowe modele samolotów, okrętów, czołgów i dżipów. Malowali je starannie i dbali, żeby wszystkie szczegóły były we właściwych miejscach.

Kiedy nadszedł czas, zgłosili się do armii - tacy chłopcy, jak oni, nie czekają na pobór.

Rodgers zaciągnął się do piechoty, August do lotnictwa. Obaj trafili do Wietnamu. Rodgers odbywał służbę na ziemi, August wykonywał loty zwiadowcze nad północnym Wietnamem.

Podczas jednej z misji jego samolot został zestrzelony na północny wschód od Hue. August nie mógł odzłować maszyny, którą traktował niemal jak część samego siebie. Dostał się do niewoli i ponad rok spędził w obozie jenieckim, skąd uciekł w 1970 roku z innym Amerykaninem. Trzy miesiące przedzierał się na południe, aż wreszcie znalazł go patrol marines.

August nie zgorzkniał po tych przeżyciach. Wręcz przeciwnie. Odwaga towarzyszy niedoli podniosła go na duchu. Wrócił do kraju, odzyskał siły i znów wyruszył do Wietnamu, żeby zorganizować siatkę szpiegowską poszukującą amerykańskich jeńców wojennych. Po wycofaniu się Amerykanów z Wietnamu został tam w ukryciu jeszcze rok. Kiedy wyczerpał

swoje kontakty, próbując odnaleźć zaginionych w akcji, przerzucono go na Filipiny, gdzie przez trzy lata, szkolił pilotów, którzy mieli wesprzeć prezydenta Marcosa w walce z secesjonistami z Narodowego Frontu Wyzwolenia Moro. Potem pracował krótko jako łącznik sił powietrznych z NASA i pomagał organizować ochronę satelitów szpiegowskich. Sam nie latał, a ludzie, którzy odbywali podróże w kosmos, frustrowali go, przeniósł się więc do Dowództwa Operacji Specjalnych lotnictwa, a po dziesięciu latach do Strikera.

Po zakończeniu wojny wietnamskiej Rodgers i August widywali się sporadycznie. Ale podczas każdego spotkania mieli wrażenie, że rozstali się zaledwie wczoraj. Rodgers pierwszy trafił do Centrum Szybkiego Reagowania i zaproponował Augustowi dowodzenie Strikerem.

August dwukrotnie odmówił. Nie chciał spędzać większości czasu w bazie i pracować z młodymi specjalistami. Dowódcą Strikera został podpułkownik Charlie Squires. Kiedy zginął

podczas misji w Rosji, Rodgers ponownie zwrócił się do starego przyjaciela. Od pierwszej oferty minęły dwa lata. Ale teraz sytuacja była inna. Śmierć Squiresa wstrząsnęła Strikerem i Rodgers potrzebował dowódcy, który jak najszybciej postawi oddział na nogi. Tym razem August nie

mógł odmówić. Chodziło nie tylko o przyjaźń, ale również o bezpieczeństwo narodowe.

Centrum Szybkiego Reagowania zaczęło odgrywać istotną rolę w zarządzaniu kryzysowym i potrzebowało Strikera.

Pułkownik spojrzał na swoich ludzi, którzy siedzieli w milczeniu podczas powolnego wznoszenia się herculesa. Jednostka szybkiego reagowania okazała się czymś więcej, niż August się spodziewał. Każdy z jej członków wyróżniał się niezwykłymi umiejętnościami.

Przed wstąpieniem do Strikera sierżant Chick Grey miał dwie specjalności. Jedną były skoki spadochronowe z dużego pułapu z otwarciem czaszy na małej wysokości. Jak powiedział jego dowódca w Fort Bragg: „Facet umiał latać”. Grey potrafił otworzyć spadochron niżej i wylądować precyzyjniej niż jakikolwiek żołnierz w historii jednostki Delta. Zawdzięczał to rzadkiej zdolności wyczuwania prądów powietrznych, która pomagała mu również w jego drugiej specjalności - celnym strzelaniu. Jeśli mówił, że w coś trafi, to trafiał. Mógł też wytrzymać bez mrugania oczami tak długo, jak to było konieczne. Wyćwiczył tę umiejętność, gdy zdał sobie sprawę, że w decydującym momencie wystarczy jeden ruch powieki, by chybić.

August uważał Greya za pokrewną duszę, bo sierżant czuł się w powietrzu jak w domu. Ale byli mu bliscy wszyscy jego podwładni. Szeregowcy David George, Jason Scott, Terrence Newmeyer, Walter Pupshaw, Matt Bud i Sondra DeVonne. Sanitariusz William Musicant, kapral Pat Prementine i porucznik Orjuela. Byli więcej niż specjalistami - byli zespołem. I mieli więcej odwagi, więcej hartu ducha niż jakakolwiek jednostka, z którą August kiedykolwiek pracował.

Świeżo awansowany kapral Ishi Honda, syn Japończyka i Hawajki, był genialnym elektronikiem i ekspertem Strikera od telekomunikacji. Nigdy nie oddalał się od telefonu TAC-SAT, który służył Augustowi i Rodgersowi do kontaktów z Centrum Szybkiego Reagowania.

Plecak z telefonem chroniła warstwa kuloodpornego kevlaru, żeby aparat nie uległ zniszczeniu w czasie walki. Ponieważ w samolocie panował hałas, Honda trzymał TAC-SAT na kolanach, żeby usłyszeć sygnał telefonu. W terenie nosił kołnierz z tworzywa velcro i słuchawki własnej konstrukcji połączone z plecakiem. Kiedy zdejmował kołnierz, automatycznie wyłączał

brzęczyk; gdy ktoś dzwonił, kołnierz po prostu wibrował. Podczas misji obserwacyjnej Strikera żaden dźwięk nie zdradzał jego pozycji. Co więcej, w kołnierzu były małe mikrofony pojemnościowe umożliwiające mówienie szeptem. Słowa Hondy docierały do rozmówcy na drugim końcu linii głośno i wyraźnie.

Striker był czymś więcej niż tylko oddziałem grupującym wojskową elitę ściągniętą z różnych służb. Podpułkownik Squires wykonał wspaniałą robotę.

służył.

Samolot przechylił się w skrócie na południe i stara, skórzana aktówka pułkownika wysunęła się spod siedzenia. Kopnął ją piętą z powrotem. W teczce miał mapy i jawne materiały o Kaszmirze. Przejrzał je już ze swoim oddziałem. Za kilka minut znów je wyjmie.

Teraz chciał zrobić to, co na początku każdej misji. Zastanowić się, dlaczego tu jest, dlaczego leci. Tak było codziennie, odkąd dostał się do niewoli. Szukał motywacji. Robił to i w obozie jenieckim Wietkongu, i wstając rano, żeby pojechać do bazy Strikera, i wyruszając na akcję.

Nie wystarczała mu odpowiedź, że służy swemu krajowi albo że wykonuje swój zawód.

Potrzebował bodźca, dzięki któremu starałby się bardziej niż wczoraj. Gdyby go nie miał, ucierpiałaby na tym jakość jego pracy i życia.

Kiedy był nastawiony optymistycznie, najbardziej motywowały go duma i patriotyzm. Gdy miał gorszy nastrój, stwierdzał, że wszyscy ludzie są drapieżnikami i niewolnikami własnej natury. Walka i przetrwanie to genetyczny imperatyw. Ale nie możemy się kierować tylko tym. Każdy musi mieć jakiś wyjątkowy powód, który wykracza poza granice polityki czy profesjonalizmu.

Więc August szukał innej motywacji. Klucza do tego, żeby być lepszym żołnierzem, lepszym dowódcą i lepszym, silniejszym człowiekiem.

Po drodze uświadamiał sobie różne rzeczy, miał wiele interesujących przemyśleń. I zaczął

się zastanawiać, czy rozwiązaniem nie jest sama podróż. Zmierza do jednego z miejsc narodzin religii Wschodu. Może tam dokona potrzebnego odkrycia. A może nic więcej nie znajdzie. W przeciwieństwie do operacji wojskowych, nie ma map, które pokazałyby mu ten teren, ani samolotu, który by go tam zabierał.

Na razie będzie zatem szukał dalej.

ROZDZIAŁ 6

Śrinagar, Indie Środa, 16.22

R

óżnica czasu między Baku a Kaszmiem wynosiła dwie i pół godziny. Ron Friday funkcjonował jeszcze według czasu azerbejdżańskiego. Kupił od ulicznego sprzedawcy kilka jagnięcych szaszłyków, wszedł do zatłoczonej kawiarni na wolnym powietrzu i zamówił

herbatę. Musiał szybko jeść. Od zmierzchu do świtu cudzoziemców obowiązywała godzina policyj-

na. Jej przestrzegania pilnowali żołnierze patrolujący ulice w kamizelkach kuloodpornych i uzbrojeni w karabiny automatyczne.

Choć przestało padać, wielkie parasole wciąż osłaniały stoliki. Friday musiał schylić głowę, żeby przejść. Dzielił stół z dwoma hinduskimi pielgrzymami. Czytali i pili herbatę. Byli ubrani w długie białe bawełniane szaty przewiązane brązowymi pasami. Takie stroje nosili kapłani z indyjskich stanów w pobliżu Nepalu u stóp Himalajów. Mieli ze sobą torby, które wyglądały na ciężkie. Podróżowali zapewne do świątyni Pahalgam położonej dziewięćdziesiąt kilometrów na południe od Śrinagaru. Bagaż sugerował, że zamierzają tam spędzić trochę czasu. Nie zareagowali, kiedy Friday usiadł. Ale nie z braku uprzejmości. Nie chcieli zakłócać własnego spokoju. Jeden z nich przeglądał „International Herald Tribune”. Friday uznał to za dziwne, choć sam nie wiedział dlaczego. Nawet kapłani muszą śledzić sytuację na świecie.

Drugi pielgrzym, który siedział tuż obok Friday, czytał zbiór poematów wydanych w sanskrycie i po angielsku. Friday zerknął na tekst.

Vishayairindriyagraamo na tbrupthamadhigachathiajasram pooryamaano-opi samudraha salilaiwa - było napisane w sanskrycie. Angielski przekład brzmiał: „Zmysłów nie może zaspokoić nawet nieustanny dopływ bodźców czuciowych, tak jak oceanu nie może wypełnić nieustanny dopływ wody”.

Mądra sentencja, pomyślał Friday. Człowiek musi chłonać wszystko wokół siebie. A potem przekształcać to w coś innego. Coś, na czym odcisnie swoje piętno. Jeśli tego nie robi, żyje, ale nie jest żywy.

Do pielgrzymów podszedł muzułmanin. zaproponował im tanią kwaterę w swoim domu, gdyby chcieli przenocować w mieście, pielgrzymi często nie mieli pieniędzy na hotel. Mężczyźni grzecznie odmówili. Powiedzieli, że spróbują złapać następnego autobus i wypoczną po przyjeździe do świątyni.

Muzułmanin odrzekł, że gdyby nie udało im się odjechać tym ani żadnym z późniejszych autobusów, jego szwagier zawiezie ich jutro do świątyni. Dał

im kartkę ze swoim adresem. Podziękowali, a muzułmanin uklonił się i odszedł. Wszystko odbyło się bardzo uprzejmie. Kontakty muzułmanów z hindusami zwykle były serdeczne. To generałowie i politycy prowokowali wojny.

Na lewo od Friday stali trzej kaszmirscy policjanci w mundurach khaki. Obserwowali tłum. W przeciwieństwie do Bliskiego Wschodu, bazy w Kaszmirze nie były typowymi miejscami zamachów terrorystycznych - na tutejszych targowiskach zwykle było tyle samo muzułmanów, ile hindusów. Terrorysty wybierali miejsca, w których dominowali hindusi.

Atakowali domy miejscowych urzędników, firmy, posterunki policji, instytucje finansowe 31

i bazy wojskowe. Nawet agresywne ugrupowania militarystyczne, takie jak partyzantka Hezb-ul Mudzahedin, raczej nie atakowały obiektów cywilnych, zwłaszcza w godzinach pracy. Nie chciały, żeby ludzie zwrócili się przeciwko nim. Walczyły z hinduskimi przywódcami i tymi, którzy ich

popierają.

Dwaj pielgrzymi pospiesznie dopili herbatę. Właśnie nadjeżdżał ich autobus. Stał na przystanku na zachodnim krańcu placu targowego. Autobus był stary, ale czysty. Na dachu miał bagażnik. Umundurowany kierowca wyszedł na zewnątrz i pomagał pasażerom wsiąść.

Bagażowy przyniósł drabinkę. Kiedy zdejmował z dachu bagaże przyjezdnych, za jego plecami ustawiała się kolejka odjeżdżających. W ogonku panował wzorowy porządek.

Pielgrzymi przy stoliku Fridaya podnieśli swoje wypchane torby, zarzucili je z trudem na ramiona i wyszli na zatłoczoną ulicę. Friday obserwował ich i zastanawiał się, jaka jest tu kara za kradzież. Przy takich tłumach klientów bazar powinien być rajem dla kieszonkowców.

Zwłaszcza że mogliby wsiąść do autobusu i szybko zniknąć.

Friday nadal popijał herbatę i jadł szaszłyki. Patrzył na innych pielgrzymów na przystanku.

Niektórzy byli w białych lub czarnych tradycyjnych szatach, inni w codziennych ubraniach w zachodnim stylu. Kilku podróżowało z dziećmi. Osobom, które nie miały tradycyjnych szat, pozwalano modlić się przed świątynią, ale nie wpuszczano ich do środka. Friday zastanawiał

się, czy determinacja na ich twarzach wynika z chęci dostania się do autobusu, czy z religijnej żarliwości. Zapewne jedno i drugie.

Jeden z policjantów ruszył w stronę przystanku, żeby dopilnować porządku przy wsiadaniu.

Minął posterunek policji, drewniany piętrowy budynek o białych ścianach i zielonym dachu.

Dwa frontowe okna były zakratowane. Posterunek sąsiadował ze świątynią hinduską. Friday zastanawiał się, czy lokalne władze postanowiły zbudować posterunek tuż przy świątyni, żeby ochronić ją przed terrorystami. Wszedł kiedyś do tej świątyni. Była dvibhedą, miejscem podwójnego kultu, gdzie czczono zarówno Śiwę - boga zniszczenia, jak i Wisznu - opiekuna.

Przed głównym portalem wznosiła się pięciopiętrowa Radżagopuram - Wieża Królewska. Po bokach stały mniejsze wieże z dodatkowymi wejściami. Niższe budowle z białej cegły zdobiły złote i zielone kafelki ku czci dwóch różnych bogów. Ściany były udekorowane ryczącymi lwami, człekoipodobnymi postaciami odzwierciadlającymi w tanecznych pozach i innymi figurami.

Friday nie znał się dobrze na ikonografii, ale przypominał sobie, że wewnątrz świątyni symbolizowało bóstwo w spoczynku. Pierwsze pomieszczenie oznaczało włosy, następne twarz, kolejne tułów, kolana, łydki i stopy. Hindusi przywiązywali wagę do całego ciała, nie tylko

do serca czy duszy. Według nich istota ludzki pozbawiona jakiegokolwiek jego części jest niekompletna, a tym samym niedoskonała.

Mimo pośpiechu każdy z pielgrzymów odwracał się w stronę świątyni i wykonywał lekki ukłon. Bez względu na to, jak ważne były ich osobiste cele, rozumieli, że istnieje coś ważniejszego. Ze świątyni wysypali się następni pielgrzymi, żeby złapać autobus. Inni hindusi

- zapewne miejscowi - oraz turyści wchodzili i wychodzili łukowym portalem.

Przecznicę za świątynią było kino pod staromodnym namiotem. Indie produkują najwięcej filmów na świecie. Friday widział kilka z nich na kasetach wideo, między innymi *Kandydata na króla* oraz *Kwiaty i cynober*. Uważał, że znakomicie oddają charakter i marzenia tego narodu. Hindusi najbardziej lubili trzygodzinne musicale opowiadające o perypetiach miłosnych bohaterów. Główne role zawsze grali atrakcyjni aktorzy i aktorki, wcielali się jednak w zwykłych, przeciętnych ludzi zmagających się z codziennymi problemami, a w ich sercach zawsze dźwięczała muzyka. Tak Hindusi widzieli samych siebie. Rzeczywistość była kłopotliwą niewygoda, której istnienia nie chcieli przyjmować do wiadomości. Podobnie jak okrutnego systemu kastowego. Friday miał na ten temat własną teorię. Uważał, że kasty są odzwierciedleniem wiary Hindusów. Społeczeństwo, tak jak jednostka, ma głowę, stopy i inne części ciała pomiędzy nimi - wszystkie równie potrzebne do stworzenia całości.

Na placu targowym wciąż trwał ruch. Zrobiło się nawet tłoczniej niż przedtem. Ludzie robili zakupy przed kolacją albo zatrzymywali się w drodze z pracy do domu. W koszach, na taczkach, czasem ciężarówkami wciąż dostarczaną nowe towary. Bazar zamykano tuż po zachodzie słońca, bo w Śrinagarze i okolicach ludzie wstawali bardzo wcześnie. Pracę w miejscowych fabrykach, na polach i w sklepach zaczynali o siódmej.

Friday skończył ostatni szaszłyk i spojrzał na autobus. Wrócił kierowca i pomagał

pasażerom wsiąść. Bagażowy układał na dachu rzeczy podróżnych. Friday był zdumiony, że w całym tym pozornym chaosie panuje dyscyplina. Każdy wykonywał to, co do niego należało: sprzedawcy i klienci, policjanci i obsługa autobusu.

Znów zaczęło mżyć. Friday postanowił pójść na przystanek. Ruszył za ostatnimi pielgrzymami i patrzył, jak kierowca autobusu sprawdza bilety kolejnym pasażerom.

Coś się zmieniło.

Kierowca. Nie był tęgi jak ten, który pomagał pasażerom wsiąść, ale raczej szczupły.

Friday zauważył jeszcze coś: bagażowy układał rzeczy podróżnych bardzo ostrożnie. Nie przyjrzał mu się wcześniej zbyt dokładnie, bo

zasłaniał go pasażerowie. Nie potrafił powiedzieć, czy to ten sam mężczyzna.

Był jakieś dwieście metrów od autobusu. Przyspieszył kroku.

Nagle świat na lewo od niego zniknął w błysku jaskrawego światła, piekielnym żarze i ogłuszającym huku.

ROZDZIAŁ 7

Waszyngton Środa, 7.10

P

aul Hood siedział w swoim gabinecie. W komputerze miał otwarty plik „Struktura wewnętrzna centrum - wersja robocza”. Dwa ostatnie słowa oznaczały, że to nie oryginał, lecz kopia. Pod nazwą każdego działu widniały wykaz komórek organizacyjnych i lista personelu.

Przy każdym nazwisku był log wypełniany codziennie przez daną osobę - zawierał informacje, co robiła tego dnia. Tylko Hood, Rodgers i Herbert mieli dostęp do tych danych. Szczegółowa dokumentacja pozwalała dyrektorom Centrum śledzić wszelkie poczynania pracowników.

Gdyby ktoś nawiązał współpracę z inną agencją lub, co gorsza, z obcym rządem - to była pierwsza linia obrony. Komputer automatycznie sygnalizował każdą czynność, która nie miała za-logowanego polecenia albo potwierdzenia jej wykonania.

Ale w tej chwili Paul Hood nie szukał kretów, tylko baranków ofiarnych. Skoro senator Fox i Kongresowa Komisja Nadzoru nad Służbami Wywiadowczymi chcą zrobić cięcia, musiał się do tego przygotować. Ale kogo się pozbyć?

Kliknął na dział wywiadu Boba Herberta i przejrzał nazwiska. Czy Herbert może zrezygnować z komórki dziennej obserwacji poczty elektronicznej w Europie? Mało prawdopodobne. Szpiedzy działają całą dobę. A może wystarczy jeden łącznik z CIA i FBI zamiast dwóch? Chyba tak. Trzeba zapytać Herberta, którego wolałby zostawić. Hood przesunął kursor na dział techniczny. A co z Mattem Stollem? Przeżyje bez operatora interfejsu satelitarnego albo szefa modernizacji sieci komputerowej? Mógłby korzystać z usług kogoś z zewnątrz, gdyby trzeba było podsłuchać zagraniczną łączność satelitarną albo wymienić sprzęt komputerowy czy oprogramowanie. Ta niewygodna nie osłabiłaby Centrum.

Hood sprawdził dział prasowy. Czy Centrum rzeczywiście potrzebuje kogoś do publikowania wiadomości i organizowania konferencji prasowych? Jeśli senator Fox uważa, że Narodowe Centrum Zarządzania Kryzysowego

jest zbyt widoczne, to w pierwszej kolejności należałoby się pozbyć rzeczniczki prasowej i jej asystentki.

Nieważne, co uważa senator Fox, pomyślał Hood. Ważne, co on sądzi.

Patrzył na ekran, ale oczami wyobraźni widział twarz Ann Farris. Po dwóch latach flirtowania wreszcie spędzili razem noc. To była najcudowniejsza noc w życiu Hooda. Po tej nocy uświadomił sobie, że łączy ich prawdziwa miłość, nie tylko pożądanie. Uczucie silniejsze niż to, jakie go łączyło z dawną kochanką Nancy Jo Bosworth. Ale nadal był mężem Sharon.

Musiał mieć na względzie dobro swoich dzieci, nie mówiąc o własnym. I uczucia Sharon, gdyby kiedykolwiek się dowiedziała. Chociaż więc uwielbiał Ann, to nie był dobry okres na drugi związek.

A co z Ann? Po burzliwym rozwodzie nie czuła się bezpiecznie. Wprawdzie na spotkaniach z prasą trzyma się bardzo dobrze i jest wspaniałą samotną matką, ale zgodnie z opinią psycholog Liz Gordon są to typowe „reakcje przeciwdziałające”. Ann instynktownie reaguje pozytywnie na bodźce zewnętrzne, natomiast wewnątrz jest małą, przerażoną dziewczynką.

Jeśli ją zwolnię, rozważał Hood, pomyśli, że chcę ją trzymać na dystans. Jeśli zaś zostawię, uzna, że ją faworyzuję, ochraniam.

I tak źle, i tak niedobrze. Hood wolał sobie nie wyobrażać reakcji kolegów Centrum. Muszą wiedzieć, co go łączy z Ann. To zapewne najgorzej strzeżona tajemnicą w bazie.

Wciąż wpatrywał się w ekran. Już nie widział twarzy Ann Farris, tylko jej nazwisko. Hood doszedł do wniosku, że musi wykonywać swoją pracę bez względu na konsekwencje, a nie będzie mógł tego robić, jeśli pozwoli, żeby przeszkadzały mu sprawy osobiste.

Kliknął dwa razy myszą i chwilę później dział prasowy zniknął.

ROZDZIAŁ 8

Śrinagar, Indie

Środa, 16.41

Ron Friday czuł się, jakby ktoś wbił mu kamerton do uszu. Wnętrze jego czaszki zdawało się wibrować, nie słyszał nic poza przeraźliwym dzwonieniem. Miał otwarte oczy, ale nie potrafiłby powiedzieć, na co patrzy. Świat był niewidoczny, jakby przesłaniała go mgła.

Zamrugał. Do oczu wpadł mu biały, piekący pył. Zamrugał mocniej, i przycisnął dłoń do jednego oka, potem do drugiego. Otworzył je szeroko i znów 35

spojrzał przed siebie. Nadal nie był pewien, na co patrzy, ale uświadomił sobie, że leży na brzuchu z głową odwróconą w bok. Podniósł się na rękach. Z jego ramion, włosów i tułowia opadł biały pył. Poczł w ustach smak kredy. Splunął, ale nie pozbył się kredowego smaku.

Splunął jeszcze raz.

Uklęknął. Bolało go całe ciało, zaczął jednak odzyskiwać słuch. A przynajmniej ustawało dzwonięcie; nic innego nie słyszał. Spojrzał w lewo. Przez moment miał wrażenie, że jest wewnątrz chmury, którą otacza inna chmura. Pył strząśnięty z jego ciała zaczął osiadać.

Friday wreszcie zobaczył to, na co przed chwilą patrzył.

Zobaczył pobożowisko. Tam, gdzie stały świątynia i posterunek policji, teraz były ruiny.

Przez mgiełkę pyłu prześwitywało niebo.

Dzwonięcie w uszach ustępowało. Friday usłyszał jęki. Oparł rękę na kolanie i zaczął wstawać. Bolały go plecy, cały drżał. Zakręciło mu się w głowie i pociemniało w oczach.

Wrócił do pozycji klęczącej i spojrział na wprost. Przez wiszący w powietrzu pył dostrzegł autobus. I biegnących ku niemu ludzi.

Nagle wokół autobusu pojawił się żółtoczerwony blask. Czas jakby zwolnił i we wszystkich kierunkach eksplodowały kolory. Rozległ się głośny trzask, który po chwili przeszedł w huk.

Autobus podskoczył i rozpadł się. Przez moment wyglądał jak nadepnięty balon. Rozciągnął się na obu końcach i przestał istnieć. Rozprysły się szczątki. Koła toczyły się, siedzenia koziółkowały. Ludzi stojących najbliżej pochłonał ogień. Ci, którzy byli dalej, zostali odrzuceni na wszystkie strony jak fragmenty pojazdu.

Friday patrzył, jak zbliża się do niego ciemnoszara chmura. Nadciągającą ciemność przecinały smugi ognia i krwi.

Odślonił uszy i wolno wstał. Spojrzał na swój tułów i nogi, żeby sprawdzić, czy nie jest ranny. W szoku po poważnych urazach człowiek może nie czuć bólu. W oczach miał pył ze zburzonej świątyni i musiał mrugać, żeby widzieć. Był zakurzony, ale cały.

Wybuch wyrzucił w powietrze kartki książek i dokumenty. Teraz zaczynały opadać na ziemię. Wiele papierów było osmalonych, z niektórych został tylko popiół. Kilka wyglądało na kartki z modlitewnika. Może pochodziły z książki, którą kilka minut wcześniej czytał

pielgrzym przy kawiarnianym stoliku.

Szara, niemal trzymetrowa chmura dotarła do Fridaya i otoczyła go. Przyniosła charakterystyczny

swąd palonej gumy i słodszy odór zwęglonych ciał. Friday wyjął z kieszeni chusteczkę, zasłonił nią nos i usta i odwrócił się od duszących oparów. Na bazarze za jego plecami panował bezruch. Ludzie padli na ziemię, nie wiedząc, co jeszcze wybuchnie. Leżeli pod straganami,

36

za wózkami i taczkami. Kiedy Friday odzyskał słuch, dotarły do niego jęki, łkania i modlitwy.

Znowu spojrzął na ruiny świątyni i posterunku policji. Mżawka rozrzedzała dym i tłumiła płomienie. Zawroty głowy ustały i Friday ruszył wolno przed siebie. Dopiero teraz zauważył

ciała martwych policjantów. Mieli w plecach odłamki i zakrwawione mundury. Ktokolwiek dokonał zamachu, użył ładunków kruszących, nie zapalających.

I wyglądało na to, że podłożył je w trzech miejscach - w autobusie, w świątyni i na posterunku. Dziwne. Już atak na dwa skupiska wiernych - świątynią i autobus pełen pielgrzymów - wydawał się nietypowy. Dlaczego dokonano również zamachu na posterunek policji?

Ciszę przerwały syreny. Nadjechały radiowozy, w kierunku zawałonych budynków biegli też piesi policjanci. Ludzie zaczęli wstawać i opuszczać bazar. Bali się kolejnych eksplozji.

Kilka osób ruszyło w stronę ruin, żeby zobaczyć, czy ktoś przeżył i potrzebuje pomocy.

Ron Friday nie dołączył do nich.

Poszedł w kierunku hotelu, w którym mieszkał. Chciał się porozumieć ze swoimi kontaktami w Indiach i Waszyngtonie i zapytać, czy mają jakieś informacje o tym, co się wydarzyło.

Obejrzał się, słysząc dźwięk podobny do odgłosu upadających kręgów, i zobaczył, że wali się jedna z ocalałych tylnych ścian świątyni. W powietrze uniosły się tumany kurzu, ludzie cofnęli się. Kiedy kamienne bloki znieruchomiały, znów podeszli bliżej. Wielu miało biały pył

na twarzach i rękach. Wyglądali jak duchy.

Friday ruszył dalej. Myślał gorączkowo.

Posterunek policji. Świątynia hinduska. Autobus pełen pielgrzymów. Dwa zamachy na skupiska wiernych i jeden na obiekt świecki. Świątynia mogła runąć przypadkowo wskutek eksplozji na posterunku policji. Wielu terrorystów nie wiedziało, ile materiału wybuchowego trzeba użyć do zrobienia bomby. Nie obchodziło ich, że w powietrze wyleci pół miasta.

Rozrzut szczątków sugerował jednak dwa równoległe wybuchy. A eksplozja autobusu dowodziła, że zaplanowano zamach na hindusów, nie tylko na obiekt indyjski. Friday nie przypominał sobie podobnego zamachu. Na pewno nie na taką skalę.

Ale jeśli celem byli hindusi, dlaczego terroryści zaatakowali również posterunek policji?

Uderzyli w dwa skupiska wiernych, nie zamierzali więc ukrywać swoich zamiarów.

Friday przystanął.

A może zamierzali, pomyślał. Może zamachy na świątynię i autobus miały odwrócić uwagę od prawdziwego celu.

Eksplozje przyciągają tłumy. Może więc zamachowcy chcieli ściągnąć ludzi w to miejsce albo odciągnąć ich od innego.

Friday przetarł oczy i ruszył dalej, rozglądając się bacznie dookoła. Ludzie nie kręcili się tak jak przedtem. Jedni biegli w kierunku miejsca wybuchu, inni w przeciwnym. Wybór był teraz prosty: pomagać albo uciekać. Friday zerknął w boczne uliczki, zaglądał w okna. Szukał

ludzi, którzy nie wyglądają na spanikowanych. Może zobaczy kogoś takiego, a może nie. Jakiś bagaż mógł zostać załadowany do autobusu na poprzednim przystanku. Bomba mogła zostać zdetonowana przy użyciu zapalnika czasowego umieszczonego w walizce albo plecaku zabezpieczonym przed wstrząsami podczas jazdy. Może zamachowiec wiozący ten bagaż wysiadł tu, podłożył ładunkiwybuchowe w świątyni i na posterunku policji i odszedł. Może był przebrany za pielgrzyma lub policjanta. Może sprawcą jest jeden z mężczyzn, z którymi Friday siedział przy stoliku, albo ktoś, na kogo patrzył. Może w wybuchu zginął jeden lub więcej terrorystów. Wszystko jest możliwe.

Friday wciąż się rozglądał, ale był prawie pewien, że nikogo nie wypatrzy. Ktokolwiek to zrobił, już nie żyje albo dawno stąd zniknął.

Trzeba zająć się sprawą inaczej. Zdobyć dane wywiadowcze z zewnątrz i wykorzystać je do namierzenia zamachowców. A potem ich dopaść. Bo jedno jest pewne - jeśli winni ataku na hinduskie cele nie zostaną znaleźni, sytuacja w Kaszmirze bardzo szybko się pogorszy, Wojna jądrowa będzie już nie tylko opcją ale realną groźbą.

ROZDZIAŁ 9

Śrinagar, Indie Środa, 16.55

Szarab siedziała na miejscu pasażera w kabinie starej ciężarówki. Mężczyzna za kierownicą pocił się obficie. Jechał na północ tą samą drogą 1A, którą autobus przyjechał na bazar.

Między nimi siedziała Nanda. Prawą kostkę miała przykutą do stalowej sprężyny pod fotelem.

Dwaj inni mężczyźni siedzieli na odkrytej skrzyni ładunkowej wśród worków z wełną oparci plecami o tylną ścianę kabiny. Kulili się pod brezentem, żeby nie przemoknąć w ulewie.

Przed ciemnymi oczami Szarab pracowały gorączkowo wycieraczki przedniej szyby. Wyła dmuchawa. Szarab kazała swoim ludziom odjechać ciężarówką z placu targowego i trzymać się planu, przynajmniej do czasu, kiedy będą mieli więcej informacji. Teraz wykrzykiwała pytania do telefonu komórkowego. Nie wrzeszczała po to, żeby rozmówca słyszał ją przez hałas dmuchawy. Wrzeszczała z wściekłości.

- Wykonałeś już ten telefon, Iszak?
- Oczywiście - odrzekł mężczyzna na drugim końcu linii.

Szarab walnęła dłonią w tablicę rozdzielczą. Nanda aż podskoczyła. Szarab uderzyła jeszcze raz, ale nie zaklęła. To byłby grzech.

- Jakiś problem? - zapytał Iszak.

Szarab nie odpowiedziała.

- Polecenie było jasne - ciągnął Iszak. - Kazałaś mi tam zadzwonić dokładnie o szesnastej czterdzieści. Zawsze robię to, co mówisz.
- Wiem - odparła ponuro.
- Coś jest nie tak - zauważył Iszak. - Poznaję po twoim głosie. O co chodzi?

- Później pogadamy - rzuciła ostro. - Muszę pomyśleć.

Zakończyła rozmowę i odchyliła się na oparcie.

- Włączyć radio? - spytał kierowca. - Może są jakieś wiadomości, jakieś wyjaśnienie.
- Nie - warknęła Szarab. - Niepotrzebne mi radio. Znam wyjaśnienie.

Zamknęła oczy i zaczerpnęła powietrza. Czuła nieprzyjemne drapanie w gardle. Dmuchawa tłoczyła do kabiny powietrze przesycone gryzącym dymem z bazaru. Szarab zastanawiała się, czy ma podrażnione gardło od dymu, czy od krzyku. Pewnie jedno i drugie. Pokręciła głową.

Wciąż miała ochotę wrzeszczeć. Musiała odreagować.

Najgorsza była nie porażka, ale to, że ich wykorzystano. Ostrzegano ją przed tym pięć lat temu w szkole walki w pakistańskim mieście Sargodha. Agenci z Grupy Służb Specjalnych, którzy ją szkolili, mówili, że musi ostrożnie podchodzić do sukcesu. Jeśli nawet bojówce wszystko się udaje, to niekoniecznie dlatego, że są dobrzy. Może być tak, że gospodarz pozwala im odnosić sukcesy, aby ich sprawdzić i potem wykorzystać.

Przez lata bojówka Szarab, finansowana przez Pakistan, Milicja Wolnego Kaszmiru, atakowała wybrane cele w całym regionie. Sposób działania był zawsze taki sam. Zajmowali czyjś dom, planowali akcję i dokonywali zamachu. W momencie ataku jeden członek bojówki pozostawiony na kwaterze zawiadamiał telefonicznie policję lub wojsko, że do zamachu przyznaje się

39

Milicja Wolnego Kaszmiru. Potem, bojówka MWK przenosiła się do innego domu.

Właściciele zajmowanych na krótko wiejskich gospodarstw na odludziu bardziej obchodziło własne życie niż polityka. Wielu z nich było muzułmanami. Choć nie chcieli współpracować z obawy przed aresztowaniem, nie stawiali oporu MWK.

Celem Szarab i jej ludzi były obiekty wojskowe, policyjne i budynki administracji państwowej; nigdy nie atakowali miejsc publicznych ani obiektów kultu religijnego. Nie chcieli prowokować hindusów i mieć w nich zagorzałych wrogów. Uderzali tylko w indyjskich przywódców, żeby pozbawić ich pewności siebie i zmusić do wycofania się z Kaszmiru.

W Śrinagarze zamierzali osłabić siły policyjne, ale bez szkody dla kupców. Chcieli wystraszyć ludzi i zadać cios lokalnej gospodarce, żeby sprzedawcy i klienci zbuntowali się przeciwko indyjskim władzom.

Bardzo się starali, żeby zrobić tylko to. Przez kilka ostatnich nocy jeden z członków bojówki jeździł na śrinagarski bazar. Wchodził do świątyni w szacie kapłana, wychodził

tylnymi drzwiami, wdrapywał się na dach posterunku policji i wkładał pod dachówki ładunki plastiku. W nocy policja była mniej czujna, bo zamachy terrorystyczne zdarzają się najczęściej za dnia. Terrorysty chcą zdeorganizować życie codzienne, tak żeby zwykli ludzie bali się wychodzić z domów.

Ostatniej nocy na dachu posterunku umieszczono ostatnie ładunki i zapalnik czasowy ustawiony na szesnastą czterdzieści. Szarab i jej ludzie wrócili o wpół do czwartej, żeby obserwować wybuch z ulicy.

Po pierwszej eksplozji Szarab zorientowała się, że coś jest nie tak. Ładunki, które podłożyli, nie mogły spowodować aż takich szkód. Po drugim wybuchu wiedziała, że ktoś ich zrobił.

Muzułmanie dokonali zamachu na hinduską świątynię i autobus pełen pielgrzymów. Prawie miliard ludzi zwróci się przeciwko nim i Pakistańczykom.

Ale muzułmanie nie zaatakowali celów hinduskich, pomyślała gorzko, MWK wysadziła w powietrze posterunek policji. Jakies inne ugrupowanie umieściło bomby w świątyni i autobusie i zsynchronizowało eksplozje z wybuchem plastiku podłożonego przez MWK.

Szarab nie wierzyła, żeby zdradził któryś z członków bojówki. Mężczyźni w ciężarówce

towarzyszyli jej od lat. Znała ich rodziny, przyjaciół i przeszłość. Byli ludźmi niezachwianej wiary i nigdy nie zrobiliby niczego, żeby zaszkodzić sprawie.

A Nanda i Apu? Nigdy nie spuszczano ich z oka, nawet nocą, kiedy spali, wartownik zawsze czuwał przy uchylonych drzwiach. Stary i jego wnuczka **40**

nie mieli nadajnika ani telefonu komórkowego; dom został dokładnie przeszukany - a w pobliżu nie mieszkali sąsiedzie którzy mogliby zobaczyć lub podsłuchać bojówkę.

Szarab wzięła głęboki oddech i otworzyła oczy. W tej chwili to bez znaczenia. Trzeba się zastanowić, co dalej.

Ciężarówka wyprzedziła czarnobrodych pielgrzymów w białych szatach i górali prowadzących kucyki z placu targowego. W lekkiej mgłę u stóp Himalajów widać było odległe pola ryżowe. W stronę bazaru jechały ciężarówki z żołnierzami. Może wojsko nie wie, kto jest odpowiedzialny za zamach. A może nie chcą złapać ich od razu. Może ten, kto ich zrobił, czeka, żeby sprawdzić, czy skontaktują się z innymi terrorystami w Kaszmirze, Zanim ich zgarnie.

Jeśli tak, to się rozczaruje.

Szarab otworzyła schowek w tablicy rozdzielczej i wyjęła mapę regionu. Było na niej siedemnaście sektorów oznaczonych cyframi i literami. Dla bezpieczeństwa przy ich podawaniu używano szyfru.

- Dobra, Iszak - powiedziała do telefonu. - Wyjdź z domu i jedź na pozycję 5B.

Chodziło jej o to, żeby Iszak pojechał do kwadratu 2E. Litera E zastępowała cyfrę 5, a dwójka literę B. Każdy, kto zdołałby podsłuchać rozmowę i zdobyć kopię mapy, trafiłby w niewłaściwe miejsce. - Możemy się tam spotkać o siódmej?

• Tak - odparł Iszak. - A co ze starym?

• Zostaw go. - Szarab zerknęła na Nandę. - Przypomnij mu, że mamy jego wnuczkę. Jeśli władze zapytają go o nas, niech nic nie mówi. Powiedz mu, że jeśli bezpiecznie dotrzemy do granicy, uwolnimy ją.

Szarab rozłączyła się i wsunęła komórkę do kieszeni ciemnoniebieskiej kurtki.

Będzie dość czasu na analizę i przegrupowanie. Teraz tylko jedno jest ważne: trzeba wydostać się z kraju, zanim Indie będą miały kozły ofiarne do paradowania przed światem.

ROZDZIAŁ 10

Sjaczen, baza numer 3, Kaszmir Środa, 17.42

Major Dev Puri odłożył słuchawkę.

Siedział za małym biurkiem w swoim podziemnym centrum dowodzenia. Na ścianie przed nim wisiła szczegółowa mapa regionu. Czerwone

chorągiewki oznaczały pozycje pakistańskie, zielone - bazy indyjskie. Z tyłu miał mapę Indii i Pakistanu. Na prawo od niego były drzwi, a na lewo tablica informacyjna z przypiętymi rozkazami, wykazami dyżurów, harmonogramami i raportami.

Schron zwany żartobliwie „Dołkiem” miał trzy na cztery metry i był dziurą wydrążoną w twardej ziemi i granicie. Ściany z wypaczonych drewnianych paneli, zabezpieczone grubą warstwą plastiku, chroniły przed brudem i wilgocią, ale nie przed zimnem. Jak mogą chronić?

- pomyślał major. Tu pod ziemią zawsze jest zimno jak w grobie. Nie ma okien ani świetlików. A jedyna wentylacja to otwarte drzwi i wiatrak pod sufitem.

Ale to nie chłód w centrum dowodzenia przyprawił majora o dreszcz, lecz wiadomość, którą dostał przez telefon. Łącznik Służby Ochrony Pogranicza stacjonujący w Kargilu powiedział

tylko jedno słowo:

-Zaczynamy.

Operacja „Glista” ruszyła.

Major Puri nie wiedział, gdzie powstał ten plan. Prawdopodobnie w SOP. Ale Ministerstwo Spraw Zagranicznych i parlamentarna komisja obrony miały komórki nadzorujące działalność cywilnych agencji wywiadowczych. SOP potrzebowała ich aprobaty, żeby zorganizować akcję na tak wielką skalę. Puri nie miał pojęcia, czy w razie ujawnienia prawdy SOP będzie kozłem ofiarnym i główni konspiratorzy zostaną straceni.

„Szczepionka” - tak oficer łącznikowy SOP określił operację, gdy opisywał ją zaledwie trzy dni temu. Dadzą Indiom przedsmak choroby, żeby zapobiec zarażeniu. Kiedy major był

dzieckiem, ludzie bali się ospy i polio. Słowo „szczepionka” brzmiało wówczas cudownie.

Teraz okrutnie. Zniszczenie świątyni i autobusu, jakkolwiek konieczne i usprawiedliwione, było potworną zbrodnią.

Puri sięgnął po marlboro na biurku. Wytrząsnął z paczki papierosa i zapalił. Zaciągnął się głęboko. Palenie jest lepsze niż żucie tytoniu. Pomaga myśleć jasno, mniej emocjonalnie.

I mniej krytycznie.

Wszystko jest względne, pomyślał.

W latach czterdziestych jego rodzice byli pacyfistami. Nie chcieli, żeby został żołnierzem.

Pragnęli, żeby wraz z nimi i innymi obywatelami Harija-ny skorzystał z rządowego programu

rozwoju społecznego. Reforma gwarantowała mieszkańcom najbardziej zacofanych siedemnastu stanów nisko płatną pracę na państwowych posiadach. Ale Dev Puri miał inne plany.

I poszedł własną drogą.

Zaciągnął się mocniej papierosem. Nagle przestał mu się podobać własny krytycyzm. SOP

najwyraźniej uznała tę akcję za konieczną. Służbę Ochrony Pogranicza szkoliła amerykańska CIA oraz indyjskie Wojskowe Biuro Badań i Analiz. Funkcjonariusze SOP byli mistrzami wykrywania i szpiegowania zagranicznych agentów i terrorystów. W większości wypadków eliminowali wrogów i kolaborantów bez fanfar i ciężkiej artylerii. Czasami, przy pomocy swoich współpracowników ze specjalnie utworzonej Cywilnej Sieci Operacyjnej, wykorzystywali obcych agentów do przesyłania fałszywych informacji do Pakistanu. W wypadku Szarab i jej bojówki SOP miesiącami układała bardziej skomplikowany plan. Uznano, że należy zrobić pakistańskich terrorystów w zabicie tuzinów niewinnych hindusów. Po aresztowaniu Pakistańczyków, dzięki podróżującej z nimi wtyczce CSO, zostaną przy nich „znalezione”

dokumenty i sprzęt - „dowody” na to, że Szarab i jej grupa jeździli po kraju i oznaczali cele pakistańskiego ataku nuklearnego w Indiach. To dało indyjskim wojskowym pretekst do uderzenia na pakistańskie silosy z pociskami jądrowymi.

Major Puri znów się zaciągnął i spojrzął na zegarek. Czas iść.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat ponad ćwierć miliona hindusów przeniosło się z Kaszmiru do innych części kraju. Przy rosnącej przewadze muzułmanów władze indyjskie miały coraz większe trudności z ochroną tego regionu przed terrorystami. Co gorsza, Pakistan rozmieścił

ostatnio broń jądrową i szybko rozbudowywał swój arsenał nuklearny. Puri wiedział, że trzeba to zatrzymać. Nie tylko po to, by zachować Kaszmir, ale również po to, by uchronić sąsiednie rejony Indii przed zalewem setek tysięcy kolejnych uchodźców.

Może SOP ma rację. Może to dobry moment i miejsce, żeby zapobiec pakistańskiej agresji.

Major żałował tylko, że nie ma innego sposobu.

Zaciągnął się ostatni raz i zdusił papierosa w blaszanej popielniczce obok telefonu. Była pełna niedopałków. Pozostały po trzech popołudniach napięcia, obaw i wątpliwości związanych z rolą majora w tej operacji. Jego adiutant opróżniłby ją, gdyby pakistański pocisk artyleryjski nie urwał mu prawej ręki podczas gry w warcaby w niedzielny wieczór.

Major wstał. Czas odebrać popołudniowe raporty wywiadowcze z innych wysuniętych placówek bazy. Składano je zawsze w bunkrze oficerów w głębi linii okopów. To spotkanie pod jednym względem będzie się różniło od poprzednich. Puri poprosi oficerów, żeby przygotowali się do przeciwczenia nocnej ewakuacji. Jeśli indyjskie lotnictwo zaplanuje

„oświetlenie” gór pociskami jądrowymi, trzeba będzie wycofać ludzi z linii frontu na długo przed atakiem. Oczywiście nocą, kiedy jest mniejsza szansa, że zauważą to Pakistańczycy.

Przeciwnik też dostanie ostrzeżenie, ale dużo później. Atak na 43

silosy nie miałyby sensu, gdyby pociski były ruchome, i Pakistańczycy zdążyliby je przemieścić.

Po spotkaniu, około siódmej, major zje kolację, pójdzie spać i wstanie wcześniej, żeby rozpocząć następną fazę ściśle tajnej operacji. Puri był jednym z nielicznych oficerów, którzy wiedzieli, że do Kaszmiru przylatuje amerykański oddział, żeby pomóc indyjskim wojskowym znaleźć silosy. Zarząd wywiadu lotnictwa, który miał być odpowiedzialny za atak, znał w przybliżeniu lokalizację pocisków. Ale potrzebował dokładniejszych informacji. Zasypanie Himalajów bombami nie byłoby efektywnym wykorzystaniem sprzętu wojskowego. A biorąc pod uwagę prawdopodobną głębokość ukrycia silosów, broń konwencjonalna mogłaby nie wystarczyć. Indie musiały to wiedzieć.

Oczywiście nie zdradziły tego planu swoim nieświadomym partnerom w tej operacji.

Stany Zjednoczone potrzebowały danych wywiadowczych o pakistańskim arsenale nuklearnym, tak samo jak Indie. Amerykanie chcieli wiedzieć, kto pomaga Islamabadowi w zbrojeniach i czy rozmieszczone pociski mogą osiągnąć innych niemuzułmańskich krajów.

Jeśli w Kaszmirze zostanie wykryty amerykański oddział, dojdzie do awantury dyplomatycznej, ale nie do wojny, toteż Stany Zjednoczone zaoferowały przysłanie tajnej jednostki. Anonimowość była konieczna, bo Rosja, Chiny i inne państwa miały kretów w amerykańskich strukturach wojskowych. Szpiedzy obserwowali ruchy Navy SEAL, 1.

Oddziału Operacyjnego Sił Specjalnych amerykańskiej Delta For-ce i innych elitarnych jednostek. Gromadzone informacje były wykorzystywane przez ich macierzyste kraje i sprzedawane innym państwom.

Oddział Striker, który był już w drodze z Waszyngtonu, podlegał Narodowemu Centrum Zarządzania Kryzysowego. Miał doświadczenie w obserwacji górskich silosów od czasu, gdy przed laty przeprowadził udaną operację w północnokoreańskich Górach Diamentowych.

Teraz współdziałał z agentem NSA, który współpracował z rządem indyjskim i znał rejon poszukiwań.

Major Puri musiał dopilnować, żeby misja poszukiwawczo-rozpoznawcza poszła gładko i szybko. Nie zamierzano informować Amerykanów o schwytaniu pakistańskiej bojówki ani o planowanym uderzeniu. Mogło to zostać ujawnione tylko w razie międzynarodowego potępienia działań Indii. Podano by wtedy również wiadomość o udziale Strikera i Stany Zjednoczone nie miałyby wyboru - musiałyby poprzeć indyjski atak.

Puri obciągnął kurtkę, włożył turban i ruszył do drzwi. Przynajmniej z jednego był

zadowolony. Jego nazwisko nie wiązało się w żaden sposób z akcją SOP. Oficjalnie miał po prostu pomóc Amerykanom znaleźć silosy.

Wypełniał tylko swoje obowiązki. Wykonywał rozkazy.

ROZDZIAŁ 11

Waszyngton Środa, 8.21

To niedobrze - powiedział Bob Herbert, patrząc na monitor komputera. -Bardzo niedobrze.

Szef wywiadu Centrum oglądał ostatnie zdjęcia satelitarne gór otaczających Kaszmir. Nagle na ekranie pojawiła się wiadomość z Departamentu Stanu. Ledwie Herbert zaczął czytać, zadzwonił telefon na biurku. Herbert zerknął z niezadowoleniem na małą czarną konsolę.

Linia zewnętrzna. Wcisnął przycisk i podniósł słuchawkę. Jednocześnie wrócił do czytania.

- Herbert, słucham.
- Tu Hank Lewis - przedstawił się rozmówca.

Nazwisko brzmiało znajomo, ale Herbert nie potrafił go umiejscowić. I też zbyt się nie starał. Koncentrował się na wiadomości na ekranie. W Śrinagarze były dwie potężne eksplozje. Obie zniszczyły hinduskie cele. Wzrosło napięcie wzdłuż linii kontroli. Herbert potrzebował więcej informacji. Musiał jak najszybciej zawiadomić Paula Hooda i generała Rodgersa.

- Zamierzałem zadzwonić, odkąd przejąłem NSA - powiedział Lewis -

ale ciągle nie miałem czasu.

Jezu, pomyślał Herbert. Więc to ten Frank Lewis. Następca Jacka Fenwicka w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Lewis właśnie wycofał zgodę na udział NSA w misji Strikera.

Herbert powinien był od razu skojarzyć nazwisko. Ale cóż, miał na głowie operację w niebezpiecznym regionie, który właśnie stał się jeszcze bardziej niebezpieczny. Jego umysł pracował na autopilocie.

- Nie musi się pan tłumaczyć. Wiem, ile tam jest roboty - zapewnił Herbert. - Domyślam się, że dzwoni pan w sprawie wiadomości Departamentu Stanu o Kaszmirze?
- Jeszcze nie widziałem tego raportu - wyznał Lewis. - Ale dostałem telefon od Rona Fridaya, mojego człowieka, który ma się spotkać z waszym Strikerem. Powiedział mi to, co pan już pewnie czytał. Godzinę temu na placu targowym w Śrinagarze eksplodowały trzy potężne bomby.
- Trzy? - zdziwił się Herbert. - Departament Stanu podaje, że dwie.

- Friday miał strefę zero w zasięgu wzroku - odparł Lewis. - W powietrze wyleciały jednocześnie posterunek policji i hinduska świątynia. Potem na stąpił wybuch w autobusie pełnym hinduskich pielgrzymów.

Herbert wrócił myślami do zamachu bombowego na ambasadę w Bejrucie. Nie pamiętał momentu eksplozji. To było jak uderzenie samochodem w ścianę. Ale wciąż miał przed oczami chwilę, kiedy znalazł się pod ruinami i natychmiast uświadomił sobie, co się stało.

- Czy pański człowiek ucierpiał? - spytał.
- Trudno w to uwierzyć, ale nie - odrzekł Lewis. - Powiedział, że mogło być gorzej, ale użyto silnych ładunków kruszących, co ograniczyło zasięg zniszczeń.
- Miał szczęście - stwierdził Herbert. Przy wybuchu ładunków kruszących powstawało duże centrum wstrząsu, umiarkowana fala uderzeniowa i bardzo małe zniszczenia uboczne. -

Dlaczego jest pewien, że dwie pierwsze detonacje to były oddzielne bomby? Druga eksplozja to mógł być wybuch zbiornika z propanem lub ropą. Przy tego rodzaju atakach to się często zdarza.

- Powiedział, że wybuchy nastąpiły jednocześnie, nie kolejno - wyjaśnił Lewis. - Znalazł też dwa bardzo podobne, ale oddzielne ślady szczątków prowadzące od budynków. To sugeruje obecność identycznych ładunków w różnych miejscach.
- Możliwe - zgodził się Herbert.

Przypomniało mu się powiedzenie z dzieciństwa: kto poczuł, ten wytoczył. Przez chwilę zastanawiał się, czy za wybuchy może być odpowiedzialny Friday. Ale nie widział powodu, dla którego Friday miałby to zrobić, i nie był na tyle cyniczny, żeby go szukać. W każdym razie jeszcze nie był.

- Przyjmijmy więc, że były trzy eksplozje - powiedział. - Co pan o tym sądzi?
- Podejrzewam, że zamachy na hindusów to robota Pakistańczyków, którzy chcą podgrzać atmosferę - odrzekł Lewis. - Ale mamy za mało danych wywiadowczych na poparcie tej teorii.
- Jeśli zaplanowali atak na hindusów, to po co wysadzili również posterunek policji? -

spytał Herbert.

- Może po to, żeby osłabić siły pościgowe - podsunął Lewis.
- Być może - zgodził się Herbert.

Wszystko, co mówił Lewis, miało sens. Co mogło oznaczać, że albo miał rację, albo sprawcy chcieli, żeby prowadzący śledztwo w coś uwierzyli.

- Striker przylatuje dopiero za dwadzieścia dwie godziny - powiedział

Lewis. - Zamierzam wysłać Fridaya z powrotem na miejsce zdarzenia, żeby spróbował coś znaleźć. Ma pan jakieś źródła, które mogłyby coś wiedzieć?

46

• Tak - odrzekł Herbert. «Indyjskie Biuro Wywiadowcze i Ministerstwo Obrony. Pomogli nam zorganizować misję Strikera. Skontaktuję się z nimi i odezwę się do pana.

• Dzięki. A przy okazji, cieszę się, że będziemy współpracować. Obserwuję pańską karierę od czasu, kiedy pojechał pan do Niemiec, żeby dobrać się do tamtych neonazistów. Ufam ludziom, którzy ruszają się z za biurka. To oznacza, że przedkładają dobro kraju nad własne bezpieczeństwo.

• Albo że są stuknięci - odparł Herbert. - Ale dziękuję. Niech pan będzie ze mną w kontakcie.

Lewis obiecał, a Herbert odłożył słuchawkę.

To krzepiące, że ktoś ze środowiska wywiadowczego chciał się podzielić informacjami.

Szefowie agencji wywiadowczych zwykle tego nie robili. Mając informacje, mogli kontrolować ludzi i instytucje. Herbert do nich nie należał. Tajemniczość sprzyjała bezpieczeństwu pracy, ale szkodziła bezpieczeństwu narodowemu. Jak pokazał Jack Fenwick, tajemniczy szef wywiadu mógł kontrolować również prezydenta.

Ale chociaż Ron Friday był doświadczonym terenowym pracownikiem operacyjnym, Herbert nie do końca wierzył jego słowom. Ufał tylko ludziom, z którymi sam pracował.

Zadzwoił do Paula Hooda i poinformował o nowej sytuacji. Hood poprosił, żeby go włączyć do rozmowy z Rodgersem. Potem Herbert skontaktował się z Indyjskim Biurem Wywiadowczym. Sujit Rani, wicedyrektor do spraw kontrwywiadu, powiedział mu mniej więcej to, czego się spodziewał: prowadzą śledztwo, ale nie mają dodatkowych informacji.

Słyszeli, że podobno były trzy, nie dwie, eksplozje, i badają to. Po tej wiadomości Herbert nabrał nieco większego zaufania do Rona Fridaya. Kontakt Herberta w Ministerstwie Obrony powtórzył mu w zasadzie to samo. Na szczęście Striker nie dotarł jeszcze do Indii. W razie konieczności można było odwołać misję.

Herbert wszedł do bazy danych o Kaszmirze. Chciał sprawdzić, czy w regionie były ostatnio inne zamachy terrorystyczne. Szukał wskazówek, wzorca, jakiegoś śladu, który pomógłby wyjaśnić dzisiejszy atak. Coś tu nie pasowało. Gdyby Pakistańczycy rzeczywiście chcieli podgrzać atmosferę w Kaszmirze, dokonaliby zamachu na obiekt sakralny o dużym znaczeniu, taki jak świątynia w Pahalgam - najważniejsze miejsce kultu religijnego w regionie. Nie musieliby się przejmować ochroną świątyni, bo hindusi całkowicie ufali swojej świętej trójcy.

Wierzyli, że jeśli taka będzie wola Wisznu opiekuna, nie spotka ich nic złego. Jeżeli umrą gwałtowną śmiercią, Siwa niszczyciel pomści ich. A jeśli okażą się tego warci, Brahma stwórca dokona ich

reinkarnacji.

Przeczuć mówiło Herbertowi, że świątynia autobus i posterunek policji zaatakowano z innego powodu. Jeszcze nie wiedział, z jakiego. Ale zamierzał się dowiedzieć.

ROZDZIAŁ 12

Kabina C-130 Środa, 10.13

K

Kiedy kapral Ishi Honda wstąpił do Strikera, miał dwadzieścia dwa lata i był szeregowcem.

Bardzo szybko się przekonał, że będzie miał niewiele wolnego czasu. Wszyscy musieli dużo ćwiczyć, a zwłaszcza on. Późno dołączył do oddziału - zastąpił szeregowca Johnny'ego Pucketta, który został ranny podczas misji w Korei Północnej - musiał więc nadrabiać braki.

I nigdy nie odpuszczał. Matka mówiła mu, że odpoczynek nie jest jego przeznaczeniem, i przypisywała to dwóm różnym połowom jego duszy. Dziadek Ishiego ze strony matki, cywilny kucharz na lotnisku wojskowym Wheeler, zginął w czasie japońskiego ataku na Pearl Harbor, kiedy próbował dotrzeć do domu i rodziny. Dziadek ze strony ojca był wyższym oficerem w sztabie kontradmirała Takajiry Onisbjego, szefa sztabu Jedenastej Floty Powietrznej. Onishi Zaplanował japoński atak. Rodzice Ishiego byli aktorami. Poznali się i pokochali na tournée, nie znając wzajemnie swojej przeszłości. Często zastanawiali się, czy gdyby ją znali, coś by to zmieniło. Ojciec Ishiego twierdził, że na pewno nie. Matka spuszczała oczy, kręciła lekko głową i mówiła, że nie wiadomo.

Ishi nie znał odpowiedzi i może dlatego dawał z siebie wszystko. Uważał, że jeśli odpuści, nieuchronnie pojawi się pytanie, czy jakiś strzęp informacji mógł przeszkodzić w jego narodzinach. Nie chciał się nad tym zastanawiać, bo nie było na to odpowiedzi. A Honda nie lubił problemów nie do rozwiązania.

Lubił natomiast życie komandosa elitarniej jednostki. Było próbą charakteru i wyzwaniem.

Odkąd wstąpił do Strikera, codziennie dużo biegał, pokonywał przeszkody, walczył wręcz, strzelał, uczył się przetrwania i brał udział w manewrach. Ćwiczenia w terenie były dla niego trudniejsze niż dla innych, bo oprócz zwykłego sprzętu dźwigał telefon TAC-SAT. Miał

szkolenia polityczne i taktyczne oraz kursy językowe. Pułkownik August nalegał, żeby każdy członek Strikera znał co najmniej dwa języki obce, bo któregoś dnia na pewno się przydadzą.

Honda przynajmniej w tym miał przewagę nad innymi - ponieważ jego ojciec był

Japończykiem, znał już jeden język obcy. Jako drugi wybrał mandaryński. Son-dra DeVonne zdecydowała się na kantoński. Hondę fascynowało to, że oba języki chińskie są identyczne w piśmie, ale zupełnie inne w mowie. On i DeVonne czytali te same teksty, ale nie mogli się porozumiewać słownie.

Choć czas, który członkowie Strikera spędzali na ziemi, nigdy nie był stracony, Honda przekonał się, że w powietrzu jest inaczej. Rzadko odbywali krótkie loty, a długie podróże potrafiły być strasznie nudne. Dlatego Ishi wymyślił sposób konstruktywnego spędzania czasu w samolocie.

Dokądkolwiek lecieli, podłączał swój laptop do baz danych Stephena Viensa w NRO -

Narodowym Biurze Zwiadowczym - i Matta Stolla w Centrum Szybkiego Reagowania. NRO

zarządzało większością amerykańskich satelitów szpiegowskich. Ponieważ Viens był

kumplem Stolla z college'u, pomagał Centrum w zbieraniu informacji, kiedy większe organizacje, takie jak wywiad wojskowy, CIA i NSA, walczyły o czassatelitarny. Viensa oskarżono później, że przeznaczył dwa miliardy dolarów z funduszy NRO na sfinansowanie różnych nieoficjalnych projektów operacyjnych. Dzięki pomocy Centrum został oczyszczony z zarzutów i niedawno wrócił do pracy.

Zanim Striker wytuszyło jakiegoś regionu, Viens przesuwiał czyjś czas satelitarny, żeby zrobić zdjęcia wywiadowcze, których potrzebował pułkownik August. Dokumentację fotograficzną przesyłano potem pułkownikowi w czasie misji. Jednocześnie Stoli zbierał

elektroniczne dane wywiadowcze z tego regionu. Lokalne policje i wojsko nie (dzieliły się wszystkimi informacjami nawet z sojusznikami. W wielu krajach, zwłaszcza w Rosji, Chinach i Izraelu, amerykańscy pracownicy operacyjni byli często obserwowani bez ich wiedzy przez zagranicznych agentów. Centrum musiało więc zbierać wszystkie możliwe informacje, żeby się odpowiednio zabezpieczyć. Zmieniano uzgodnione trasy i terminy, wykorzystywano

„zbędnych” członków zespołów do mylenia przeciwnika i czasami unieszkodliwiano ogony.

Gospodarze nie mogli mieć pretensji, jeśli osobę szpiegującą na polecenie sojusznika odnajdywano później związaną i zakneblowaną w hotelowej szafie.

Prowadzony przez Stolla wywiad elektroniczny - ELINT - polegał na kontrolowaniu faksów, e-maili, numerów telefonicznych i częstotliwości radiowych. Stoli gromadził

wszystkie wiadomości wysyłane lub odbierane przez oficjalne źródła, znane ruchy oporu i ugrupowania opozycyjne. Te numery, częstotliwości i kody szyfrujące wprowadzano do komputerów i porównywano z danymi o znanych terrorystach i obcych agentach. Jeśli w rejonie działań Centrum

znajdował się „pies łańcuchowy lub inna przeszkoda”, jak to nazywali planiści operacji, te porównania pomagały znaleźć i zidentyfikować 49

przeciwnika. Szefowie amerykańskich agencji wywiadowczych nie chcieli, żeby ich tajni pracownicy operacyjni byli fotografowani i obserwowani przy pracy przez obce rządy. Ich zdjęcia i informacje o metodach działania mogły być sprzedane osobom trzecim. Poza tym Stany Zjednoczone nigdy nie miały pewności, czy któryś z zaprzyjaźnionych krajów nie stanie się pewnego dnia celem wywiadowczym.

- Przypomnijcie sobie Iran - mówił pułkownik August swoim ludziom, ilekroć rozpoczynali wspólną operację z sojusznikami.

Honda zabrał ze sobą służbowy laptop. Komputer był wyposażony w bezprzewodowy szybki modem do transmisji danych, które stale zbierał Stoli. Honda miał archiwizować wszystkie istotne informacje. Po wylądowaniu Strikera w Indiach laptop zostanie w samolocie i wróci do bazy. Pułkownik August zatrzyma swój komputer, żeby odbierać dane. Im mniej musiał nieść w terenie kapral Honda, tym bardziej był zadowolony.

Do laptopa Hondy trafiła nowa informacja i odezwał się sygnał dźwiękowy alarmujący o jakiejś anomalii wyłapanej przez program Stolla w Centrum. Honda przyjął wiadomość.

Program Bellhop zastosowany w satelicie Sanctity należącym do sił powietrznych kontrolował telefony komórkowe i radia, które wykorzystywały częstotliwości policyjne.

Centrum Szybkiego Reagowania i inne amerykańskie agencje wywiadowcze miały numery tych telefonów do własnej łączności z zagranicznymi urzędami. Łatwo było włamać się do komputerów i poszukać innych przychodzących rozmów.

Bellhop wyłapał serię połączeń z komórki zarejestrowanej jako policyjna. W leksykonie Bellhopa była zakodowana jako „telefon polowy”. Większość połączeń miała miejsce w ciągu ostatnich pięciu miesięcy. Ktoś dzwonił z Kar[^] gilu do komendy rejonowej policji w Dżammu na numer zakodowany jako „telefon domowy”. W tym okresie z telefonu domowego na polowy zadzwoniono tylko raz. Program Stolla, który integrował dane wywiadowcze Centrum i NRO, wskazywał, że połączenie nastąpiło niecałą sekundę wcześniej niż skierowany na Kaszmir satelita ClusterStar3 zarejestrował eksplozję na placu targowym w Śrinagarze.

- Cholera - mruknął Honda.

Zastanawiał się, czy pułkownik August lub generał Rodgers zostali poinformowani o prawdopodobnym zamachu terrorystycznym. Telefon z komórki policyjnej na miejsce zdarzenia tuż przed wybuchem mógł być zbiegiem okoliczności. Może ktoś dzwonił do jakiegoś gliniarza. Z drugiej strony, telefon i eksplozja mogły mieć ze sobą coś wspólnego.

Honda odpiął pas bez-

pieczeństwa niewygodnego siedzenia i poszedł na przód samolotu zawiadomić oficerów dowodzących. Musiał iść wolno i ostrożnie, żeby nie wpaść na któregoś z kolegów, bo maszyną miały turbulencje.

August i Rodgers pochylali się nad laptopem generała.

- Przepraszam! - zawołał Honda, żeby go usłyszeli przez ryk silników. August podniósł wzrok.

- O co chodzi, kapralu?

Honda powiedział oficerom o eksplozji. August odparł, że właśnie czytali e-mail o wybuchu przysłany przez Boba Herberta. Honda poinformował przełożonych o telefonach. Generał

Rodgers wydawał się zainteresowany.

- Przez pięć miesięcy codziennie były dwa połączenia - powiedział Honda. - Zawsze o tej samej porze.

- Coś jak rutynowa kontrola - zauważył Rodgers.

- Dokładnie, sir - przytaknął Honda. - Z wyjątkiem dzisiejszego dnia. Dziś było tylko jedno połączenie. Z telefonem polowym, odwrotnie niż zawsze. Tuż przed wybuchem w świątyni.

Rodgers odchylił się do tyłu.

- Kapralu, moglibyście przejrzeć plik danych i sprawdzić, czy ten wzo rzec połączeń się powtarza? Czy dzwoniło z telefonów polowych o innych numerach kodowych? Czy były połączenia z jednym telefonem domowym i jedna odpowiedź lub żadnej?

. - Tak jest, sir.

Honda przykucnął na zimnej, wibrującej podłodze, uniósł jedno kolano i postawił na nim laptop. Nie był pewien, czego właściwie szukają oficerowie, ale nie miał prawa pytać.

Wprowadził numer kodowy telefonu domowego i polecenie dla Bellhopa, żeby szukał. Generał

miał dobre przeczucia -oprócz tamtej serii połączeń były jeszcze dwie. Przez siedem tygodni ktoś dzwonił z innego telefonu polowego w Kargilu. Dwa razy dziennie o tej samej porze.

Przedtem ktoś łączył się przez sześć tygodni z trzeciego telefonu polowego, też dwa razy dziennie. Bellhop nie miał wcześniejszych danych niż sprzed trzynastu tygodni.

- Najwyraźniej cywilni agenci indyjscy tropili bojówkę terrorystyczną -powiedział Rodgers.
- Skąd wiesz? - zapytał August. - Te telefony to mogły być zwykłe raporty operacyjne z terenu.
- Wątpię - odrzekł Rodgers. - Zauważ, że tylko jedno połączenie na liście kaprala Hondy było z telefonu domowego na polowy.
- To w czasie eksplozji.

51

• Zgadza się. To sugeruje, że oficerowie odpowiedzialni za rozpoznanie nie chcieli, żeby telefony polowe dzwoniły w nieodpowiednich momentach.

• Możliwe.

• Ale jest jeszcze coś - ciągnął Rodgers. - Kiedy Pakistańczycy zostali wyparci z Kargilu w dziewięćdziesiątym dziewiątym, indyjska Służba Ochrony Pogranicza wiedziała, że nieprzyjaciel zostawi na miejscu bojówki. Wojsko nie mogłoby ich wytropić, ale miejscowa ludność rozpoznałaby obcych w swoich wioskach. Więc SOP zwerbowała miejscowych do Cywilnej Sieci Operacyjnej. - Generał postukał w laptop. - Mam tutaj to wszystko. Zwerbowani cywile nie mogli dostać radiotelefonów wojskowych, bo tak blisko Pakistanu te kanały są rutynowo monitorowane przez personel ELINT. Więc SOP dała swoim współpracownikom komórki. Agenci dzwonią do komend rejonowych i zgłaszają włamania, zaginięcia dzieci, kradzieże bydła i tak dalej. W rzeczywistości podają zakodowane wiadomości, informują SOP

o ruchach i działaniach domniemanych terrorystów.

• Nadal nie rozumiem, dlaczego uważasz, że te połączenia na naszej liście nie są rutynowymi raportami z terenu?

• Bo agenci CSO nie składają takich raportów -^odrzekł Rodgers. - Meldują się tylko wtedy, gdy mają coś do powiedzenia. W ten sposób trudniej ich podsłuchać. Założę się, że zakończenie każdej serii tych telefonów jest zbieżne w czasie z atakami terrorystów. Cel zlikwidowany, bojówka rusza dalej, telefony przestają dzwonić.

• Być może. - Ale to nie wyjaśnia telefonu do świątyni tuż przed wybuchem.

• Kto wie?

• Chyba nie nadażam - wyznał August. Rodgers spojrział na Hondę.

• Kapralu, moglibyście przynieść TAC-SAT?

- Tak jest, sir.

Rodgers odwrócił się do Augusta.

- Poproszę Boba Herberta, żeby sprawdził daty ataków terrorystycznych w regionie. Chcę zobaczyć, czy raporty przez telefny polowe przestawały przychodzić po zamachach. I powiem mu, żeby sprawdził jeszcze coś.
- Co? - zapytał August.

Honda zamknął swój laptop i wstał. Zanim odszedł, usłyszał odpowiedź generała:

- Interesuje mnie, jakich zapalników używa SOP w czasie akcji antyterrorystycznych.
- Dlaczego? - spytał pułkownik.

52

- Bo Mosad iracka Al. Amn-Khas, grupa AbuNiMa i hiszpańska Grapo używają PDE - wyjaśnił generał. — Ładunków detonowanych telefonicznie.

ROZDZIAŁ 3

Śrinagar, Kaszmir Środa, 18.59

B

Było prawie ciemno, kiedy Ron Friday wrócił na bazar. Chciał zobaczyć, jak władze prowadzą śledztwo, ale bardziej interesowało go zdobycie informacji o zamachu. Od tego mogło zależeć jego życie.

Deszcz ustał i od gór wiał zimny wiatr. Friday był zadowolony, że włożył kurtkę i czapkę baseballową. Ale ubrał się tak nie dlatego, żeby nie zmarznąć. Jeszcze w swoim pokoju słyszał

krążące helikoptery. Na miejscu zastał dwa policyjne śmigłowce. Unosiły się na wysokości około sześćdziesięciu metrów. Szukały ocalałych ludzi. Ale nie tylko dlatego przyleciały.

Friday domyślał się, że utrzymują niski pułap, żeby fotografować tłum na wypadek, gdyby terroryści byli jeszcze na miejscu. W kokpitach miały zapewne sprzęt GRR - geometryczne rejestratory rekonstrukcyjne. Były to cyfrowe aparaty fotograficzne do robienia zdjęć pod kątem i rekonfiguracji geometrii tak, żeby otrzymać widok z przodu. Interpol i agencje bezpieczeństwa narodowego większości krajów miały w swoich kartotekach zdjęcia i portrety pamięciowe znanych i domniemyanych terrorystów. Nowe fotografie, podobnie jak odciski palców, można było wprowadzić do komputera i porównać z wizerunkami w bazie danych.

Komputer określał stopień podobieństwa. Jeśli rysy zgadzały się przynajmniej w siedemdziesięciu procentach, uważano to za wystarczającą podstawę do przesłuchania osobnika.

Friday włożył czapkę baseballową, bo wolał, żeby nie sfotografowano jego twarzy z helikoptera. Nie wiedział, czy jakiś kraj ma w aktach jego podobiznę i z jakiego powodu. Nie chciał, żeby założono mu kartotekę.

Strefy eksplozji ogrodzono czerwoną taśmą. Wokół ustawiono reflektory na trzymetrowych trójnogach. Rejon placu przypominał Fridayowi salę gimnastyczną po zabawie tanecznej.

Impreza się skończyła, miejsce opustoszało, ale wszędzie są ślady, że coś się działo. Tutaj zamiast plam po ponczu widniały plamy krwi. Zamiast krepy były podarte markizy. Zamiast pustych krzeseł stały bezpieczne ręczne wózki. Część sprzedawców zabrała swoje ruchome stoiska i na ziemi zostały wolne od kurzu miejsca w kształcie straganów. W ostrym świetle wyglądały jak cienie drzew i ludzi wypalone na

murach Hiroszimy i Nagasaki po wybuchach jądrowych. Niektóre wózki porzucono. Być może właściciele nie było na bazarze w chwili wybuchu, a ich pracownicy uciekli. Może jacyś handlarze zostali ranni lub zginęli.

Ogrodzonych stref pilnowali żołnierze. Byli uzbrojeni w pistolety maszynowe MP5K, wyraźnie widoczne w jasnym blasku reflektorów. Plac patrolowali policjanci z charakterystycznymi rewolwerami Webley .455. Poza odstraszeniem szabrowników - co wszak nie wymagało noszenia broni palnej na widoku - był tylko jeden powód obecności tej artylerii: władza chciała pokazać ludziom, że wciąż jest potężną siłą.

Reporterom pozwolono na relacje z miejsca zdarzenia i robienie zdjęć, potem zaś kazano im opuścić teren. Oficer tłumaczył ekipie CNN, że w tłoku dużo trudniej będzie obserwować szabrowników.

Pewnie żołnierze i policjanci nie chcą, żeby kamery zarejestrowały, jak sami kradną, pomyślał Friday. Mógł się założyć, że większość pozostawionych towarów do rana zniknie.

Na plac przyszło trochę zwykłych gapiów. Cokolwiek spodziewali się zobaczyć - ciała, ruiny, ekipy telewizyjne - wyglądali na zawiedzionych. Większość odeszła wyraźnie przygnębiona. Często tak bywało. Miejsca zamachów bombowych, walk, wypadków samochodowych przyciągały ludzi, a potem odrzucały. Niektórzy przynosili kwiaty i kładli na ziemi pod taśmą. Inni modlili się za zabitych przyjaciół, krewnych lub nieznajomych.

Wokół ruin posterunku policji i świątyni kręcili się inspektorzy budowlani. Oglądali sąsiednie budynki, żeby sprawdzić, czy wybuchy nie osłabiły lub nie uszkodziły konstrukcji.

Friday rozpoznał ich po białych kaskach ochronnych i echometrach wielkości dłoni.

Urządzenia emitowały jedno-lub wielokierunkowe fale dźwiękowe, które mogły być dostrojone do materiału, z jakiego wykonano obiekt - od kamienia polnego i betonu po drewno. Jeśli fale napotykały zmianę w strukturze materiału, co zwykle oznaczało wyłom, odzywał się sygnał alarmowy i budynek poddawano dokładnym oględzinom.

Oprócz inżynierów w trzech strefach pracowały policyjne ekipy poszukiwawcze i medyczne zespoły ratownicze. Ale Fridaya zaskoczyła jedna rzecz. Na ogół miejsca ataków terrorystycznych w Indiach badały lokalna policja i Gwardia Bezpieczeństwa Narodowego, utworzona w 1986 roku formacja antyterrorystyczna. Komandosi - nazywani Czarnymi Kotami od koloru ich mundurów - wkraczali do akcji, gdy porwano samolot lub przetrzymywano zakładników, prowadzili również czynności śledcze w miejscach zamachów bombowych. Tutaj Friday nie zauważył ani jednego czarnego munduru. Strefy eksplozji badała umundurowana na brązowo Służba Ochrony. Może w rejs-54

nie położonym najbliższej linii kontroli dochodzenia prowadziła SOP, pomyślał Friday.

Jeden z policjantów pokazywał ludziom, żeby przechodzili dalej. Friday nie miał więc możliwości

wejść w ruiny. Ale mógł zrobić coś innego. Kiedy szedł w kierunku miejsca eksplozji autobusu, zadzwonił z komórki do Sa-manthy Mandor z archiwum fotograficznego NSA i poprosił ją, żeby poszukała w materiałach prasowych AP, UPI, Reutersa i innych agencji zdjęć z miejsc ataków terrorystycznych w Kaszmirze. Chciał też, żeby zrobiła ze-stawienie wszelkich analiz dołączonych do fotografii. Prawdopodobnie niektóre z tych danych miał w swoim komputerze w pokoju hotelowym. Ale potrzebował jakichś cech charakterystycznych incydentów. Samantha obiecała oddzwonić, gdy tylko będzie miała dokumentację.

Zbliżył się do ogrodzonej strefy eksplozji autobusu. Ściany dwóch zniszczonych budynków zapobiegły wyrzuceniu ludzi i przedmiotów na zewnątrz, wszędzie jednak walały się szczątki.

Ciała już zabrano, ale na ulicy leżało szkło, kawałki metalu, strzępy skóry z tapicerki, książki i aparaty fotograficzne pasażerów, ich bagaż podręczny, ubrania i dewocjonalia. W przeciwieństwie do budynków przystanek autobusowy wyglądał jak migawkowe zdjęcie momentu wybuchu.

Kiedy Friday był niedaleko czerwonej taśmy, zadzwoniła jego komórka. Zatrzymał się i odebrał.

- Tak?.
- Tu Samantha Mandor. Mam zdjęcia i informacje, o które pan prosił. Chce pan, żebym je gdzieś wysłała? To około pięćdziesięciu kolorowych fotografii.
- Nie - odparł Friday. - Kiedy był ostatni zamach w Śrinagarze?
- Pięć miesięcy temu. Wyleciał w powietrze transport amunicji artyleryjskiej w drodze na linię kontroli. To była ogromna eksplozja.
- Atak samobójczy?
- Nie. Mamy zdjęcie mikroskopowe fragmentów wyświetlacza ciekłokrystalicznego, które znaleziono w pobliżu strefy zero. Analiza laboratoryjna wykazała, że to część zegara sterującego. Wśród szczątków był też sensor zdalnej detonacji, ale najwyraźniej nie został

użyty.

Terrorystyci mieli zapewne plan rezerwowy, pomyślał Friday. Profesjonaliści często dodawali takie urządzenia, żeby móc wywołać eksplozję wzdłuż linii wzroku, gdyby zapalnik czasowy nie zadziałał lub ładunki zostały wykryte przed zaprogramowanym momentem wybuchu.

Obecność czujnika oznaczała, że w chwili eksplozji co najmniej jeden z zamachowców był prawie w pobliżu celu.

- Kto prowadził dochodzenie na miejscu zdarzenia? - Zapytał Friday. -Jakie nosili mundury?
- Były tam Gwardia Bezpieczeństwa Narodowego i lokalna policja - odparła Samantha.
- A Służba Ochrony Pogranicza?
- Nie. Dodatkowo dokonano zamachów na cele wojskowe w Śrinagarze -sześć i siedem tygodni przed tamtym atakiem. Wtedy również śledztwo prowadziła Gwardia Bezpieczeństwa Narodowego.
- Czy ktoś się przyznał do tych zamachów?
- Według danych, odpowiedzialność za wszystkie trzy ataki wzięła na siebie jedna grupa.

Milicja Wolnego Kaszmiru.

Friday słyszał o tym ugrupowaniu. Prawdopodobnie jest wspierane przez Pakistan.

- Będzie panu potrzebne jeszcze coś? - spytała Samantha.
- Na razie nie - odparł Friday i rozłączył się.

Przypiął komórkę do paska spodni. Do swojego nowego szefa zadzwoni później, kiedy będzie miał coś pewnego do zameldowania. Rozejrzał się. Nigdzie nie widział Czarnych Kotów. Może to było ważne, a może nie. Ich nieobecność mogła mieć związek z terytorialnym podziałem kompetencji. Albo GBN nie potrafiła powstrzymać terrorystów i problem przekazano SOP. Być może któryś z oficerów SOP dostał wysokie stanowisko w rządzie. Takie awanse zwykle prowadziły do reorganizacji.

Oczywiście mogło być inaczej. Co mogłoby spowodować wyłączenie jakiejś służby ze śledztwa? Na pewno względy bezpieczeństwa. Friday zastanawiał się, czy do GBN mogli przeniknąć pakistańscy agenci. Albo SOP stworzyła pozory, że tak się stało. Tutejsze budżety są niższe od amerykańskich, więc rywalizacja między agencjami jest jeszcze ostrzejsza niż w Stanach Zjednoczonych.

Friday rozejrzał się. Wokół placu targowego stało kilka jedno-i dwupiętrowych budynków.

Ale żaden nie był dobrym punktem obserwacyjnym dla terrorystów. Gdyby musieli zdalnie zdetonować ładunki, wózki ręczne z wysokimi transparentami, markizy i parasole mogły blokować linię wzroku. Również dym ze stoisk z gorącymi potrawami przesłaniałby im widok.

Poza tym musieliby wynająć mieszkanie czy pokój. Zostawienie śladów na papierze byłoby niebezpieczne -jak w wypadku terrorystów, którzy użyli wypożyczonej furgonetki do zamachu na World Trade Center w Nowym Jorku -a tylko amatorzy płacą za pokój gotówką. To wzbudza podejrzenia gospodarzy, którzy zwykle zgłaszają taki fakt policji. Nawet najbardziej pazerny właściciel domu nie chce, żeby mieszkał u niego wytwórca bomb.

Ale tutaj terroryści nie potrzebowali się ukrywać. Na ruchliwym bazarze łatwo mogli pozostać anonimowi podczas codziennej obserwacji celów, rozmieszczania ładunków wybuchowych i oczekiwania na eksplozje. Friday zastanawiała inna rzecz: dlaczego posterunek policji i świątynia wyleciały w powietrze w tym samym momencie, a autobus dopiero kilka sekund później? Może zapalniki czasowe nie zostały dokładnie zsynchronizowane. A może była inna przyczyna.

Friday poszedł dalej w kierunku przystanku autobusowego. Na drodze 1A wstrzymano ruch i wyznaczono objazdy. Przystanął na środku szerokiej alei i spojrzał na miejsce zdarzenia.

Ulica była najkrótszą trasą wyjazdową z tego rejonu. Pościg byłby niezmiernie trudny, nawet gdyby policja znalazła poszukiwany pojazd. Friday znalazł punkt idealny do zdalnego zdetonowania ładunków wzdłuż linii wzroku, gdyby zawiódł zapalnik czasowy: krawężnik blisko zaparkowanego autobusu. Miejsce oddalone niecałe czterysta metrów od celu, na granicy zasięgu większości nadajników sygnału. Gdyby terrorysta tutaj czekał na wybuch, nie chciałby, żeby autobus wyleciał w powietrze za wcześnie. Wybuch w autobusie zostałby tak zaplanowany, żeby po eksplozji w świątyni miał czas na oddalenie się z przystanku. Mógł też zdalnie zdetonować ładunki w autobusie za pomocą tego samego nadajnika sygnału, którego użył do wywołania eksplozji w świątyni.

Ale to nie wyjaśniało, dlaczego były dwa oddzielne wybuchy na posterunku policji i w świątyni. Wystarczyłaby jedna potężna eksplozja, żeby zniszczyć oba budynki.

Friday ruszył z powrotem do hotelu. Musi zadzwonić do NSA. Zamach na placu targowym niewiele go obchodził. Miał gdzieś, kto prowadzi śledztwo. Ale niepokoiły go Czarne Koty. Ci ludzie będą mieli dostęp do danych wywiadowczych o nim i o Strikerze, kiedy wejdą w góry.

Jeśli istnieje choćby cień podejrzenia, że w GBN jest przeciek, trzeba dopilnować, żeby ta służba została wyłączona z akcji.

ROZDZIAŁ 14

Kargil, Kaszmir Środa, 19.00

I

szak pędził na motocyklu wzdłuż podnóży Himalajów. Wyruszył z kurzej fermy Apu bez kolacji i był głodny. Jechał z otwartymi ustami - złe przyzwyczajenie - i miał sucho w gardle.

Ale nie chciał jedzenia ani wody. Najbardziej brakowało mu kasku.

Spod wąskich opon motocykla wystrzeliwały małe, płaskie kamyki. Ilekroć droga się zwężała - jak teraz - i Iszak trzymał się blisko górskiego zbocza, ostre odłamki skalne trafiały w niego jak pociski. Zadowoliliby się nawet turbanem, gdyby miał materiał, żeby go zrobić, i czas, żeby się zatrzymać. Nie miał jednak ani materiału, ani czasu, pocieszał się więc nadzieją, że kamyk nie trafi go w oko. A jeśli nawet trafi, podejdzie do tego filozoficznie -

zostanie mu jeszcze drugie oko. Wychował się w pobliżu przełęczy Khyber i już dawno zrozumiał, że góry subkontynentu nie są dla mięczaków.

Przed wszystkim nawet podczas krótkiej, dwugodzinnej podróży pogoda potrafi się zmieniać bardzo szybko. Pałące słońce może w ciągu minut ustąpić miejsca zamieci. Śnieg z deszczem jeszcze szybciej przeradza się w gęstą mgłę. Nieprzygotowani podróżni mogą zamarznąć, odwodnić się lub zablądzić, zanim zdążą dotrzeć w bezpieczne miej sce. Wiatr, deszcz, śnieg, upał i zimno - wszystko atakuje wściekle wśród wiecznych szczytów i ściera się ze sobą w nieprzewidywalny sposób. Pod tym względem góry przypominały Iszakowi dawnych kalifów. Oni też byli władczy i gwałtowni, i odpowiadali tylko przed Allahem.

Poza tym podnóża Himalajów niezwykle trudno pokonywać nawet pieszo, a co dopiero na motocyklu. Łańcuch górski jest stosunkowo młody, więc zbocza są bardzo strome. Nieliczne ścieżki w Kaszmirze wytyczyli Brytyjczycy w 1845 roku, na początku wojny z sikhami.

Elitarne oddziały górskie królowej Wiktorii używały tych szlaków, nazywanych

„przecinkami”, do oskrzydlenia przeciwnika obozującego w niższych partiach gór. Ścieżki były za wąskie dla ciężarówek, samochodów osobowych i artylerii i zbyt niebezpieczne dla koni i innych zwierząt jucznych, toteż w czasie I wojny światowej przestano z nich korzystać.

Nie używano ich prawie wcale do roku 1947, kiedy na nowo odkryli je Pakistańczycy.

Podczas gdy Hindusi transportowali ludzi i sprzęt helikopterami, Pakistańczycy woleli te wolniejsze, mniej widoczne szlaki. Ścieżki pięły się na wysokość dwóch i pół tysiąca metrów, gdzie temperatura w nocy była za niska, żeby rozbijać obóz lub kontynuować marsz.

Nie, żeby niebezpieczeństwa czy niewygody miały teraz dla Iszaka jakieś znaczenie. Musiał

wykonać zadanie, być do dyspozycji swojej przełożonej. Nic mu w tym nie przeszkodzi. Ani głębokie przeпаście, ani strzelające spod kół kamyki, które chcą go tam zepchnąć, ani nagły spadek temperatury.

Na szczęście royal endfield bullet spisywał się dzielnie, zgodnie ze swoją dobrą reputacją.

Ponad rok temu Iszak ukradł go zza budynku koszarowego armii. Czerwono-czarna maszyna była wspaniała. Nie pochodziła wprawdzie z najwyższej cenionej pierwszej serii wyprodukowanej w latach pięćdziesiątych, kiedy brytyjska firma otworzyła fabrykę w Indiach, ale miała stan-58

dardowe wyposażenie policyjne i wojskowe, więc nie rzucała się w oczy. I była szybka, jak każdy royal endfield bullet - rozwijała prędkość prawie stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

Motocykl ważył niespełna dwieście kilogramów, toteż nie wymagał dużego wysiłku przy prowadzeniu na odcinkach drogi przebiegających wzdłuż urwiska, a jego silnik o mocy dwudziestu dwóch koni mechanicznych pracował stosunkowo cicho. Niski poziom hałasu był

ważny w górach, gdzie głośne dźwięki mogły wywołać osunięcia skał.

Iszak zobaczył małe cyfry wyryte na skalnej ścianie. Wskazywały, że jest na wysokości tysiąca dwustu metrów. Miał spóźnienie. Przyspieszył trochę. Wiatr dał mu teraz w twarz, aż dygotały policzki. Odgłos przypominał warkot silnika. Łaska Proroka sprawiła, że on i maszyna stali się jednością. Uśmiechnął się na myśl o woli Allana.

Sektor 2E był wysoko, niedaleko miejsca, gdzie łączyły się szlaki. Pakistańczycy przez lata sporządzali mapy tego regionu. Kiedy wycofywali się z Kargilu, zostawili w grocie dużą ilość broni, materiałów wybuchowych, ubrań, paszportów i leków. Bojówka Szarab regularnie uzupełniała tu swoje zapasy.

Podczas jazdy pod górę Iszak raz po raz patrzył na zegarek. Nie chciał, żeby Szarab czekała. Nie dlatego, że była nietolerancyjna czy niecierpliwa, ale dlatego że starał się być do jej dyspozycji gdziekolwiek i kiedykolwiek go potrzebowała. Szarab, doktor nauk politycznych, nie miała doświadczenia w terenowej pracy operacyjnej, ale poświęcenie i zmysł

taktyczny szybko zapewniły jej szacunek i całkowite oddanie wszystkich członków grupy.

Iszak podkochał się w niej, lecz bardzo uważał, żeby się z tym nie zdradzić. Wiedział, że lubiła pracować z patriotami, nie z wielbicielami. Często się zastanawiał, czy przywódcy Milicji Wolnego Kaszmiru powierzyli jej dowodzenie bojówką dlatego, że jest kobietą. Kiedy dawni medycy wypalali rany wojownikom, do trzymania rannego potrzeba było co najmniej pięciu mężczyzn - albo jednej kobiety. Z miłości do Szarab - a może z obawy przed skompromitowaniem się jako mężczyzna - każdy członek grupy zrobiłby dla niej wszystko.

Pod wełnianym swetrem Iszaka tkwił w kaburze Smith & Wesson kaliber 38. Broń trafiła do MWK z policyjnej jednostki ochrony portu lotniczego w Karaczi, która prawie trzydzieści lat temu kupiła od Stanów Zjednoczonych tysiąc tych rewolwerów. Iszak czuł się pewniej z naładowaną bronią u boku. Islam uczył, że człowiek staje się silny tylko za sprawą Proroka i Al-laha, a on był głęboko wierzący, ale broń umożliwiała mu działanie. Religia to strawa na całe życie. Smith & Wesson - przekąska na tę podróż.

Droga stała się bardziej wyboista, zakręty bardziej niebezpieczne, a co gorsza, zaczęła padać mżawka. Mimo to Iszak jeszcze przyspieszył. Musiał, 59

jeśli chciał zdążyć na czas. Spotykali się w tym sektorze po każdej akcji, ale nigdy w takim pośpiechu. Szarab lubiła wrócić przedtem do domu, chaty czy stodoły, którą zajmowali, żeby po raz

ostatni zapewnić gospodarza, że będzie żył, dopóki będzie milczał. Niektórym członkom bojówki nie podobała się jej życzliwość, zwłaszcza wobec hindusów, takich jak Apu i jego wnuczka. Ale Szarab nie chciała, żeby ludzie byli do niej wrogo nastawieni. Uwa-

żała, że większość tutejszych rolników, pasterzy i robotników to już Pakistańczycy, bez względu na to, czy są muzułmanami, czy nie. A nie należy zabijać rodaków, obecnych ani przyszłych.

Niebo pociemniało i Iszak włączył reflektor. Potężna lampa oświetlała niemal dwustumetrowy odcinek drogi przed nim, ale taka widoczność ledwo wystarczała do jazdy z dotychczasową prędkością. Zakręty wyłaniały się z mroku tak nagle, że dwa razy omal nie spadł w przepaść. Od czasu do czasu zwalniał na chwilę, żeby pozbyć się wrażenia, że poszybuje w powietrzu - na tej wysokości i przy tej prędkości złudzenie było bardzo wyraźne.

Oglądał się też za siebie i sprawdzał, czy nie jest ścigany. Warkot silnika odbijający się echem wśród gór, głośnie dygotanie policzków i hałas kamyków wyrzucanych spod kół

zagłuszyłyby nawet huk helikoptera. Iszak kazał Apu zostać w domu i przeciął linię telefoniczną, ale nigdy nie wiadomo, jak zareaguje człowiek, kiedy najbliższa mu osoba jest zakładnikiem.

Zobaczył następny znak na skale. Był teraz na wysokości ponad tysiąca trzystu metrów.

Nie wiedział, jak Szarab i reszta grupy zamierzają dotrzeć ciężarówką na miejsce spotkania.

Jechali inną drogą. Może zdołają wspiąć się na wysokość tysiąca pięciuset metrów, zanim szlak zrobi się za wąski dla samochodu. Drogi łączyły się kilkaset metrów przed nim. Kiedy dojedzie do rozwidlenia, albo zobaczy ślady ich opon, albo zaczeka na nich w grocie. Miał

nadzieję, że już tam są. Chciał się jak najszybciej dowiedzieć, co poszło nie tak.

Modlił się, żeby ta sprawa nie przeszkodziła im dotrzeć na spotkanie. W razie gdyby nie zjawili się w ciągu dwudziestu czterech godzin, miał wejść do groty, uruchomić radio, które wioził w małej walizce ze sprzętem, i zawiadomić bazę MWK w Abbottabadzie po pakistańskiej stronie granicy. Tam dostanie instrukcje, co dalej robić. Kaza mu albo zaczekać na nową bojówkę, albo wracać do domu na odprawę. -

Iszak miał nadzieję, że jeśli do tego dojdzie, kaza mu zostać. Powrót do kraju oznaczałby wspinaczkę na lodowiec Sjaczen albo próbę przejścia przez linię kontroli. Miałyby małe szanse na przeżycie. Dowództwo MWK równie dobrze mogłoby mu kazać, żeby się zastrzelił w grocie.

Zbliżył się do rozjazdu i zobaczył ciężarówkę. Stała na środku drogi. Skrzynia ładunkowa była przykryta brezentem maskującym, kabina gałęziami. Udało się im! Ale jego radość nie trwała długo. Gdy reflektor oświetlił członków bojówki, odwrócili się jak na komendę, przykucnęli i wycelowali w niego broń.

- To ja! - zawołał. - Iszak!

Ruszyli przed siebie, nie czekając na niego. Szarab szła pierwsza, prowadząc Nandę pod lufą.

To do niej niepodobne, pomyślał Iszak.

Niedobrze. Bardzo niedobrze.

ROZDZIAŁ 15

Waszyngton Środa, 10.51

B

ob Herbert był szczęśliwym człowiekiem. Przede wszystkim kochał swoją pracę. Miał znakomity zespół, dzięki któremu dostarczał Centrum cennych danych wywiadowczych. Był też zadowolony, że nie jest waszyngtońskim biurokratą. Przedkładał prawdomówność nad dyplomację, a dobro Centrum nad własną karierę. Dzięki temu cieszył się szacunkiem ludzi, którzy się liczyli, takich jak Paul Hood i Mikę Rodgers.

Ale teraz nie czuł się szczęśliwy.

Hank Lewis zadzwonił z NSA z wiadomością, że e-mail od Rona Fridaya jest właśnie rozszyfrowywany i zostanie wysłany do Herberta w ciągu kilku minut. Czekając na te dane wywiadowcze, Herbert zrobił to, co zamierzał zrobić, odkąd CIOĆ wydała zgodę na misję rozpoznawczą Strikera: ściągnął do swojego komputera plik NSA zawierający kartotekę Rona Fridaya. Dotychczas on i jego zespół nie mieli czasu się tym zająć. Pomagali Mike'owi Rodgersowi w przygotowaniach do misji.

Herbertowi nie spodobało się to, co zobaczył w dossier Rona Fridaya. A raczej to, że niewiele tam zobaczył.

Centrum nie trzymało wszystkich map wojskowych i danych wywiadowczych w „gorącej skrzynce”, jak to nazywali. Jedyne pliki, które przeglądano i aktualizowano cztery razy dziennie, zawierały informacje o sytuacjach w miejscach, gdzie amerykański personel lub interesy były bezpośrednio

zaangażowane lub zagrożone. Kaszmir był strefą kryzysową, ale gdyby doszło

61

tam do wybuchu, Centrum nie zajęłoby się automatycznie tym regionem. Właśnie dlatego poproszono, żeby Striker poleciał tam i poszukał pakistańskiej broni jądrowej. Pakistańczycy nie spodziewali się Amerykanów.

Rona Fridaya włączono do operacji bardzo późno, zaledwie przed kilkoma dniami. Jego udziału zażądał Satya Shankar, minister stanu w Departamencie Energii Atomowej. Oficjalnie Shankar zajmował się między innymi sprzedażą technologii jądrowej krajom rozwijającym się.

Nieoficjalnie pomagał wojsku śledzić rozwój tej technologii we wrogich państwach. Shankar i Friday współpracowali ze sobą wcześniej, kiedy Shankar był sekretarzem do spraw eksploracji w Ministerstwie Ropy Naftowej i Gazu Ziemi. Friday został zaangażowany przez europejski koncern naftowy do oceny kwestii prawnych związanych z wierceniami na spornym terytorium na pustyni Thar wzdłuż granicy między indyjskim Radżastanem i Pakistanem. Prawnik najwyraźniej zrobił na Shankarze wrażenie.

Ponieważ Centrum było skazane na Fridaya, czytanie jego akt nie było dla Herberta sprawą priorytetową. Zwłaszcza że CIOĆ już zaaprobowała Fridaya na podstawie jego zaszeregowania. Miał kategorię niebieską, co oznaczało, że może uczestniczyć w najważniejszych operacjach terenowych za granicą. Kategoria czerwona oznaczała, że agent cieszy się zaufaniem obcego rządu, a kategoria biała, że ufa mu własny rząd i nie ma dowodów na to, że jest podwójnym agentem. Kategorię żółtą przyznawano zdemaskowanemu podwójnemu agentowi, wykorzystywanemu przez własny rząd do dezinformacji - bądź bez jego wiedzy, bądź przy jego współpracy w zamian za ułaskawienie. Kategorię niebieską dostawał agent, któremu ufały oba kraje.

Kategorie czerwona, biała i niebieska oznaczały więc, że nigdy nie pojawiły się żadne informacje sugerujące, że agent jest skorumpowany. To zwykle wystarczało szefowi projektu do wydania zgody na udział danej osoby w operacji. Zwłaszcza szefowi, który był nowy i przepracowany, jak Frank Lewis w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Ale system kategorii niekiedy zawodził. Agent mógł być za sprytny, żeby dać się przyłapać, albo mieć kogoś wewnątrz, kto czyści jego kartotekę.

Akta Fridaya były bardzo skąpe. Zawierały kilka raportów z Azerbejdżanu, gdzie ostatnio stacjonował. Pracował w ambasadzie amerykańskiej w Baku jako doradca wiceambasador Dorothy Williamson. Podczas niedawnego kryzysu w byłej republice radzieckiej ani razu nie skontaktował się ze swoją centralą. Dziwne. Herbert zajrzał do kartotek dwóch agentów CIA ulokowanych w ambasadzie. Codziennie wysyłali raporty. Być może przypadkowo, obaj zginęli.

62

Cienkie akta Fridaya i jego milczenie w czasie kryzysu były niepokojące. Jeden z jego przełożonych w NSA, Jack Fenwick, wynajął terrorystę znanego jako Harpunnik do sprowokowania konfrontacji między Azerbejdżanem, Iranem i Rosją w rejonie Morza Kaspijskiego. Herbert nie czytał wszystkich analiz tamtej sytuacji. Nie miał czasu, Ale milczenie Fridaya przed i podczas rozgrywki zastanawiało

go. Czy rzeczywiście agent NSA siedział cicho, czy też wysyłał raporty bezpośrednio do kogoś, kto je niszczył?

Na przykład do Jacka Fenwicka.

Jeśli tak, to Ron Friday mógł przygotowywać z Fenwickiem i Harpunnikiem wybuch wojny.

Istniała możliwość, że pomagał Fenwickowi nieświadomie, nie wiedząc, co zamierza szef NSA. Ale wydawało się to mało prawdopodobne. Ron Friday był zdolnym prawnikiem, znakomitym negocjatorem praw do wydobycia ropy i świetnym doradcą dyplomatycznym.

Nie wyglądał na naiwnego.

Z NSA przyszedł rozszyfrowany e-mail. Wiadomość zawierała obserwacje Fridaya i istotne dla sprawy informacje o wcześniejszych działaniach antyterrorystycznych Gwardii Bezpieczeństwa Narodowego i Służby Ochrony Pogranicza. Herbertowi nie wydało się dziwne, że po ostatnim zamachu Czarne Koty zastąpiła SOR. Może była kompetentna w sprawach ataków na miejsca kultu religijnego. A może indyjski rząd zniecierpliwiła nieskuteczność Czarnych Kotów. W Kaszmirze najwyraźniej działała bojówka terrorystyczna.

Agencja bezpieczeństwa, która nie potrafi zapewnić bezpieczeństwa, nie nadaje się do tej roboty.

Herbert uznał, że warto skontaktować się z partnerami w wywiadzie indyjskim i zapytać o powód zmiany. Wciąż miał obawy co do Rona Fridaya.

Wybrał na swoim telefonie przy wózku inwalidzkim 008, wewnętrzny numer Paula Hooda.

Tuż przed uruchomieniem Centrum Szybkiego Reagowania Matt Stoli włamał się do systemu komputerowego, żeby zapewnić sobie numer 007. Herbert był wkurzony tą krecią robotą, ale Hood machnął ręką na wyskok Stolla. Uznał, że nie ma o co kopii kruszyć.

Hood odebrał po pierwszym sygnale.

- Tu Bob, szefie - powiedział Herbert. - Masz chwilę?
- Jasne.
- Zaraz u ciebie będę. - Herbert wpisał do komputera adres i wcisnął „enter”. - Zerknij tymczasem na e-mail, który ci wysyłam. Jest tam raport NSA o dzisiejszym zamachu w Śrinagarze i bardzo skąpe dossier Rona Fridaya.
- Zerknę - obiecał Hood.

Herbert wyłączył się i pojechał korytarzem do biura szefa. Po drodze dostał telefon od Matta Stolla.

-: Streszczaj się - powiedział.

• Właśnie przeglądałem ostatnie połączenia wyłapane przez Bellhopa - poinformował go Stoli. - Z tego telefonu polowego w Śrinagarze, który namierzamy. To dziwna sprawa.

• Dlaczego?

• Ktoś ciągle dzwoni z tego aparatu na telefon stacjonarny w Dżammu, na komendzie policji. Ale połączenia trwają tylko sekundę.

• Tylko sekundę?

• Tak. Połączenie, potem jednosekundowa przerwa i dzwoniący się rozłącza.

• Regularnie?

• Co minutę od szesnastej czasu lokalnego, czyli od szóstej trzydzieści naszego czasu.

• Krótkie, regularne impulsy przez dłuższy czas. To mi wygląda na urządzenie naprowadzające - stwierdził Herbert.

• Albo ktoś wcisnął przez przypadek samoczynne powtarzanie wybranego numeru - odparł

Stoli. - Na komendzie policji zgłoszenia niealarmowe przyjmuje poczta głosowa. Telefon polowy mógł zostać zaprogramowany tak, że odczytuje to jako przerwanie połączenia, więc się wyłącza i dzwoni jeszcze raz.

• Nie brzmi to prawdopodobnie. Można jakoś sprawdzić, czy ten telefon polowy jest w ruchu?

• Niebezpośrednio.

• A pośrednio?

Herbert dojechał właśnie do biura Paula Hooda. Drzwi były otwarte, więc zapukał we framugę. Hood wpatrywał się w monitor komputera. Nie odrywając wzroku od ekranu, zaprosił Herberta gestem do środka.

• Jeśli te impulsy to naprowadzanie, policja kaszmirska prawie na pewno je śledzi za pomocą naziemnej sieci triangulacyjnej - odpowiedział Herbertowi Stoli. - Wprowadzają wszystko do swoich komputerów. Trochę to potrwa, ale mogę spróbować włamać się do ich systemu.

• Zrób to - polecił Herbert.

• Dobra - zgodził się Stoli. - Ale moglibyśmy po prostu do nich zadzwonić i zapytać, co jest grane. To nasi sojusznicy. Powinniśmy prowadzić tę operację razem z nimi.

• Fakt - przyznał Herbert. - Ale jeśli jest jakiś sposób, wołałbym, żebyśmy zrobili to sami.

Policja zapyta, dlaczego się tym interesujemy. Tylko Czarne Koty i wybrani urzędnicy państwowi wiedzą o przylocie Strikera. Lepiej, żeby tak zostało.

64

- Rozumiem - odrzekł Stoll - Spróbujemy się do nich włamać.
- Dzięki. - Herbert wyłączył się i wjechał do biura Hooda. Zablokował koła wózka i zamknął za sobą drzwi.
- Ruch w interesie? - zapytał Hood.
- Było spokojnie, dopóki jakiś psychol nie odpalił fajerwerków w Śrinagarze - odparł

Herbert.

Hood skinął głową.

- Jeszcze nie skończyłem czytać tych dokumentów. Ale Ron Friday stara się, żebyśmy mieli wszystko o Czarnych Kotach, a ty - żeby mieć wszystko o Ronie Fridayu.

Paul Hood niedługo pracował w wywiadzie, miał więc kilka słabych punktów. Ale przez lata zajmował się polityką i finansami i nauczył się wyczuwać, co gnębi jego współpracowników. To wyczucie było jedną z jego najmocniejszych stron.

- Owszem - przyznał Herbert. Hood nadal czytał.
- O co chodzi z tymi telefonami na linii policyjnej?

- Ostatnie połączenie z telefonu domowego na polowy miało miejsce tuż przed eksplozją -

wyjaśnił Herbert - ale Matt właśnie mi powiedział, że natychmiast potem zaczęły przychodzić impulsy z telefonu polowego na domowy. W ELINT przyjmujemy, że coś może mieć związek z zamachem terrorystycznym, jeśli wystąpią trzy czynniki: koordynacja, niewielka odległość i prawdopodobne źródło. Tu mamy to wszystko.

- Prawdopodobne źródło to bojówka, która najwyraźniej działała w Śrinagarze - domyślił się Hood.

- Zgadza się - potwierdził Herbert. - Właśnie poprosiłem Matta, żeby spróbował zdobyć więcej danych o tych impulsach.

Hood skinął głową i czytał dalej.

- Grzebanie w przeszłości Fridaya jest trochę ryzykowne.
- Dlaczego?
- Bo facet bierze udział w sprawie na żądanie indyjskiego rządu.
- Striker też - zauważył Herbert.
- Tak, ale Hindusi współpracowali już z Fridayem - odrzekł Hood - i dadzą Strikerowi więcej swobody, właśnie dlatego że mają do niego zaufanie.
- Gdzieś tu widzę ironię - powiedział Herbert.
- Rozumiem, o co ci chodzi - odrzekł Hood. - Friday pracował dla Fenwicka, który zdradził swój kraj. Ale trzeba być ostrożnym z ferowaniem wyroków na podstawie powiązań.

65

- A na podstawie działalności przestępczej? - odparował Herbert. - Cokolwiek Friday robił w Baku, zostało to usunięte z jego akt,
- To sugeruje, że pracował dla NSA - rzekł Hood. - Za chwilę powinienem mieć połączenie z wiceambasador Williamson w Baku. Friday był jej doradcą. Został wynajęty z NSA do zbierania danych wywiadowczych o sytuacji z ropą. Nie ma powodu przypuszczać, że CIA zaangażowała go do polowania na Harpunnika. A Jack Fenwick igrał z ogniem. Mógł nie powiedzieć Fridayowi, co naprawdę robi NSA w rejonie Morza Kaspijskiego.
- Może Fenwick sam go tam wysłał - zasugerował Herbert. - Jako spec od ropy Friday doskonale się nadawał na jego wtyczkę.
- Musiałbyś to udowodnić.

Herbertowi nie spodobała się odpowiedź generała. Hood miał irytujący zwyczaj przyjmowania roli adwokata diabła. Ale z drugiej strony, postępował odpowiedzialnie.

Dlatego to on, a nie Herbert, był szefem Centrum. Nie mogli powiedzieć CIOĆ, że odwołują misję albo że niepokoi ich rola Fridaya w tej operacji, bo Herbert ma złe przeczucia.

Zadzwęczał telefon. Dzwoniła Dorothy Williamson. Hood przełączył ją na głośnik.

Przedstawił siebie i Herberta, wyjaśnił, że są zaangażowani we wspólną operację z Ronem Fridayem, i zapytał, czy zechciałaby się z nimi podzielić swoimi spostrzeżeniami na temat agenta.

- To bardzo dobry prawnik i skuteczny negocjator - powiedziała Williamson. - Rozstałam się z nim z żalem.

- Często przebywał w towarzystwie pracowników Agencji, których zamordował

Harpunnik? - spytał Hood.

- Tak, spędzał z Moore'em i Thomasem bardzo dużo czasu - odrzekła wiceambasador.

- Rozumiem - powiedział Hood.

Herbert triumfował. Informacje o kontaktach z agentami CIA powinny być w raportach Fridaya dla NSA. Teraz był pewien, że kartoteka została wyczyszczona.

- Dla porządku chciałabym sprostować jedną rzecz - powiedziała Wil liamson. - Agentów CIA nie zamordował jeden zabójca, lecz dwóch.

Jej słowa zaskoczyły Herberta.

- W szpitalu byli dwaj zabójcy - ciągnęła wiceambasador. - Jeden z nich zginął. Drugi uciekł. Policja w Baku wciąż go szuka.

- Nie wiedziałem o tym - odrzekł Hood. - Dziękuję pani.

Herbert zastanowił się. Dwaj pracownicy operacyjni CIA zginęli, kiedy załatwiali pomoc medyczną dla wizytującego agenta, którego otrul Harpun-66

nik. Fenwick planował rozpętanie wojny w rejonie Morza Kaspijskiego. Powodzenie jego planu zależało od tego, czy uda się zabić w szpitalu wszystkich trzech mężczyzn. Na pewno poprosił Fridaya o informacje o ruchach agentów CIA. Po śmierci obu mężczyzn Friday musiał podejrzewać, że coś jest nie tak. Powinien więc zapewnić sobie dobre alibi. Chyba że świadomie należał do grupy Fenwicka.

- Tu Bob Herbert, pani ambasador - odezwał się. - Czy może mi pani powiedzieć, gdzie był

Friday tamtej nocy, kiedy dokonano zabójstw?

- W swoim mieszkaniu, o ile pamiętam - odrzekła.

- Czy mówił coś, kiedy dowiedział się o zabójstwach? - drażył Herbert.

- Nie.

- Może obawiał się o swoje bezpieczeństwo?

- Nigdy nie wspominał, że ma jakieś obawy. Ale nie mieliśmy czasu na pogawędki. Ciężko pracowaliśmy, żeby zapobiec wojnie.

Hood zerknął na Herberta i zaczął wychwalać działania Williamson podczas kryzysu.

Cały Paul Hood. Zawsze miał dość przytomności umysłu, żeby grać dyplomatę. Ale Herbert chciał wiedzieć jedno. Skoro Harpunnik zabijał amerykańskich agentów, to czemu pani wiceambasador nie zainteresowała się, dlaczego nie zginął Friday?

Williamson przedstawiała Fridaya w samych superlatywach. Chwaliła zwłaszcza jego umiejętność sprawnego załatwiania spraw, w których musier li pośredniczyć między Azerbejdżanem i sąsiednimi krajami. Na koniec poprosiła Hooda, żeby pozdrowił od niej Fridaya, kiedy go zobaczy.

Hood obiecał, że to zrobi, i wyłączył się.

- Nic byś nie zyskał, przypierając ją do muru - zwrócił się do Herberta.

Skąd wiesz? - zapytał Herbert.

- Podczas rozmowy zajrzałem do jej CV - wyjaśnił Hood. - Dostała stanowisko z klucza politycznego. Pracowała w sztabie Thompsona w czasie jego ostatniej kampanii do Senatu.

Była odpowiedzialna za kontakty z mediami.

- I to całe jej doświadczenie wywiadowcze? - mruknął Herbert z niesmakiem.

- Mniej więcej - potwierdził Hood. - Ale przejdźmy do rzeczy. Domyślam się, że cała ta sprawa nie jest dla ciebie zbyt czysta?

- Jak guziki przy mundurach w dniu inspekcji.

- Sam nie wiem, Bob. - Nie tylko Williamson ma dobre zdanie o Fridayu. Hank Lewis ufa mu na tyle, że wysłał go do Indii.

- To nic nie znaczy - odparł Herbert. - Rozmawiałem dziś z Lewisem. Podejmuje decyzje jak małpa w kapsule kosmicznej.

67

Hood skrzywił Się.

- Lewis to porządny facet...

Możliwe, szefie, ale tak to wygląda - nie ustępował Herbert. - Lewis dostaje impuls elektryczny i naciska guzik. Nie ma czasu zastanawiać się nad Ronem Fridayem czy kimkolwiek innym. Hank Lewis i Dorothy Williamson nie są teraz ważni...

- Słusznie - zgodził się Hood. - Przyjmijmy, że Ron Friday jest kimś, kogo nie chcemy mieć w naszej drużynie. Jak się go pozbyć? Fenwick nie puści pary z ust.

- Dlaczego? Może będzie gadał w zamian za nietykalność...

Hood pokręcił głową.

- Prezydent dostał to, co chciał. Ma rezygnacje Fenwicka i innych konspiratorów. Nie chce publicznego procesu i pytań, czy był na krawędzi załamania nerwowego podczas kryzysu, nawet jeśli w administracji zostało kilku kretów. Fenwick miał fart. Nie powie nic, co mogłoby spowodować, że prezydent zmieni zdanie.

- Świetnie - skwitował to Herbert. - Winnym nic się nie stanie, a prezydenta nie zbadają psychiatrzy, choć to może być konieczne.

- Ale nie dojdzie do krachu na giełdzie, oficerowie nie przestaną ufać naczelnemu dowódcy, a despoci z krajów Trzeciego Świata nie zaczną realizować swoich planów - odparł Hood. -

To wszystko jest ze sobą powiązane, Bob. Dobro i zło już nie mają znaczenia. Liczy się równowaga.

- Moja jest w tej chwili trochę zachwiana - powiedział Herbert. - Nie mam ochoty narażać mojego zespołu na niebezpieczeństwo tylko po to, żeby jakiś indyjski nabab był zadowolony.

- Nie o to chodzi - odparł Hood. - Musimy bronić systemu, w którym żyjemy. Nie wiem, czy Ron Friday zdradził w Baku. A jeśli nawet, to jeszcze nie znaczy, że kombinuje coś na boku w Indiach. Striker będzie tam dopiero za osiemnaście godzin. Jak możemy zdobyć więcej informacji o Fridayu?

- Powiem moim ludziom, żeby przejrzeni jego e-maile, billingi jego komórki i postarali się o kasety wideo z kamer ochrony w ambasadzie. - Zobaczymy, czy wyjdzie coś podejrzanego.

- Zrób tak - zgodził się Hood.

- To może być za mało, żeby dowiedzieć się wszystkiego - zauważył Herbert.

- Nie potrzebujemy wszystkiego - odparł Hood. - Wystarczy nam jaki kolwiek dowód, coś więcej niż ewentualność, że Friday pomagał Fenwickowi. Jeśli będziemy go mieli, pójdziemy do senatora Foxa i CIOĆ i powiemy im, 68

że nie chcemy, by Striker współpracował z kimś, kto zamierzał rozpętać wojnę dla osobistych korzyści.

- Cackamy się z facetem, który może być pieprzonym zdrajcą - burknął Herbert.

- Dopóki nie będziemy tego pewni, musimy zakładać, że jest niewinny - odrzekł Hood. -

Zdobądź dla mnie informacje, a ja dostarczę je pod właściwy adres.

Herbert niechętnie skinął głową.

Kiedy wracał do swojego biura, pomyślał, że dyplomacja tylko opóźnia nieuniknione. Ale to Hood

był szefem, a on musiał wykonywać jego polecenia.

Przynajmniej na razie.

Bardziej bowiem niż lojalność wobec Hooda i Centrum, bardziej niż własna przyszłość, obchodziło go bezpieczeństwo jego przyjaciół. Gdyby kiedykolwiek to się zmieniło, stałby się głęboko nieszczęśliwy. I pozostałoby mu tylko jedno.

Złożyć rezygnację.

ROZDZIAŁ 16

Sjaczen, baza 2E, Kaszmir Środa, 21.02

S

zarab i jej grupa zostawili zamaskowaną ciężarówkę i ruszyli do groty nad urwiskiem.

Wyprzedził ich Iszak, który dojechał na motocyklu tak daleko, jak mógł, a resztę drogi przebył

pieszo. Przy wejściu do groty umieścił małe, osłonięte lampy. Ich światło pomogło Szarab, Samuelowi, Alemu i Hassanowi wprowadzić Nandę na skalną półkę poniżej kryjówki. Dziewczyna nie próbowała uciekać, ale wspinaczka sprawiała jej ogromną trudność. Na wąskiej ścieżce były długie, strome podejścia. Ostatni odcinek, choć zaledwie kilkunastometrowy, wznosił się niemal pionowo. W dodatku gęsta mgła ograniczała widoczność.

Mężczyźni prowadzili Nandę między sobą, a Szarab zamykała pochód. Dłoń wciąż ją bolała od uderzeń w tablicę rozdzielczą. Szarab rzadko traciła panowanie nad sobą, ale czasem po prostu musiała dać upust złości. Inaczej jej gniew mógłby eksplodować w najmniej odpowiednim momencie.

Nanda szukała po omacku zagłębień w skale, które Szarab i inni wykuli w litej ścianie ponad rok temu. Mężczyźni pomagali jej, jak mogli.

To Szarab nalegała, żeby wzięli Kaszmirkę ze sobą. Nie dlatego że chciała mieć zakładniczkę, a tym bardziej nie z litości - w razie potrzeby zabiłaby ją bez wahania. Zabrała Nandę tylko z jednego powodu: musiała jej zadać kilka pytań.

Dwa dodatkowe wybuchy przy placu targowym w Śrinagarze nie mogły być przypadkowe.

Ktoś musiał wiedzieć, co planuje bojówka Szarab. Może jakieś ugrupowanie proindyjskich ekstremistów. Ale raczej ktoś z kręgów rządowych, bo skoordynowanie dwóch oddzielnych eksplozji wymagało starannego zaplanowania. Ktokolwiek to zrobił, chodziło mu o to, żeby odpowiedzialność za atak na hindusów spadła na Milicję Wolnego Kaszmiru.

Szarab nie byłaby zaskoczona, gdyby się okazało, że to władze indyjskie zorganizowały zamach na własnych obywateli, by wzbudzić w społeczeństwie wrogość do MWK. Niektóre rządy budują fabryki broni biologicznej w szkołach, a wojskowe kwatery główne lokują pod szpitalami. Inne masowo aresztują dysydentów albo testują na niczego nieświadomych ludziach toksyny zawarte w powietrzu lub wodzie. Postępują w myśl zasady, że dla bezpieczeństwa ogółu można poświęcić niewielu. Szarab była wściekła, że Hindusom udał się spisek przeciwko jej grupie. Wiedzieli, gdzie i kiedy uderzy MWK. I wiedzieli, że bojówka zawsze przyznaje się do zamachu natychmiast po fakcie. Umożliwili jej dalsze działanie, niszcząc jej wiarygodność.

MWK przestanie być uważana za wroga rządu w New Delhi. Teraz będzie postrzegana jako ugrupowanie antyhinduskie.

Szarab nie mogła na to nic poradzić, ale przynajmniej czuła się bezpieczna: gdyby władze wiedziały o grocie, zastawiłyby tu pułapkę. W jaskini grupa przechowywała broń i ciepłe ubrania. Teraz trzeba zdecydować, czy zostać tu na noc, czy od razu iść dalej. Nocna wędrówka przez góry jest bardzo niebezpieczna, ale danie Hindusom szansy na wytropienie grupy byłoby równie ryzykowne. Szarab nie mogła dopuścić, żeby jej ludzie wpadli w ręce wroga. Ani żywi, ani martwi. Nawet ich zwłoki umożliwiłyby indyjskim radykałom skupienie wokół siebie najbardziej umiarkowanych środowisk.

Szarab chciała przeżyć jeszcze z innego powodu. Na użytek przyszłych bojówek musiała ustalić, jak władze indyjskie dowiedziały się o planach jej grupy. Gdyby ktoś ich zobaczył na dachu posterunku policji, kiedy podkładali ładunki wybuchowe, zostaliby po prostu aresztowani i przesłuchani. Musieli więc być obserwowani od dłuższego czasu. A że nie komunikowali się z nikim telefonicznie ani przez Internet i nikt w Pakistanie nie wiedział

dokładnie, gdzie są, musieli być obserwowani z bliska.

Szarab ufała wszystkim członkom swojej grupy, pozostawali więc tylko Nanda i jej dziadek.

Oboje byli pilnowani dzień i noc i nie mieli możliwości rozmawiać z nikim obcym. A jednak któreś z nich zdradziło.

Iszak wychylił się znad skalnej półki trzy metry wyżej i pomógł im kolejno wejść na górę.

Szarab czekała, aż Iszak i Ali wciągną Nandę. Przyłożyła policzek do chłodnej skały i zamknęła oczy. Przyjemne uczucie.

Kiedy była małą dziewczynką, uwielbiała koraniczną opowieść o siedmiu śpiących w grocie.

Ilekoć przychodzili do tej kryjówki, przypominała sobie zdanie: „Sprawiliśmy tak, że zasnęli w grocie na wiele lat, a potem sprawiliśmy, że się obudzili, by zobaczyć, kto z nich najlepiej obliczy, jak długo tam przebywali”.

Znała to uczucie dezorientacji. Gdy była odcięta od wszystkiego, co kochała, odseparowana od wszystkiego, co znajome, czas przestawał mieć znaczenie. Ale wiedziała, że siedmiu śpiących w grocie przekonało się, iż tylko Allan wiedział, jak długo spali. Że tylko ufając Mu, nigdy nie zginą.

Szarab kochała Allana i kochała swój kraj. Ale nie tak chciała wrócić do Pakistanu. Zawsze sobie wyobrażała, że będzie kroczyła do domu zwycięska, a nie uciekała przed wrogiem.

- Chodź! - Samuel zawołał do niej z góry.

Otworzyła oczy i wspięła się do groty. Chwila spokoju minęła. Szarab znów zaczynała być zła. Wokół niej hulał wiatr ze świstem. Wdzierał się do płytkiej naturalnej groty, okręzał

Szarab i wypadał na zewnątrz. Na hakach w niskim sklepieniu kołysały się dwie lampy. Pod nimi stały skrzynie z bronią, materiałami wybuchowymi, ubraniami i różnym sprzętem oraz kartony z konserwami.

Iszak zawieszał w wejściu brezentową płachtę, pomalowaną z zewnętrznej strony tak, żeby przypominała zbocze góry. Brezent nie tylko maskował kryjówkę, ale również chronił przed zimnem.

Nanda stała w głębi groty twarzą do Szarab. Sklepienie za jej plecami opadało stromo i dziewczyna musiała się lekko garbić. Nogawkę spodni miała zakrwawioną przy kostce -

najwyraźniej kajdanki otarły jej skórę - ale nie skarżyła się. Drżały jej kąciki ust, ciężko oddychała, a ręce skrzyżowała na piersi. Chyba z zimna, nie w geście buntu, pomyślała Szarab. Wszyscy byli spoceni po wspinaczce i mokre ubrania robiły się lodowate.

Szarab podeszła do Kaszmirki.

- Zginęli dziś niewinni ludzie - powiedziała. - Nie będzie zemsty, już dość zabijania, ale muszę coś wiedzieć. Czy ty albo twój dziadek mówiliście komuś o nas?

71

Nanda milczała.

- Nie wysadziliśmy w powietrze świątyni i autobusu, dobrze o tym wiesz

- ciągnęła Szarab. - Mieszkałaś z nami i musiałaś słyszeć nasze rozmowy.

Wiesz, że atakujemy tylko cele rządowe. Ktokolwiek zabił hindusów, jest twoim wrogiem. Musi zostać zdemaskowany i postawiony przed sądem.

Nanda nadal stała z założonymi rękami, ale lekko wyprostowała ramiona, a rysy jej twarzy stwardniały.

Teraz miała buntowniczy wyraz.

Szarab zastanawiała się, dlaczego. W reakcji na sugestię, że Hindusi mogą być wrogami Hindusów? Nie, Nanda nie może być aż taka naiwna. Ani nie zaprzecza, ani nie broni swoich rodaków.

• Samuel! - zawołała Szarab.

• Tak? - odezwał się młody brodacz.

• Przygotuj posiłek - rozkazała. - Dla naszego gościa też.

Samuel otworzył oszroniony karton i zaczął rozdawać czerwone puszki z wojskowymi racjami żywnościowymi: ryż basmati, paski gotowanego koziego mięsa i dwie laseczki cynamonu. W drugim kartonie były pudełka z mlekiem w proszku. Ali przyniósł z głębi groty dzbanek wody i zalewał sproszkowane mleko, żeby lód w pudełku nie zablokował szyjki.

Szarab spojrzała na Kaszmirkę.

- Pójdiesz z nami do Pakistanu - oznajmiła. - Tam powiesz moim kolegom to, czego nie chcesz powiedzieć mnie.

Nanda milczała. Szarab wydało się to dziwne. Na kurzej fermie dziewczyna była dość rozmowna. Narzekała na intruzów, na ograniczenia wolności osobistej, na militarystycznych przywódców pakistańskich i działalność terrorystyczną MWK, Dlaczego teraz nic nie mówi?

Może jest zmęczona wspinaczką? Nie, w ciężarówce też się nie odzywała. Może więc boi się o swoje życie? Ale przecież na górskiej ścieżce nie próbowała ani uciec, ani dosięgnąć łatwo widocznej broni.

Nagle Szarab zrozumiała, dlaczego Nanda nie chce z nimi rozmawiać.

- Pracujesz dla nich - rzuciła, stojąc przed dziewczyną. - Chcesz, żebyśmy cię zabrali do Pakistanu, albo... - urwała i zawołała Hassana.

Trzydziestosześcioletni były robotnik z kamieniołomów miał prawie dwa metry wzrostu i był najpotężniejszym mężczyzną w grupie. Musiał schylać głowę, żeby stać w grocie.

- Przytrzymaj ją - rozkazała Szarab.

Nanda zrobiła gwałtowny unik. Minęła Szarab i podbiegła do skrzyni z bronią. Hassan zaszedł ją z tyłu, złapał za ręce tuż poniżej ramion i ścisnął wiel-

Mmi dłońmi. Dziewczyna jęknęła. Próbowwała się wyrwać, ale mężczyzna ścisnął mocniej.

Zgarbiła się i przestała walczyć.

Hassan postawił dziewczynę przed Szarab. Pakistanka przeszukała kieszenie jej dzinsów, a potem sięgnęła pod obszerny wełniany sweter i zrewidowała ją dokładniej.

Znalazła to, czego szukała, z lewej strony, tuż nad biodrem.

Mały skórzany futerał był przyczepiony do wąskiego elastycznego paska. W środku tkwił

telefon komórkowy. Szarab wyjęła go, podeszła do jednej z lamp i obejrzała dokładnie aparat wielkości dłoni. Wyświetlacz ciekłokrystaliczny był wygaszony, ale telefon cały czas działał.

Wibrował lekko przez sekundę, wyłączał się i znowu chwilę wibrował. Na górnej krawędzi miał ciemne plastikowe wybrzuszenie. Wyglądało jak dioda pilota telewizyjnego.

- Ali, Samuel, bierzcie broń i zaopatrzenie - poleciała Szarab.

Obaj mężczyźni natychmiast odstawili puszki z jedzeniem. Hassan nadal trzymał Nandę.

Iszak stał z boku, czekając na rozkazy.

- To nie jest zwykły telefon komórkowy, prawda? - Szarab spojrzała na Kaszmirkę. - To urządzenie naprowadzające.

Nanda milczała. Szarab skinęła głową na Hassana i ten jeszcze mocniej ścisnął ręce dziewczyny. Wciągnęła gwałtownie powietrze, ale nie odezwała się. Szarab kazała Hassanowi rozluźnić chwyt.

- Nie mogłaś rozmawiać ze swoimi współnikami, bo usłyszelibyśmy cię -

ciągnęła. - Musiałaś wysyłać SMS-y. Teraz twoi ludzie idą tutaj naszym tropem. Kim oni są?

Nanda nie odpowiedziała.

Szarab podeszła do niej i uderzyła ją w twarz.

- Kto za tym stoi?! - wrzasnęła. - SOP? Wojsko? Świat musi się dowiedzieć, że to nie była nasza robota!

Nanda milczała. Szarab cofnęła się.

- Zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś?
- Owszem - odezwała się wreszcie Kaszmirka. - Przeszkodziłam waszym ludziom w popełnieniu ludobójstwa.
- Ludobójstwa?
- W eksterminacji hindusów w Kaszmirze i innych częściach Indii. Od lat słyszemy groźby wykrzykiwane przed meczetami...
- Słuchacie radykałów, fundamentalistów, ekstremistów - odparła Szarab. - My chcemy tylko wolności dla muzułmanów w Kaszmirze.
- Zabijając...

- Prowadzimy wojnę, ale atakujemy tylko wojsko i policję. - Szarab podniosła komórkę i postukała palcem w górną krawędź. - Chcesz pogadać o ludobójstwie? To nadajnik sygnału do zapalnika, zgadza się? Kiedy byliśmy z tobą na rynku, zdetonowałeś ładunki wybuchowe podłożone przez twoich współników.

- To był akt miłości do moich rodaków. Zrobiłam to w ich obronie - odparta Nanda.

- To był akt zdrady - powiedziała Szarab. - Poruszali się swobodnie, bo wiedzieli, że ich nie skrzywdzimy. Zniszczyłaś to zaufanie.

Rodacy Szarab dokonywali takich aktów na Bliskim Wschodzie jako żywe bomby. Rodacy Nandy nie byli gotowi na takie poświęcenie. Nanda i jej współnicy podjęli decyzję za nich.

Ale w tej chwili Szarab nie obchodziły moralność i wina. Nanda nie miała doświadczenia, żeby ułożyć taki plan. Ktokolwiek za tym stał, zbliżał się teraz do nich i bez wątpienia był

dobrze uzbrojony. Szarab wołała nie czekać, aż przeciwnik się zjawi.

Odwróciła się do Iszaka. Najmłodszy członek grupy stał obok kartonów i jadł kozie mięso z ryżem. Wargi miał zbielełe z zimna, a twarz spierzchniętą od wiatru. Ale jego oczy patrzyły czujnie, wyczekująco. Szarab starała się nie myśleć o tym, co zamierzała mu powiedzieć. Ale musiała to zrobić.

Podawała Iszakowi komórkę.

- Musisz tu zostać z tym telefonem.

Iszak spojrział na nią ze zdumieniem.

- Słyszałeś, co się dzieje - ciągnęła. - Odejdziemy stąd, ale jej współnicy muszą myśleć, że nadal tu jesteśmy.

Iszak odstawił puszkę i wziął komórkę. Pozostali mężczyźni zamarli w bezruchu.

- Ciężka - powiedział Iszak cicho. - Masz rację. Są w niej dodatkowe urządzenia. -

Spojrział na Szarab. - Chcesz, żeby Hindusi tu zostali, tak?

- Tak - potwierdziła. Dalsze słowa uwięzły jej w gardle^ Patrzyła mu w oczy.

- Więc stąd nie wyjdą - obiecał. - Ale ty idź.

- Dziękuję ci - odrzekła.

Odwróciła się, żeby pomóc innym. Nie dlatego, że potrzebowali pomocy. Nie chciała, by Iszak zobaczył jej łzy. Chciała, żeby zapamiętał ją jako twardą kobietą. Będzie mu to potrzebne, żeby przez to przejść, pomyślała. Byli razem dzień w dzień od dwóch lat. W

Pakistanie i Kaszmirze. Iszak był bardzo oddany jej i sprawie. Ale nie potrafił się wspinać równie sprawnie jak

pozostali. Z nim nie przeszliby przez góry i linię kontroli, a później z powrotem do Pakistanu.

Mężczyźni włożyli ciepłe kurtki, których używali podczas dłuższych pobytów w grocie.

Każdy zarzucił broń na prawe ramię i zwój liny na lewe. Do kieszeni schowali latarki i zapalki. Ali wziął plecak z jedzeniem. Samuel podał Hassanowi drugi, ze sprzętem. W środku był młotek lodowy, haki, zapasowe latarki oraz mapy.

Wszyscy kolejno uściskali Iszaka. Uśmiechał się do nich przez łzy. Szarab objęła go ostatnia.

- Będę się modliła, żeby Allah zesłał ci na pomoc pięć tysięcy aniołów -szepnęła mu do ucha.
- Lepiej niech ześle je na pomoc wam, żebyście szczęśliwie dotarli do domu - odrzekł

Iszak. - Wtedy wiedziałbym, że to wszystko nie poszło na marne.

Szarab przytuliła go i poklepała po plecach. Potem odwróciła się i zniknęła za brezentową płachtą.

ROZDZIAŁ 17

Śrinaaar, Kaszmir Środa, 22.00

R

ona Fridaya wyrwał z drzemki dzwonek telefonu stojącego na rozchwianym nocnym stoliku.

Agent otworzył oczy i zerknął na zegarek.

W samą porę.

Ciężki czarny aparat z grubym brązowym przewodem pochodził z lat pięćdziesiątych i rzeczywiście dzwonił, nie brzęczał. Friday siedział na łóżku. Po wysłaniu do Hanka Lewisa zakodowanej wiadomości włączył czarno-biały telewizor. Szedł jakiś stary film. Mimo napisów po angielsku Friday miał trudności ze zrozumieniem fabuły, bo co chwilę zapadał w drzemkę.

Nie podniósł słuchawki po pierwszym dzwonku. Ani po drugim. Dopiero po dziesiątym, bo wtedy już wiedział, że telefonuje jego kontakt w Czarnych Kotach. Dziesięć dzwonek o dziesiątej wieczorem.

Rozmówca, kapitan Prem Nazir, powiedział, że będzie czekał na ulicy za piętnaście minut.

Friday włożył buty i kurtkę i zszedł po schodach. W Binoo's Pałace było tylko dwanaście pokoi.

Większość zajmowali pracownicy bazaru, kobiety o wątpliwej reputacji i mężczyźni, którzy rzadko się pokazywali. Policja najwyraźniej patrzyła przez palce nie tylko na salon gier hazardowych.

Hotelowy hol był niewielki. Recepcja mieściła się na lewo od pojedynczej kondygnacji schodów. W dzień za kontuarem urzędował Bino, w nocy jego siostra. Na drewnianej podłodze leżał perski dywan, a po obu jego stronach stały zniszczone sofy. Okna wychodziły na wąską, ciemną ulicę. Salon gier był w pomieszczeniu za recepcją. Za plecami obojętnej na wszystko siostry Bino wisiała niczym kurtyna mgła papierosowego dymu.

Tęga kobieta opierała się o ladę. Kiedy Friday zszedł na dół, nie podniosła wzroku znad magazynu, który właśnie czytała. Friday dlatego lubił to miejsce: nikogo nic nie obchodziło.

W holu było pusto. Na ulicy też. Friday oparł się plecami o mur i czekał.

Nie znał kapitana Nazira. Wiedział tylko, że minister energii atomowej Shankar bardzo mu ufa. Friday nie ufał nikomu. Shankarowi też nie. Ale pięćdziesięcioletni Nazir miał duże doświadczenie wywiadowcze. W latach sześćdziesiątych działał w Pakistanie, potem służył w armii indyjskiej, a teraz w Gwardii Bezpieczeństwa Narodowego. Wyglądało na to, że ich współpraca ułoży się dobrze.

Chyba że istnieje konflikt między GBN i Służbą Ochrony Pogranicza. Friday zamierzał

spytać o to Nazira na samym początku, nim zaczną rozmawiać o misji Strikera -

poszukiwaniach pakistańskich pocisków nuklearnych. Nie miał nic przeciwko wzięciu udziału w operacji Czarnych Kotów, nawet jeśli rząd nie w pełni im ufa - działania bez aprobaty rządu to stały element pracy wywiadowczej. Nie chciał natomiast przyłączać się do Czarnych Kotów, jeśli są w stanie wojny z SOP, i jedni tylko szukają okazji, żeby zaszkodzić drugim.

Nieobecność GBN na miejscu ostatnich zamachów nie oznaczała, że tak jest. Ale Friday wolał się upewnić.

Nazir zjawił się punktualnie. Szedł bez pośpiechu i pozornie bez celu. Palił juari. Sprytnie.

Stacjonował w New Delhi, ale nie palił żadnego ze słabszych gatunków popularnych w stolicy. Miejscowe papierosy pomagały mu wtopić się w otoczenie.

Kapitan był w szarej sportowej bluzie, luźnych spodniach khaki i butach firmy Nike. Miał

około metra siedemdziesięciu, krótkie czarne włosy, bliznę w poprzek czoła i ciemną, gładką cerę. Wyglądał dokładnie tak, jak na zdjęciach, które widział Friday.

Nazir nie przedstawił się. Lepiej nie wymieniać nazwisk, bo na bazarze wciąż pracowała SOP. Jeśli prowadziła monitoring elektroniczny okolicy w nadziei, że złapie zamachowców, mogliby

podслуwać Fridaya i Nazira.

Kapitan podał Fridayowi rękę i powiedział niskim, chropawym głosem:

- Chodźmy.

76

Ruszyli w kierunku, w którym szedł Nazir, oddalając się od głównej ulicy, Shervani Road.

Po obu stronach ślepej uliczki, przy której stał hotel, mieściły się sklepy. Sprzedawane w nich towary, takie jak rowery czy męskie garnitury, zwykle nie pojawiały się na bazarze. Wąska uliczka kończyła się wysokim ceglany murem.

Nazir zaciągnął się papierosem.

- Minister ma o panu bardzo dobre zdanie.
- Miło to słyszeć. - Friday spuścił wzrok i zapytał niemal szeptem: - Co dziś się stało na rynku?
- Nie mam pewności - odparł Nazir.
- A powiedziałby mi pan, gdyby pan ją miał?
- Nie wiem.
- Dlaczego dochodzenie prowadzi SOP, a nie wasi ludzie?

Nazir przystanął, wyjął spod bluzy paczkę papierosów i zapalił następnego od poprzedniego. Spojrzał na Fridaya w blasku czerwonego ognika.

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie - rzekł i ruszył dalej.
- Czy miejsca kultu religijnego są pod specjalnym nadzorem SOP? - spytał Friday.
- Nie.
- Ale oni zjawili się na miejscu zamachu, a wasi ludzie nie.
- Owszem - przyznał Nazir.

Rozmowa zaczynała być irytująca. Friday stanął i chwycił kapitana za ramię.

- Zanim wyruszę na północ i zacznę narażać życie, muszę wiedzieć, czy w waszej organizacji jest przeciek - powiedział.
- Dlaczego miałby być? - zapytał Nazir spokojnie.

- Ponieważ na miejscu zamachu nie pojawił się ani jeden komandos Czarnych Kotów -

odparł Friday. - Mogli was wyłączyć z prowadzenia śledztwa tylko ze względów bezpieczeństwa.

- A może chcieli nas poniżyć - zasugerował Nazir. - Między waszymi służbami wywiadowczymi też są konflikty. Szkodzicie sobie nawzajem, choć macie wspólny cel.

Fakt, pomyślał Friday. Sam niedawno zabił agenta CIA.

- Prawda jest taka - ciągnął Nazir - że SOP trzyma w tajemnicy swoje działania, a my nie mówimy nic o naszych, łącznie z tą operacją. Ale obie grupy mają swoich sojuszników w New Delhi, więc wszystkie dane wywiadowcze, które gromadzimy, trafiają w końcu do jednego systemu i są wykorzystywane.

- Jak w rzeźni - zauważył Friday.

Nazir z uznaniem pokiwał głową.

- Bardzo mi się podoba to porównanie.
- Cieszę się - mruknął Friday. - A teraz niech pan powie coś, co mi się spodoba. Na przykład wyjaśni, dlaczego mamy powierzać życie agencji wywiadowczej, która może nas narazić na niebezpieczeństwo, żeby poprawić swoją pozycję w New Delhi.
- Tak pan uważa?
- Być może. Niech pan mnie przekona, że się mylę.
- Wie pan cokolwiek o hinduizmie? - spytał kapitan.
- Tak - odpowiedział Friday. - Ale nie rozumiem, jaki to ma związek z naszą rozmową.
- Wie pan, że to nie my nadaliśmy naszej religii nazwę „hinduizm”? To słowo wymyślono na Zachodzie.
- Nie wiedziałem - przyznał Friday.
- Mamy mnóstwo sekt i odłamów, a każdy inaczej interpretuje Wędę, nasze święte pisma - wyjaśnił Nazir. - Naszym największym problemem jest to, że przenosimy te podziały do sfery rządzenia. Każdy broni swojego wydziału, ministerstwa czy konsulatu jak swojej wiary i nie zwraca uwagi, jaki ma to wpływ na całość. Ja też ponoszę za to winę. Mój „bóg”, że tak to określe, to ten, kto pomaga mi działać. Niekoniecznie ten, kto może zrobić najwięcej dla Indii. -

Kapitan zaciągnął się papierosem. - Tragedia polega na tym, że całości grozi teraz zniszczenie, a my wciąż nie jesteśmy zjednoczeni. Potrzebujemy więcej danych wywiadowczych o zagrożeniu nuklearnym ze strony Pakistanu. Nie możemy ich zdobywać sami, aby nie doprowadzić do tego, czego staramy się uniknąć; do wojny jądrowej. Tylko pan i wasza grupa możecie nam pomóc. - Spojrzał na Fridaya przez smuzkę dymu. - Jeśli nadal jest pan gotów podjąć się tej misji, poprowadzę pana. Zapuszcze się w teren tak daleko, jak będę mógł. Z

mapami, dostępem do wszystkiego i rozpoznaniem zwiadowczym. Minister i ja dopilnujemy, żeby nikt się do was nie wtrącał. On nie zna ludzi, którzy przylatują z Waszyngtonu, ale pana darzy wielkim szacunkiem. Uważa pana za członka swojej „sekty”. To coś więcej niż zwykłe uznanie. To znaczy, że w przyszłości, przy realizacji własnych przedsięwzięć, będzie pan mógł

na niego liczyć, bo członkowie jego grupy są dla niego najważniejsi. Ale musimy zdobyć potrzebne dane wywiadowcze, żeby grupa mogła dalej działać. Tak czy inaczej, amerykański oddział wchodzi do gry. Jestem tu, żeby się upewnić, czy nadal chce pan z nimi wyruszyć.

Friday nie wierzył nikomu, kto twierdził, że przedkłada dobro zespołu nad własne. Minister prowadził tajną operację z Czarnymi Kotami, żeby zacieśnić więzy z wywiadem i zbudować podstawę swojej potęgi. Jeśli teraz bę-

dzie mógł szpiegować Pakistańczyków, to w przyszłości może SOP lub na wet premiera.

- . . .

Fridayowi nie przeszkadzało, że polityk ma własne ambicje. Zrozumiał sens słów kapitana Nazira. Minister Shankar chce, by Friday towarzyszył Strikerowi, bo wtedy zyska pewność, że Amerykanie będą pracować dla Indii, nie tylko dla Waszyngtonu. Jeśli więc podejmie się tej misji, będzie miał wysoko postawionego sojusznika w rządzie indyjskim.

Doszli do muru na końcu uliczki, zawrócili i ruszyli z powrotem w kierunku hotelu. Nazir zapalił następnego papierosa. Powiedział już wszystko. Reszta zależała od Fridaya.

- Nie przekonał mnie pan, że w waszej organizacji nie ma przecieku. Skąd mam wiedzieć, że nie wpadniemy w łapy Pakistańczyków?
- To możliwe - odparł Nazir. - Dlatego sami nie możemy tam iść. Co do przecieku, znam wszystkich w Czarnych Kotach. Nigdy nie było wśród nas zdrajcy. Ale nie mogę dać panu gwarancji, której pan żąda. - Kapitan po raz pierwszy się uśmiechnął. - Możliwe, że ktoś w Waszyngtonie dał cynk Pakistańczykom. W naszej branży zawsze istnieje takie niebezpieczeństwo. Pozostaje tylko pytanie, czy nagroda jest warta ryzyka. My uważamy, że tak.

Zabrzmiało to jak początek wykładu guru w aśramie. Ale Friday nie zwracał uwagi na stylistykę.

- W porządku - powiedział. - Wchodzę w, to. Pod jednym warunkiem.
- Jakim?
- Chcę wiedzieć więcej o dzisiejszym zamachu. Coś mi tu nie gra.
- Może pan to sprecyzować?
- Zamachowcy zdetonowali dwa oddzielne ładunki, żeby zniszczyć posterunek policji i świątynię, a nie było takiej potrzeby. Wystarczyłaby jedna silna eksplozja.

Nazir skinął głową.

- Też się nad tym zastanawiałem. Spróbuję się czegoś dowiedzieć i po wiem panu, co ustaliłem, na naszym następnym spotkaniu, to znaczy jutro około południa. Możemy umówić się tutaj. Potem pójdziemy na lunch. Przy niosę materiały dla waszego oddziału.

Doszli do hotelu. Friday spojrzał na kapitana.

- Mam jeszcze jedno pytanie.

- Tak?

- Dlaczego nie poczęstował mnie pan papierosem?

- Bo pan nie pali.

- Wie pan to od ministra?

79

- Nie.

- Czyli sprawdził mnie pan. Pytał pan ludzi, z którymi pracowałem, o moje przyzwyczajenia i słabości.

- Tak - przyznał Nazir.

- Więc nie do końca ufał pan opinii ministra.

Nazir znów się uśmiechnął.

- Powiedziałem, że znam wszystkich w Czarnych Kotach. Minister nie jest jednym z moich komandosów.

- A pan nie jest ostrożny - odparł Friday. - Zdradził pan, jakie metody stosuje, i komu ufa.

Zawodowiec nie powinien tego robić.

- To prawda - zgodził się Nazir. - Ale skąd pan wie, że nie sprawdzałem pana, żeby zobaczyć, czy pan się zorientuje? - Wyciągnął rękę. - Dobranoc.

Uścisnęli sobie dłonie i kapitan odszedł w noc, zostawiając za sobą gęstą chmurę dymu.

ROZDZIAŁ 18

Alconbury, Wielka Brytania Środa, 19.10

K

Wtedy wielki C-130 dotknął ziemi w bazie Królewskich Sił Powietrznych w Alconbury, Mike Rodgers czytał e-mail od Boba Herberta. Choć wydawało się, że samolot wystartował z wysiłkiem, lądowanie było ledwo wyczuwalne. Może dlatego, że transportowiec tak się trząsł podczas lotu nad Atlantykiem, Rodgers nawet się nie zorientował, że wreszcie są na miejscu.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że silniki już nie pracują. Maszyna przestała wibrować, on nie.

Po sześciu godzinach lotu czuł się, jakby przez jego ciało przepływał prąd elektryczny. Wiedział z doświadczenia, że potrwa to jakieś czterdzieści minut. A potem Striker znów będzie w powietrzu i wszystko zacznie się na nowo.

Mieli być na ziemi zaledwie godzinę. Tyle, żeby dwa czekające wózki widłowe zdążyły wylądować kilka skrzyń z częściami zamiennymi.

Oficerowie RAF-u mówili, że Alconbury to „prawdziwie amerykańskie lotnisko”. Od zakończenia II wojny światowej baza była centrum operacyjnym Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych w Europie. Tutejsze lotnisko miało najnowsze środki łączności, warsztaty i składy amunicji. Amerykanie nazwali je Al. Brytyjczycy nie rozumieli amerykańskiej pasji nadawania przydomków wszystkiemu - od prezydenta do statków kosmicznych i broni. Mikę 80

Rodgers rozumiał. Dzięki przydomkom groźne przedmioty i instytucje wydawały się mniej onieśmielające. Przydomki sugerowały bliską znajomość, niemal pokrewieństwo z rzeczami lub miejscami, dawały poczucie, że człowiek, obiekt i organizacja są sobie równi.

Bardzo amerykańskie.

Członkowie Strikera zeszli na płytę lotniska. Dwaj zapalili papierosy, inni przeciągali się, podskakiwali lub kładli na ziemi i patrzyli na granatowoczarne niebo. Brett August skorzystał z telefonu polowego przy magazynie. Pewnie dzwonił do jednej ze swoich dziewczyn. Może w drodze powrotnej odłączy od oddziału i odwiedzi ją.

Mikę Rodgers poszedł w kierunku dziobu samolotu. Wiatr hulający na otwartej przestrzeni przynosił znajome zapachy - oleju napędowego, smarów i gumy z rozgrzanych od tarcia opon samolotów. Te trzy były obecne w każdej bazie lotniczej, którą odwiedzał. Sprawiały, że Rodgers, czuł się jak w domu.

Patrzył na płytę lotniska i myślał o danych, które Friday przysłał do NSA. Myślał też o samym Ronie Fridayu. I o wielu innych Ronach Fridayach, z którymi pracował w przeszłości.

Zawsze miał problemy podczas misji z udziałem innych rządów i innych amerykańskich agencji. Informacje dostarczane terenowym pracownikom operacyjnym często okazywały się nierzetelne. Niekiedy przez przypadek, z powodu czyjejś nieudolności, a niekiedy celowo.

Jedynym sposobem zweryfikowania ich był udział w misji. A fałszywe wnioski wyciągnięte na podstawie niepełnych danych mogły doprowadzić do czyjejś śmierci.

Podczas wspólnych misji pojawiał się też problem kompetencji. Pracownicy operacyjni przypominali dzieci, które uwielbiają bawić się na dworze i nie cierpią słuchać rodziców innych dzieci. Ron Friday mógł być uczciwy i odpowiedzialny, ale podlegał szefowi NSA i zapewne pracował dla swojego opiekuna w rządzie indyjskim. Spełnienie ich oczekiwań było więc dla niego ważniejsze niż udzielenie pomocy dowódcy operacji. Gdyby jego mocodawcy i szef operacji mieli

takie same cele, nie byłoby konfliktów, to jednak zdarzało się rzadko. A czasami bywało dużo gorzej. Niektórych agentów przydzielano do misji tylko po to, żeby doprowadzili do jej fiaska i skompromitowali grupę, która zabiegała o uznanie prezydenta albo o zwiększenie funduszy.

Rodgers nie znosił poczucia, że nie może liczyć na własny personel. Zwłaszcza w sytuacjach, gdy członkom Strikera groziło niebezpieczeństwo.

Nie znał Rona Fridaya ani oficera łącznikowego Czarnych Kotów, kapitana Nazira.

Zamierzał więc zrobić to, co zawsze: ocenić ich, kiedy się z nimi spotka. Zwykle od razu wyczuwał, czy może komuś zaufać.

81

Ale to, co w tej chwili niepokoiło go najbardziej, nie miało nic wspólnego z Fridayein.

Ghodziło o eksplozję w Śrinagarze. A dokładniej, o ostatnie połączenie z telefonu domowego na połowy.

Agenci rutynowo używali komórek do zbierania informacji wywiadowczych i szpiegostwa.

Komórki miała większość urzędników państwowych, personelu wojskowego i biznesmenów.

W małych telefonach były obwody i mikrochipy wykorzystywane do sabotażu. Doskonale nadawały się też do zabijania. Wystarczyło ukryć w środku trochę C-4, by wybuch rozerwał

rozmówcy głowę.

Rodgers dobrze pamiętał, co wydarzyło się w 1999 roku w Timorze Wschodnim, byłej kolonii portugalskiej. Przeczytał o tym w australijskim raporcie wojskowym, kiedy obserwował manewry marynarki wojennej na morzu Timor. Indonezyjskie wojska okupacyjne rozdały ubogim Timorczykom telefony komórkowe, co wyglądało na gest dobrej woli.

Cywilom pozwolono korzystać z indonezyjskiej wojskowej sieci telefonii komórkowej.

Telefony były jednocześnie nadajnikami i odbiornikami radiowymi. Cywilów, którzy mieli kontakty z ugrupowaniami lojalnymi wobec uwięzionego przywódcy Xanany Gusmao, wykorzystywano bez ich wiedzy jako szpiegów do podsłuchiwania nacjonalistów. Rodgers zapytał kolegę z australijskiego Departamentu Strategii Obronnej i Wywiadu, czy Indonezyjczycy sami opracowali ten system. W odpowiedzi usłyszał, że nie. Technologia przyszła z Moskwy. Rosjanie dostarczali wielu technologii również Indiom.

Funkcję radiową uruchamiały sygnały nadawane z indonezyjskiej placówki wojskowej w Baukau. Wysyłano je, gdy rozmowy telefoniczne wskazywały, że dana osoba będzie na pozycji strategicznej.

Rodgers zastanawiał się, czy połączenie z telefonu domowego na połowy było sygnałem do zdetonowania ładunków w świątyni i autobusie. Niepokojąca zbieżność w czasie nie wyglądała na

przypadkową. A impulsy wysyłane w tak regularnych odstępach sugerowały, że terroryści są tropieni.

Im dłużej o tym myślał, tym wyraźniej uświadamiał sobie, że sytuacja może się zrobić bardzo kiepska. Elita mózgowców Pentagonu, pracująca pod niewinnym szyldem Wydziału Prognoz i Analiz, nazywała taki proces myślowy „przewidywaniem w wirtualnej rzeczywistości”. Rodgers zawsze był w tym dobry, jeszcze gdy Pentagon nazywał to

„myśleniem w kategoriach domina”.

Musiał porozmawiać z Herbertem.

Przywołał Ishiego Hondę. Kapral przyniósł aparat TAC-SAT. Rodgers podziękował mu, przykucnął obok urządzenia i zadzwonił do Boba Herberta. Włożył słuchawki, żeby nie przeszkadzał mu huk lądujących i startujących odrzutowców.

82

Herbert odebrał natychmiast.

Tu Mikę Rodgers - powiedział generał.

Cieszę się, że się odezwałeś: Jesteście w AI?

Właśnie wylądowaliśmy. Posłuchaj, Bob. Myślałem o ostatnich danych, które mi przysłałeś. Mam wrażenie, że do zamachowców w Śrinagarze ktoś się podłączył. Możliwe, że ktoś z wewnątrz.

- Też tak uważam - rzekł Herbert. - Zwłaszcza że namierzyliśmy te połączenia z pola do domu przed zdarzeniem. Ktoś dzwonił z kurzej ферmy w Kargilu. Zawiadomiliśmy SOP.

Wysłali tam miejscowego funkcjonariusza, żeby to sprawdził. Hodowca drobiu nie chciał nic powiedzieć, ale zniknęła jego wnuczka. Ron i jego łącznik wybierają się tam rano. Spróbują coś z niego wyciągnąć.

- Coś mi tu śmierdzi - mruknął Rodgers.

- Mnie też - przyznał Herbert. - Jest jeszcze coś. Córka i zięć hodowcy drobiu należeli do ruchu oporu. Zginęli w walce z Pakistańczykami.

- Więc ten człowiek miał powód, żeby wziąć udział w spisku przeciwko Milicji Wolnego Kaszmiru.

- Właśnie. Teraz próbujemy ustalić, czy rzeczywiście był jakiś spisek i czy mogła w nim uczestniczyć komenda rejonowa policji, skąd pochodziła ta komórka. Matt Stoli zdobył ich akta, a mój zespół bada przeszłość każdego z nich. Chcemy sprawdzić, czy ktoś z nich miał

kontakty z jednostkami antyterrorystycznymi.

- Zdajesz sobie sprawę, że jeśli znajdziecie powiązania między policją a pakistańską bojówką, możemy mieć do czynienia z bezprecedensowym incydem międzynarodowym?
- Nie rozumiem - powiedział Herbert. - Tylko dlatego że mogli wiedzieć o zamachu i postanowili nie wkraczać...
- Nie tylko - odparł Rodgers. - Były trzy oddzielne zamachy. Tylko jeden pasował do sposobu działania Milicji Wolnego Kaszmiru. Podłożenie bomby na posterunku policji.
- Zaraz, zaraz. Sugerujesz, że sama policja zaplanowała tę akcję? Że to Hindusi wysadzili w powietrze własną świątynię?
- Tak. I skoordynowali to z zamachem MWK.
- W taką operację musiałby być zaangażowany ktoś jeszcze, nie tylko policja - zauważył Herbert. - Zwłaszcza jeśli tropią i zamierzają złapać bojówkę, a na to wygląda.
- Wiem. Ale może ktoś im pomaga? Jakaś grupa, która jest trochę bardziej zaangażowana w sprawę niż zwykle.

83

- SOP - domyślił się Herbert.
- Czemu nie? Może dlatego otoczyli bazar i nie dopuścili Czarnych Kotów.

Herbert zastanowił się.

- To możliwe - przyznał. - Ale może myślimy ze zbyt dużym wyprzedzeniem.
- Lepiej być z przodu niż z tyłu - zauważył Rodgers.
- Racja - odrzekł Herbert. - Posłuchaj. Zobaczmy, co Friday i jego partner ustalą rano.

Zapoznam Paula z sytuacją i dam ci znać, jak będziemy mieli coś nowego.

.— Dobra. Ale skoro już myślimy z wyprzedzeniem, pójdźmy krok dalej.

- W porządku - zgodził się Herbert.
- Striker ma odszukać w Pakistanie pociski nuklearne - powiedział Rodgers. - A jeśli znajdziemy ich bardzo niewiele albo nawet żadnego? Przypuśćmy, że rząd indyjski zaaprobował zamach w Śrinagarze, żeby podburzyć Hindusów i rozpocząć wojnę, której Pakistan nie może wygrać.
- Myślisz, że użyją broni jądrowej?

- Czemu nie?
- Świat się temu sprzeciwi!
- I co zrobi? - zapytał Rodgers. - Wypowie Indiom wojnę? Wystrzeli pociski w New Delhi?

Nałoży sankcje? Jakie? I co będzie, kiedy setki tysięcy Hindusów zaczną głodować i umierać?

To nie Irak czy Korea Północna, Bob. Mówimy o miliardzie ludzi i czwartej potędze militarnej świata. O miliardzie Hindusów, którzy boją się, że będą ofiarami świętej wojny muzułmanów.

- Żaden kraj na świecie nie zaakceptuje uderzenia jądrowego na Pakistan - upierał się Herbert.

- Tu nie chodzi o akceptację - odparł Rodgers. - Chodzi o to, jak my zareagujemy, jeśli to nastąpi. Założę się, że Moskwa i Pekin nie protestowałyby zbyt głośno. Indyjski atak jądrowy na Pakistan dałby Moskwie swobodę ograniczonego uderzenia nuklearnego w dowolnej republice. Koniec z długimi wojnami w Afganistanie czy Czeczenii. A Chiny pewnie wykorzystałyby precedens do ataku na Tajwan.

- Nie zrobiłyby tego. To szaleństwo.

- Nie, to kwestia przetrwania. Izrael ma gotowy plan uderzenia nuklearnego na wypadek ataku zjednoczonych sił arabskich. I dobrze wiesz, że go zrealizuje, jeśli do tego dojdzie. A jeżeli Indie też mają taki plan? Z tych samych uzasadnionych powodów. Prześladowań religijnych.

Herbert milczał.

- Chcą ci tylko uświadomić Bob - ciągnął Rodgers - że to jest tak, jak z reakcją łańcuchową. Jedna sprawa pociąga za sobą drugą i następną.
- Fakt - zgodził się Herbert. - Wprawdzie nadal uważam, że przesadzamy, ale odezwę się do ciebie, jak tylko czegoś się dowiemy. Na razie mam jedną sugestię.
- Jaką?
- Prześpij się w drodze do Indii. Tak czy inaczej, przyda ci się to.

ROZDZIAŁ 19

Kargil, Kaszmir Czwartek, 6.45

R

on Friday był niezadowolony, że zadzwonił nie Hank Lewis, ale kapitan Nazir. Odebrał to, jakby w tej fazie operacji podlegał New Delhi, nie Waszyngtonowi. To sugerowało, że Czarne Koty będą miały go na oku. Może władze indyjskie nie chciały, żeby informował NSA lub kogokolwiek innego o tym, co tu znajduje. Przynajmniej przed rozpoczęciem właściwej operacji.

Mieli jechać na kurzą fermę w Kargilu. Najwyraźniej w Centrum Szybkiego Reagowania znaleziono jakiś związek między tym miejscem i zamachami bombowymi przy bazarze.

Centrum nie wyjaśniło Lewisowi ani oficerowi łącznikowemu z Czarnych Kotów, dlaczego kurza ferma może być ważna. Powiedziano im tylko, że sytuacja na rynku była „nietykowa” i terrorystów trzeba wziąć żywych. Friday odczytał to tak: „Nie jesteśmy pewni, czy zrobili to terroryści, więc musimy z nimi pogadać”.

Polecieli na fermę szybkim i bardzo zwrotnym helikopterem Kamow Ka-25. Pilotował

kapitan Nazir. Błękitny śmigłowiec był jednym z ponad dwóch tuzinów Ka-25, które Indie kupiły od Rosji, kiedy po rozpadzie Związku Radzieckiego wojsko zaczęło obcinać koszty.

Friday nie był zaskoczony, że podróżuje śmigłowcem wojskowym. Czarny helikopter Gwardii Bezpieczeństwa Narodowego rzucałyby się w oczy, ale w tym rejonie panował duży ruch indyjskich maszyn wojskowych. Jak na ironię, w śmigłowcu sił powietrznych najłatwiej unikało się wykrycia przez pakistańskie radary.

Lecieli na północ na wysokości około sześćdziesięciu metrów. Tak niski pułap wywoływał

popłoch wśród owiec i koni i przekleństwa ich właścicieli, ale Nazk wyjaśnił przez interkom, że jest

to konieczne, bo prądy powietrzne bardzo utrudniają pilotowanie, zwłaszcza wczesnym rankiem. Po wschodzie słońca dolne warstwy atmosfery ogrzewają się i mieszają z lodowatym powietrzem

85

spluwającym z gór, tworząc bardzo niebezpieczną strefę na wysokości od stu pięćdziesięciu do sześćuset metrów. Fridaya niepokoiło, że jeden Pakistańczyk z wyrzutnią raketową na ramieniu mógłby bez problemu zestrzelić Ka-25. Miał nadzieję, że informacje uzyskane przez Centrum nie były „zmyłką taktyczną”, jak to określano w środowisku wywiadowczym -

kłamstwem podanym po to, by spowolnić pościg przez zwabienie i wyeliminowanie ścigających.

Na szczęście dotarli do celu bez przygód. Przed wylądowaniem kapitan Na-zir zatoczył krąg nad małym drewnianym kurnikiem i wiejskim domem z kamienia. Gospodarz wyszedł

zobaczyć, co się dzieje. Wydawał się zaskoczony, gdy zobaczył w górze helikopter. Nazir zszedł niżej i zawisł tuż nad dachem.

- Co pan o tym myśli? - zapytał. - Jest sam?

- Prawdopodobnie - odrzekł Friday. Zakładnicy, których przetrzymywano krótko, byli zwykle bardzo zdenerwowani, nawet spanikowani. Chcieli dotrzeć do kogoś, kto ich ochroni.

Nawet jeśli więziono ich z członkami bliskiej rodziny, instynkt samozachowawczy podpowiadał im, żeby przede wszystkim ratowali siebie. Zakładnicy przetrzymywani długo zachowywali się zupełnie inaczej. Przywiązywali się do porwaczy, byli bardzo powściągliwi i często wrogo nastawieni. Mężczyzna na dole nie należał do żadnej z tych grup.

Nazir jeszcze chwilę wisiał w powietrzu, po czym wylądował na pobliskim polu. Po hałaśliwym czterdziestominutowym locie przyjemnie było słyszeć tylko szum wiatru. Ruszyli w kierunku kurzej ферmy. Nazir miał trzy-dziesiątkę w kaburze na biodrze. Friday w prawej kieszeni kurtki trzymał mały pistolet, a w lewej nóż sprężynowy. Dwudziestkadwójka nie miała dużej siły ognia, ale mógł ją ukryć w dłoni i użyć do oślepienia przeciwnika.

Friday ocenił wiek Apu Kumara na jakieś sześćdziesiąt pięć lat. Mężczyzna był niski i miał

pochyłe ramiona. Skośne oczy i rysy twarzy sugerowały mongolskie pochodzenie. Wzdłuż Himalajów mieszkało wielu ludzi tej rasy.

Mężczyźni zatrzymali się przed gospodarzem. Obrzucił ich podejrzliwym spojrzeniem ciemnych oczu.

- Dzień dobry - pozdrowił go Nazir. Gospodarz skinął

głową.

- Pan Apu Kumar?

Gospodarz znów skinął głową i przeniósł wzrok z Nazira na Fridaya.

- Mieszka pan sam? - ciągnął kapitan.
- Z wnuczką - odrzekł Kumar.
- Tylko?

86

Kumar przytaknął.

- Czy pańska wnuczka jest w domu?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową. Jego twarz lekko stężała. Widać było, że jest spięty, niespokojny. Coś ukrywał. Może dotyczyło to wnuczki.

- A gdzie jest? - naciskał Nazir.
- Wyszła - odparł Apu. - Załatwia sprawy.
- Rozumiem. Możemy się rozejrzeć?
- A mogę wiedzieć, czego szukacie?
- Sam nie wiem - wyznał Nazir.
- Róbcie swoje - powiedział Apu. - Tylko uważajcie na moje kury. Już je przestraszyliście tą waszą maszyną. - Wskazał lekceważącym gestem helikopter.

Nazir skinął głową i odwrócił się. Friday się zawahał.

- Coś nie tak? - zapytał go Nazir. Friday patrzył na Kumara.
- Pańska wnuczka jest jedną z nich, prawda?

Apu nawet nie drgnął. Nie spytał, o kim mowa. Nie odezwał się ani słowem. To wiele powiedziało Fridayowi.

Ruszył w kierunku gospodarza. Apu zaczął się cofać. Friday uniósł ręce kciukami na zewnątrz, tak żeby Kumar nie mógł zobaczyć pistoletu w jego prawej dłoni. Obserwował

starszego mężczyznę, drzwi i okno domu za jego plecami. Nie był pewien, czy w środku nikogo nie ma i czy Apu nie chwyci siekiery albo innej broni tuż za progiem.

- Bez obaw, panie Kumar - powiedział wolno i spokojnie. - Nic panu nie zrobię.

Apu zwolnił i przystanął.

- Tak lepiej - stwierdził Friday. Opuścił ręce i włożył do kieszeni. Pistolet był wycelowany w Apu. - Chcę panu zadać ważne pytanie. Mogę?

Apu skinął głową.

- Muszę wiedzieć, czy nie chce pan z nami rozmawiać, bo pan i pańska wnuczka wspieracie terrorystów, czy dlatego że trzymają ją jako zakładniczkę?

Apu zawahał się.

• Panie Kumar - wtrącił się Nazir. - Wczoraj w Śrinagarze wybuchła bomba i zginęli ludzie. Policjanci, pielgrzymi jadący do Pahalgam i wierni w świątyni. Czy pańska wnuczka przyłożyła do tego rękę?

• Nie! - na wpół krzyknął, na wpół załkał Apu. - Nie wspieramy ich. Zabrali ją siłą!

Odjechali wczoraj. Kazali mi milczeć, bo inaczej ją zabiją. Co z nią jest? Co z moją wnuczką?

87

• Nie wiemy - odrzekł Nazir. - Ale chcemy ją odnaleźć i pomóc jej. Czy wrócili tu po zamachu?

• Nie - zaprzeczył Apu. - Zostawili tu jednego człowieka. Zadzwoił i przyznał się do zamachu. Słyszałem to. Ale potem nagle wyjechał. Około piątej po południu.

• Nagle? - zainteresował się Nazir.

• Był bardzo zdenerwowany po rozmowie telefonicznej - wyjaśnił Apu.

• Jakby coś poszło nie tak? - spytał Friday. To by potwierdzało podejrzenia Centrum Szybkiego Reagowania.

• Nie wiem - odrzekł Apu. - Zwykle był bardzo spokojny. Czasem nawet żartował. Ale nie wtedy. Może coś się stało.

• Gdybyśmy zabrali pana do Śrinagaru, potrafiłby pan opisać nam tych ludzi? - spytał

Nazir.

Apu przytaknął.

Friday dotknął ramienia Nazira.

• Nie mamy na to czasu - powiedział. Cokolwiek się działo, działo się bardzo szybko. -

Panie Kumar, czy pańscy goście byli Pakistańczykami?

- Tak.
- Ilu ich było i jak długo tu mieszkali?
- Pięcioro. Byli tu pięć miesięcy.
- Słyszał pan jakieś imiona? - spytał Nazir.
- Tak - odrzekł Apu. - Szarab. Ale żadnych nazwisk.
- Czy zostawiali pana samego? - zapytał Friday.
- Tylko w sypialni. Ktoś z nich zawsze pilnował drzwi.
- Dobrze pana traktowali?

Apu skinął głową. Przypominał zawodowego boksera, który z trudem wytrzymuje serię ciosów. Ale tak trzeba było prowadzić przesłuchania. Kiedy przesłuchiwany pękał, przesłuchujący musiał to wykorzystać. Friday spojrział na kurnik.

- Kto się zajmował pańskimi kurami?
- Rano ja, po południu Nanda. To znaczy moja wnuczka.
- Pakistańczycy chodzili z wami do kurnika? - wtrącił się Nazir.
- Tak.
- Jak dostarczaliście jajka na targ? - spytał Friday.
- Pakistańczycy je zawozili - odparł Apu.

To wyjaśniało, jak terroryści niepostrzeżenie obserwowali swój cel w Śrinagarze. Ale nie wyjaśniało sprawy sygnału wysyłanego stąd z telefonu polowego.

88

- Czy pan lub pańska wnuczka macie telefon komórkowy? - zapytał Friday. Apu przecząco pokręcił głową.
- Co pańska wnuczka robiła w wolnym czasie? - naciskał Friday.
- Czytała i pisała wiersze.

- Wcześniej też pisała wiersze? - zainteresował się Friday. Apu odpowiedział, że nie. Friday poczuł, że jest na tropie.
- Ma pan któryś z jej wierszy? - spytał.
- W pokoju - odparł Apu. - Recytowała je przy pracy.

Friday wymienił spojrzenia z Nazirem. Poprosili o pokazanie wierszy. Weszli do środka.

Friday był czujny, ale wewnątrz nikt się nie ukrywał. Nie miałby gdzie. Stało tu tylko kilka krzeseł i stół. Pachniało popiołem i piżmem. Zapach popiołu pochodził z kuchennego pieca, w którym palono drewnem. Woń piżma, jak podejrzewał Friday, zostawili po sobie goście.

Apu wprowadził ich do sypialni. Wyjął plik kartek z szuflady w nocnym stoliku i podał je Nazirowi. Wiersze napisane ołówkiem były krótkie. Mówiły o wszystkim, od kwiatów po chmury i deszcz. Nazir przeczytał najwcześniejszy.

Pięć dni padało i wyrosły kwiatki, Wciąż są na nich świeże i pachnące płatki. Kilka z nich na wózku mam, By je sprzedać wszystkim wam.

- Niezbyt głębokie - zauważył.

Friday nie odezwał się. Nie był tego taki pewien. Kapitan przejrzał następne wiersze.

Kompozycja powtarzała się. Wszędzie ten sam rytm w stylu „Mała Marysia owieczkę miała”.

- Wróćmy do pierwszego - powiedział Friday.

Nazir przełożył kartki.

- Panie Kumar, mówił pan, że Nanda recytowała te wiersze przy pracy? -upewnił się Friday.
- Tak.
- Jest aktywistką polityczną?
- Jest szczerą patriotką, która kochała swoich rodziców - odrzekł Apu. -Moja córka i zięć zginęli, stawiając opór Pakistańczykom.
- Jesteśmy w domu - stwierdził Friday.
- Nie rozumiem - odparł Nazir.

Friday poprosił Apu, żeby został w sypialni. Wyprowadził Nazira na dwór.

- Było pięcioro Pakistańczyków, kapitanie - wyjaśnił. - W pierwszej li nijce pierwszego wiersza Nanda wymienia liczbę pięć. Wspomina też, że 89

wciąż są. Mówi coś o wózku w drodze na targ. Pakistańczycy sprzedawali jej jajka. Załóżmy, że ktoś dostarczył jej telefon komórkowy. Przypuśćmy, że aparat był włączony i monitorowany dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Powiedział

pan, że jej wiersze nie są zbyt głębokie. Nie zgadzam się z tym.

- Mogła akcentować słowa zawierające ważne informacje. - Nazir wreszcie zrozumiał.
- Czy SOP nie utrzymuje grupy ochotników spośród miejscowej ludności? - spytał Friday.

- Cywilnej Sieci Operacyjnej?

• Owszem.

• Jak działa ten system?

• Współpracownicy są werbowani w strategicznych rejonach lub branżach i regularnie odwiedzani w domach albo miejscach pracy - wytłumaczył kapitan. - Meldują o nietypowych zjawiskach lub dostarczają innych informacji, które mogą zebrać.

• A jeśli współpracownik nie stawia się na spotkanie? - spytał Friday. - Co by było, gdyby Nanda nie pojawiła się na targu?

Nazir skinął głową.

• Rozumiem, o co panu chodzi. SOP szukałaby jej.

• Właśnie - przytaknął Friday. - Załóżmy, że Nanda została zwerbowana przez SOP. Może wtedy, gdy Kargil okupowali Pakistańczycy, a może później. Gdyby ktoś zjawił się z jej wózkiem na bazarze, jej łącznik z SOP zorientowałby się, że coś jest nie tak. Mogli jej podrzucić telefon polowy do kurnika, żeby mieć pewność, że go znajdzie.

• Tak, to zaczyna mieć sens - przyznał Nazir. - SOP opiekuje się nią. Ona dostarcza im informacje o bojówce. Decydują, żeby pozwolić terrorystom dokonać zamachu na posterunek policji. Jednocześnie SOP rozszerza zasięg zamachu, żeby na Pakistańczyków spadła wina za zniszczenie świątyni i autobusu z pielgrzymami. Potem SOP zamyka szczelnie miejsce zdarzenia, by usunąć dowody, które mogłyby wskazać, że dwie eksplozje to ich robota.

• Ale to jeszcze nie koniec - powiedział Friday. - Terrorysty uświadamiają sobie, że zostali wrobieni, i prawdopodobnie próbują dotrzeć do Pakistanu. Zabierają ze sobą Nandę na wypadek, gdyby potrzebowali zakładniczki.

• Może raczej świadka - zauważył Nazir. - Terrorysty przyznali się do zamachu, zanim się zorientowali, jaka jest skala zniszczeń. Nanda wie, że to nie oni wysadzili świątynię. Jest im potrzebna, żeby to poświadczyła.

• Słuszna uwaga - zgodził się Friday. - A jeśli Nanda nadal ma swoją komórkę, może sygnalizować

SOP, gdzie znajdują bojówkę.

90

Nazir milczał chwilę.

- Jeśli nawet, to jeszcze nie złapali terrorystów. Słyszałbym o tym. Co oznacza, że musimy dotrzeć do nich pierwsi. Jeżeli SOP rozwali terrorystów, zanim ktoś ich wysłucha, miliard Hindusów zwróci się przeciwko Pakistanowi. Wybuchnie święta wojna z płomieniami z nozdrzy Siwy.

- Śiwa-niszczyciel - powiedział Friday. - Wojna jądrowa.

- Sprowokowana przez SOP i jej radykalnych sojuszników w rządzie i wojsku, zanim Pakistan zdąży się przygotować do obrony - dodał Nazir.

Friday ruszył biegiem do helikoptera.

- Muszę się skontaktować z Centrum Szybkiego Reagowania i sprawdzić, czy wiedzą więcej, niż mówią! - zawołał. - Niech pan łapie Kumara i pakuje go do kabiny. Możemy potrzebować kogoś, kto pomoże nam przekonać Nandę, że jest po złej stronie.

Biegając przez pole, Friday uświadomił sobie coś, co dało mu trochę satysfakcji, dodatkowy bodziec: kapitan Nazir nie jest takim spryciarzem, jakiego zgrywał przed hotelem.

ROZDZIAŁ 20

Waszyngton Środa, 20.17

P

Przez większość okresu swojego istnienia tajemnicze NRO - Narodowe Biuro Zwiadowcze -

było najmniej znaną agencją rządową. Bodźcem do stworzenia NRO było zestrzelenie samolotu szpiegowskiego U-2 pilotowanego przez Gary'ego Powersa nad terytorium Związku Radzieckiego w maju 1960 roku. Prezydent Eisenhower polecił sekretarzowi obrony Thomasowi Gatesowi stanąć na czele zespołu, który zbada możliwość zastosowania satelitów do robienia zdjęć zwiadowczych. Miało to zminimalizować prawdopodobieństwo, że Stany Zjednoczone znów przeżyją takie upokorzenie, jakim była afera Powersa.

Nim dwudziestego piątego sierpnia 1960 roku utworzono NRO, toczył się ząarty spór między Białym Domem, siłami powietrznymi, Departamentem Obrony i CIA, kto powinien nią zarządzać. Wreszcie uzgodniono, że siły powietrzne zapewnią instalacje do wystrzeliwania satelitów szpiegowskich, Departament Obrony opracuje technologię do szpiegostwa z kosmosu, a CIA zajmie się interpretacją danych wywiadowczych. Niestety, od początku istniały konflikty. Gra toczyła się nie tylko o budżet i liczebność personelu, ale 91

również o potrzeby wywiadowcze różnych agencji wojskowych i cywilnych. W ciągu następnych pięciu lat stosunki między Pentagonem i CIA stały się tak napięte, że doszło do wzajemnego sabotowania dostępu do danych z powstającej sieci satelitów. W roku 1965

sekretarz obrony wystąpił z propozycją, żeby czas i środki rozdzielał trzyosobowy komitet wykonawczy nazwany w skrócie EXCOM. W jego skład weszli dyrektor CIA, asystent sekretarza obrony i doradca naukowy prezydenta. EXCOM składał raporty sekretarzowi obrony, który nie mógł jednak zmieniać decyzji komitetu. Nowy układ nieco uspokoił walkę o czas satelitarny, ale nie zapobiegł zażartej rywalizacji między różnymi grupami o dostęp do tak zwanego produktu wywiadowczego. W rezultacie NRO musiano dawać coraz więcej samodzielności w rozdzielaniu środków.

Przez większość okresu istnienia NRO operacje agencji były rozproszone po Stanach Zjednoczonych. Koordynacją zarządzało Biuro Systemów Kosmicznych Sił Powietrznych w Pentagonie/Technologią zajmowało się Centrum Systemów Kosmicznych i Rakietowych Sił

Powietrznych w bazie lotniczej w Los Angeles w Kalifornii. Studia wywiadowcze prowadzono w Biurze Rozwoju i Techniki CIA w Reston w Wirginii. Kontrola orbitalna satelitów NRO

należała początkowo do obowiązków techników w bazie lotniczej Onizuka w Sunnyvale w Kalifornii, potem przekazano to zadanie personelowi bazy lotniczej Falcon w Kolorado.

Sygnalami wywiadowczymi innymi niż zdjęcia zwiadowcze zajmowała się Gwardia Narodowa w Ośrodku Danych Kosmicznych Pomocniczego Programu Obrony w swojej bazie lotniczej Buckley w Aurorze w Kolorado. Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych współpracowała z NRO przede wszystkim w dziedzinie rozwoju technologicznego istniejącego sprzętu i oprogramowania komputerowego. Zadanie to realizowały dwie rywalizujące ze sobą grupy w marynarce: SPAWAR - Dowództwo Kosmicznych i Morskich Systemów Bojowych w Crystal City w Wirginii oraz wydział Zarządu Technologii Kosmicznej tego dowództwa, SPAWAR-40, ulokowany w Ośrodku Badawczym Marynarki Wojennej po drugiej stronie rzeki Potomac w pilnie strzeżonym budynku A59.

Choć NRO okazało się nieocenione w dostarczaniu danych na Ziemię, zarządzanie nią stało się koszmarem krętałów i starców. Rząd nie potwierdzał oficjalnie istnienia agencji, ale zaprzeczenia były tematem żartów korpusu prasowego w Waszyngtonie. Nikt nie potrafił

wyjaśnić, dlaczego tylu ludzi walczy tak zażarcie o kontrolę nad czymś, co nie istnieje.

Sytuacja zmieniła się w roku 1990, gdy zbudowano stałą siedzibę NRO w Fairfax w Wirginii. Ale nawet po późniejszym oficjalnym potwierdzeniu 92

istnienia NRO bardzo mało osób wiedziało dokładnie, czym zajmuje się agencja i w jakim zakresie.

Jedną z tych osób był Stephen Viens, dyrektor fotograficznych operacji rozpoznawczych.

Skupienie działań NRO pod jednym dachem nie zakończyło rywalizacji o Czas satelitarny, ale Viens był lojalny wobec swojego przyjaciela z college^ Matta Stolla. I zrobiłby wszystko dla Paula Hooda,

który stanął po jego stronie podczas trudnych przesłuchań CIOĆ

dotyczących tajnych operacji NRO. Dlatego żadna agencja cywilna ani wojskowa nie miała pierwszeństwa przed Centrum Szybkiego Reagowania.

Bob Herbert zadzwonił do Viensa o czwartej po południu. Chodziło mu o pilną obserwację pewnego rejonu w Himalajach. Viens musiałby czekać dwie godziny, aż zwołni się azjatycki satelita marynarki wojennej OmniCom, który był na orbicie geosynchronicznej nad Oceanem Indyjskim. Choć używała go teraz marynarka, Viens powiedział, że ma gardłową sytuację, i satelita jest mu potrzebny natychmiast. OmniCom nasłuchiwał zazwyczaj sygnałów sonarowych rosyjskich i chińskich okrętów podwodnych i obserwował te jednostki, kiedy się wynurzały. Dzięki temu marynarka mogła poznać wyporność okrętu, cechy charakterystyczne kadłuba i nawet zajrzeć do środka przez właz, jeśli był otwarty. Obraz satelitarny był ostry do trzydziestu trzech centymetrów od celu i aktualizowany co osiem sekund. Przy prawidłowym kącie OmniComa zbliżenie umożliwiało czytanie z ruchu warg.

Viens i jego mały zespół pracujący na stanowisku obsługowym OmniComa na czwartym poziomie podziemia centrali NRO stosunkowo łatwo wytropili za pomocą przemieszczonego satelity źródło sygnału telefonu polowego. Zlokalizowali je w górach na wysokości dwóch tysięcy czterystu siedemdziesięciu dwóch metrów. Kiedy przemieścili satelitę, żeby mieć widok tego miejsca, w Kaszmirze świtało. Wschodzące słońce oświetliło góry na wschodzie i padło na samotny szczyt, który przypominał stalagmit. Działo się tam coś godnego uwagi.

Po wschodniej stronie szczytu poruszał się tuzin postaci w białych parkach. Wyglądało na to, że mają broń automatyczną. Jedni wspinali się na górę, inni opuszczali na linach w dół.

Wszyscy zbliżali się do małego otworu blisko podnóża skalistego wzniesienia.

Viens szybko uściślił lokalizację sygnału dźwiękowego. Nie wysyłali go ludzie na urwisku, lecz jakiś cel stacjonarny. Zapewne ktoś w grocie.

Viens natychmiast zadzwonił do Boba Herberta i przekierował sygnał do Centrum Szybkiego Reagowania.

93

ROZDZIAŁ 21

Sjaczen, baza 2E, Kaszmir Czwartek, 7.01

Nie ma nic wspanialszego niż wschód słońca w Himalajach. Na dużej wysokości rzadsze powietrze przepuszcza jaśniejsze światło. Iszak nie wiedział, jak to inaczej opisać. Pewien fotograf w Islamabadzie powiedział mu kiedyś, że powietrze działa jak pryzmat. Im bliżej ziemi, tym jest gęściejsze i stąd więcej czerwieni w świetle słonecznym. Iszak nie był

naukowcem. Nie wiedział, czy to prawda.

Wiedział tylko, że tutaj światło wygląda tak, jak zawsze wyobrażał sobie oko Allaha. Było białe,

ciepłe i intensywne. Zastanawiał się, czy opowieść o górze, która przysłała do Mahometa, powstała na takim szczycie jak ten. Bo kiedy słońce weszło nad wzgórze w dole i cienie stały się krótsze, strome zbocza zdawały się poruszać. A gdy się przesuwały, pokrywający je śnieg lśnił coraz jaśniej. Było niemal tak, jakby po ziemi rozchodziła się światłość. Może właśnie to oznaczały słowa Proroka. Światło Allaha i jego Proroka jest silniejsze niż cokolwiek na tym świecie. I jeśli otworzymy dla niego nasze serca i umysły, staniemy się równie silni i wieczni.

Ta myśl podniosła Iszaka na duchu. Jeśli to jego ostatni świt, przynajmniej umrze szczęśliwy i bliżej Boga. Żałował tylko tego, że może będzie musiał umrzeć tu i teraz. Chciał być ze swoimi towarzyszami, gdy wrócą do ojczyzny. Ale celowo wybrali na zbrojownię groty niewidoczną w linii prostej z żadnego miejsca w pobliżu. Obcemu trudno byłoby ją zauważyć i obserwować ich w kryjówce.

Iszak przygotowywał się całą noc. Potem zjadł śniadanie, patrząc na wschód słońca. Nie chciał spać. Będzie miał na to dość czasu. Później, kiedy usiadł w mrocznej głębi groty, usłyszał odgłosy skrobania na zewnątrz.

Szarab miała rację. Wytropili ich.

Hindusi nie próbowali ukryć swojej obecności. Zapewne mieli raki, dlatego rozlegało się drapanie, jakby harcowały myszy. Kilka skrobnięć z tyłu i z boków jaskini zamieniło się w ciągły dźwięk. Odgłosy przesuwały się i Iszak rozpoznał, że Hindusi są już blisko wejścia.

Pewnie rzucą granaty z gazem łzawiącym, zanim wtargną do środka. Gdyby bojówka tu została, nie byłoby ucieczki.

Iszak uznał, że to dobry moment na włożenie maski gazowej. Była produkcji irańskiej.

Wciągnął ją, zacisnął paski wokół głowy i wetknął ustnik na miejsce. Oddychał trochę za szybko. Był niespokojny. Nie obawiał się tego,

co ma nastąpić. Denerwował się, czy wszystko zrobił prawidłowo. Spojrzał na drewniane skrzynie obłożone plastikiem. Zgromadził je wokół siebie jak żony w haremie, gotowe do ostatniego objęcia. Miał proste zadanie. Przymocował detonatory do poszczególnych ładunków i skierował odbiorniki zapalników w swoją stronę. Nie zdążył sprawdzić wszystkich materiałów wybuchowych. Leżały tu prawie dwa lata. Choć w grocie było sucho i chłodno, laski dynamitu, których użyli w Śrinagarze, pociły się. Dostała się do nich wilgoć.

Ale wszystko powinno być w porządku. Iszak połączył siedem ładunków dynamitu z C-4 i zapalnikami do zdalnej detonacji. Wystarczy eksplozja jednego ładunku. Iszak zdjął rękawice i wziął do ręki nadajnik sygnału. Oparł się plecami o kamienną ścianę i rozprostował nogi.

Było mu zimno. Złożona plandeka, na której siedział, kiepsko izolowała go od podłoża. Nie, żeby to miało znaczenie. Nie będzie tu siedział długo.

Skrobanie ucichło. Iszak obserwował przez zielonkawą maskę brezent w wejściu. Wzdłuż bocznych ścian grotu wisały kurtyny słonecznego światła. Przesuwały się i falowały, gdy wiatr napierał na płachtę. Brezent grzechotał na hakach.

Nagle płachta opadła. W słońcu zamigotały oderwane drobinki lodu, który osiadł na zewnętrznej stronie brezentu. Lśniące kryształki zniknęły, kiedy w grocie wylądowały z brzękiem dwa duże, cylindryczne pojemniki. Potoczyły się w kierunku Iszaka. Syczały i rozpylały gęsty dym, który kłębił się przy ziemi i w powietrzu. Część gazu rozchodziła się na boki, część sunęła w stronę Iszaka.

Pakistańczyk siedział spokojnie i czekał. Zielony dym był na razie w odległości około piętnastu metrów od niego. Nie przesłaniał najbliższych zapalników. Iszak miał jeszcze chwilę.

Zaczął się modlić.

Znów usłyszał drapanie. Zbliżało się szybko do otworu grotu. Iszak patrzył, jak kłęby dymu zaczynają się rozstępować, jakby przedzierali się przez nie ludzie. Gaz dotarł już niemal do materiałów wybuchowych.

Nadszedł czas.

Iszak, nie przerywając modlitwy, wcisnął niebieski przycisk włączający urządzenie. Na małym nadajniku rozbłysła kontrolka. Iszak wcisnął czerwony przycisk powodujący detonację.

Otoczył go słoneczny blask i przez chwilę poczuł się jak w objęciach Al-laha.

Co tam się, do cholery, stało, Stephen?

Szef wywiadu Centrum nachylał się do telefonu głośnomówiącego i patrzył na obraz satelitarny na monitorze komputera. To, co powiedział, było bardziej uwagą niż pytaniem.

Herbert dobrze wiedział, co się właśnie stało.

- Zbocze góry wyleciało w powietrze - odrzekł Viens.
- Raczej wyparowało - zauważył Herbert. - Eksplozja musiała mieć siłę wybuchu pół tony trotylu.
- Co najmniej - zgodził się Viens.

Herbert oglądał obraz bez dźwięku. Ale sam widok potężnej eksplozji przywołał przykre wspomnienie zamachu bombowego na ambasadę w Bejrucie.

- Jak myślisz, Bob, co to było? - spytał Viens. - Sensor zdalnej detonacji czy detektor ruchu?
- Ani jedno, ani drugie - odparł Herbert. - W tym rejonie jest mnóstwo lawin. Mogłyby wywołać eksplozję za wcześnie.
- Nie pomyślałem o tym - przyznał Viens.

Herbert zmusił się do koncentracji na teraźniejszości, nie przeszłości. Wyświetlił zdjęcia, które satelita przysłał tuż przez eksplozję, i wydał komputerowi polecenie, żeby powiększył

kolejno postaci żołnierzy.

- Wygląda na to, że ci wrzucili do środka gaz - powiedział. - Najwyraźniej uważali, że ktoś może na nich czekać.
- Mieli rację - odparł Viens.
- Ciekawe, ile osób było w grocie. I czy spodziewali się gości. Może zostali zaskoczeni i nie chcieli dać się wziąć żywcem.

Ekran wypełniło zdjęcie pierwszego żołnierza. Na rękawie jego białego kombinezonu maskującego widniała okrągła czerwona naszywka z czarnym koniem galopującym wzdłuż ogona komety. Logo Służby Ochrony Pogranicza.

- Jedno jest pewne - odezwał się Viens.
- Co?
- Przed chwilą dzwonił Matt Stoli i powiedział, że już nie odbiera sygnału tamtego telefonu komórkowego. Pytał, czy my też go zgubiliśmy. Sprawdziłem to. Cisza.

Herbert nadal patrzył na monitor. Zachował powiększenie naszywki na ramieniu żołnierza.

- Ciekawe, czy bojówka zwabiła tam komandosów, żeby zgubili trop.

96

- Możliwe - powiedział Viens, - Wiemy, z którego kierunku przyszli komandosi?
- Z południa - odparł Herbert. - Kiedy możesz zacząć przeszukiwać góry na północ od miejsca eksplozji?
- Przemieszczenie satelity zajmie około pół godziny. Ale przedtem chciałbym się upewnić, czy nie tracimy czasu. Jeśli ktoś opuścił grotę, musiał najpierw pójść w górę, żeby potem móc zejść w dół. Chcę się dokładniej przyjrzeć temu miejscu.
- Poszukać śladów stóp na śniegu? - zapytał Herbert. W tym momencie zadzwieczał bezpieczny telefon przy jego wózku inwalidzkim.
- Właśnie - przytaknął Viens.
- Dobra, zaczekam. - Herbert odjechał od biurka i odebrał telefon.
- Tu Hank Lewis - usłyszał. - Mam na linii Rona Fridaya. Mówi, że to ważne. Dam go na tryb telekonferencji.
- Dawaj. - Herbert zastanawiał się, co Friday znalazł na kurzej fermie. Miał nadzieję, że nie potwierdzą się obawy, że w zamach w Śrinagarze była zamieszana policja albo rząd. Wolał nie myśleć o implikacjach.
- Mów, Ron - powiedział Lewis. - Jest z nami na linii Bob Herbert, szef wywiadu Centrum Szybkiego Reagowania.
- Rozumiem - rozległ się głos Fridaya. - Panie Herbert, jestem z moim łącznikiem z Czarnych Kotów w Kargilu na kurzej fermie niejakiego Kuma-ra. Chciałbym wiedzieć, czy ma pan jakieś informacje wywiadowcze o nim i jego wnuczce.
- Co pan tam znalazł? - zapytał Herbert.
- Słucham?
- Co pan znalazł na fermie? - powtórzył Herbert.
- Co to ma być? - Friday zirytował się. - „Pokaż mi twoje, to pokażę ci moje”?
- Nie - odparł Herbert. - To ma być raport z terenu. Niech pan mówi, co pan ma.

• Mam dupę na pieprzonej linii frontu, a pan siedzi bezpiecznie na swojej w Waszyngtonie!

Potrzebuję informacji!

- Siedzę na dupie, bo nie mogę chodzić - wyjaśnił Herbert spokojnie. - Straciłem władzę w nogach, bo zbyt wielu ludzi ufało niewłaściwym ludziom, panie Friday. W drodze do pana jest cały nasz oddział komandosów i może im grozić poważne niebezpieczeństwo. Jest pan częścią mojej układanki, moim terenowym pracownikiem operacyjnym. Niech więc łaskawie mi pan powie, co ma, a potem ja panu powiem to, co musi pan wiedzieć.

97

Friday milczał. Herbert miał nadzieję, że formułuje przeprosiny. Wreszcie Friday przerwał milczenie.

- Czekam na informacje, panie Herbert.

Okay, pomyślał Herbert, skoro facet lubi grać w piłkę ręczną granatem, nie ma sprawy.

• Panie Lewis - powiedział - proszę podziękować swojemu pracownikowi terenowemu za przeprowadzenie rozpoznania na fermie. Niech pan mu przekaże, że uzyskamy potrzebne informacje bezpośrednio od Czarnych Kotów, a nasza wspólna operacja jest zakończona.

• Ty biurokratyczny palancie... - warknął Friday.

• Pan Herbert ma prawo zerwać współpracę - przerwał mu Lewis. - I szczerze mówiąc, nie zachęcasz mnie, żebym o nią walczył.

• Jesteśmy sobie wzajemnie potrzebni! - odparował Friday. - Możemy mieć do czynienia z międzynarodową katastrofą!

• To pierwsze mądre słowa, jakie od pana usłyszałem - powiedział Herbert. - Zechce pan kontynuować?

Friday zaklął.

- Nie mam teraz czasu na zawody w szczaniu na odległość, Herbert. Póź

niej się z tobą policzę. Dowiedzieliśmy się, że pakistańska bojówka Milicji Wolnego Kaszmiru mieszkała na fermie Apu Kumara przez pięć miesięcy.

Wnuczka Kumara, Nanda, jest jedynym dzieckiem małżeństwa, które zginęło w walce z Pakistańczykami. Przez cały czas pobytu bojówki na fermie dziewczyna pisała wiersze. Okazało się, że zawierają zaszyfrowane informacje o ruchach grupy. Nanda recytowała te wiersze, kiedy zajmowała się kura mi, a ludzie ze Służby Ochrony Pogranicza słuchali jej recytacji, prawdopodobnie przez telefon komórkowy. Nanda była z Pakistańczykami w czasie zamachu w Śrinagarze, więc uważamy, że eksplozja w świątyni to robota SOP. Przypuszczamy, że Nanda nadal jest z

bojówką, ma przy sobie komórę i wysyła sygnały SOP.

- Wysyłała - poprawił Herbert.
- Co się stało? - zapytał Friday.

Nadszedł czas rzucić mu garść informacji, okazać trochę zaufania.

• Indyjska grupa pościgowa właśnie zginęła w potężnym wybuchu w Himalajach - powiedział Herbert.

- Skąd pan wie? - wtrącił się Lewis.
- Mamy w tamtym regionie środki ELINT.

Herbert użył ogólnej nazwy wywiadu elektronicznego, bo nie chciał, żeby Lewis wiedział, że Centrum prowadzi obserwację satelitarną tamtego rejonu-98

nu. Nowy szef NSA mógłby się czepiać NRO, że potajemnie wykorzystuje jego czas satelitarny.

- Ilu ludzi zginęło? - zapytał Lewis.
- Trzynastu lub czternastu - odrzekł Herbert. - Otaczali kryjówkę bojówki w górach na wysokości ponad dwóch tysięcy czterystu metrów. Z ludzi, kryjówki i zbocza góry nic nie zostało.
- Udało się zidentyfikować komandosów? - spytał Friday. - Byli w mundurach?
- Byli z SOP - odparł Herbert.
- Wiedziałem! - wykrzyknął Friday. - A co z bojówką?
- Nie wiemy - przyznał Herbert. - Próbujemy ustalić, czy uciekli.

Spojrzał na monitor. Stephen Viens właśnie zrobił zbliżenie północnej strony urwiska. Rozdzielczość wynosiła trzy metry i wystarczyła do znalezienia śladów stóp. Viens zaczął przeszukiwać najbardziej płaskie fragmenty zbocza. Prawdopodobnie tamtędy szli ludzie w ciemności.

• Jeśli Pakistańczycy uciekli, SOP nie odpuści - powiedział Friday. -Możliwe, że to SOP wrobiła terrorystów w zamach na świątynię w Śrinagarze.

• Ma pan na to dowód? - spytał Herbert Zastanawiał się, jak Friday doszedł do tego samego wniosku co on i Rodgers.

• Nie - przyznał agent. - Ale normalnie śledztwo prowadziłyby Czarne Koty, tymczasem zostały z niego wyłączone przez SOP, która najwyraźniej wiedziała o istnieniu bojówki.

- Co jeszcze nie oznacza, że SOP jest zamieszana w zniszczenie świątyni - zauważył

Herbert. - Milicja Wolnego Kaszmiru to znana organizacja terrorystyczna. Indyjskie radio podało, że już przyznała się do zamachu...

- Ktokolwiek wykonał ten telefon, mógł nie znać rozmiarów zniszczeń - odparł Friday.
- Możliwe - zgodził się Herbert. - Choć równie dobrze któryś z Pakistańczyków mógł zdradzić bojówkę i przygotować dodatkowe eksplozje. Ale założmy, że ma pan rację i SOP zorganizowała zamach, bo miała w tym jakiś cel. Tylko jaki?
- Rozpętanie świętej wojny. Tak uważa mój partner z Czarnych Kotów. Może nawet wojny jądrowej.
- Uderzenie wyprzedzające - wtrącił Hank Lewis.

Herbert pomyślał, że skoro Ron Friday i indyjski oficer Czarnych Kotów doszli do tych samych wniosków co on i Rodgers, ich obawy mogą być uzasadnione.

99

- Komandosi z SOP użyli gazu w kryjówce terrorystów - powiedział. - To oznacza, że chcieli wziąć Pakistańczyków żywych.
- Potrzebowali winnych - odparł Friday.
- Zapewne. Ale uważam, że terroryści uciekli nie tylko po to, żeby ratować własne życie, Dobrze wiedzą, że nawet gdyby zdołali wrócić do Pakistanu, nikt w Indiach nie uwierzy im na słowo, że są niewinni.
- Dlatego zabrali dziewczynę - powiedział Friday.
- Właśnie. Jeśli współpracowała z SOP przy zorganizowaniu zamachu, muszą z niej wydobyć publiczne oświadczenie. Takie, które nie będzie wyglądało na wymuszone.
- Czegoś tu nie rozumiem - wtrącił się Lewis. - Jeśli podejrzewamy to, o czym mówimy, dlaczego po prostu nie przedstawimy tego SOP albo komuś w rządzie indyjskim? Niech się zaangażują w sprawę.
- Nie wiemy, kto jest w to zamieszany i jak wysoko to sięga - odparł Herbert. - Rozmowa z New Delhi mogłaby tylko przyspieszyć bieg wypadków.
- Przyspieszyć? - Lewis zdziwił się. - A czy to może iść jeszcze szybciej?
- W czasie takiego kryzysu jak ten dni zamieniają się w godziny, jeśli nie jest się ostrożnym

- wyjaśnił Herbert. - Lepiej nie wywoływać paniki wśród ludzi u władzy. Jeżeli mamy rację, SOP nadal będzie próbowała schwytać bojówkę.

- A przynajmniej Nandę - zauważył Friday. - Tak naprawdę tylko na niej im zależy.

Wyobraźcie sobie zapłakaną Hinduskę, która opowiada w telewizji, jak MWK planowała zamach na świątynię, nie zważając na to, ile mężczyzn, kobiet i dzieci zostanie zabitych.

- Słuszna uwaga - przyznał Herbert. - A co z dziadkiem dziewczyny? Myśli pan, że jeśli Pakistańczycy żyją i znajdziemy ich wcześniej niż SOP, będzie chciał rozmawiać z wnuczką?

Przekonać ją, żeby powiedziała publicznie, co wie?

- Dopilnuję, żeby się zgodził - odparł Friday.

Kiedy rozmawiali, kamera satelity zatrzymała się na czymś, co przypominało odciski stóp.

Viens zaczął robić zbliżenie.

- Co pan zamierza, Bob? - spytał Hank Lewis.

- Mamy dwóch ludzi na miejscu i kilkunastu w drodze - odrzekł Herbert. - Jeśli zdołam namówić Paula, żeby się pod tym podpisał, przekażę generałowi Rodgersowi, żeby spróbował przechwycić bojówkę.

- I co dalej? Pomoże terrorystom wrócić bezpiecznie do domu?

- Czemu nie? - wtrącił się Friday. - To mogłoby nam zjednać sojuszników w krajach muzułmańskich.

100

, - Ameryka nie zdobędzie sobie sojuszników w krajach muzułmańskich -zauważył Herbert. -

Jeśli dopisze nam szczęście, zasłużymy co najwyżej na ich cierpliwość.

- Sprytny człowiek i to potrafi załatwić - odparł Friday.

- Może pokaże nam pan, jak to się robi?

- Może.

Herbert współdziałał z setkami terenowych pracowników operacyjnych i sam kiedyś był jednym z nich. Wiedział, że to niezależni, drażliwi twar dziele. Ale Friday różnił się od innych. Herbert słyszał to w jego głosie, sposobie wypowiedania słów, pewności stwierdzeń. Tacy jak on należeli do czołówki szpiegów. Nazywano ich „starymi głodnymi wilkami”. Po latach pracy w pojedynkę

zaczynali czuć się niewidzialni dla obcego rządu i poza zasięgiem własnego. Tak długo działali sami, że mieli ochotę ugryźć każde*

go, kto się do nich zbliżył.

Ale Friday pracował sam stosunkowo krótko, bo do niedawna był zatrudniony w ambasadzie w Baku. Może więc, uznał Herbert, jest odpowiednikiem złego gliny. Kogoś, kto działa dla własnych korzyści. Herbert postanowił powiedzieć Rodgersowi, żeby miał Fridaya na oku.

- Bob? - odezwał się przez głośnik Viens. - Jesteś tam jeszcze?
- Jestem. - Herbert poprosił Lewisa i Fridaya, żeby poczekali na linii.
- Patrzysz na monitor? - zapytał Viens.
- Patrzę. Widzisz to? Widzę.

Ślady stóp. Z poprzedniej nocy. Słońce ich nie roztopiło i nie zamrzęły ponownie.

Członkowie bojówki opuścili grotę i kierowali się na północ, w stronę Pakistanu. Niestety śladów było tyle, że nie mogli stwierdzić, ile osób jest w grupie.

- Dobra robota, Stephen - pochwalił Herbert. - Masz czas, żeby pójść ich tropem?
- Tak, ale to niewiele da - odparł Viens. - Patrzyłem na jeden z widoków z góry. Trop urywa się za szczytem jakieś ćwierć kilometra na północny zachód od tego miejsca. Potem musielibyśmy przeszukać cholernie duży obszar.
- Rozumiem. Ale upewnij się przynajmniej, czy doszli do zakrętu. I spróbuj się zorientować, ile było osób i co mieli ze sobą.
- Domyślam się, że niewiele nieśli. Pokrywa śnieżna ma grubość około ośmiu centymetrów, a ślady są głębokie na pięć, więc przeciętny ciężar jednej 101

osoby nie przekraczał siedemdziesięciu kilogramów. Pewnie mieli tylko liny i haki skalne.

- Pewnie masz rację.
- Ale postaram się policzyć osoby - obiecał Viens.
- Dzięki, Stephen.

Herbert wyłączył zestaw głośnomówiący i wrócił do rozmowy z Lewisem i Fridayem.

- Bojówka z całą pewnością wędruje na północ - oznajmił. - Proponuję przerwać debatę polityczną i

skoncentrować się na przewyciężeniu kryzysu. Pogadam z Paulem. Zobaczę, czy zechce się w to zaangażować, czy też uzna, że powinniśmy odwołać misję Strikera i przekazać sprawę Departamentowi Stanu. Hank, zastanówcie się z panem Fridayem, czy chcecie się zająć tą sprawą i w jakim stopniu. Bez względu na to, czy będziemy się trzymali pierwotnego planu, czy opracujemy nowy, sytuacja na miejscu może być bardzo kiepska.

- Musimy też postanowić, co powiedzieć prezydentowi i CIOĆ - zauważył Lewis.
- Mam pewną sugestię - odparł Herbert. - Gdyby pan Friday dostał przydział do Strikera, NSA nie musiałaby uczestniczyć w podjęciu tej decyzji.
- Jestem nowy w tej robocie, Bob - odpowiedział Lewis - ale nie jestem nowicjuszem. Daj mi znać, co postanowi Paul. Zrobię, co do mnie należy.
- W porządku. - Herbert się uśmiechnął. Miał szacunek dla ludzi, którzy nie zwalają odpowiedzialności na innych. Zwłaszcza tak dużej odpowiedzialności.
- Ron - odezwał się Lewis - porozmawiaj z tym hodowcą drobiu i z kapitanem Nazirem.

Zapytaj, czy są gotowi wziąć udział w akcji poszukiwawczej. Zgadzam się z Bobem, że Kumar może się bardzo przydać, gdyby udało nam się zlokalizować jego wnuczkę.

- Pogadam z nimi - obiecał Friday.
- Hank - powiedział Herbert - skontaktuję się z tobą, jak tylko porozmawiam z Paulem i generałem Rodgersem. Panie Friday, dziękuję za pomoc.

Friday nie zareagował.

Herbert zniżył głos i w ustach przekleństwo i wyłączył się. Szkoda czasu na utarczki z aroganckim agentem. Miał teraz ważniejsze sprawy do załatwienia. Umówił się na spotkanie z Paulem Hoodem.

102

ROZDZIAŁ 23

Kargil, Kaszmir Czwartek, 7.43

Z

anim Ron Friday wysiadł z helikoptera, wyjął ze schowka między siedzeniami stary zapasowy atlas lotniczy. Plan lotu śmigłowca dyktowały mapy generowane komputerowo. Ruchome krajobrazy i siatki współrzędnych wyświetlały się na monitorze umieszczonym nad ekranem operacyjnym, między stanowiskami pierwszego i drugiego pilota. Klawiatura pod monitorem służyła do wprowadzania współrzędnych. Friday wyrwał z atlasu mapy, które były mu potrzebne, i wepchnął do kieszeni kurtki.

Kiedy wracał na fermę, zadawał w powietrzu ciosy. Wściekle sierpowe trafiały w szczękę wyimaginowanego Boba Herberta. Za kogo on się uważa, do cholery? Został ranny na służbie.

Nie on jeden. Należy mu się renta inwalidzka, nie szacunek.

Friday przestał zadawać Ciosy. Serce waliło mu jak oszalałe, był spocony i ciężko dyszał..

Wszystko w porządku, powtarzał sobie. To ty jesteś tutaj, w samym środku akcji. Masz kontrolę nad swoim przeznaczeniem. A Bob Herbert siedzi w Waszyngtonie i tylko wykrzykuje rozkazy, które możesz ignorować, bo Lewis nie pozwoli podporządkować swojego człowieka Centrum.

Friday wyrzucił z głowy żalostnego biurokrate i skoncentrował się na czekającym go zadaniu. Wszedł do kamiennego domku.

Apu Kumar siedział na zniszczonej sofie, a kapitan Nazir krążył po pokoju. Obaj spojrzeli w stronę drzwi, słysząc kroki Fridaya.

- Co powiedzieli? - spytał Nazir.

- Pakistańska bojówka ocalała i wędruje przez Himalaje na północ - odpowiedział Friday. -

Centrum Szybkiego Reagowania i NSA nie chcą, żeby grupa wpadła w ręce SOP. Czy Czarne Koty i ich sojusznicy w rządzie indyjskim zgodzą się, żeby Amerykanie przeprowadzili akcję poszukiwawczo--ratowniczą? \

- Obawiacie się, że może dojść do wojny jądrowej?

-< Tak - przyznał Friday. - Służba Ochrony Pogranicza bardzo chciała dopaść bojówkę.

Nasze urządzenia ELINT wykryły ich oddział ścigający Pakistańczyków w górach.

- Gdzie jest ten oddział?

- Czeka w kolejce do reinkarnacji.

- Co takiego?

103

- Z tego, czego się dowiedziałem, wynika że komandosów SOP wyeliminował pakistański samobójca - wyjaśnił Friday.

- Rozumiem. - Nazir zastanawiał się chwilę. - Obecność ludzi z SOP potwierdza nasze przypuszczenia, że dwa zamachy w Śrinagarze to ich robota.

-- Na to wygląda - zgodził się Friday.

- Więc dobrze - zdecydował Nazir. - Czarne Koty pomogą wam w każdy możliwy sposób.

Friday poszedł do Kumara.

- Będzie nam potrzebna również pańska pomoc. Nanda współpracowała z SOP. Jej oświadczenie może zapobiec wojnie. Jeśli dotrzemy do bojówki, nakłoni pan wnuczkę, żeby powiedziała prawdę.

Apu Kumar wzruszył ramionami.

- To uczciwa dziewczyna. Nigdy nie kłamie.
- Jest też patriotką, prawda? - .
- Oczywiście - przytaknął Apu.
- Patriotyzm potrafi zaślepić - powiedział Friday. - Jeśli pańska wnuczka pomogła SOP wrobić Pakistańczyków w zniszczenie hinduskiej świątyni, musi się do tego przyznać.
- Myśli pan, że to zrobiła? - zapytał Apu, wyraźnie poruszony.
- Tak.
- Biedna Nanda.
- Nie chodzi tylko o nią - wtrącił się Nazir. - Jeśli nie powie tego, co wie, mogą zginąć miliony ludzi.
- Nanda nie wiedziała, co robi - zapewnił Apu. - Inaczej nigdy by się na to nie zgodziła. Ale pomogę wam. Co mam zrobić?
- Przynieść wszystkie ciepłe ubrania - polecił Friday. - Swetry, kurtki, rękawice, długie kalesony, wszystko się przyda.

Apu skinął głową i pobiegł do sypialni. Friday poszedł do małego stołu, wyjął z kieszeni mapy i położył na blacie.

- Kapitanie? - zwrócił się do Nazira.
- Słucham?
- Musimy opracować plan.
- Plan lotu?
- Tak.

Bez względu na przebieg i rezultat misji Friday zamierzał zachować dobre układy z komandosami Czarnych Kotów i ze swoimi przyjaciółmi w rządzie indyjskim. Był pewien, że kiedy to wszystko się skończy, Hank Lewis po-104

zwoli mu tu zostać. Wtedy nawiąże bliższe kontakty z przemysłem naftowym i jądrowym. Tam leży przyszłość narodu.

I jego własna.

ROZDZIAŁ 24

Sjaczen, baza numer 3, Kaszmir Czwartek, 9.16

Telefon od komendanta Sana Hussaina nie zaskoczył majora Deva Puriego. Major spodziewał się wiadomości od szefa Służby Ochrony Pogranicza, odkąd został

poinformowany o ściśle tajnym planie wykorzystania pakistańskiej bojówki. Ale to, co powiedział komendant Hussain, było pełnym zaskoczeniem. Po odłożeniu słuchawki major Puri siedział przez chwilę w swoim bunkrze. Od tygodni spodziewał się, że odegra ważną rolę w szybkiej i cichej ewakuacji sił z linii kontroli.

Ale nie był przygotowany, że powierzą mu rolę, którą powinna odegrać elitarna Góraska Brygada Szturmowa SOP - najważniejszą.

Wyjął z blaszanego pudełka na biurku porcję tytoniu i włożył do ust. Zaczął wolno żuć.

Spodziewał się, że pakistańska bojówka zostanie złapana w swojej górskiej kryjówce. Potem jednostki dowodzone przez Puriego miały zacząć przygotowania do odwrotu. Powinno to przebiegać cicho, bez pośpiechu i bez korzystania z telefonów komórkowych oraz łączności radiowej. Wszystko, co mpżliwe, należało robić w podziemnych schronach i w okopach.

Pakistańczycy nie zauważiliby niczego podejrzanego. Czterystu żołnierzy Puriego miało zakończyć przygotowania do jedenastej i czekać na sygnał do wymarszu bezpośrednio od Hussaina.

Tymczasem komendant zadzwonił z wiadomością, że plan się zmienił. Major Puri z połową swoich ludzi wyruszy przez góry na południe. Zabiorą pełne zestawy do przetrwania i będą w ocieplanych kombinezonach maskujących. Hussain chciał, żeby szli szeroką tyralierą w kierunku lodowca Sjaczen i zacieśnili ją w miejscu, gdzie lodowiec zwęża się w pobliżu szczytu. „Szeroka tyraliera” oznacza, że żołnierze nie mogą być bliżej siebie niż w zasięgu wzroku, miałyby zatem szerokość około trzech kilometrów. Ponieważ częstotliwości fadiowe mogły być monitorowane, trzeba będzie porozumiewać się gestami. Tę metodę sygnalizacji opracował ruch oporu w latach trzydziestych. Armia indyjska zaczęła jej używać w roku 1947. Poszczególne gesty oznaczały ruch naprzód, odwrot, postój, kontynuowanie marszu, zmniejszenie tempa,

przyspieszenie i atak. Kierunek natarcia sygnalizowano palcami; wskazujący oznaczał

północ, środkowy południe, serdeczny zachód, a mały wschód. Pokazanie kciuka zastępowało rozkaz „naprzód”. Taka gestykulacja zwykle wystarczała. Rozkazy dowódców kompanii przekazywali dalej podoficerowie ulokowani w środku każdego plutonu. Puri miał

dowodzić operacją z centralnego punktu tyraliery. W sytuacji alarmowej dozwolona była łączność radiowa.

Major podniósł słuchawkę telefonu. Kazał swojemu adiutantowi zebrać oficerów w sali odpraw i powiedział, że przyjdzie za pięć minut. Chciał, żeby spotkanie odbyło się z zachowaniem maksymalnej ostrożności: bez telefonów komórkowych, nadajników radiowych, laptopów i notesów.

Jeszcze przez chwilę żuł tytoń, potem wstał. Hussain powiedział mu, że pakistańska bojówka wymknęła się pościgowi i prawdopodobnie kieruje się do Pakistanu. Cztery inne bazy wzdłuż linii kontroli też przygotowywały jednostki bojowe, które miały spróbować przechwycić terrorystów. Ich dowódcy dostali taki sam rozkaz: dostarczyć zamachowców żywych lub martwych.

Nie dotyczyło to ich zakładniczki, Hinduski z Kaszmiru. Hussain powiedział, że SOP nie spodziewa się, żeby kobieta przeżyła tę ciężką próbę. Ale nie powiedział, że jest źle traktowana. Jego ton sugerował co innego.

Nie chciał, żeby przeżyła.

Puri wyszedł ze schronu. Poranek był zimny i mglisty. Major sprawdził < wcześniej informacje o pogodzie. Wysoko w górach padał śnieg. To zawsze powodowało zamglenie na niżej położonych terenach. Nic nie było wyraźnie widoczne, nawet ściany okopów.

Jego przyszłość też nie.

Major Puri nie spodziewał się, że odegra rolę zabójcy. Kiedy szedł na odprawę, przyszła mu nagle do głowy dziwna myśl, że jedno ludzkie życie ma znaczenie. To, co tutaj robił, mogło się przyczynić do śmierci milionów ludzi. Więc co znaczy jedna ofiara więcej?

Dręczy go to, bo dziewczyna jest Hinduską? Nie. Hindusi zginęliby również w pożodze wojennej. Dręczy go to, bo zakładniczka jest kobietą? Nie. Kobiety też by zginęły.

Dręczy go to, bo będzie przy jej śmierci. Może nawet na niego spadnie wykonanie rozkazu komendanta.

Będzie musiał spojrzeć jej w oczy. Będzie na nią patrzył, kiedy dziewczyna uświadomi sobie, że za chwilę umrze.

W 1984 roku, gdy w Indiach doszło do walk między kastami, premier Indi-ra Gandhi kazała przeprowadzić serię ataków na uzbrojonych separatystów sikhijskich w Amritsarze.

Zginęło ponad tysiąc osób. Ich śmierć była god—

nym ubolewania, ale nieuniknionym skutkiem konfliktu. Kilka miesięcy później pani Gandhi została zamordowana przez sikhów ze swojej ochrony osobistej. To zabójstwo było tragedią.

Miało twarz.

Major Puri wiedział, że trzeba to zrobić. Ale wołał, żeby zrobił to ktoś inny. Mógł odejść z wojska. To była czasowa praca. Ale jeśli zabije, nawet w imię patriotyzmu, ten czyn będzie go prześladował do końca życia.

I w następnym życiu.

ROZDZIAŁ 25

Waszyngton Środa, 23.45

Paul Hood ucieszył się na widok Boba Herberta. Wcześniej zamknął się w swoim biurze, otworzył pudełko kruchych ciasteczek i przez większą część wieczoru pracował nad cięciami budżetowymi Centrum. Zostawił Pluskwie Benetowi polecenie, żeby mu nie przeszkadzano, chyba że pojawi się coś bardzo pilnego. Hood nie był w nastroju do pogawędki. Nie miał

ochoty robić miny na pokaz. Chciał się schować i zagrzebać w pracy. Obojętnie jakiej.

A najbardziej nie miał ochoty iść do domu. Czy raczej do miejsca, które teraz zastępowało mu dom, bezosobowego apartamentu na piątym piętrze hotelu Days Inn przy Mercedes Boulevard. Minie dużo czasu, zanim uzna za dom inne miejsce niż jego dom w Chevy Chase w Maryland. Jeśli w ogóle kiedykolwiek to nastąpi. Ale byli z Sharon w separacji i jego obecność w domu stwarzała tylko problemy. Sharon powiedziała mu, że jest przypomnieniem ich nieudanego małżeństwa, perspektywy przyszłości bez towarzysza życia. Dwójka ich dzieci nie musiała znosić takiego napięcia, zwłaszcza Harleigh. Hood spędzał z Harleigh i jej młodszym bratem, Alexandrem, tylko weekendy. Robili to, co rzadko robią mieszkańcy Waszyngtonu: oglądali pomniki. Hood załatwił im również zwiedzanie Pentagonu. Na Alexandrze zrobiło wrażenie ciągłe salutowanie dookoła. Czuł się ważny, bo nie musiał tego robić. Podobała mu się też czujność wartowników o wyglądzie twardzieli. Harleigh powiedziała tylko, że dobrze się bawiła, nic więcej. Hood nie wiedział, czy jest małomówna z powodu stresu pourazowego, czy separacji rodziców, czy z obu tych powodów. Psycholog Liz Gordon doradziła mu, żeby nie poruszał przykrych tematów, chyba że Harleigh zacznie. Powinien

stwarzać optymistyczny nastrój, podnosić ją na duchu. Nie było to łatwe, ale robił, co mógł.

Dla Harleigh.

Własne potrzeby lekceważył. Najbardziej brakowało mu domu. W pokoju hotelowym nie słyszał znajomych skrzypnięć, odgłosów w rurach i hałasów na zewnątrz. Nie włączał się i nie wyłączał palnik olejowy. Pokój hotelowy pachniał nieznanym, przejściowo. Ciśnienie wody było słabe,

oświetlenie sufitowe dziwnie obce, nawet ekspres do kawy bulgotał inaczej niż ten w domu. Hood tęsknił za komfortem psychicznym, który miał w znajomym otoczeniu. Nie cierpiał zmian.

Zwłaszcza tej największej. Świata, który stworzył dla siebie i Ann Farris, trzydziestoczteroletniej rzeczniczki prasowej Centrum. Podrywała go od pierwszego dnia ich znajomości. Pochlebiało mu to i jednocześnie krępowało. Pochlebiało, bo nie współżył z żoną od lat. Krępowało, bo Ann Farris nie była subtelna. W czasie konferencji prasowych miała pokerową minę, przy nim nie. Może to była kwestia równowagi, jin i jang, przyjmowania biernej postawy publicznie i agresywnej prywatnie. W każdym razie jej jawne zainteresowanie jego osobą rozpraszało go. Najbliższych mu ludzi, Mike'a Rodgersa i Boba Herberta, również.

Hood popełnił fatalny błąd, idąc z nią do łóżka. To spowodowało wzrost napięcia. Ona czuła, że jest mu bliższa, on czuł się winny. Nie chciał się z nią więcej kochać. Przynajmniej do rozwodu. Ann powiedziała, że go rozumie, ale uważała, że ją odrzucił. To miało wpływ na ich stosunki służbowe. Teraz na osobności traktowała go chłodno, a na spotkaniach z prasą zachowywała się serdecznie.

Dlaczego on, człowiek sukcesu przez tyle lat, tak skomplikował życie sobie i swojemu otoczeniu? Jak to się stało, do cholery?

Nie miał dziś ochoty na spotkanie z Ann. Ale nie mógł powiedzieć Pluskwie, żeby spławił tylko ją. Nawet jeśli wiedziała, że robi przed nią uniki, nie chciał dawać jej tego jasno do zrozumienia.

Jak na ironię, likwidował właśnie stanowisko Ann i cały jej wydział.

Hood nie był zaskoczony, że Herbert jest w biurze o tak późnej porze. Szef wywiadu Centrum wolał pracować, niż utrzymywać stosunki towarzyskie. Nie było to poprawne politycznie, ale to był cały Herbert. Mówił, że większym wyzwaniem jest próba dotarcia do mózgu szpiega niż do tego, co kobieta ma w majtkach. I twierdził, że nagroda jest większa.

Szpieg kończy martwy, uwięziony lub wyłączony z akcji. Hood dawno powinien się tego nauczyć od przyjaciela.

108

Ucieszył się na widok Herberta, bo chciał się zająć innym kryzysem niż własny.

Sprawozdanie, które złożył Herbert, nie oderwało go od problemów osobistych, na co miał

nadzieję. Ale perspektywa wojny jądrowej między Indiami i Pakistanem całkowicie zaprzętnęła jego uwagę.

Herbert zrelacjonował mu swoje rozmowy z Rodgersem i Fridayem. Kiedy skończył, w Hooda wstąpiła energia. Jego kłopoty nie zniknęły, ale przynajmniej częściowo uwolnił się od nich i poczuł odpowiedzialny za innych.

- Kiepska sprawa - stwierdził.
 - Owszem - zgodził się Herbert. - Co ci podpowiada instynkt?
 - Żeby pójść z tym do prezydenta - odrzekł Hood. Herbert przyjrzał mu się uważnie.
 - Słyszę w twoim głosie jakieś „ale”.
 - Prawdę mówiąc, są aż trzy - przyznał Hood. - Po pierwsze, tylko się domyślamy, co jest grane. Może słusznie się domyślamy, ale nie mamy żadnego dowodu. Po drugie, założmy, że twoje informacje wywiadowcze są prawdziwe. Istnieje spisek w celu wywołania wojny. Jeśli powiemy o tym prezydentowi, powtórzy to Departamentowi Stanu. A wtedy dowie się o tym cały świat, bo istnieją przecieki, krety i wywiad elektroniczny. To mogłoby wystraszyć konspiratorów, ale równie dobrze przyspieszyć realizację ich planów.
 - Zgadzam się - powiedział Herbert. - Zamiast problemu bezpieczeństwa, SOP i jej sojusznicy mieliby problem niebezpieczeństwa. To typowe, kiedy zataja się informacje przed współobywatelami.
 - Właśnie.
 - A jakie jest trzecie „ale”? - zapytał Herbert.
 - Takie, że moglibyśmy dowieść, iż istnieje plan ataku jądrowego. Gdyby Stany Zjednoczone ujawniły ten fakt, mogłoby się to obrócić przeciwko nam.
 - Nie rozumiem - powiedział Herbert.
 - W kwestiach wsparcia wojskowego i pomocy wywiadowczej Indie zawsze ciążyły ku Rosji - wyjaśnił Hood. - Całe pokolenie Hindusów uważa Stany Zjednoczone za przeciwnika.
- Przypuśćmy, że ujawnimy patriotyczny plan. Myślisz, że to skłoni Hindusów do wycofania się z niego?
- Jeśli planują wojnę jądrową, to tak. Rosja stanęłaby po naszej stronie. Chiny też.
 - Nie jestem tego taki pewien. Rosja stoi w obliczu zagrożenia islamskiego wzdłuż części swoich granic. Niedawno uporaliśmy się z kryzysem w rejonie Morza Kaspijskiego, gdy Rosjanie bali się, że Iran zdobędzie dostęp do tamtejszej ropy. Moskwa zwalczała mudżahedinów w Afganistanie.
- Obawia

żeby uderzyć na Tajwan. Indie mogły-by poprzeć Pekin na zasadzie wzajemności. Herbert pokręcił głową.

- Paul, siedzę w tym od dawna. Oglądałem filmy pokazujące, jak Saddam używał gazu i uzbrojonych helikopterów przeciwko Irakijczykom. Widziałem egzekucję pięciu chińskich dysydentów, których zabito strzałem w głowę. Ale nie mogę uwierzyć, że jacyś szaleńcy zaplanowali uderzenie nuklearne, które zabije miliony ludzi.

- Dlaczego nie?

- Bo wojna jądrowa spowodowałaby eskalację wszystkich konfliktów międzyludzkich. Nikt by na tym nic nie zyskał.

- Zgadza się.

- Mimo to uważam, że może istnieć grupa indyjskich radykałów, którzy chcą użyć broni jądrowej przeciwko Pakistanowi.

- W takim razie moje trzy zastrzeżenia sprowadzają się do jednego.

- Potrzebujemy więcej informacji, żeby pójść do prezydenta?

- Właśnie - potwierdził Hood. - Jest jakiś sposób, żeby uzyskać je elektronicznie albo od źródeł w rządzie indyjskim?

- Może dałoby się to zrobić, gdybyśmy mieli czas - odparł Herbert. - Ale. pakistańska bojówka ucieka przez góry i zostawiła za sobą martwych komandosów SOP. Hindusi nie będą czekali.

- DD-1 już coś podaje? - Hood miał na myśli telewizję publiczną Door-darshan India, związaną blisko z Prasar Bharati, rozgłośnią radiową o zasięgu ogólnokrajowym, którą zarządzało i finansowało ją Ministerstwo Informacji, Radiofonii i Telewizji.

- Jeden z ludzi Matta nagrywa wiadomości - powiedział Herbert. - Da mi znać, jak duże jest wzburzenie opinii publicznej i w jakim stopniu media podgrzewają atmosferę.

- Możemy w to wejść i rozwalić ich satelitę? - spytał Hood.

Herbert wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Korzystają z pięciu. INSAT-2E, 2DT, 2B, PAS-4 i ThaiCom. Możemy zakłócić wszystkie, jeśli będziemy musieli.

- To dobrze. - Hood spojrzał na Herberta. - Jesteś za tym, żeby Striker wkroczył i zabrał

Pakistańczyków, prawda?

- Do cholery, Paul. Nie chcę zrzucić Mike'a i jego ludzi w Himalajach.

- Wiem.

110

- Ale nie wiem, czy mamy inne opcje - ciągnął Herbert - Cokolwiek myślimy o tym, co zrobili Pakistańczycy, muszą się stamtąd wydostać, żeby powiedzieć, czego nie zrobili.

- Co byśmy zrobili, gdyby Striker nie został skierowany do tamtego rej gionu? - zapytał

Hood.

Herbert zastanowił się i wzruszył ramionami.

- To samo, co zrobiliśmy w Korei, Rosji i Hiszpanii. Wysłalibyśmy go tam. Hood w zamyśleniu skinął głową.

- Pewnie tak - zgodził się. - Przekazałeś Mike'owi, jak to wygląda?

- Nie tak szczegółowo - odrzekł Herbert. - Ale doradziłem mu, żeby się przespał podczas lotu z Alconbury do Chushul. Na wszelki wypadek.

- Ile trwa ten etap podróży?

Herbert spojrział na zegarek.

- Zostało im jeszcze jakieś sześć godzin. Cztery z kawałkiem przy do brym wietrze w ogon i jeśli w Turcji nie będziemy ich trzymali na ziemi dłużej niż kilka minut.

Hood kliknął na ikonę listy personelu Centrum i otworzył plik.

- Matt jeszcze tu jest - powiedział, patrząc na zalogowany czas.

- Przegląda ze Stephenem Mensem zdjęcia z obserwacji - wyjaśnił Herbert. - Nie odszedł od biurka, odkąd się to zaczęło.

- A powinien - rzekł Hood. - Możemy potrzebować danych ELINT z regionu i będzie musiał się tym zająć.

- Powiem Glorii Gold, żeby go zastąpiła.

Gloria Gold była nocną kierowniczką techniczną. Miała kwalifikacje do prowadzenia operacji technicznych, ale mniejsze doświadczenie w analizach niż Stoli.

- I włączmy do tego Lowella i Liz Gordon - powiedział Hood. Lowell Cof-fey był

ekspertem od prawa międzynarodowego. - Musimy się orientować wprawie indyjskim i pakistańskim na wypadek, gdyby ich złapali. Portrety psychologiczne Pakistańczyków też by się przydały. Dostaliśmy szczegółową mapę administracyjną rejonu, w którym Striker będzie poszukiwał pocisków?

- Nie - odparł Herbert. - To miało być wyłącznie na terytorium Pakistanu.

- Więc musimy ją zdobyć. Będziemy mieli problem, jeśli Striker znajdzie się w chińskiej strefie wpływów i zostanie złapany.

- Jeśli Al George nie ma tych map w archiwum, ściągnę je z Departamentu Stanu - obiecał

Herbert. - Mam tam kumpla, który potrafi trzymać gębę na kłódkę.

Hood uśmiechnął się,

111

- Ty wszędzie masz kumpli. - Pomyślał, że dobrze być częścią zespołu, w którym są tacy ludzie jak Bob Herbert: zawodowcy, którzy wspierają zespół i jego szefa. I pomyślał, że dobrze jest się uśmiechać. - A co z Viensem? Ile ma satelitów w regionie?

- Trzy.

- Będzie mógł je trzymać dla nas?

- Nie powinno być z tym problemu. W tej chwili nikt inny nie potrzebuje danych wywiadowczych z tamtego regionu. Viens kazał też swoim ludziom pracować rotacyjnie, więc stanowiska monitoringu satelitów będą obsadzone na okrągło. Mogą prowadzić trzy oddzielne rozpoznania jednocześnie.

- To dobrze. - Hood nadal patrzył w monitor. W razie potrzeby mógł skorzystać z pomocy jeszcze innych ludzi. Ale w tej chwili wołał ograniczyć ich liczbę do minimum. Zamierzał

zadzwoić do NSA i doradzić Hankowi Lewisowi to samo. Miał nadzieję, że nowy szef NSA zgodzi się na to, żeby Centrum prowadziło tę sprawę jako „cichą operację” - z krótkim łańcuchem dowodzenia, bez angażowania prezydenta.

Gdy Herbert wyszedł, Hood zadzwonił do Coffeya i oderwał go od programu *Niepoprawne politycznie*. Ponieważ domowa linia Coffeya nie była bezpieczna, nie mógł mu zdradzić, po co go wzywa. Powiedział tylko, że tytuł telewizyjnego talk-show dość dobrze oddaje temat nocnego spotkania. Coffey obiecał przyjechać jak najszybciej.

Hood podziękował mu, wyjął z pudełka kilka ciasteczek i odchylił się do tyłu. Było jeszcze mnóstwo do zrobienia, zanim wyda zgodę na tę operację. Stephen Viens musiał znaleźć bojówkę. Bez informacji, gdzie są Pakistańczycy, nie mieli nic. Potem on i Herbert będą musieli zdecydować, czy

Striker ma wylądować zgodnie z planem i dotrzeć do bojówki helikopterami, czy też zostanie zrzucony na spadochronach. Desant powietrzny w górach byłby bardzo niebezpieczny z powodu zimna, wiatru i złej widoczności. Mogliby wysłać tam wcześniej Rona Fridaya, żeby zapalił flary. Ale po wylądowaniu też byłby problem, bo Strikera oczekiwano w Śrinagarze z zupełnie innych przyczyn. Mógłby mieć trudności z uwolnieniem się od gospodarzy tak szybko, jak potrzebowało tego Centrum.

Poza tym, pomyślał Hood, im mniej ludzi będzie miało kontakt ze Strikerem, tym lepiej.

Lowell lub Herbert mogliby wymyślić jakąś przyczynę desantu spadochronowego. Indyjskie siły powietrzne musiałyby się na to zgodzić albo stanąć w obliczu odwołania misji.

Hood pomyślał o Rodgersie i jego komandosach. Był dumny, że z nimi pracuje. Bez względu na rozwój wypadków Striker będzie miał trudne zadanie.

112

ROZDZIAŁ 26

Waszyngton Czwartek, 1.12

Chyba coś mamy! - zawołał Stephen Viens.

Gloria Góld pochyliła do przodu. Viens miał rację. Po wielogodzinnym metodycznym przeszukiwaniu terenu kamery wykryły coś obiecującego. Bernardo przełącza nas na podczerwień - powiedział Viens. - To potrwa około trzech minut.

- Czekam - odrzekła Gloria. - Dobra robota -\dodała.
- Za wcześnie na poklepywanie po plecach - odparł Viens. - To może być rząd skał albo trzoda górskich kozic.
- Stado górskich kozic - poprawiła go.
- Słucham?
- Trzoda to zwierzęta hodowlane - wyjaśniła. - Na wolności żyją stada.
- Nauczycielka nigdy nie przestanie pouczać - zażartował Viens. - Ale kto Się będzie śmiał ostatni, jeśli się okaże, że te kozice prowadzi pasterz?

Gloria uśmiechnęła się. -Ty.

- Może się założymy? - zaproponował. - O twoją mikrokamerę i znaczek w klapie mojej marynarki.

- Nie ma mowy - odparła Gloria.
- Dlaczego? Mój fant ma zasięg.
- A mój treść.

Ekspert NRO do spraw rozpoznania wywiadowczego pokazał jej kiedyś znaczek Instytutu Technologicznego Massachusetts w klapie swojej marynarki. Umieścił w nim miniatury mikrofon złożony z rezonujących cząsteczek, który mógł przesyłać dźwięk do jego komputera z odległości ponad trzystu kilometrów. Ale jej mikrokamera była lepsza. Przesyłała do komputera obraz o milionie pikseli z odległości ponad piętnastu kilometrów.

- Więc załóżmy się o kolację. Przegrany zaprasza. Taki układ pasuje do naszej roboty. Obraz w podczerwieni, żarcie z mikrofalówki...

- Kiepska ze mnie kucharka - odparła Gloria,

-r Ja jestem w tym dobry.

- Dzięki, ale nie - Gloria, pięćdziesięciosiedmioletnia trzykrotna rozwódka, lubiła Viensa, ale mógłby być jej synem. - Załóżmy się po dzentelmeń-

sku. Jeśli znalazłeś Pakistańczyków, oboje wygraliśmy.

Viens westchnął.

- Dyplomatyczne rozwiązanie. Zgadzam się, ale zgłaszam protest.

Gloria Gold uśmiechnęła się i odchyliła na krześle. Siedziała przy swoim biurku ze szklanym blatem w dziale technicznym Centrum. Światło w gabinecie było zgaszone i ciemność rozpraszał tylko blask dwudziestojednocalowego monitora. Gloria sięgnęła po butelkę wody evian stojącą na podłodze i pociągnęła łyk. Odkąd przewróciła butelkę i spowodowała zwarcie w swoim komputerze, nie trzymała na biurku żadnych płynów. Na szczęście jej szef, wicedyrektor Curt Hardaway - nazywany Nocnym Dowódcą - przyznał się, że jemu też się to kiedyś zdarzyło. Może tak było, a może nie, ale ładnie się zachował.

Gloria była w pracy dopiero od godziny, ale Viens spędził przed komputerem cały dzień.

Przekaz z satelity NRO wyglądał bardzo obiecująco. Miał rozdzielczość pięciu metrów, co oznaczało, że widoczne jest wszystko, co ma długość pięciu metrów. Komputer przeanalizował obraz i zidentyfikował cienie, które mogły rzucać postacie ludzi. Wyłaniały się spod występu skalnego i zniekształcały je rzeźba terenu oraz kąt padania promieni słonecznych. Obserwacja w podczerwieni miała wykazać, czy to cienie żywych istot, czy formacji skalnej. Fakt, że cienie się przemieszczały, niewiele mówił. Takie złudzenie mógł stwarzać ruch słońca.

Weteranka Centrum patrzyła i czekała. W nocnej ciszy czas wydawał się płynąć wolniej.

Dział techniczny mieścił się w trzech pokojach biurowych usytuowanych najdalej od ruchliwej frontowej części poziomu operacyjnego. Stanowiska łączyła tak rozbudowana sieć telekomunikacji przewodowej i bezprzewodowej, że pracownicy zastanawiali się, czy nie lepiej byłoby zburzyć ścianki działowe i krzyczeć do siebie, żeby utrzymywać kontakty międzyludzkie. Ale Matt Stoli był temu przeciwny. Pewnie dlatego, że w samotności robił

rzeczy, o których nikt nie powinien wiedzieć. Tylko Gloria Gold знаła jego tajemnicę.

Szpiegowała go pewnej nocy za pomocą mikrokamery cyfrowej ukrytej pod uchwytem drzwi jego minilodówki.

Kilka razy dziennie Matt Stoli zjadał dwa wafelki twinkie i popijał napojem energetycznym gatorade.

To wyjaśniało niespożytą energię i rosnący obwód pasa ulubionego jajogłowego Centrum.

Tłumaczyło też żółtawe plamy widoczne czasem na jego koszuli. Pił gatorade prosto z butelki.

Nawet teraz, kiedy powinien odpoczywać na sofie, pewnie czytał ostatni numer „NuTech”

albo bawił się kieszonkową grą wideo. W przeciwieństwie do swojego kolegi ze studiów Viensa, Matt Stoli mógł służyć za przykład działania stymulatorów.

Przekaz z satelity NRO został zaktualizowany i Gloria skoncentrowała się na monitorze.

Obraz, wcześniej niemal całkiem biały, teraz był ognistoczerwony. Wzdłuż dolnej krawędzi ekranu widniały żółto-białe zniekształcenia tła świadczące o promieniowaniu źródeł ciepła.

- Dobrze się zapowiada - stwierdził Yiens. - Cokolwiek rzuca te cienie, na pewno jest żywe.
- Zdecydowanie - przytaknęła Gloria. Obserwowali, jak obraz się zmienia. Jedno źródło ciepła stało się wyraźniejsze, kiedy wyłoniło się spod skalnego nawisu. Przypominało kształtem człowieka.
- Jasna cholera! - zaklął Viens. - Bernardo, wyłącz podczerwień.
- To nie kozica - zauważyła Gloria.
- Założę się, że pasterz też nie - dodał Viens.

Gloria patrzyła, jak satelita zmienia obiektywy. Wydawało się, że trwa to dużo dłużej niż poprzednio. Zwłoka nie wynikała z powolnego działania mechanizmu. Przy każdej zmianie soczewek satelita przeprowadzał diagnostykę układu optycznego. Sprawdzał, czy ostrość i oś optyczna są prawidłowe. Fałszywe dane - z powodu niewyraźnego obrazu, niewłaściwego kąta czy przesunięcia jednego punktu w rozdzielczości - byłyby bezużyteczne.

Na ekranie pojawił się obraz w świetle dziennym. Białą połąć przecinał szary nawis skalny.

Stała pod nim jakaś postać. Gloria rozpoznała kobietę. Z tyłu wyłaniała się głowa drugiej osoby.

- Chyba ich mamy! - zawołał Viens.
- Na to wygląda - zgodziła się Gloria i sięgnęła do telefonu. - Zawiadomię Boba Herberta.

Herbert był przy niej, zanim pojawił się następny obraz: pięć osób idących wzdłuż wąskiego nawisu.

ROZDZIAŁ 27

Kargil, Kaszmir Czwartek, 12.01

R

on Friday lubił być przygotowany. Ilekroć wchodził do jakiegoś budynku, starał się mieć co najmniej dwie drogi odwrotu. Kiedy jechał do jakiegoś kraju, zawsze miał na oku inny, do którego mógłby się udać - z wyboru lub z konieczności. Gdy miał do wykonania jakieś zadanie, zawsze sprawdzał możliwość zdobycia sprzętu i pozyskania sojuszników, których mógł potrzebować. Nie istniał dla niego czas wolny od zajęć.

Po rozmowie z Bobem Herbertem uświadomił sobie, że może będzie musiał wyruszyć z kapitanem Nazirem w góry. Ich helikopter nadawał się do podróży na wysokości do trzech tysięcy siedmiuset metrów w temperaturze do minus jedenastu stopni. Mieli dość paliwa, by przelecieć ponad tysiąc kilometrów. To oznaczało, że mogą się zapuścić w góry na odległość około pięciuset kilometrów. Gdyby musieli wylądować na zbyt dużej wysokości, mogłyby zamarznąć płyny eksploatacyjne. A piesza wędrówka nie byłaby przyjemna.

Friday sprawdził, jaki ekwipunek jest na pokładzie. Był podstawowy sprzęt alpinistyczny, brakowało natomiast ciepłych ubrań. To jednak nie stanowiło problemu, bo w rzeczach Apu Kumara znalazł grube kurtki, czapki i rękawice. Najbardziej martwił go brak tlenu. Gdyby on i Nazir musieli się wspinać na dużej wysokości, byłiby wykończeni.

Może Striker ma aparaty oddechowe. Trzeba zapytać Boba Herberta lub Hanka Lewisa, a przy okazji poznać lokalizację celu.

Na razie oglądał z Nazirem mapy, żeby zapoznać się z terenem. Apu siedział z nimi w małej kuchni i udzielał im dodatkowych informacji. Dobrze znał ten rejon, bo kiedy był młodszy, często chodził w góry.

Friday oznaczył trasę z bazaru w Śrinagarze do miejsca eksplozji w górach. Naniósł też trasę z kurzej ферmy do miejsca wybuchu. Terrorysty mieli aż nadto czasu na dotarcie do górskiej kryjówki przed eksplozją. Pytanie, dokąd stamtąd wyruszyli. Do granicy z Pakistanem mieli tylko trzydzieści kilometrów, ale po drodze były linia kontroli i lodowiec Sjaczem o wysokości pięciu i pół tysiąca metrów. Wspinaczka na lodowiec była trudna nawet w najlepszych warunkach. Musiałby się zdarzyć cud, żeby zmęczeni i zapewne ścigani -

lądem, a może także z powietrza - Pakistańczycy zdołali uciec.

Zadzwieczał telefon, który Friday wziął z helikoptera. Odebrał Nazir. Dzwonili Bob Herbert i Hank Lewis. Kapitan podał aparat Fridayowi.

- Znaleźliśmy bojówkę - powiedział Herbert.
- Gdzie są? - Friday pochylił się nad mapami rozpostartymi na stole. - Mam siedem taktycznych map lotniczych muzaffarabadzkiego i śrinagarskiego rejonu przygranicznego i obszaru między Śrinagarem a Kargilem.
- Są w śrinagarskim rejonie przygranicznym - odparł Herbert. - Tuż pod Dżaudarem.
- Jakie są współrzędne? - Friday zaczął przerzucać mapy w poszukiwaniu miasteczka.
- Ron - wtrącił się Lewis - musisz natychmiast wyruszyć na pozycję trzydzieści cztery stopnie i trzydzieści minut północ, siedemdziesiąt pięć stopni wschód.

- To Dżaudar - rzekł Friday, patrząc na mapę. - Tam jest bojówka? W mia steczku?

- Nie - odpowiedział Lewis. - To twoje miejsce spotkania ze Strikerem.

Friday wyprostował się.

- Mam tu helikopter, panowie. Mogę tam być za niecałą godzinę. Striker wylądaje najwcześniej za cztery godziny. Przez ten czas zdążę dotrzeć do bojówki.

- Twój partner z Czarnych Kotów też - przypomniał mu Lewis.

- I? - naciskał Friday.

- Jeszcze nie skończyliśmy go sprawdzać - odparł Lewis. - Nie możemy ryzykować, że przekaże Pakistańczyków swoim ludziom.

- Bez obaw - uspokoił go Friday. - Nie ma mowy.

- Nie możesz tego zagwarantować - odpowiedział Lewis. - Poza tym uzgodniliśmy, że powinien polecieć z wami Kumar. Jegp też nie możemy być pewni. Uzgodniliśmy to z panem Herbertem, że spotkasz się w Dżaudarze ze Strikerem. Będą mieli aktualne współrzędne pozycji bojówki i środki, żeby zabrać ciebie i twoich towarzyszy w góry. Gdyby coś się zmieniło, damy ci znać.

- Tracimy cenny czas - zaprotestował Friday. - Zdążyłbym tam polecieć i wrócić, zanim zjawi się Striker.

- Podziwiam pański zapał - odezwał się Herbert - ale kobieta dowodząca bojówką jest ostrożna. Poruszają się w cieniu i pod nawisami skalnymi, kiedy to tylko możliwe. Nie jesteśmy pewni, jak są uzbrojeni. Mogą mieć ręczną wyrzutnię raketową. Jeśli zbliżycie się do nich w indyjskim helikopterze, mogą was zestrzelić.

- Jeśli powiecie nam, gdzie są, zatoczmy szeroki krąg i przechwycimy ich - nalegał Friday.

- Istnieje też możliwość - ciągnął Herbert - że pojawi się pakistański helikopter, żeby zabrać bojówkę. Nie chcemy doprowadzić do walki powietrznej z indyjską maszyną. Taki incydent mógłby dać Hindusom dodatkowy powód do rozpoczęcia ofensywy.

Friday zacisnął palce na telefonie. Chętnie udusiłby biurokratę. Facet nie rozumiał personelu terenowego. Nikt z nich nie rozumiał. Najlepsi agenci nie lubią siedzieć beczynn timer. A najlepsi z najlepszych potrafią z powodzeniem improwizować w większości sytuacji. Friday mógł

przeprowadzić tę akcję. Co więcej, chciał tego. Gdyby udało mu się przechwycić bojówkę i dostarczyć do domu, miałby szansę nawiązać kontakt z jej pakistańskimi kontrolerami. Dobre układy w New Delhi, Islamabadzie i Waszyngtonie byłyby nieocenione dla agenta w tym regionie.

- Patrzymy na to samo? - zapytał Herbert. Friday spojrzał na mapę.

- Tak.

Przypomniał sobie, co Herbert powiedział mu o eksplozji. Miała miejsce na wysokości około dwóch tysięcy czterystu metrów. Bojówka musiała być zatem po południowo-zachodniej stronie pasma górskiego. Wszystko na północ stamtąd leżało wyżej. Friday rozluźnił palce. Do diabła z urzędasami w ogóle, a z Bobem Herbertem w szczególności.

- Zawiadomimy pana, kiedy będziemy mieli dokładny czas przylotu i lokalizację Strikera - powiedział Herbert. - Ma pan jakieś pytania?

- Nie - odrzekł Friday spokojnie.

- Chce pan coś dodać, Hank? - Herbert zwrócił się do Lewisa.

Szef NSA odpowiedział, że nie. Podziękował Fridayowi i mężczyźni rozłączyli się. Friday odłożył telefon.

- Co powiedzieli? - zapytał Nazir.

- To, na co czekaliśmy - odparł Friday.

- Znaleźli bojówkę? Friday skinął głową.

- A moją wnuczkę? - wtrącił się Apu.

- Jest z nimi - odrzekł Friday. Oczywiście nie wiedział tego, ale chciał, żeby Apu poleciał z nim i Nazirem. Kumar gościł u siebie bojówkę. Gdyby trzeba było ubiec działania Hindusów, jego wyznanie wypadłoby bardzo dobrze w pakistańskiej telewizji.

Friday spojrzał na mapę. Herbert powiedział mu, że bojówka trzyma się nawisów skalnych.

To oznaczało, że jeśli polecana wysokości około dwóch tysięcy czterystu metrów wzdłuż jednej strony pasma górskiego, a potem wzdłuż drugiej, na pewno ją spotkają. Friday zerknął

na kartograficzny rzut stożkowy załączony do mapy i uśmiechnął się. Cała trasa miała około trzystu kilometrów.

Dostanie ich. Tego obiboka Herberta też.

- Chodźmy - powiedział do Nazira.

- Dokąd? - zapytał kapitan.

- Złapać terrorystów - odparł Friday.

118

ROZDZIAŁ 28

Waszyngton Czwartek, 4.02

B

ezpieczną salę konferencyjną Centrum otaczały ściany fal elektromagnetycznych, które powodowały zakłócenia na wypadek, gdyby ktoś próbował podsłuchiwać zebranych przy użyciu pluskiew lub anten zewnętrznych.

Hood przyszedł na spotkanie ostatni. Ciężkie drzwi były sterowane przyciskiem z boku owalnego stołu konferencyjnego. Hood wcisnął przycisk, kiedy usiadł u szczytu stołu.

Salę oświetlały jarzeniówki. Cyfrowy zegar odliczający na ścianie na wprost Hooda był wyciemniony. W czasie kryzysu pokazywał czas pozostały do godziny zero.

Ściany, podłogę, drzwi i sufit pokrywała izolacja akustyczna. Marmurko-we szaro-czarne pasy szerokości siedmiu centymetrów zachodziły na siebie, żeby nie było żadnych szpar. Pod nimi znajdowały się dwie warstwy korka, trzydzieści centymetrów betonu i druga izolacja akustyczna. Wewnątrz betonu biegły dwie druciane siatki, które generowały fale dźwiękowe.

Wszystkie przekazy elektroniczne z sali byłyby całkowicie zniekształcone. A gdyby jakieś zewnętrzne urządzenie podsłuchowe wylapało rozmowę, ciągła zmiana modulacji uniemożliwiłaby złożenie treści w całość.

- Dziękuję wszystkim za przybycie - powiedział Hood. Przyciemnił obraz na monitorze komputerowym wbudowanym w stół i zaczął ściągać piłki ze swojego biura. W tym samym czasie Pluskwa Benet łączył się z pułkownikiem Augustem przez telefon TAC-SAT. August i Rodgers spali w drodze do Turcji na zmianę, żeby jeden z nich był w każdej chwili osiągalny.

- Szosa była prawie pusta - powiedział Lowell Coffey. Nalał wodę z dzbanka do ekspresu do kawy na stoliku w rogi sali. Po chwili ekspres zaczął bulgotać. - Udało mi się przespać po drodze. Czy ktoś pomyślał o pączkach?

- Ty powinieneś - odparł Herbert. - Tylko ty byłeś na zewnątrz. - Ustawił swój wózek na miejscu z prawej strony Hooda.

- Jeśli jesteś głodny, mam w biurze nocne racje żywnościowe - powiedziała Liz Gordon, siadając na lewo od Hooda.

- Nie, dzięki. - Coffey usiadł naprzeciwko Hooda. - Zostanę przy kawie.
- Masz oficjalne wojskowe racje żywnościowe? - zainteresował się Herbert.
- Trzydaniowe zestawy - odparła Liz. - Suszone morele i ananas, konserwa mięsna i kruche ciasteczka. Dostałam je od przyjaciółki z Langley. Chyba ją znasz? To kapitan McIver.

119

- Owszem, pracowaliśmy razem przy pewnej tajnej operacji. - Herbert uśmiechnął się z rozmarzeniem. - Nocne racje żywnościowe... Nie jadłem tego od lat. Najlepiej mi smakowały nad ranem.
- Bo byłeś zmęczony i niewybredny - powiedział Coffey, uważany przez wszystkich za dyletanta.

Hood skończył ściągać dane i przesłał pliki do terminali wokół stołu. Liz i Coffey wpatrzyli się w swoje monitory. Chwilę później Pluskwa Benet uzyskał połączenie z herculesem C-1 30.

Hood przełączył telefon na głośnik i spojrzał na zebranych..- Możemy zaczynać.

Wszyscy się skoncentrowali.

- Pułkowniku August, słyszy mnie pan? - zapytał Hood.

- Tak wyraźnie, jakby leciał pan z nami, sir-odpowiedział dowódca Strikera.

Hood zwrócił się do Herberta.

- Bob, ty rozmawiałeś z New Delhi. Mógłbyś wprowadzić wszystkich w sprawę?

Herbert spojrzał na monitor komputera przy swoim wózku inwalidzkim.

- Dwadzieścia jeden godzin temu na rynku w kaszmirskim mieście Śrinagar miał miejsce zamach bombowy. - Mówił głośno, żeby jego słowa docie rały do telefonu. - Wysadzono w powietrze posterunek policji, świątynię hinduską i autobus pełen hinduskich pielgrzymów. Na podstawie informacji z NRO i od waszego łącznika z NSA, który tam był, mamy powody przy puszczać, że zamachu na posterunek dokonała Milicja Wolnego Kaszmiru, organizacja zbrojna z główną bazą w Pakistanie. Podejrzewamy jednak, że świątynię i autobus mogli wysadzić sami Hindusi. Uważamy, że jacyś ludzie w Służbie Ochrony Pogranicza, rządzie i wojsku indyjskim próbują zyskać poparcie opinii publicznej dla uderzenia nuklearnego na Pakistan.

Wszyscy milczeli. Słysząc było tylko szum powietrza wtlaczanego przez nawiewy sufitowe i bulgotanie ekspresu do kawy.

- Co się stało z pakistańskimi terrorystami? - spytał Coffey.
- W tej chwili bojówka przedziera się przez Himalaje, zapewne do Pakistanu - odparł

Herbert. - Mają zakładniczkę. To Hinduska, która najwyraźniej koordynowała działania SOP, żeby zamachy na świątynię i autobus wyglądały na robotę pakistańskich muzułmanów.

Bojówka musi dotrzeć do Pakistanu i zakładniczka musi ujawnić, co wie.

- Żeby uspokoić wzburzonych Hindusów, bo inaczej będą żądali pakistańskiej krwi - domyśliła się Liz.

- Tak - przyznał Herbert. - Próba zatrzymania Pakistańczyków nie powiodła się. Wysłani w góry komandosi SOP zostali zabici. Nie wiemy, jakie 120

opcje pościgu są rozpatrywane i czy bojówka skontaktowała się z Pakistanem. Nie wiadomo więc, czy Islamabad zorganizuje akcję ratowniczą.

- Jeśli tak, to pewnie helikopterowe poszukiwania krzyżowe - wtrącił się August.

- Co to znaczy? - zapytał Hood.

- Loty przecinające przypuszczalne trasy odwrotu - wyjaśnił pułkownik. - Bojówka nie zaryzykuje wysyłania do Pakistanu sygnałów naprowadzających ani podania przez radio punktu spotkania, bo mogłyby ją namierzyć indyjskie stacje nasłuchowe na linii kontroli.

Pakistańczycy nie mają satelitów, żeby zlokalizować bojówkę, więc musieliby użyć lotnictwa.

Wysłaliby śmigłowce zamiast odrzutowców, żeby trzymać się poniżej zasięgu indyjskich radarów.

- Słuszna uwaga - powiedział Herbert.

- Coś mi nie daje spokoju, Paul - odezwał się Coffey. - Czy ten agent NSA na pewno był

tylko obserwatorem, a nie uczestnikiem? Ta akcja mogła być zaplanowana kilka tygodni temu, żeby odwrócić uwagę od ich próby przewrotu w Waszyngtonie.

Coffey mógł mieć rację. Były szef NSA Jack Fenwick, chciał zastąpić prezydenta Michaela Lawrence'a bardziej wojowniczym wiceprezydentem Cot-tenem. Mógł pomóc w doprowadzeniu do obecnego kryzysu, żeby odwrócić uwagę od spodziewanej rezygnacji Lawrence'a.

- Uważamy, że Friday jest czysty, choć w tej chwili ma do towarzystwa indyjskiego oficera

- odparł Hood. - Gdyby był w to zamieszany, próbowałby zniknąć z tamtego rejonu i odciągnąć stamtąd nas.

- To żaden argument - zauważyła Liz.

- Jak to? - zdziwił się Hood.
- Jeśli sugerujesz, a tak mi się wydaje, że Striker ma pomóc bojówce dotrzeć do domu, Friday, trzymając się blisko nich, mógłby dopilnować, żeby to się nie udało.
- Teoretycznie tak - przyznał Herbert. - Ale jeśli Striker wyruszy za bojówką, będziemy mieli Fridaya na oku.
- Chcę zaznaczyć, pułkowniku, że jeszcze nie podjęliśmy ostatecznej decyzji w sprawie tej operacji - powiedział Hood. - Jeżeli postanowimy pomóc Pakistańczykom, kluczem do sukcesu będzie koordynacja. Bób, ty jesteś w kontakcie z dowództwem indyjskich sił powietrznych.
- Tak - potwierdził Herbert. - Z generałem Chowdhurym i jego doradcą. Uprzedziłem ich, że być może będziemy musieli zmienić sposób wprowadzenia Strikera do akcji.

- Masz na myśli zrzut? - spytał August.
- Tak - odparł Herbert. - Poprosiłem ich o spadochrony. Odpowiedzieli, że eskadra AN-12

Himalajskich Orłów na pewno będzie je miała. Rzecz jasna, nie zdradziłem im, jaką operację przeprowadzicie ewentualnie w regionie. Dobra wiadomość jest taka, że bez względu na charakter waszych działań będziecie kryci. Indyjscy wojskowi utrzymują wasz przyłot w ścisłej tajemnicy. SOP i inni ludzie stojący za zamachami w Śrinagarze nie wiedzą, że jesteście w drodze.

- A co z tym indyjskim oficerem, który jest z Fridayem? - spytał August. - Możemy mu ufać?
- Nie ma gwarancji - odparł Herbert. - Ale według Fridaya kapitan Nazir nie jest zwolennikiem uderzenia nuklearnego. Zwłaszcza że on i Friday będą podróżowali w kierunku Pakistanu.
- Właśnie o tym myślałem - zażartował August. - Może złożysz u Hindusów zapotrzebowanie na kalesony obłożone ołowiem?
- Chowaj się za Rodgersem - doradził mu Herbert. - Przez tego skurczybyka nic nie przechodzi, nawet promieniowanie.

Wszyscy zachichotali. Śmiech dobrze rozładowywał napięcie.

- Wysłaliśmy Fridaya i Nazira do miasteczka Dżaudar - podjął Herbert.
- Wiem, gdzie to jest - odrzekł August. - Na południowy wschód od rejonu, który mieliśmy zbadać.
- Jeśli postanowimy przeprowadzić akcję poszukiwawczą-ratowniczą, będziecie działali w górach na północ stamtąd - powiedział Herbert. - Tam namierzyliśmy bojówkę.
- Pułkownik August - odezwał się Hood - jeżeli zdecydujemy się ruszyć z tą operacją, będziecie musieli wylądować na spadochronach w Himalajach w pobliżu lodowca Sjaczén, dotrzeć do bojówki i przeprowadzić ją przez linię kontroli. Ryzyko jest bardzo wysokie. Czy Striker jest gotów wykonać to zadanie?
- Stawka też jest wysoka - odparł August. - Musimy je wykonać.
- Porządny facet - mruknął Herbert. - Cholernie porządny.
- Musicie pamiętać - wtrąciła się Liz - że Hindusi nie będą waszymi jedynymi potencjalnymi przeciwnikami. Będziecie musieli wziąć pod uwagę stan psychiczny bojówki.

Pakistańczycy są w wielkim stresie. Mogą nie uwierzyć, że jesteście sojusznikami. Ludzie w ich sytuacji nie ufają nikomu spoza swojej grupy.

- Słuszne spostrzeżenie - powiedział Hood. - Będziemy musieli o tym porozmawiać.

122

- Jest jeszcze coś do omówienia, Paul - odezwał się Coffey. - Według twoich danych Milicja Wolnego Kaszmiru przyznała się do jednego z trzech zamachów w Śrinagarze i do wszystkich poprzednich w Kaszmirze. Striker ma więc pomagać terrorystom. Z prawnego punktu widzenia nie będziemy mieli nic na swoją obronę. Delikatnie mówiąc.

- Nonsens - mruknął Herbert. - Faceci, którzy zabili moją żonę, nadal siedzą jakiejś mysiej dziurze gdzieś w Syrii. Terrorysty walczących krajów nie są ekstradowani. A nazwiska facetów, którzy pomagają terrorystom, nie trafiają nawet do gazet.

- Tak jest tylko w przypadku partyzantów, którymi opiekują się kraje wspierające terroryzm - odpowiedział Coffey. - Stany Zjednoczone nie należą do tych krajów. Nawet jeśli Strikerowi uda się przeprowadzić bojówkę do Pakistanu, Indie będą miały prawo zażądać ekstradycji każdego, kto przyłożył rękę do zamachu przy bazarze, ataku na komandosów SOP

i ucieczki terrorystów. Jeśli New Delhi nie dostanie bojówki MWK, weźmie się do Strikera.

- Indie nie są niewinne - zachnął się Herbert. - Planują atak jądrowy, do cholery!

- Nie Indie, tylko awanturnicy w rządzie - poprawił go Coffey. - Rząd indyjski będzie musiał wyprzeć się tych ludzi i ukarać ich.

Poirytowany prawnik wstał, nalał sobie kawy, wrócił na miejsce i wypił łyk. Hood spojrzał

na Herberta. Szef wywiadu Centrum nie lubił Coffeya, a jego niechęć do słuchania prawniczych wywodów była powszechnie znana. Niestety, Hood nie mógł zignorować słów prawnika.

- Mogę się wtrącić, panowie? - zapytał August.

- Proszę bardzo, pułkowniku - odrzekł Hood.

- Mówimy o możliwości wybuchu wojny jądrowej - zaczął August. - W tej sytuacji nie obowiązują zwykle zasady. Jeśli chcecie, mogę przeprowadzić głosowanie wśród moich ludzi, ale założę się, że powtórzą moje słowa: stawka jest warta ryzyka.

Hood chciał mu podziękować, ale głos uwiązł mu w gardle. Herbert nie miał tego problemu.

- Niech cię Bóg błogosławi - powiedział do Augusta i spiorunował wzrokiem Coffeya.

- Dziękuję, Bob - odrzekł August. - Panie Coffey, jeśli to coś da, Striker zawsze może odegrać przed Pakistańczykami rolę samotnego strażnika Teksasu.

- To znaczy? - zapytał Coffey.
- Możemy ich podrzucić, gdzie trzeba, a potem zniknąć za horyzontem, zanim zdążą nas zidentyfikować - wyjaśnił August.

123

Herbert uśmiechnął się. Hood też, ale w duchu. Miał kamienną twarz. Czuł na barkach ciężar decyzji, którą będzie musiał podjąć.

• Skontaktujemy się z panem później - powiedział. - Chciałbym panu podziękować, pułkowniku.

• Za co? Za to, że wykonuję swoje obowiązki?

• Za pański zapał i odwagę. Daje nam pan dobry przykład.

• Dziękuję, sir.

• Niech pan trochę odpocznie - doradził Hood. Wyłączył się i spojrzał na Herberta. - Bob, dopilnuj, żeby ktoś w NRO obserwował granicę pakistańską. Gdyby pojawił się jakiś helikopter szukający bojówki, musimy mieć możliwość wysłania Strikerowi ostrzeżenia. Nie chcę, żeby zostali uznani za nieprzyjaciela i zestrzeleni.

Herbert skinął głową.

- Lowell, znajdź jakąś podstawę prawną do przeprowadzenia tej operacji

- ciągnął Hood.

Coffey pokręcił głową.

• Nie ma żadnej, którą można by przedstawić Trybunałowi Międzynarodowemu.

• Nie potrzebuję takiej - odparł Hood. - Chcę mieć jakiś argument przeciwko ekstradycji Strikera, gdyby miało do tego dojść.

• Na przykład taki, że to była misja pokojowa.

• Właśnie - wtrącił się Herbert. - Założę się, że w statucie ONZ-etu znajdziemy jakąś bzdurę o konieczności utrzymania pokoju na świecie, która się nada.

• Misja bez wiedzy ONZ-etu? - zdziwił się Coffey.

• Wiesz, Lowell, Bob może mieć rację - powiedział Hood. - Sekretarz generalna ma prawo wskazać

Radzie Bezpieczeństwa region zagrożony wojną i wystąpić z wnioskiem o skierowanie tam inspektorów.

-^ Nie rozumiem, jak to może nam pomóc - odparł Coffey.

- Zespół inspektorów nie musi się składać z urzędników Rady Bezpieczeństwa - wyjaśnił

Hood. - Mogą go tworzyć agenci z krajów należących do Rady Bezpieczeństwa.

- To prawda - przyznał Lowell - ale nikt się nie zgodzi, żeby byli w nim sami Amerykanie.

- Nie będą - zapewnił Hood. - Indie też są członkiem Rady Bezpieczeństwa, a w Indiach mieszkają Hindusi.

- Rodacy sekretarza generalnej - odparł Herbert. - Kapitan Nazir i Nanda Kumar.

124

- Od kiedy to Rada Bezpieczeństwa zgadza się na cokolwiek? - wtrąciła Liz.

- Możemy wprowadzić sekretarza generalną Chatterjee w sprawę po wylądowaniu Strikera - odparł Hood.

- A jeśli odmówi współpracy z nami? - spytał Coffey.

- Nie odmówi - zapewnił go Hood.

- Skąd wiesz?

- Bo mamy jeszcze wydział prasowy. I postaram się, żeby wszystkie gazety na świecie napisały, że sekretarza generalna Chatterjee nie kiwnęła palcem, kiedy Indie przygotowywały atak jądrowy na Pakistan. Wtedy zobaczymy, czyjej krwi zażąda świat. Jej czy Strikera.

- Nie licz za bardzo na ten plan - ostrzegł go Coffey.

- A masz inny pomysł?

Coffey zgodził się przejrzeć statut ONZ-etu, Herbert zgodził się zaczekać z telefonem do Chatterjee. Obaj wyszli z sali. Z Hoodem została tylko Liz. Położyła dłonie na stole i wpatrywała się w nie.

- Jakiś problem, Liz? - spytał Hood. Spojrzała na niego.

- Miałaś konflikty z Małą Chatterjee.

- Tak - przyznał. - Ale nie chcę jej zaszkodzić. Zależy mi tylko na bezpieczeństwie Strikera.
- Czyżby? Walczyłeś z Chatterjee, walczyłeś z Sharon i odsunąłeś od siebie Ann Farris.

Powiedziała mi, co zaszło między wami.

- O co ci chodzi?
- Wiem, co myślisz o psychopaplaninie, Paul, ale musisz się odprężyć. Kobiety wywołują u ciebie duży stres. Staraj się nie przenosić swojej frustracji z jednej kobiety na drugą.

Hood wstał.

- Dobrze, nie będę. Obiecuję.
- Chciałabym w to wierzyć - odparła Liz i uśmiechnęła się. - Ale w tej chwili na mnie też jesteś wkurzony.

Hood nie odezwał się. Liz miała rację. Stał wyprostowany jak kij, z zaciśniętymi ustami i dłońmi zwiniętymi w pięści. Rozluźnił mięśnie ramion, wyprostował palce i spojrzał w dół.

- Moja praca polega na obserwowaniu ludzi i wskazywaniu im ich problemów - powiedziała Liz miękko. - Nie osądzam cię, Paul. Ale od czasu tamtej sprawy w ONZ-ecie jesteś w ogromnym stresie. Jesteś też zmęczony.

Ja chcę tylko, żebyś był takim zrównoważonym, bezstronnym facetem, ja kiego widziałam przed chwilą w rozmowie z Bobem i Lowellem.

125

Hood uśmiechnął się lekko.

- Dzięki, Liz. Doceniam twoje wysiłki.

Klepnęła go uspokajająco w ramię i wyszła. Hood spojrzał na zegar kryzysowy.

Nadal był wyciemniony. Ale wewnętrzny zegar Hooda tykał, a sprężyna była zrwinięta tak ciasno, jak powiedziała Liz.

Mimo to przypomniał sobie, że on jest bezpieczny w Waszyngtonie, podczas gdy Mikę Rodgers i Striker są w drodze do regionu, gdzie mogą uratować albo zgubić miliony ludzi -

łącznie z nimi.

W porównaniu z tym jego problemy nie miały żadnego znaczenia.

ROZDZIAŁ 29

New Delhi, Indie Czwartek, 14.06

J

ohn Kabir, sześćdziesięciodziewięcioletni minister obrony, siedział w swoim gabinecie, który tak jak wszystkie biura urzędników jego resortu, mieścił się w jednym z budynków rządowych sąsiadujących z gmachami parlamentu przy Gurdwara Rakabganj Road 36. Okna gabinetu wychodziły na szerokie trawniki, małe sztuczne stawy i dekoracyjne kamienne fontanny. Ruch uliczny był ledwo słyszalny za wysokim ozdobnym murem z czerwonego piaskowca, który otaczał rozległy kompleks. Po prawej stronie Kabir widział krawędź siedziby Lok Sabha, Izby Ludowej, a po lewej gmach Radźja Sabha, Izby Stanów. Członków Izby Ludowej wyłaniano w wyborach powszechnych, natomiast członkowie Izby Stanów byli mianowani przez prezydenta i wybierani przez parlamenty stanowe.

Kabir kochał swój naród i jego rząd, ale nie miał już wątpliwości, że system zawiódł.

Siwowłose minister właśnie skończył czytać e-mail od majora Deva Puriego o ruchach jego kompanii w górach. Puri i jego podwładni byli weteranami frontowymi. Mieli odnieść sukces tam, gdzie komandosi SOP ponieśli porażkę.

Kabir usunął plik z komputera i zamyślił się. Doprowadził swój kraj na rozdroże. To będzie albo ukoronowanie, albo koniec jego długiej kariery, którą zaczął w wojsku. Szybko awansował i w wieku trzydziestu siedmiu lat został kapitanem. Był dobrym oficerem, ale nie podobała mu się polityka rządu Indiry Gandhi. Zwłaszcza po wygranej wojnie z Pakistanem w 1971 roku, kiedy Indie nie umocniły panowania w Kaszmirze przez stworzenie 126

strefy zdemilitaryzowanej za linią kontroli. Kabir opracował plan zakładający wykorzystanie wiosek po pakistańskiej stronie do rutynowych ćwiczeń artylerii i lotnictwa. Co za pożytek z wygranej wojny, jeśli zwycięzca nie może zapewnić bezpieczeństwa swoich granic?

Plan odrzucono, a Kabir dostał naganę od ministra obrony. Złożył rezygnację i napisał

książkę *Co dolega chwiejnemu państwu*, która stała się bestsellerem. Potem wydał drugą, *Plan naszej bezpiecznej przyszłości*. Trzy miesiące później zaproponowano mu stanowisko sekretarza generalnego Partii Socjalistycznej Samyukta. Po trzech latach został

przewodniczącym krajowej Partii Socjalistycznej. Jednocześnie wybrano go na prezesa Ogólnoindyjskiej Federacji Transportowców. W roku 1974 roku kierował strajkiem, który paraliżował ruch drogowy i nawet kolejowy, gdy na przejazdach „psuły się” ciężarówki. Akcja skłoniła premier Indirę Gandhi do wprowadzenia stanu wyjątkowego w czerwcu 1975 roku, co umożliwiło jej zawieszenie swobód obywatelskich i uwięzienie przeciwników. Kabir został

aresztowany i spędził ponad rok w więzieniu. Nie powstrzymało go to od prowadzenia kampanii na rzecz reform. Dzięki działaniom związkowców i socjalistów popieranych przez Rosjan odzyskał wolność. Rosjanom podobało się zwłaszcza jego dążenie do wzmocnienia indyjskiej obecności

wojskowej wzdłuż granicy z Chinami. Kabir wykorzystał szerokie poparcie do objęcia stanowiska wiceministra przemysłu. Umocnił swoją popularność wśród mas pracujących i odnowił kontakty z wojskowymi. Mianowano go ministrem do spraw Kaszmiru i włączono do Komisji Spraw Zagranicznych. Tam zaprzyjaźnił się z Dilipem Sahanim, dowódcą Służby Ochrony Pogranicza w Kaszmirze. Obu niepokoiło zagrożenie ze strony fundamentalistów islamskich i badania jądrowe prowadzone przez Pakistan.

Przed dwoma laty wyżsi oficerowie i członkowie rządu popierający plan strefy bezpieczeństwa Kabira skłonili premiera, żeby mianował go ministrem obrony. Kabir zaprosił

do współpracy głównego dowódcę SOP, a stanowisko szefa SOP powierzył Dilipowi Sahamemu. Zaczęli spiskować. New Delhi poprzestało na zbudowaniu własnego arsenału nuklearnego jako środka odstraszenia i na zbieraniu informacji wywiadowczych pozwalających ocenić zagrożenie ze strony Pakistanu. Kabirowi i Sahaniemu to nie wystarczy-

ło. Chcieli być pewni, że Islamabad nie będzie miał możliwości rozpoczęcia dżihadu z użyciem broni masowej zagłady. Dzięki nieświadomej pomocy bojówki MWK i młodej członkini Cywilnej Sieci Operacyjnej SOP byli o krok od zrealizowania tego celu. Gdyby komandosom SOP udało się dopaść i zlikwidować bojówkę, zostałyby osiągnięty za kilka dni, jeśli nie godzin.

Teraz musieli czekać.

127

Major Puri nie zawiedzie ich. Otoczy bojówką i zabije terrorystów. Członkini CSO, która jest z Pakistańczykami, opowie, co widziała. A jeśli zginie podczas walki, zanim skona, ujawni majorowi Puriemu, jak MWK dokonała zamachu na świątynię i autobus. Wyszepce, że zabici hindusi to pierwsze ofiary dżihadu. Ludzie w Indiach uwierzą jej, bo w głębi serca będą wiedzieli, że powiedziała prawdę. Zrozpaczony dziadek dziewczyny potwierdzi jej słowa. I wtedy rząd indyjski zareaguje.

Prezydent i premier zaatakują Pakistan tak jak zwykle - słowami. Gdyby użyli broni nuklearnej, skutki byłyby trudne do wyobrażenia - przynajmniej tak się powszechnie uważa.

Ale świat nie zdaje sobie sprawy, że pakistańscy przywódcy poświęcą swój naród, byle tylko zniszczyć Indie i unicestwić hindusów. Islam nadal będzie miał miliony wyznawców.

Wiara przetrwa. A zabici Pakistańczycy trafią do raju.

Kabir nie zamierzał dać Pakistańczykom szansy zaatakowania Indii, ale chciał im pomóc dostać się do raju. Dlatego zaplanował uderzenie wyprzedzające.

Ludzie w podziemnym centrum dowodzenia siłami jądrowymi byli lojalni wobec ministra.

Zostali starannie wybrani spośród personelu wojskowego i SOP. Podlegali Kabirowi i Sahaniemu. Kiedy dostaną rozkazy, nic ich nie powstrzyma.

Kabir planował atak na Pakistańczyków, zanim skończy rozmieszczać swoją broń jądrową.

Użyje siedemdziesięciu dziewięciu pocisków balistycznych krótkiego zasięgu. Stanowiły one połowę indyjskiego arsenału nuklearnego i były ukryte w silosach tuż za linią kontroli.

Jedenaście pocisków trafi w Islamabad, zabijając prawie dwadzieścia procent stutrydziestomilionowego narodu. W następnych dniach i tygodniach na skutek promieniowania umrze kolejnych czterdzieści milionów Pakistańczyków. Reszta pocisków zniszczy pakistańskie obiekty wojskowe, między innymi siedem silosów zlokalizowanych gdzieś w Himalajach. Może amerykański oddział Strikerjć znajdzie, a może nie. W każdym razie obecność Amerykanów bardzo się przyda. Będzie potężnym narzędziem propagandowym Kabira. Pokaże światu, że Indie miały powód obawiać się pakistańskiej broni jądrowej.

Śmierć Amerykanów będzie godna ubolewania, ale nieunikniona.

Minister wyświetlił na monitorze komputera pozostałe cele. Pociski zostaną również wystrzelone we wszystkie pakistańskie bazy lotnicze. Najpierw po dwa w dziesięć głównych baz operacyjnych - w miastach Sargodha, Mian-wali, Kamra, Rafiāui, Masroor, Fajsal, ChaklaājmtSalpur, Peszawaf i Samungli. Potem po jednym w jedenaście frontowych baz operacyjnych, z któ-

128

rych korzystano tylko w czasie wojny a które znajdują się w miastach Sak-khar, Shahbaz, Multan, Vihari, Risalewala, Lahaur, Nawabshah, Mirpur Khas, Murid, Pasni i Talhar. I wreszcie w dziewięć baz pomocniczych do awaryjnych lądowań w miastach Rahim Yar Khan, Chander, Bhagtanwala, Chuk Jhumra, Ormara, Radżanpur, Sindhri, Gwadar i Kohat. Są tam tylko pasy startowe bez żadnej obsługi naziemnej, ale te lotniska też zostaną wymazane z mapy. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nie wystartuje żaden pakistański pocisk raketowy ani bombowiec. A gdyby nawet Pakistańczykom udało się zadać kilka ciosów nuklearnych, Indie przeżyją straty. Przywódcy przetrwają krótką pożogę wojenną w podziemnych bunkrach.

Kiedy już będzie po wszystkim, Kabira potępią albo pochwalą. Ale bez względu na to, jak zareaguje świat, minister był pewien jednego - postąpi słusznie.

ROZDZIAŁ 30

Ankara, Turcja Czwartek, 11.47

Transportowiec dalekiego zasięgu AN-12 używany przez indyjskie lotnictwo wojskowe to kuzyn największego samolotu na świecie, rosyjskiego Antonowa AN-225 Mriya. Jest o połowę mniejszy od tego sześciosil-nikowego olbrzyma i o jedną trzecią mniejszy od C-130, który dostarczył Strikera do Ankary. Ma ładownię umieszczoną z tyłu i izolowaną kabinę pasażerską przesuniętą ku dziobowi. Jest dużo cichszy od herculesa. Mikę Rodgers był za to wdzięczny.

Generał spał bite pięć godzin podczas ostatniego etapu podróży C-130. Udało mu się dzięki woskowym zatyczkom do uszu, które zabrał specjalnie w tym celu. Mimo to mniejszy hałas i wibracje były bardzo pożądane. Zwłaszcza* cza kiedy kapral Ishi Honda wstał ze swojego miejsca w tylnej części ciasnego przedziału pasażerskiego. Schylił głowę, żeby zmieścić się w wąskim przejściu biegnącym przez środek kabiny. W wypchanych siatkach pod sufitem leżał

sprzęt zimowy i ciepłe ubrania Strikera oraz spadochrony. Kapral podał Rodgersowi aparat TAC-S AT.

- Pan Herbert na linii - zameldował.

Pułkownik August siedział obok generała. Oficerowie wymienili spojrzenia.

- Dziękuję - powiedział Rodgers do Hondy.

' Kapral wrócił na miejsce, a generał podniósł słuchawkę.

129

• Na pokładzie są spadochrony, Bob. Dla nas? - spytał.

• Paul wydał zgodę na szybką akcję poszukiwawczo-ratowniczą bojówki - odparł Herbert.

„Szybką” oznaczało w języku szpiegowskim „nielegalną”. Operacja miała być przeprowadzona jak najprędzej, zanim ktokolwiek dowie się o niej i zdąży ją zablokować.

Wynikało z tego, że prawdopodobnie zostaną zrzućeni w Himalaje na spadochronach. Rodgers wiedział, co to znaczy.

- Zlokalizowaliśmy cel - ciągnął Herbert. - Viens śledzi ich w górach. Są na wysokości około dwóch tysięcy siedmiuset metrów i kierują się na pół

nocny zachód ku linii kontroli. Ich aktualna pozycja jest oddalona o pięć dziesiąt jeden kilometrów na północ od miasteczka Dżaudar.

Rodgers wyjął spod fotela gruby czarny atlas z grzbietem spiętym spiralą. Były w nim wszystkie mapy regionu. Znalazł miasteczko i powiódł palcem w górę. Odwrócił kartkę. Na drugiej stronie zamiast samych brązowych gór zobaczył duży biały klin skierowany w lewo ku dołowi.

• Idą prosto na lodowiec Sjaczen - powiedział.

• Tak sądzą nasi - odrzekł Herbert. - Terroryci kierują się tam, gdzie może im pomóc przyroda. Zimno, zamiecie, lawiny, rozpadliny to otoczenie, w którym mogą się bronić lub ukryć.

• Albo zginąć - zauważył Rodgers.

- Gdyby szli niżej, nie mieliby szans - odparł Herbert. - NSA przechwyciła raport z rosyjskiego satelity nasłuchowego nad linią kontroli. W kierunku lodowca wyruszyli żołnierze.

- Kiedy mogą tam być? - zapytał Rodgers.

- Nie wiemy tego - odpowiedział Herbert. - Ani tego, czy to desant powietrzny, czy jednostki zmotoryzowane, czy oddziały pieszce. Zobaczymy, co jeszcze nada rosyjski satelita.

- Czy generał Orłów mógłby nam pomóc?

Siergiej Orłów był szefem rosyjskiego Centrum Operacyjnego z siedzibą w Sant Petersburgu. Utrzymywał bliskie stosunki zawodowe i prywatne z Hoo-dem. Poprzedni dowódca Strikera, podpułkownik Charles Squires, zginął podczas wspólnej operacji, kiedy pomagał zapobiec przewrotowi w Rosji.

- Paul nie chce w to angażować Rosjan - odrzekł Herbert. - Ich technologia pomaga napędzać indyjską machinę wojenną. A indyjskie pieniądze napędzają rosyjskich generałów.

Orłów nie mógłby zagwarantować, że nie będzie przecieku, jeśli się do kogoś zwróci.

- Obawiam się, że NSA też nie może nam tego zagwarantować - powiedział Rodgers.

130

- Zgadzam się z tobą- przyznał Herbert. - Nie jestem pewien, czy Hank Lewis załatał

wszystkie dziury, które wywiercił Jack Fenwick. Dlatego mówię Fridayowi tylko to, co musi wiedzieć. Poleci do Dżaudaru z oficerem Czarnych Kotów i dziadkiem informatorki CSO, która jest z bojówką.

- Dobre posunięcie - pochwalił Rodgers.

- Staramy się też uzyskiwać od Himalajskich Orłów regularne informacje o pogodzie -

ciągnął Herbert. - Ale zanim dotrzecie na miejsce, wszystko może się zmienić. A przy okazji, jak was traktują obecni gospodarze?

- Dobrze - odrzekł Rodgers. - Dostaliśmy racje żywnościowe, cały sprzęt jest na pokładzie i nie mamy opóźnień.

- W porządku. Podam, ci współrzędne punktu zrzutu o godzinie H minus piętnaście.

- Przyjąłem.

Rodgers spojrział na zegarek. Zostały im jeszcze trzy godziny lotu. Mieli dość czasu na rozdanie i sprawdzenie sprzętu, ubranie się i przejrzenie map z oddziałem.

• Odezwe się do ciebie, kiedy będę miał więcej informacji - powiedział Herbert. -

Potrzebujesz czegoś?

• Nic mi nie przychodzi do głowy, Bob.

Zapadła krótka cisza. Mikę Rodgers wiedział, co nadchodzi. Usłyszał zmianę w głosie Herberta przy ostatnim pytaniu. Stanowczość zastąpił smutek.

• Mikę, nie muszę ci mówić, że to kurewskie zadanie.

• Nie musisz. Rodgers oglądał powiększone zdjęcia rejonu zrzutu. Sam teren nie był

probleinem. Niepokoiły go wiatry. W górach miały prędkość od osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu ośmiu kilometrów na godzinę. Prawdziwe wichury.

• Ale muszę ci przypomnieć, że nie jesteś członkiem Strikera - mówił dalej Herbert. - Jesteś wyższym oficerem Centrum.

• Do rzeczy, Bob - odparł Rodgers. - Paul chce, żebym trzymał się z tyłu?

• Nie rozmawiałem z nim o tym - powiedział Herbert. - O co ci chodzi? Przedtem ignorowałeś jego rozkazy.

• Owszem - przytaknął Rodgers. -1 uratowałem Tokio przed atakiem jądrowym, o ile dobrze pamiętam.

• Tak było - potwierdził Herbert. - Ale myślałem, że mogłoby nam pomóc, gdybyśmy mieli na miejscu łącznika z rządem indyjskim.

• Oddeleguj do tego jednego z facetów, których FBI zakamuflowało w naszej ambasadzie - doradził Rodgers. - Wiem, że tam są. Hindusi też wiedzą.

• Kiepski pomysł - orzekł Herbert.

131

• Posłuchaj, Bob. Chętnie pogadam z każdym ważniakiem, z którym będę musiał, ale z terenu. - Rodgers pochylił się nad mikrofonem. - Cholernie dobrze wiesz, co nas czeka.

Patrzyłem na mapy lotnicze. Kiedy wyskoczymy nad górami, sam wiatr może nas załatwić.

Możemy stracić ludzi jeszcze w powietrzu.

• Wiem.

- Cholera, gdyby nie to, że indyjska załoga musi pilotować samolot, zabrałbym tych Hindusów na ziemię. Niech sami ratują swój kraj. Więc nawet nie próbuj mi sugerować, że mam nie robić tego, co Striker. Zwłaszcza przy tej stawce.

- Nie chodzi mi o Strikera ani o resztę świata. Chodzi mi o starego, czterdziestosiedmioletniego przyjaciela z kolanami uszkodzonymi na boisku futbolowym. O

przyjaciela, który może bardziej zaszkodzić niż pomóc Strikerowi, jeśli zostanie ranny przy lądowaniu na lodzie.

- Możesz być pewien, że jeśli tak się stanie, wydam im rozkaz, żeby mnie zostawili - uspokoił go Rodgers.

- Nie zrobią tego.

- Zrobią. Będą musieli tak zrobić z każdym, kto zostanie ranny. - Odłożył słuchawkę i przywołał kaprala Hondę, żeby zabrał telefon. Potem wstał.

- Zaraz wracam - zwrócił się do Augusta.

- Coś trzeba zrobić? - zapytał pułkownik.

Rodgers spojrział na niego z góry. August znalazł się w niezręcznej sytuacji. Generał był jednym z jego najstarszych i najbliższych przyjaciół, miał też wyższy stopień wojskowy.

Między innymi dlatego August dwukrotnie odrzucił propozycję Rodgersa, żeby objął

dowodzenie Strikerem. Pułkownik często miał trudności ze znalezieniem równowagi między stosunkami prywatnymi i służbowymi. Teraz też. Wiedział, czym ryzykuje jego przyjaciel i oddział.

- Powiem ci za kilka minut - odparł Rodgers i ruszył w kierunku kokpitu.

Szedł na kontuzjowanych nogach, którymi był gotów skopać komuś dupę.

ROZDZIAŁ 31

Dżaudar, Kaszmir Czwartek, 15.33

P

odczas lotu zwiadowczego helikopterem na małej wysokości w takim regionie jak Himalaje nie ma miejsca na błąd.

Patrząc z perspektywy pilota, zapewnienie maszynie stabilności jest praktycznie niemożliwe.

Śmigłowiec kołysze się wzdłuż osi podłużnej i poprzecznej, pionowo i poziomo, a czasem po przekątnej. Utrzymanie obserwowanego obszaru w zasięgu wzroku też jest problematyczne.

Pilot często musi wykonywać nagłe manewry i oddalać się od celu, żeby ominąć gwałtowne prądy powietrzne, chmury przesłaniające widok lub zamiecie śnieżne. Samo utrzymanie maszyny w powietrzu to już sukces. Każda informacja zdobyta przez obserwatora jest uważana za dar, nie za rzecz oczywistą.

Ron Friday włożył okulary przeciwsłoneczne, żeby nie raził go blask, i hełm lotniczy, żeby móc się porozumiewać w hałaśliwej kabinie z kapitanem Nazirem. Na zmianę wyglądał przez przednią i boczne szyby kokpitu. Na kolanach trzymał pistolet maszynowy MP5K. Gdyby zauważyli terrorystów, mogłoby dojść do strzelaniny. Ale Friday miał nadzieję, że w takim wypadku kilka serii w powietrze skłoni Pakistańczyków do przerwania ognia i wysłuchania go. Jeśli nie, był gotów wycofać się i trafić jednego czy dwóch z karabinu snajperskiego 1ASL, który tkwił w uchwytach za jego plecami i miał większy zasięg niż przypuszczalne uzbrojenie terrorystów. Gdyby Nazir mógł zapewnić maszynie stabilność, strzały byłyby celne. Po kilku ranach postrzałowych Pakistańczycy prawdopodobnie pozwoliliby Fridayowi wylądować i zbliżyć się do nich. Zwłaszcza gdyby obiecał im transport drogą powietrzną do szpitala w Pakistanie.

Apu siedział w przestronnej ładowni na rozkładanym plastikowym krzeselku z cienką poduszką na wierzchu. Pochylał się do przodu i patrzył przez właz między ładownią i kokpitem. Na jego twarzy malował się niepokój. Friday podejrzewał, że Kumar nie tylko martwi się, czy znajdą jego wnuczkę. W jego oczach i grymasie ust dostrzegał zwątpienie. Być może w młodości Apu chodził w góry, ale na pewno nigdy nie dotarł tak daleko i tak wysoko.

Nigdy nie patrzył w dół na nagie szczyty. Nigdy nie słyszał ciągłego huk wiatru przez hałas potężnych rotorów napędzanych silnikami o mocy dziewięćset dwunastu koni mechanicznych. Nigdy nie czuł uderzeń wiatru w maszynę ani zimna przenikającego przez metalowe ściany kadłuba wyłożone brezentem. Wiedział, że jeśli nie znajdą Nandy, dziewczyna ma małe szanse na przeżycie.

Helikopter wciąż leciał w kierunku linii kontroli. Na razie nie zauważyli terrorystów, ale Friday nie przejmował się tym. Mieli jeszcze przed sobą lot na południe po drugiej stronie pasma górskiego.

Nagle stało się coś, czego Friday się nie spodziewał. Usłyszał głos w swoim hełmofonie. To nie był kapitan Nazir.

- W strefie trzeciej nic - zatrzeszczało słabo w słuchawkach. - Powtarzam: w strefie trzeciej nic. -
Potem zapadła cisza.

Friday przestawił przełącznik na panelu radiowym na komunikację wewnętrzną. Mogli się teraz

porozumiewać tylko między sobą w kokpicie, z nikim na zewnątrz.

- Co to było? - zapytał.

Nazir wolno pokręcił głową.

- To nie wieża kontrolna. - Wolant drżał gwałtownie. Kapitan nie chciał zdejmować z niego rąk. - Widzi pan żółty przycisk pod panelem radiowym?

- Widzę.

- To włącznik anteny w kopule dziobowej - wyjaśnił Nazir. - Niech pan go wciśnie raz, a potem znów ustawi przełącznik na odbiór zewnętrzny.

Friday wykonał polecenie. Głosy natychmiast stały się wyraźniejsze. Nadchodziły meldunki z innych stref. Pojawił się również sygnał świetlny na małej zielonej mapie kierunkowej.

Wskazywał północny zachód. Friday przełączył ich z powrotem na interkom. . - Lepiej to sprawdzmy - powiedział.

- To nie może być pakistańska grupa poszukiwawcza - odrzekł Nazir. - Nie porozumiewaliby się na tej częstotliwości.

- Wiem - przytaknęła Friday. - Niedaleko stąd jest linia kontroli. Obawiam się, że to mogła być indyjska jednostka.

- Meldunki nadchodziły z różnych stref-powiedział Nazir.-To by wskazywało na typową akcję poszukiwawczo-ratowniczą. Przelecimy nad nimi?

- Po co?

- Mogą znać lokalizację bojówki. My jej nic znamy. Kierunek, w którym się posuwają, mógłby nam coś powiedzieć.

- Nie - zdecydował Friday i znów wyrzwał przez szybę. - Szkoda czasu i paliwa.

- Co zrobimy, jeśli się z nami skontaktują? - spytał Nazir. - Kiedy dolecimy do końca pasma, może nas namierzyć radar na linii kontroli. Mogą nas poprosić o pomoc w poszukiwaniach.

- Odpowiemy, że wykonujemy rutynowy lot zwiadowczy i musimy zaraz wracać do Kargilu.

Apu wsunął rękę przez otwór wjazdu i poklepał Fridaya w ramię.

- Wszystko w porządku?! - zawołał.

Friday skinął głową. Nagle dostrzegł kłęby śniegu pod nawisem skalnym około trzydziestu metrów niżej.

- Stop! - krzyknął do Nazira.

Helikopter zwolnił i zawisł w powietrzu. Friday wychylił się w bok. Tumany śniegu koncentrowały się na małej przestrzeni i przesuwwały na północ.

134

Mogło je wzbijać zwierzę na urwisku lub wiatr. Nie sposób było to stwierdzić, bo nawis zasłaniał widok. Słońce stało za szczytem i w obserwowanym miejscu nic nie rzucało cienia.

- Widzi pan to? - zapytał Friday. Nazir przytaknął.
- Niech pan wolno schodzi w dół i cofa - polecił Friday.

Helikopter zaczął się zniżać i jednocześnie oddalać od urwiska. Szczyt zajmował coraz mniej przestrzeni za szybami kokpitu. Dalej wyłaniał się rozległy grzbiet. Brązowopurpurowe pasma górskie były spektakularnym widokiem. Na szczytach leżał śnieg, a w niektórych bliższych partiach gór wciąż padał. Brudnobiałe zasłony przypominały kurtyny sceniczne. Przez jedną z zamieci przebijało słońce i tworzyło tęczę - tak wielkiego i jaskrawego łuku Friday jeszcze nie widział. Nie miał czasu podziwiać krajobrazu, przez chwilę czuł się jak Bóg.

Opadli niemal trzydzieści metrów niżej. W polu widzenia ukazali się trzej ludzie. Byli w odległości około siedemdziesięciu metrów. Szli blisko siebie. Mieli na sobie ciemne, grube ubrania. Nieśli plecaki i broń. Nie zatrzymali się i nie spojrzeli w górę na helikopter, dopóki podmuch od rotora nie poderwał śniegu z półki skalnej pod ich stopami. Friday nie był

zaskoczony, że w huczącym wietrze nie usłyszeli śmigłowca.

- Jest tam Nanda? - zapytał Apu.

Friday nie potrafił odpowiedzieć. Był zawiedziony, że tylko trzy osoby z bojówki dotarły tak daleko. Chyba że...

- Niech pan się z powrotem wzniesie i leci na północ! - krzyknął.

Nazir przyciągnął do siebie półkolisty wolant i helikopter zwiększył wysokość. Nagle nastąpiła seria krótkich, mocnych uderzeń w rotor ogonowy i prawą ścianę ładowni. Friday nie usłyszał ich, ale poczuł wstrząsy. Zobaczył też cienkie smugi dziennego światła w dolnej części ładowni.

- Co się dzieje?! - zawołał Nazir.
- Myślą, że jesteśmy wrogami! - odkrzyknął Apu.
- To zasadzka! - krzyknął Friday. - Podzielili się na dwie grupy!

Helikopter zakolysał się i Friday usłyszał metaliczny dźwięk lewego wirnika ogonowego.

Ogień z tyłu najwyraźniej uszkodził łopaty rotora. Gdyby nie poderwali się w porę do góry, śmigłowiec spadałby teraz ogonem w dół do skalistej, zasnutej mgłą doliny pod nimi.

Tymczasem kapitan miał trudności z ustabilizowaniem maszyny i lotem naprzód, nie mówiąc o wznoszeniu. Po chwili helikopter przestał nabierać wysokości.

- Nic z tego! - oznajmił Nazir. - Mamy wyciek paliwa!

135

Friday spojrział na wskaźnik i zaklął. Pozbyli się już całego sprzętu z ładowni. Została tylko wciągarka przymocowana na stałe. Nie mogli jeszcze bardziej odciążać śmigłowca. Nie mieli nic więcej do wyrzucenia. Zresztą nie było na to czasu.

Helikopter zaczął gwałtownie się trząść. Friday wyjrzał przez szybę. Tęcza zniknęła, kiedy zmienił się kąt padania promieni słonecznych. Friday nie czuł się już jak Bóg, tylko jak ostatni frajer. Dał się nabrać na prostą sztuczkę. Obserwujesz niegroźną grupę, a z tyłu dobiera ci się do dupy jej ukryte wsparcie. - Musimy gdzieś wylądować!- przynaglił Nazira.

- Szukam miejsca - odparł kapitan. - Ale żadnego nie widzę.

Nagły podmuch wiatru obrócił ich niemal o czterdzieści pięć stopni i ustawił przodem do urwiska. Druga seria, tym razem wystrzelona z czołowej grupy, posiekała podwozie.

Helikopter pochylił się i opadł. Byli wysoko nad doliną. Friday nie widział ziemi, bo zasłaniała jągęsta mgła. Nie chciał schodzić w dół. Nie chciał zgubić bojówki i być tu, kiedy eksplodują głowice jądrowe.

- Muszę usiąść, dopóki mamy szansę na kontrolowane lądowanie - powiedział Nazir.
- Jeszcze nie - odparł Friday. Odpiął pas bezpieczeństwa i wstał. - Niech pan się cofnie, Apu.
- Co pan zamierza? - spytał Nazir.
- Przeczolgać się do tyłu - odrzekł Friday. - Ma pan możliwość manewrowania w przód i w tył?
- Ograniczoną- odpowiedział Nazir. - Jeden wirnik ogonowy jeszcze działa.
- W porządku. Niech pan obróci ogon w kierunku szczytu. Apu i ja spróbujemy opuścić się na linie wciągarki na półkę skalną.
- Przy tym wietrze?! - wykrzyknął Nazir. - Zdmuchnie was w bok!

- Wiatr wieje na południowy wschód - zauważył Friday. - W stronę urwiska. To powinno nam pomóc.
- Możecie też uderzyć w skały.
- Musimy zaryzykować! - krzyknął Friday. - Chcę dotrzeć do bojówki i ostrzec ich, że przed nimi są żołnierze!
- Nawet jeśli uda wam się wylądować na półce, zastrzelą was - powiedział Nazir.
- Najpierw wyślę Apu - odrzekł Friday. - Nanda powinna rozpoznać dziadka po ubraniu.

Mogą też uznać, że przydamy się im jako zakładnicy. W każdym razie jest szansa, że nie będą strzelali. - Wyjął nóż sprężynowy i odciął pas bezpieczeństwa. Odczepił radio i podał Apu. -

Może uda mi się wywołać Strikera. Powiem im, gdzie jesteśmy, i podam przybliżone miejsce pań-

136

skiego lądowania. Striker pomoże nam dotrzeć do Pakistanu, a pana zabierze patrol himalajski-
Wytłumaczy im pan, że prowadził pan samodzielny zwiad, ale nie znalazł pan bojówki.

Nazir nie wyglądał na przekonanego. Ale nie było czasu na dyskusję. Wykonał polecenie Fridaya. Oparł stopy na podłodze, zacisnął dłonie na sterach, obrócił ostrożnie helikopter i zaczął się zbliżać do urwiska. Friday odłączył przewód radiowy od swojego hełmu. Potem wy dostał się z kokpitu przez właz między siedzeniami.

- Co się dzieje? - zapytał Apu. Był bledszy niż zwykle. W przeciwieństwie do ogrzewanego kokpitu w ładowni było cholernie zimno.
- Wsiadamy - odrzekł Friday i zrobił z pasa bezpieczeństwa prowizoryczną uprząż, przypominającą bandolier.
- Nie rozumiem - powiedział Apu.
- Niech pan się po prostu trzyma. - Friday zapiął mu z przodu pas i poprowadził go do wciągarki. Trudno było ustać na nogach w podskakującej ładowni, więc doczołgali się do tyłu helikoptera. Nylonowa lina nawinięta na bęben miała średnicę około sześciu i pół milimetra.

Friday odczepił hak od ucha w podłodze.

- Wyjdzie pan pierwszy - powiedział i przeciągnął linę przez uprząż własnej roboty.
- Na zewnątrz? - zapytał Apu.
- Tak. Do pańskiej wnuczki. - Friday szarpnął linę. Wyglądało na to, że trzyma. Skierował

Apu w stronę ogona maszyny i ulokował go w kucki na włazie. - To będzie nieprzyjemny zjazd - uprzedził. - Niech pan po prostu chwyci się liny, skuli i nie puszcza, dopóki pana nie odbiorą.

- Zaraz! - zawołał Apu. - Skąd pan wie, że to zrobią?
- Nie wiem, ale będę się za pana modlił! - odparł Friday i sięgnął do długiej dźwigni ryglującej właz w podłodze. Pociągnął ją. Poczul szarpnięcie, kiedy kłapa zaczęła się otwierać.

Chwycił szybko pilota do obsługi wciągarki. Lina zaczęła się odwijać, gdy do ładowni wdarło się lodowate powietrze. - Niech pan im powie, że będę następny! - krzyknął, kiedy Apu zsuwał się w tył.

Apu złapał linę i wysunął się z ładowni. Friday też chwycił linę wolną ręką i zbliżył się do otwartego włazu. Przekręcił głowę tak, żeby hełm przynajmniej częściowo chronił go przed gwałtownymi podmuchami, zmrużył oczy i obserwował. Tak jak się spodziewał, wiatr mocno kołysał Kumarem i podrywał go do góry. Widok był surrealistyczny: człowiek-latawiec.

Helikopter zbliżył się do urwiska na jakieś osiem metrów. Przechylał się w prawo, w stronę nieczynnego rotora ogonowego. Wznosił się i opadał w podmuchach wiatru.

137

Ale Nazirowi udawało się utrzymać go w miejscu, gdy Apu szybował na linie w kierunku skalnej półki. Nadzieje Fridaya spełniły się. Jedna grupa Pakistańczyków przygotowała się do odbioru Apu, druga stała z bronią wycelowaną w helikopter. Im bliżej urwiska był Apu, tym silniej miotaly nim prądy powietrzne krzyżujące się przy skalnej ścianie. Ale jeden z Pakistań-

czyków, trzymany przez drugiego, zdołał go złapać. Kiedy wszyscy byli bezpieczni, członkowie bojówki odczepili linę. Friday zaczął ją wciągać z powrotem. Patrzył, jak Apu rozmawia z Pakistańczykami. Jeden dał po chwili znak drugiej grupie, żeby nie strzelali do helikoptera.

Gdy lina wróciła na górę, Friday przełożył ją przez uchwyt radia, a potem przeciągnął pod pachami i wokół pasa. Przycisnął radio do brzucha i położył się na plecach. Chciał opaść nogami w dół, żeby ochronić radio. Przysunął się do krawędzi otwartej kłapy i wcisnął

włącznik odwijania liny. Chwycił ją, wyprostował nogi i zaczął się zsuwać. Zimny wiatr szarpał nogawkami jego spodni. Friday czuł się, jakby obdzierano go ze skóry. I nagle runął w przepaść. Po opuszczeniu ładowni nie mógł już kontrolować obrotów wciągarki, więc lina odwijala się szybciej niż przedtem. Wiatr też był silniejszy. Urwisko zbliżyło się tak szybko, że ledwo zdążył przygotować nogi. Uderzył mocno stopami. Wstrząs dotarł aż do czaszki.

Friday odbił się i poczul szarpnięcie, a potem opadanie, gdy helikopter znurkował za jego plecami.

- Jasna cholera! - wrzasnął. Miał wrażenie, że dostał kłodą w pierś. Lina napięła się i stwardniała

jak stal, kiedy śmigłowiec zaczął lot ku ziemi.

Ze skalnej półki sięgnęły po niego ręce. Wiatr utrzymał go w powietrzu. Ktoś chwycił radio, ktoś inny usiłował odwiązać linę.

Nagle ktoś stojący przed nim uniósł AK-47 i strzelił serią nad jego głową. Nylonowa lina pękła i wiatr pchnął Fridaya naprzód. Więcej rąk złapało go za kurtkę i wciągnęło na skalną półkę. Friday leżał przez chwilę i łapczywie zasysał powietrze do bolących płuc. Był

zwrócony twarzą ku dolinie i widział, jak helikopter zniża się powolną, leniwą spiralą.

Nagle przestał się obracać i opadł ogonem w dół. Nabrał szybkości i w końcu zniknął w nisko wiszących chmurach.

Po chwili rozległ się huk i odbił echem w dolinie. Towarzyszył mu poma-rańczowoczerwony błysk, który zabarwił chmury jak farba.

Ale Ron Friday nie miał czasu rozmyślać o śmierci kapitana Nazira. Ręce, które go uratowały, podniosły go i postawiły pod skalną ścianą.

Kobieta przycisnęła mu lufę do podbródka i zmusiła go, żeby na nią spojrzął. Miała twarz wysmaganą wiatrem i obłęd w oczach.

- Kim jesteś?! - krzyknęła, żeby usłyszał ją przez wycie wiatru.

138

- Ron Friday z wywiadu amerykańskiego! - odkrzyknął. - Dowodzisz komórką MWK?
- Tak - potwierdziła.
- To dobrze - powiedział Friday. - Jesteś tą, której szukam. I Nandy. Jest z wami?
- Bo co?! - wrzasnęła.
- Bo ona może być jedyną osobą, która zdoła zapobiec nuklearnej zagładzie twojego kraju - odparł Friday.

ROZDZIAŁ 32

Waszyngton Czwartek, 6.25

Co tam się stało, do cholery? - zapytał Viensa Bob Herbert.

Szef wywiadu Centrum siedział przy biurku w swoim gabinecie i patrzył spod półprzymkniętych powiek na monitor komputera. Obraz, który pojawił się na ekranie, wyrwał

go z drzemki. Natychmiast wcisnął samoczynne wybieranie numeru na telefonie i połączył się ze Stephenem Viensem w NRO.

- Wygląda na to, że spadł helikopter - odrzekł Viens.
- Helikopter - powtórzył Herbert. Zabrzmiało to bardziej jak pytanie niż stwierdzenie.
- Drzemałeś - domyślił się Viens.
- Tak, miałem przymknięte oczy - przyznał się Herbert. - Co się stało?
- Widzieliśmy tylko, że do urwiska zbliża się ogon helikoptera, z którego opuściło się na linie dwóch ludzi - powiedział Viens. - Wygląda na to, że bojówka odebrała tych ludzi, a helikopter spadł. Nie mieliśmy na tyle szerokiego pola widzenia, żebyśmy mogli być tego pewni.
- ! Friday miał helikopter - przypomniał Herbert. - Czy to mógł być on?
- Nie wiemy, kto był na końcu liny - odparł Viens. - Wyglądało na to, że jeden z nich ma radio. Jakąś elektroniczną skrzynkę, w każdym razie. Nie przypominała aparatów używanych przez nasz wywiad.
- Zadzwoń do ciebie później - powiedział Herbert.
- Bob? - odezwał się Viens. - Jeśli to był helikopter indyjskich sił powietrznych, będą chcieli wiedzieć, dlaczego spadł. A nawet jeżeli nie należał do nich, eksplozję zarejestrują ich satelity lub sejsmografy.
- Wiem. - Herbert zatrzymał Viensa na linii i połączył się z biurem Hanka Lewisa. Szef NSA jeszcze nie przyjechał do pracy. Herbert zadzwonił na 139

jego komórkę, ale odezwała się poczta głosowa. Lewis albo był na linii, albo poza zasięgiem.

Herbert zaklął. W końcu wybrał numer domowy Lewisa. Przerwał mu golenie.

Powiedział szefowi NSA, co się stało, i zapytał go, czy jest pewien, że Ron Friday poleciał do Dżaudaru.

- Tak przypuszczam - odpowiedział Lewis. - Nie rozmawiałem z nim od czasu naszej telekonferencji.
- Ma pan jakąś możliwość skontaktowania się z nini?
- Tylko jeśli jest w helikopterze.
- A na komórką?
- Jeszcze nie próbowaliśmy. Ale w ruchu, w górach, to może być trudne.
- Fakt - przyznał Herbert. - A co z radiem?

- Kontaktowaliśmy się z nim na częstotliwości NATO, ale nie mam jej w domu -

odpowiedział Lewis.

- Rozumiem. Spróbujemy go wytropić i wywołać. Dam panu znać, kiedy go znajdziemy.

Herbert wyłączył się i spojrzał na zegar komputera. Była szósta trzydzieści. Kevin Custer, szef łączności elektronicznej Centrum, powinien już być w swoim biurze. Herbert zadzwonił do niego.

Trzydziestodwuletni Custer był absolwentem Instytutu Technologicznego Massachusetts i dalekim krewnym generała George'a Armstronga Custera. Wszyscy mężczyźni z rodziny Custerów służyli w wojsku, więc Kevin spędził dwa lata w armii, a potem zaczął pracować w CIA. Po trzech latach porwał go stamtąd Herbert. Custer miał najwięcej optymizmu, zapału i energii ze wszystkich ludzi, jakich Herbert kiedykolwiek spotkał.

Powiedział, że zaraz zdobędzie potrzebne informacje, i poprosił Herberta, żeby Zaczekał przy telefonie. I rzeczywiście już po chwili je miał.

- Zobaczmy... NSA dostaje sygnał przychodzący przez wejście 101.763, PL 123.0 Hz, a inwersja kierunku to 855. Mogę się skontaktować ze źródłem sygnału, jeśli chcesz.

- Zrób to - poprosił Herbert.

Chwilę później usłyszał impuls.

• Zostawiam cię samego - powiedział Custer. - Daj mi znać, gdybyś potrzebował jeszcze czegoś.

• Potrzebują - odrzekł Herbert. - Mógłbyś zadzwonić do Paula Hooda i włączyć go na linię?

Custer obiecał, że to zrobi. Radio nadało drugi impuls, potem trzeci i czwarty.

140

• Co jest, Bob? - odezwał się Hood. Miał zaspany głos. Najwyraźniej on też drzemał.

• Viens i ja właśnie obserwowaliśmy, jak pakistańska bojówka odbiera dwóch ludzi z helikoptera, który po chwili spadł - wyjaśnił Herbert. Radio nadało piąty impuls. - Próbujemy ustalić, czy jednym z nich był Ron Friday.

• Myślałem, że poleciał do Dżaudaru - zdziwił się Hood.

- No właśnie.

Radio nadało jeszcze dwa impulsy, zanim ktoś się zgłosił. To nie był Ron Friday.

- Tak? - rozległ się kobiecy głos. ,
- Tu baza 855 - przedstawił się Herbert, podając kodowy numer identyfikacyjny. - Kto mówi?
- Ktoś, kto ma wasze radio i jego operatora - odparła kobieta. - Właśnie uratowałam go od śmierci. Ale to odroczenie może być tylko chwilowe.

Herbert mógłby dokładniej określić miejsce, gdyby nie wycie wiatru w tle. Kobieta była sprytna. Powiedziała tylko, że uratowała Fridayowi życie. Nie wspomniała o reszcie bojówki ani o drugim człowieku z helikoptera. Starła się zdradzić Herbertowi jak najmniej.

Herbert wyłączył mikrofon.

- Paul, trzeba z nią porozmawiać. Musimy ją zawiadomić, że Striker jest w drodze.
- To nie jest bezpieczny kanał? - upewnił się Hood.
- Nie - przyznał Herbert.
- Friday pewnie jej to powie.
- Poleciał tam indyjskim helikopterem - zauważył Herbert. - Mogą mu nie uwierzyć. Pozwól mi ją wtajemniczyć.

- Ale bądź ostrożny, Bob. Nie mów jej dokładnie, kim jesteśmy.

Herbert włączył mikrofon.

- Niech pani posłucha - zaczął. - Jesteśmy z wywiadu amerykańskiego. Człowiek, którego macie, pracuje z nami.
- Podał mi swoje nazwisko. Friday - odparła kobieta. - Jak ma na imię?
- Ron.
- W porządku - powiedziała kobieta. - Czego od nas chcecie?
- Chcemy was bezpiecznie dostarczyć do domu - wyjaśnił Herbert. Starannie dobrał

następne słowa, na wypadek gdyby słuchał go ktoś jeszcze. - Wiemy, co się stało w Śrinagarze. Wiemy, co zrobiła wasza grupa i czego nie zrobiła.

Nie musiał mówić nic więcej. Kobieta domyśli się reszty. Zapadła krótka cisza.

- Dlaczego chcecie nam pomóc? - spytała w końcu.

- B«o obawiamy się środków odwetowych - odparł Herbert. - Nie przeciwko wam, tylko przeciwko waszemu krajowi.
- Czy ten wasz Friday wie o tym?
- Wie dużo więcej - zapewnił Herbert. - I nie jest sam.
- Owszem - przyznała. - Uratowaliśmy jeszcze starszego mężczyznę...
- Nie o nim mówię - przerwał jej Herbert.

Znów zapadła cisza. Herbert wyobraził sobie, że kobieta szuka na niebie następnych helikopterów.

- Rozumiem - odezwała się po chwili. - Porozmawiam z nim. Wywiadzie amerykański, nie wiem, czy będę mogła wziąć ze sobą to radio. Jeśli jest jeszcze coś, co powinnam wiedzieć, powiedzcie mi to teraz.

Herbert zastanowił się. >

- Jest jedna sprawa - przyznał. Mówił głośno i wyraźnie, żeby dobrze zrozumiała każde słowo. - Pomagamy wam, bo bezczynność doprowadziłaby do śmierci milionów ludzi. Nie mam szacunku dla terrorystów.
- Wywiadzie amerykański - odparła, wymawiając te dwa słowa jak imię i nazwisko Herberta - gdyby świat nas szanował, nie byłoby terroryzmu.

Potem wyłączyła się.

ROZDZIAŁ 33

Góra Kanzalwan Czwartek, 16.16

S

zarab prawie nie czuła palców. Mimo grubych rękawic i ciągłego ruchu marzła jak nigdy przedtem. Drętwiały jej dłonie, kiedy nimi nie ruszała. A kiedy ruszała i krew zaczynała krążyć szybciej, piekły. To samo było ze stopami. Wiatr wysuszał jej oczy. Każde mrugnienie oszronionymi powiekami sprawiało ból.

Ale najgorsze było cierpienie psychiczne. Nasilało się w momentach, gdy huraganowy wiatr słabł, nawis skalny się zwężał i prażyło słońce. Kiedy nie musiała walczyć o przetrwanie i miała czas pomyśleć.

Dała się przechytryć indyjskim siłom bezpieczeństwa. Doprowadziła do tego, że jej rodacy, jej

towarzysze, pakistańscy patrioci, zginą. Dzielny Iszak już przypłacił jej porażkę życiem.

Przez nią oddział musiał uciekać i znalazł się nad tą przepaścią. Nie wydostaną się z tych gór.

Nie powiedzą światu, że to Indie, nie Pakistan, są odpowiedzialne za zamach na hinduską świątynię i autobus z pielgrzymami.

142

Ale, jak mówi Koran, „złoczyńcy nigdy nie zaznają szczęśliwości”. Może Allan jej wybaczył i czuwał nad nią, bo zesłał z nieba tego człowieka. Szarab nie lubiła Amerykanów i nie ufała im. Walczyli z muzułmanami na całym świecie i starali się przypodobać New Delhi zamiast Islamabadowi. Nie będzie jednak sprzeciwiała się woli Allaha. Jeżeli właśnie ten człowiek ma ich uratować, niech tak się stanie.

Ron Friday wciąż leżał na brzuchu. Obok Nanda tuliła się do dziadka. Szarab zajmie się nimi za chwilę. Przywołała Samuela. Razem podnieśli Amerykanina i wepchnęli pod nawis skalny. Było tu jeszcze zimniej, bo nie dochodziło słońce, ale nie groziło przynajmniej zsuniecie się z półki. Szarab nie chciała, żeby Amerykanin spadł w przepaść, zanim usłyszy od niego to, co miał jej do powiedzenia.

Mężczyzna jęknął, kiedy przytrzymała mu bark, żeby mógł stać.

- Mów, co wiesz - rozkazała.
- Co wiem? - Przy każdej sylabie Friday niemal tracił oddech. - Zacznę od tego, że zestrzełaś nasz bilet na wydostanie się stąd.
- Nie trzeba było przylatywać bez zapowiedzi indyjskim helikopterem - odparła. - To było głupie.
- Konieczne! - zaprotestował i aż jęknął z bólu.

Szarab musiała przytrzymać go mocniej, żeby nie zgiął się wpół. Pewnie przy twardym lądowaniu połamał sobie żebra. I dobrze. Ból sprawi, że będzie pobudzony i czujny.

- Teraz to i tak nieważne - ciągnął Friday. - Najważniejsze jest to, że wrobiła was indyjska SOP. Nandę też. Dziewczyna pomogła im wysadzić w powietrze świątynię i autobus. Według naszych danych wywiadowczych, SOP uznała, że zamachy pomogą im uzyskać poparcie społeczeństwa dla wojska. Nanda pewnie nie ma pojęcia, że indyjscy wojskowi zamierzają odpowiedzieć na zamachy uderzeniem nuklearnym.
- Z powodu zniszczenia świątyni? - Szarab była zdumiona.
- Tak - potwierdził Friday. - Militaryści powiedzą społeczeństwu, że to był pierwszy atak w świętej wojnie islamistów przeciwko hinduistom. Umiarkowani ministrowie i wojskowi mogą nie mieć innego wyjścia, jak tylko przyłączyć się do tamtych.

- Powiedziałaś, że macie dane wywiadowcze. Jakie? Amerykańskie?
- Amerykańskie i indyjskie. Pilot, który mnie tu dostarczył, był oficerem Czarnych Kotów.

Miał informacje o działaniach SOP. Nasi ludzie w Waszyngtonie doszli do tych samych wniosków. Co on. Dlatego przydzielili amerykańskiej jednostce szturmowej inne zadanie, niż dostała wcześniej.

143

- A jakie dostała wcześniej?
- Miała pomóc indyjskim wojskowym zlokalizować pakistańską broń jądrową.
- Wysłano ich na pomoc Indiom, a ja mam im zaufać?! - wykrzyknęła Szarab.
- ISfie masz wyboru - odparł Friday. - Kiedy szukaliśmy was z powietrza, widzieliśmy indyjskich żołnierzy idących w tym kierunku. Posuwają się szeroką tyralierą od linii kontroli.

Nie przebijecie się.

- Spodziewałam się tego, odkąd zabiliśmy w górach ich komandosów -powiedziała Szarab.
- Ilu ich jest?
- Zdołałem zobaczyć około setki. Ale może być ich więcej.
- Ilu będzie amerykańskich żołnierzy i jak nas znajdą?
- Dwunastu komandosów z elitarnej jednostki specjalnej. Obserwują was przez satelitę.
- Widzą nas teraz? Friday skinął głową.
- Więc dlaczego ty musiałaś nas szukać?
- Bo nie chcieli mi powiedzieć, gdzie jesteście. Jestem z innej agencji. To brak zaufania, rywalizacja.
- Głupota - parsknęła Szarab. Pokręciła głową. -- Tuzin żołnierzy przeciwko stu. Kiedy Amerykanie tu będą?
- Niedługo.
- Jak się tu dostaną?

- Indyjskim transportowcem z eskadry Himalajskich Orłów.

Szarab zastanowiła się. Militarnie Amerykanie niewiele pomogą. Ale może będzie mogła ich wykorzystać w inny sposób.

- Możesz się skontaktować z amerykańską jednostką? - zapytała.

- Tak - odparł Friday. - Przez Waszyngton.

- Dobrze. Samuel?

- Tak, Szarab? - odezwał się potężny mężczyzna.

- Zaczekasz tu z Nandą - poleciła. - Ja sprowadzę resztę w dolinę. Pół godziny po naszym odejściu ruszysz dalej zaplanowaną trasą.

- Tak jest.

Szarab odwróciła się, żeby podejść do Nandy i Apu.

- Czeka! - zawołał Friday. - Tamci już mają przewagę liczebną. Dlaczego chcesz podzielić grupę?

- Jeśli skontaktujemy się z Amerykanami przez radio, indyjskie oddziały na ziemi przechwycą wiadomość - wyjaśniła Szarab. - Ściągniemy ich na siebie.

144

- Dlaczego myślisz, że wezmą jeńców?

- Nieważne. Ghodź o to, żebyśmy zatrzymali ich na tak długo, jak się da. Umożliwimy Samuelowi ucieczkę. Sam powiedziałaś, że tylko Nanda może zapobiec wojnie jądrowej.

Musi dotrzeć do Pakistanu. Rodacy wysłuchają jej i uwierzą w jej słowa.

- Skąd pewność, że Nanda was nie zdradzi?

- Bo wiem coś, czego ty nie wiesz. Pociski rakietowe, których miał szukać wasz oddział, są już na miejscu. W górach. Wycelowane w New Delhi, Bombaj, Kalkutę. Atak na Pakistan zamieni cały subkontynent w pustynię.

- Zawiadomię moich szefów - powiedział Friday. - Ostrzegą Hindusów, żeby nie...

- Jak ich ostrzegą? - przerwała mu Szarab. - Nie mam żadnych dowodów. Nie wiem, gdzie są pociski, a mój rząd tego nie ujawni. Wiem tylko, że zostały rozmieszczone.

Dokonywaliśmy zamachów, żeby odwrócić uwagę indyjskiego wojska, kiedy elementy pocisków

jechały na miejsce. - Wzięła głęboki oddech. Jeśli się wścieknie i zacznie pocić, pot zamarznie. - Jeżeli Nanda chce uratować swój kraj, musi z nami współpracować. A to oznacza, że w drodze do Pakistanu nie może zginąć!

- W porządku - zgodził się Friday. - Ale idę z nią. Będzie potrzebowała ochrony. I musi wypaść wiarygodnie w oczach świata. Byłem świadkiem zamachów. Dopilnuję, żeby ludzie z naszej ambasady potwierdzili jej słowa.

- Skąd mam wiedzieć, że jej nie zabijesz?! - wrzasnęła Szarab. Wiatr przybrał na sile i musiała krzyczeć, żeby Friday ją usłyszał. - Przyleciałeś indyjskim helikopterem. Skąd mam wiedzieć, czy nie chciałeś nas zabrać z po-

. wrotem do Kargilu? Mam tylko twoje obietnice i łączność radiową z kimś, kto może być każdym! To nie wystarczy, żebym uważała cię za sojusznika!

- Mogłem was powystrzelać z helikoptera - odpowiedział spokojnie. -

To chyba wystarczy, żebyś nie uważała mnie za wroga?

Szarab musiała przyznać, że Amerykanin ma rację. Ale wciąż nie do końca mu ufała.

- Tracimy cenny czas - ciągnął Friday. - Idę z Nandą. Chyba że zamie rzasz mnie zabić.

Szarab nadal przypierała go do ściany i wpatrywała się w jego twarz. Ale oczy łzawiły mu z zimna i nie mogła z nich nic wyczytać. W tej chwili musiały jej wystarczyć słowa.

- Samuel pokieruje operacją-zdecydowała'.

Friday energicznie przytaknął. Szarab puściła go. Samuel podtrzymawał Fridaya, dopóki się nie upewnił, że Amerykanin nie upadnie.

- Zaczekaj tu - poleciła Szarab. Odwróciła się plecami od urwiska i ruszyła w stronę Nandy. Hinduska kuciała obok dziadka w Irozpadli nie. Kiedy Szarab zbliżyła się do niej, wstała. Miała na twarzy gruby szal.

Widać było tylko jej oczy.

Szarab powiedziała Nandzie, że pójdzie w jednej grupie z Samuelem, Amerykaninem i swoim dziadkiem.

- Dlaczego? - zapytała dziewczyna.

Kiedy Szarab powtórzyła jej, czego się dowiedziała od Fridaya, zobaczyła w oczach Nandy zwątpienie i niepokój. Może Hinduska rzeczywiście nie wiedziała, co knują członkowie SOP i wojskowi.

Jej reakcja wskazywała, że Amerykanin powiedział prawdę i do wybuchu wojny jądrowej pozostały tylko godziny.

ROZDZIAŁ 34

Waszyngton Czwartek, 6.51

P

aul Hood nie był zaskoczony, że Bob Herbert bez ogródek powiedział tamtej kobiecie, co myśli o niej i jej metodach działania. Żonę Herberta zabili islamscy terroryści. Współpraca z pakistańską bojówką musiała być dla niego udręką.

Ale szczerłość Herberta była również mądrą zagrywką taktyczną. Obcy traktują podejrzliwie wyrozumiałość i pochlebstwa. Ale jeśli powiesz im wprost, że ich nie lubisz i współpracujesz z nimi tylko z konieczności, uwierzą w każdą informację, jaką im podasz.

- Wszystko w porządku, Bob? - zapytał Hood.
- Jasne - odparł Herbert. - Choć muszę przyznać, że była dobra.
- Ty też.
- Nie poczuła tego. Fanatycy mają skórę jak pancerz czołgu. Ale nie ma sprawy. Jestem dużym chłopcem. Wiem, jak to działa.
- Po prostu czasem uderza trochę za blisko serca.
- Właśnie.

Bywali już razem w takich sytuacjach. Herbert musiał po prostu przez to przebrnąć.

- Jeszcze o tym pogadamy, Bob - powiedział Hood. - Teraz zawiadomię prezydenta. Musi wiedzieć, co planujemy.

Herbert milczał przez chwilę.

146

- Zastanawiam się, czy rzeczywiście powinniśmy to zrobić - powiedział wreszcie.
- Co? - spytał Hood. - Pozwolić Strikerowi wkroczyć?
- Tak.
- A masz inny pomysł?
- Zrzucić problem na prezydenta. Niech to załatwi z indyjskim rządem.
- Nie zrobi tego bez dowodów - odrzekł Hood. - Powiem mu, co nas niepokoi i co zamierzamy. Wiem, co odpowie. Wyda zgodę na lądowanie Strikera w celu zebrania informacji wywiadowczych, zwłaszcza że rząd indyjski zgodził się na ich obecność na tamtym terenie. Da nam swoje błogosławieństwo. Reszta będzie należała do Mike'a.

Herbert milczał.

- Ciągle nie jesteś przekonany - zauważył Hood.
- Nie - przyznał Herbert. - Przeanalizujemy jeszcze raz, jakie mamy możliwości.
- W porządku - zgodził się Hood cierpliwie.
- Uznaliśmy, że rząd indyjski prawdopodobnie nie jest zaangażowany w przygotowania do uderzenia jądrowego - zaczął Herbert. - Więc dopóki nie postawimy tej kobiety z Kargilu przed kamerami telewizyjnymi, żeby wyjaśniła, że to robota spiskowców, dopóty nie będziemy mieli dowodu dla prezydenta i Hindusów.
- Zgadza się - przytaknął Hood. - A indyjskie oddziały*, ścigają Nandę i Pakistańczyków, żeby ich wyeliminować.
- Tak przypuszczamy.
- Musimy zakładać, że to akcja poszukiwawczo-likwidacyjna. SOP nic nie zyska na złapaniu Pakistańczyków i ujawnieniu prawdy. Musimy dać bojówce szansę na dotarcie do domu.
- Boże, miej nas w opiece.

- Bob, tu chodzi o coś więcej niż udzielenie pomocy terrorystom - powiedział Hood. - Wiesz o tym.
- Wiem. Ale wcale mi się to nie podoba.
- Zanim byśmy to załatwili kanałami dyplomatycznymi, ci Pakistańczycy mogliby już nie żyć.
- A jeśli rozpoczniemy operację, mogą zginąć członkowie Strikera - skontrował Herbert.
- Tak jest zawsze, kiedy wyruszają w teren - przypomniał mu Hood. - Jeśli Mikę lub pułkownik August będą mieli jakieś zastrzeżenia, w każdej chwili mogą odwołać akcję.

147

- Nie zrobią tego. Nie przy tej stawce.
- Pewnie masz rację-zgodził się Hood.
- Mikę to facet z jajami - dodał Herbert.
- I zna swoich ludzi. Cytował ci księcia Wellingtona?
- Chyba nie.
- Zapytałem kiedyś Mike'a, po czym poznaje, że wycisnął ze swoich ludzi wszystko, na co ich stać. Przyczytał wtedy słowa Wellingtona: „Nie wiem, jakie wrażenie wywrą ci ludzie na przeciwniku, ale mnie przerażają”. I powiedział, że kiedy czuje, że jego ludzie są na tyle twardzi, by go przestraszyć, przestaje dawać im wycisk.
- Nie musisz mi przypominać, że Striker jest najlepszy. Ale niepokoi mnie zrzut w Himalajach. Niepokoi mnie konieczność zaufania terrorystom, brak wsparcia, a najbardziej brak strategii odwrotu.
- Mnie też to wszystko niepokoi - zapewnił Hood. - Ale jednocześnie zdają sobie sprawę, że nie mamy innego wyjścia.

Zapadła cisza. Hood czuł się tak, jakby Herbert go osądzał.

- Wiem, że robimy to, co musimy - odezwał się w końcu szef wywiadu Centrum. - Ale to nie znaczy, że musi mi się to podobać. - W jego głosie nie było już złości ani pretensji, tylko rezygnacja.

Herbert powiedział, że zadzwoni do NRO po informację o dokładnej pozycji bojówki i przekaże Strikerowi ostatnie dane przed godziną H. Hood podziękował mu i wyłączył się.

Przetarł oczy. Herbert miał swoje demony, ale on też.

W przeciwieństwie do Herberta nigdy nie narażał życia na pierwszej linii frontu. Zanim objął obecne stanowisko, był burmistrzem i finansistą. Wysyłał już Strikera w niebezpieczne miejsca, ale jeszcze nigdy w rejon zbrojnego konfliktu. Ta decyzja wydawała się nonszalancją, hipokryzją i tchórzostwem.

Ale, jak powiedział Herbertowi, była również koniecznością. Prywatne problemy Hooda nie mogły mieć wpływu na jego pracę. Musi być obiektywny. Jest to winien prezydentowi i narodowi.

Czuł się wyczerpany fizycznie i psychicznie. Co gorsza, po zakończeniu tej sprawy czekała go likwidacja biura prasowego. Na razie mógł ograniczyć do minimum kontakty z Ann Farris.

Poinstruuje ją, że do południa ma obowiązywać całkowita blokada informacji o działaniach Centrum. Każe wyłączyć telefony i komputery, zabroni też personelowi działu prasowego odbierać połączenia na komórkę. Pytania kierowane na automatyczny numer główny pozostaną bez odpowiedzi. On, Bob Herbert, Liz Gordon i Lowell Coffey pójdą do bezpiecznej sali konferencyjnej i zostaną tam do końca kryzysu.

148

A potem oznajmi Ann Farris złą nowinę i poświęci jej całą swoją uwagę. Jest jej to winien.

ROZDZIAŁ 35

Wysokie Himalaje Czwartek, 16.19

S

spadochrony PF 3000 Merit, wykonane z nieporowatej mieszanki tkanin, dawały skoczkom maksymalną kontrolę nad opadaniem. Przy nagłym prądzie powietrznym lekko eliptyczne czasze o zwężonych końcach zachowywały kształt i nośność, zapewniały więc stosunkowo miękkie lądowanie. Merity były wręcz idealne dla początkujących skoczków.

Miały klasyczne linki wyzwalające z plastikowymi uchwytami, wąskie pasy upręży i zewnętrzną powłokę czaszy z lekkiej tkaniny cordura. Były też wyposażone w gumowe cięgno do natychmiastowego opuszczania czaszy po wylądowaniu na wypadek silnego wiatru na ziemi.

Członkowie Strikera rozpakowali spadochrony i dokładnie sprawdzili czasze, linki i złącza.

W sytuacji, gdy część indyjskich wojskowych najwyraźniej działała na własną rękę, Rodgers wolał się upewnić, że nie dokonano sabotażu.

Komandosi, ubrani w białe kombinezony zimowe z nomeksu, ustawili się w szeregu przy władze. Stali w półprzysiadzie, żeby nie stracić równowagi w niestabilnym samolocie. Każdy miał pistolet Browning Mark 2 kaliber 9 w kaburze biodrowej, kevlarową kamizelkę kuloodporną, skórzane rękawice i buty do wspinaczki. W bocznych kieszeniach kamizelek tkwiły latarki, flary, granaty ręczne, zapasowe magazynki do pistoletów i mapy. Z powodu ujemnej temperatury na zewnątrz komandosi mieli włożyć przed skokiem maski tlenowe firmy Leyland and Birmingham, które

osłaniały całą twarz i miały przyciemniane nietłukące okulary zapewniające szerokie pole widzenia. Sanitariusz William Musicant był dodatkowo obciążony pasem medycznym. Kompaktowy zestaw opracowany przez jednostkę Navy SEAL i używany w czasie operacji „Pustynna Burza” pozwalał opatrywać rany odniesione podczas lądowania i walki.

Zdjęcia satelitarne terenu Viens przesłał z komputera NRO bezpośrednio do laptopa Strikera. Rodgers wydrukował dwa komplety kopii i puścił w obieg. To samo zrobił z drugą partią zdjęć, która wteśnie przyszła.

Komandosi mieli wyskoczyć nad tak zwanym terenem wysokokontrastowym, co oznaczało, że lądowanie nie będzie łatwe. Celem był płaski występ 149

skalny o wymiarach mniej więcej siedemdziesiąt na dziewięćdziesiąt metrów - jedyne stosunkowo duże i poziome miejsce w rejonie. Niebezpieczeństwo stwarzało kilka sporych wypiętrzeń skalnych i przepaście po zachodniej i północnej stronie. Od wschodu i południa występ otaczały strome ściany. Pułkownika Augusta niepokoiły również wiatry. Wskazał

kolorowe zdjęcie.

- Jeśli będzie mocno wiało - powiedział - przy tej wklęsłej południowo--wschodniej ścianie może się utworzyć potężny ciąg powietrza, który oddali nas od strefy lądowania.
- Bojówka porusza się wzdłuż bardzo wąskich półek skalnych - odparł Rodgers. - To jedyne miejsce, gdzie możemy ją przechwycić.
- Dlaczego musimy ich złapać w górach? - zapytał Ishi Honda.

Rodgers pokazał inne zdjęcie od Viensa. Tyraliera ciemnych postaci posuwała się przez ponurą okolicę z zaroślami w kolorze pszenicy i białymi plamami śniegu.

- To indyjscy żołnierze, którzy idą w kierunku naszej strefy docelowej - wyjaśnił. - NRO i Bob Herbert oceniają, że są niecałe osiem kilometrów od kontaktu. Oddział liczy dwustu ludzi, ale nie mamy pewności. Zdobyliśmy te zdjęcia, włamując się do chińskiego satelity, który obserwuje linię kontroli. Nie możemy się cofnąć, żeby mieć szersze pole widzenia.
- Tak czy inaczej - wtrącił August - jeśli nie uda nam się przeprowadzić bojówki przez granicę, będziemy musieli odeprzeć dużo większe siły.
- Negocjacje nie wchodzi w grę - dodał Rodgers. - Musimy się przez nich przebić.

Popatrzył na swoich ludzi. Z wyjątkiem sanitariusza wszyscy brali już udział w walce.

Przelewali krew wrogów i widzieli rany swoich towarzyszy. Rodgers był pewien, że dadzą z siebie wszystko.

Pułkownik wyjaśnił, co mają robić po wylądowaniu. Dostaną się za linię przeciwnika, niosąc miny. Dwaj lub trzech komandosi pójda przodem i ułożą miny wzdłuż trasy, żeby ochronić oddział przed

pościgiem. Rozrzucą również sproszkowaną cebulę albo surowe mięso, żeby zdezorientować psy. Na zdjęciach nie było psów, mieli więc nadzieję, że indyjscy żołnierze nie prowadzą ich ze sobą.

Bojówka składała się z czterech ludzi, którym towarzyszyli Friday i dwoje Hindusów, toteż pułkownik zdecydował się na formację ABBA -jeden komandos Strikera przed i za każdą dwójką Pakistańczyków. Takie ustawienie umożliwi kontrolowanie tempa marszu i obserwację eskortowanych ludzi. Herbert i Rodgers nie spodziewali się oporu ze strony bojówki, Z tego, co wiedzieli, wynikało, że obie grupy chcą tego samego: dotrzeć do Pakistanu. Co do zagrożenia ze

1}0

strony indyjskich żołnierzy, zamierzali poruszać się po zapadnięciu zmroku, prowadzić walkę partyzancką albo po prostu okopać się, przeczekać i pójść dalej, kiedy będzie to możliwe.

Musieli zrobić wszystko, żeby przeżyć.

Komandosi Strikera ćwiczyli tę strategię w Górach Skalistych. Nazwali ją czerwono-białoniebieską, bo w ciągu dwóch godzin ich palce zmieniały kolor z czerwonego na biały, a potem na siny. Ale byli dobrze przygotowani na to, co ich czeka. Po wylądowaniu będą wiedzieli, co robić. Najpierw jednak musieli wylądować. Znajdowali się na wysokości około trzech tysięcy metrów, niżej niż podczas większości skoków z dużego pułapu z opóźnionym otwarciem spadochronu. Operacje zaczynały się zwykle na wysokości prawie dziesięciu tysięcy metrów.

Skoczkowie mieli aparaty tlenowe, żeby uniknąć niedotlenienia krwi, a spadochrony otwierały wyzwalacze barometrycz-ne na wysokości około sześciuset metrów nad celem. Korzystano z nich z powodu dwóch niebezpieczeństw, jakie groziły skoczkom - barotrauma, czyli wywołanego przez zmianę ciśnienia bolesnego rozszerzenia jelit, uszu i zatok, oraz hiperwentylacji, będącej skutkiem stresu. Kiedy opadanie trwało długo, skoczkowie mieli dużo czasu na myślenie o tym, czy trafią w cel. Szybkie oddychanie tlenem z butli mogło doprowadzić do obniżenia poziomu dwutlenku węgla we krwi i utraty przytomności.

Teraz, przy mniejszej wysokości, nie istniał żaden z tych problemów, ale mieli skakać z pułapu większego o sześćset metrów niż podczas ćwiczeń w Górach Skalistych. A nawet tam jeden z ówczesnych członków Strikera, Bass Moore, złamał nogę.

Sierżant Chick Grey żuł gumę, obojętny jak zwykle. W oczach szeregowców Davida George'a, Jasona Scotta i Terrence'a Newmeyeralbyło trochę więcej determinacji i agresji niż zwykle. Kapral Pat Prementine i szeregowiec Matt Bud przestępowali z nogi na nogę, jak zawsze pełni energii. Pobudliwy szeregowiec Walter Pupshaw wyglądał, jakby chciał odgryźć komuś głowę i wypluć tchawicę, co było normalne u największego narwańca w Strikerze.

Pozostali zachowywali się spokojnie, z wyjątkiem Sondry DeVonne i zielonego sanitariusza Williama Musicanta, którzy wydawali się trochę spięci. Musicant miał małe doświadczenie bojowe, a Sonda wciąż obwiniała się o śmierć podpułkownika Charliego Squiresa. Przez wiele miesięcy korzystała z porad Liz Gordon. Ale potem brała udział w operacjach Strikera, więc Rodgers miał pewność, że może na nią liczyć. Inaczej nie byłoby jej tu.

Kiedy byli gotowi, Rodgers podniósł słuchawkę telefonu obok wjazdu. Drugi pilot poinformował go, że będą nad celem za niecałe pięć minut. August ustawił ludzi w szeregu i stanął z przodu. Rodgers miał wyskoczyć ostatni.

151

Ponieważ samolot nie był zwykle używany do skoków, nie miał linki wyciągającej ani sygnalizacji świetlnej dla spadochroniarzy. August i Pupshaw otworzyli wjazd, Rodgers był w kontakcie telefonicznym z kokpitem. Powietrze, które wdarło się do kabiny, uderzyło w komandosów niczym lodowa pięść. Rodgers był zadowolony, że mają maski i aparaty tlenowe.

Inaczej ściana mroźnego wiatru uniemożliwiłaby im oddychanie. Podmuch odrzucił Augusta i Pupshawa do tyłu. Musieli skorzystać z pomocy następnych w szeregu, żeby wrócić na miejsce.

Rodgers ruszył w kierunku ogona, żeby oddalić się od wjazdu. W ogłuszającym wietrze nie usłyszałby rozkazu do skoku. Przeszedł trzy metry, tak daleko, jak sięgał przewód telefoniczny, i zasłonił ręką lewe ucho. Tylko w ten sposób mógł słyszeć drugiego pilota.

August pokazał ludziom, żeby zastosowali metodę używaną podczas tajnych nocnych skoków. Polegała na tym, że każdy kładł prawą rękę na ramieniu poprzednika. Kiedy ramię usuwało się spod dłoni, wiedział, że teraz jego kolej..

Sekundy wlokły się w nieskończoność. Wreszcie nadeszła wiadomość, że są niecały kilometr od celu. Potem pół kilometra. I ćwierć.

Rodgers jeszcze raz spojrzął na swoich komandosów. Jeśli nawet wiedzieli, jaki trudny będzie ten skok, nie okazywali tego. Byli odważni i zdyscyplinowani. Generał miał nadzieję, że jeśli któryś nie trafi w cel, i tak przeżyje.

August zerknął na Rodgersa i uniósł kciuk. Najwyraźniej już widział mały płaskowyż. To oznaczało, że w strefie zrzutu nie pada śnieg. Nie wyskoczą bezpośrednio nad celem, ale na północny zachód od niego. Drugi pilot wyli czył, że wiatr wieje w kierunku południowo-wschodnim z prędkością stu kilometrów na godzinę. Będą musieli kompensować, żeby niósł ich do celu, nie w przeciwną stronę.

j

Przelecieli nad płaskowyżem. August uniósł oba kciuki. Zauważył bojówkę. Rodgers skinął głową.

Chwilę później dostał sygnał z kokpitu.

- Teraz!

Dał znak Augustowi. Kiedy komandosi zaczęli znikać w otworze wjazdu, stanął na końcu szeregu. Z kokpitu wyłonił się drugi pilot. Musiał się przytulić do lewej ściany, żeby przejść obok wjazdu. Potem przedostał się na prawą stronę, by go zamknąć.

Rodgers miał nadzieję, że mu się uda. Przed skokiem zdążył jeszcze zobaczyć, jak drobny indyjski pilot przywiązuje się pasem do mocowania ładunków przed próbą dotarcia do przesuwanych drzwi.

152

Tęcza miała nogi razem i przyciskał wyprostowane ręce do boków, gdy zderzył się z lodowatym górskim powietrzem. Zanurkował w tej pozycji, żeby oddalić się od samolotu i uniknąć wessania do silnika, po czym wygiął ciało w łuk, aby powietrze przepływało pod nim.

Jednocześnie wyrzucił ramiona do tyłu i schylił głowę, żeby zwiększyć szybkość opadania.

Patrzył teraz niemal pionowo w dół. Natychmiast zrozumiał, że jest w tarapatkach.

On i jego ludzie.

ROZDZIAŁ 36

Wysokie Himalaje Czwartek, 16.42

0

16.31 zwiadowca majora Deva Puriego, kapral Sivagi Saigal, zobaczył coś, co go zaintrygowało. Zameldował o tym majorowi. Oficer był bardzo zaniepokojony tym, co usłyszał.

Przed wyruszeniem z bazy dostał zapewnienie z gabinetu ministra obrony, Johna Kabira, że loty zwiadowcze nad regionem zostały wstrzymane. Ani Kabir, ani Puri nie chciał mieć niezależnych świadków lub fotograficznych dowodów tego, co zamierzali zrobić w górach: zatrzymania i zlikwidowania pakistańskich terrorystów i ich zakładniczek z Kargilu.

Przelot transportowca AN-12 Himalajskich Orłów był nie tylko nieoczekiwany, lecz również bezprecedensowy. Samolot znajdował się dwadzieścia kilometrów od bezpiecznych korytarzy powietrznych chronionych przez indyjską artylerię. Kiedy zwiadowca nadal śledził

transportowca, Puri połączył się przez bezpieczny radiotelefon polowy z gabinetem Kabira.

Zapytał pierwszego zastępcę ministra, co tutaj robi ten samolot. Ani Kabir, ani żaden z jego doradców nie wiedział o locie. Na linii odezwał się sam minister. Podejrzał, że przelot jest niezależną akcją sił powietrznych w celu zlokalizowania pakistańskiej bojówki, a potem udzielenia pomocy w jej schwytaniu. Ale nie potrafił wyjaśnić, dlaczego do tej misji użyto transportowca. Powiedział Puriemu, żeby się nie wyłączał, to sprawdzi plan lotów.

Puri czekał. Nie sądził, żeby lot zwiadowczy skomplikował sprawy. Nawet jeśli lotnicy zauważą bojówkę, jego oddział pewnie dotrze do niej pierwszy. Puri i jego ludzie wytłumaczą, że terroryści stawiali opór i musieli zostać zneutralizowani. Nikt nie zakwestionuje tej wersji.

153

Minister Kabir wrócił na linię po niecałej minucie. Nie miał dobrych wiadomości. AN-12

wysłano wcześniej do Ankary, skąd powinien polecieć bezpośrednio do Chushul. Najwyraźniej zmieniono mu trasę. W manifeście transportowca też dokonano zmian - do ładunku dodano spadochrony.

Chwilę później Puri zrozumiał, dlaczego.

- Skoczkowie! - krzyknął do mikrofonu.
- Gdzie? - zapytał ostro Kabir.
- Są około półtora kilometra stąd - poinformował Puriego zwiadowca. -Mają spadochrony Himalajskich Orłów - dodał, kiedy zaczęły się otwierać czasze. - Ale nie są umundurowani.

Puri powtórzył to Kabirowi.

- Lotnicy musieli zauważyć bojówkę - stwierdził minister.
- Bardzo możliwe - zgodził się major Puri. - Ale skoczkowie nie mają górskiego sprzętu Himalajskich Orłów.
- Samolot mógł zabrać z Ankary obcy oddział - odparł Kabir. - Mogliśmy zostać zdekonspirowani.

- Co robimy? - zapytał Puri.
- Trzeba chronić misję - odrzekł Kabir.
- Zrozumiałem.

Major odmeldował się i polecił podległym mu oficerom, żeby poprowadzili swoje pododdziały naprzód. Wszyscy mieli się spotkać w miejscu lądowania spadochroniarzy.

Rozkazy Puriego były proste i wyraźne.

Nie oszczędzać amunicji.

ROZDZIAŁ 37

Wysokie Himalaje Czwartek, 16.46

Od czasu ich rywalizacji w baseballu w szkole podstawowej pułkownik Brett August zawsze wiedział, że kiedyś wzniesie się wyżej od swojego długoletniego przyjaciela Mikę'a Rodgersa.

Ale nie spodziewał się, że w taki sposób i w takim miejscu jak to.

Delikatnie uźebrowane biało-czerwone spadochrony Strikera otwierały się szybko jeden po drugim. Każdego komandosa szarpnęło gwałtownie do góry, kiedy czasza przyhamowała jego szybkie opadanie. Niektórzy skoczkowie unosili się wyżej niż inni, zależnie od prądów powietrznych, w jakie się do* stali. Wiatr wił się między nimi jak wstęga. Wśród szczytów i nawisów skal-154

nych w dole tworzyły się oddzielne prądy wznoszące. Choć Mikę Rodgers wyskoczył ostatni, był w środku grupy, kiedy wszystkie czasze się rozpostarły. Brett August znalazł się najwyżej.

Niestety, widok z tej wysokości nie był taki, jakiego pułkownik się spodziewał.

Prawie od początku miał kiepską widoczność. Kiedy spadochron szarpnął go do góry, pot z jego brwi przysnął na okulary maski tlenowej, gdzie zamarzał. Tego utrudnienia nie spodziewał

się ani on, ani generał Rodgers, gdy planowali ten skok. August przypuszczał, że pozostali mają taki sam kłopot. Ale nie to było największym problemem.

Tuż po skoku pułkownik zobaczył indyjskich żołnierzy. Zbliżali się tyralierą do strefy lądowania. Byli wyraźnie widoczni - czarne punkty poruszające się na niemal białym tle.

August był pewien, że Rodgers i inni też ich widzą.

Komandosi Strikera wiedzieli dość, żeby się bronić po wylądowaniu. Augusta niepokoiło to, co się może zdarzyć w powietrzu. Striker był poza zasięgiem ognia ze zwykłej broni. Ale indyjscy żołnierze prawdopodobnie zostawili linię kontroli dobrze przygotowaną. Spodziewali się walki z przeciwnikiem, który mógł być ulokowany setki metrów od nich, na wysokich wystęпах skalnych lub odległych urwiskach. Indyjska piechota była zapewne odpowiednio uzbrojona.

Pułkownik nie mógł porozumieć się z innymi członkami oddziału. Miał nadzieję, że widzą potencjalne zagrożenie i są przygotowani do akcji na ziemi.

O ile tam dotrą.

Z wnętrza stosunkowo ciepłego samolotu góry wzbudzały podziw. Brązowe, białe i bladoniebieskie szczyty przesuwały się wolno niczym karawana wielkich, ociążałych stworzeń.

Spod czaszy spadochronu wyglądały jak wyłaniające się z morza olbrzymy. Przerazały swoimi rozmiarami i szybkością zbliżania się. Z każdą sekundą wydawały się dwukrotnie większe. I ten ogłuszający dźwięk. Góry krzyczały na intruzów, ryczały potężnymi wiatrami, które chwytały z nieba i posyłały w dowolnych kierunkach. August nie tylko słyszał każdy podmuch; on go czuł. Wiatr wznosił się ze szczytów sześćset metrów poniżej i przewalał z hukiem obok niego. Porywy szarpały spadochronem w górę i w dół, na północ i na wschód, na południe i na zachód, stale obracały nim dookoła. Jedynym sposobem na to, by nie stracić orientacji, było ciągle wpatrywanie się w cel, bez Względu na kierunek obrotu. August miał nadzieję, że na mniejszej wysokości wiatr osłabnie i komandosi będą mogli skierować się do miejsca lądowania. Liczył też, że szczyty osłonią

ich przed indyjskimi żołnierzami tak długo, że zdążą stanąć na ziemi i przegrupować się.

Góry nieubłaganie pędziły w ich stronę. Im niżej byli skoczkowie, tym szybciej zbliżały się do nich szczyty o ostrych krawędziach. Kiedy oddział przebił się przez lekką mgłę, kolory się wyostrzyły. Kołysanie spadochronów zdawało się nasilać. Szczegóły w dole stały się wyraźniejsze. To było złudzenie, ale prędkość, z jaką malała odległość do stromych skał, nie była iluzją. Trzej komandosi wokół Augusta utrzymywali dobry kurs i mieli dużą szansę dotrzeć na płaskowyż. Inni musieli wykonać kilka manewrów, żeby tam wylądować. Dwóm groziło całkowite minięcie góry i dalsze opadanie aż na dno doliny poniżej. August nie wiedział

którym, bo wiatr unosił jedne spadochrony wyżej niż inne i kolejność, w jakiej wyskoczyli z samolotu, zmieniała się w powietrzu. Kimkolwiek są dwaj pechowcy, pomyślał, będą musieli skontaktować się z resztą przez radio i jak najszybciej dołączyć do oddziału.

Kiedy od celu dzieliło ich niecałe trzysta metrów, August usłyszał przez wycie wiatru strzały. Był odwrócony plecami do indyjskiej piechoty, więc nie miał pewności, czy odgłosy dobiegły z tamtego kierunku.

Po chwili już miał.

Powietrze wokół skoczków wypełniły czarno-białe obłoki wybuchów. Z ziemi wystrzelono rakiety przeciwlotnicze używane do strącania nisko lecących samolotów. Odpalano je z ręcznych wyrzutni opartych na ramieniu, typu Blowpipe, które miała na wyposażeniu armia indyjska. Rakiety rozrzuciły wokół metalowy śrut. W promieniu dwudziestu pięciu metrów pięćdziesiąt siedem sztuk amunicji z każdej rakiety uderzało z siłą pocisków kaliber 9.

August jeszcze nigdy w życiu nie czuł się taki bezradny. Patrzył, jak między spadochroniarzami rozrywa się pierwsza rakietka. Po chwili eksplodowała druga, potem następna. Czasze zasłaniały mu skoczków. Ale widział, jak blisko następują wybuchy. Nie było szans, żeby jego ludzie uniknęli trafień wydrażonymi stalowymi pociskami.

Augustowi nie przyszło do głowy, że któryś szrapnel może go trafić. Albo że nie wyląduje na płaskowyżu.

Zapomniał o zimnie, wietrze, nawet o misji.

Liczyło się tylko życie jego ludzi. Ale nie mógł nic zrobić, żeby zapewnić im bezpieczeństwo. Wodził wzrokiem od jednego spadochronu do drugiego, gdy wokół

wybuchały rakiety. Pięć czasz szybujących niżej zostało mocno podziurawionych w ciągu kilku sekund. Złożyły się do środka i opadły pionowo-156

wo w dół. Chwilę później wygięły się do góry jak odwrócone parasole, gdy skoczkowie pociągnęli je za sobą w swobodnym opadaniu.

Dwa spadochrony w środku też zostały uszkodzone i opadły na dwie czasze poniżej.

Spadochrony splątały się na wietrze. Linki i skoczkowie wirowali coraz szybciej w locie ku dolinie.

Nawet jeśli komandosi nie zostali trafieni szrapnelami, nie mogli przeżyć upadku. August wrzasnął ze złości. Jego krzyk zmieszał się z wyciem wiatru i wypełnił niebo nad nim.

W powietrzu został już tylko on i trzech inni skoczkowie. Nie wiedział którzy. Nie miał pojęcia, czy żyją. Ale teraz byli przynajmniej pod osłoną gór. Nie zagrażał im ostrzał z ziemi.

Nastąpiła czwarta eksplozja. Czarno-biały obłok pojawił się w górze przed Augustem.

Pułkownik poczuł dwa trafienia - w pierś i lewe ramię. Spojrzał na swój tors, ale nie zobaczył krwi. Może ochroniła go kamizelka. Albo krwawił pod tkaniną. Po pierwszym trafieniu nic nie poczuł i rytm serca wydawał się normalny. Dobry znak, choć nie dbał o to. Był zbyt przybity stratą swoich ludzi. Ale wiedział, że własny los musi go obchodzić. Musi przeżyć i wypełnić zadanie. Nie tylko dla swojego kraju i milionów ludzi w niebezpieczeństwie, ale również dla żołnierzy i przyjaciół, którzy właśnie poświęcili swoje życie.

Od płaskowyzu dzieliło go już tylko kilkadziesiąt metrów. Patrzył, jak lądują tam dwaj komandosi. Trzeci chybił o kilka metrów mimo wysiłków jednego z kolegów, żeby go złapać.

August wymanewrował za pomocą linek sterujących w kierunku ściany urwiska. Opadał bardzo szybko, ale wolał uderzyć w szczyt, niż minąć skalny występ.

Zaczęło go boleć lewe ramię, ale koncentrował uwagę na urwisku. Opadł poniżej szczytów.

Skąły już nie były groźne. Znów stały się wysokimi, nieruchomymi górami, które go otaczały i chroniły przez ostrzałem Hindusów. Niebezpieczne były teraz dolina z dwóch stron płaskowyzu i wypiętrzenia skalne. Gdyby uderzył w któreś z nich, mógłby złamać sobie kręgosłup.

Prąd wznoszący od strony urwiska spowolnił go i umożliwił skierowanie spadochronu w dół.

August postanowił trzymać się blisko stromej ściany i opadać wzdłuż niej, żeby ominąć ostre wypiętrzenia na środku płaskowyzu. Ilekroć wiatr próbował go zdmuchnąć w kierunku doliny, huśtał się w stronę urwiska. Ciąg skierowany do góry zwiększał jego zdolność utrzymywania się w powietrzu. August uderzył twardo w płaskowyz i natychmiast uwolnił się od spadochronu. Czasza przesunęła z wiatrem po skalnej półce, zaczepiła o trzymetrowy głaz i została tam.

ale mógł oddychać. Rozejrzał się w poszukiwaniu innych komandosów. Zobaczył

sanitariusza Williama Musicanta i kaprala Ishiego Hondę. Obaj wylądowali blisko krawędzi płaskowyzu. Musicant klęczał obok radiooperatora. Zdjął pas z kompaktowym zestawem medycznym. Honda się nie ruszał.

Pułkownik wstał i poszedł do nich. Po drodze pomacał swój tors pod kamizelką. Był suchy.

Pocisk nie przebił tkaniny. Ramię krwawiło, ale lodowate powietrze znacznie spowalniało upływ krwi. August chwilowo zignorował ranę. Nie mógł przestać myśleć o innych komandosach. O Sondrze DeVonne, Walterze Pupshawie, Mike'u. I reszcie.

Skoncentrował się na tych, którzy byli kilka metrów od niego. I zmusił się do zastanowienia, co dalej. Nadal miał broń i zadanie do wykonania. Musiał nawiązać kontakt z pakistańską bojówką.

Kiedy podszedł do dwóch mężczyzn, nie potrzebował pytać, co z Hondą. Radiooperator ciężko dyszał, spod jego kamizelki wypływała krew. Sanitariusz próbował oczyścić dwie otwarte rany w lewym boku Hondy. August nie mógł dostrzec ciemnych oczu kaprala za przyciemnianymi okularami maski. Szron odparował i szkła zaszyły mgłą.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał Musicanta.

- Owszem - przytaknął sanitariusz. - W przegródce siódmej jest mała kroplówka, a w dwunastej butelka z siarczanem atropiny. Proszę mi je dać. I plazmę z ósmej. On ma jeszcze dwie dziury w plecach. Muszę go opatrzyć i ustabilizować.

Pułkownik wyjął wszystko i zaczął przygotowywać kroplówkę. Pamiętał ze szkolenia medycznego, że siarczanu atropiny używa się do zmniejszenia wydzielania wewnętrznego, łącznie z krwawieniem. To pomaga ustabilizować pacjenta z krwotokiem wewnętrznym.

- Co z pańskim ramieniem, sir? - zapytał Musicant.

- Wszystko w porządku - odrzekł August. - Kogo próbowaliście dosięgnąć po wylądowaniu?

- Generała Rodgersa. August ożywił się.

- Był ranny?

- Wyglądało na to, że nie - odpowiedział Musicant. - Wyciągał się i starał

przybliżyć. Ale porwał go ten cholerny prąd powietrzny. Nie mogłem go złapać.

Więc możliwe, że Rodgers przeżył. August musiał spróbować wywołać go przez radio do łączności wewnątrzoddziałowej.

- Po przygotowaniu kroplówki niech pan postara się skontaktować z żoł

nierzami indyjskimi - zasugerował Musicant. - Jeśli uda mi się ustabilizować Ishiego, będziemy musieli odstawić go do szpitala.

August skończył ustawiać obok Hondy mały trójnog. Potem odpakował igłę. Połączy się z Centrum przez radiotelefon kaprała i zawiadomi ich, jaka jest sytuacja. Poda Herbertowi swoją pozycję i poprosi o wezwanie pomocy medycznej. Ale on i Musicant nie mogą tu zostać i czekać. Muszą wykonać zadanie.

Kiedy kroplówka była gotowa, August sięgnął po TAC-SAT Hondy. Musicant zdjął mu wcześniej aparat z pleców i odstawił na bok. Wzmocniony plecak nosił ślady kilku trafień, ale telefon wyglądał na nietknięty. August zastanawiał się, czy Honda próbował uratować aparat nawet za cenę własnego życia.

W tym momencie kaprał dostał drgawek.

- Jasna cholera! - zaklął Musicant.

August patrzył, jak radiooperator kaszle. Na policzki pryskała mu krew.

- Trzymaj się, Ishi - zawołał Musicant. - Wyjdiesz z tego. Daj mi jeszcze minutę.

Honda przestał dyszeć i kaszleć. Odprężył się.

- Niech pan mu zdejmie kamizelkę! - krzyknął Musicant. Potem chwycił

swój pas medyczny i sięgnął do jednej z kieszeni. Wyjął strzykawkę i fiolkę adrenaliny.

Pułkownik zaczął rozpinąć Hondzie kamizelkę. Kiedy pochylił się nad rannym, zauważył

czerwoną stróżkę wypływającą spomiędzy jego nóg. Honda wykrwawiał się bardzo szybko, skoro kałuża tworzyła się aż tak daleko.

August ściągnął mu kamizelkę i zobaczył, że jej przód jest lepki od krwi. Pociski z indyjskiej rakiety, które trafiły Hondę w dolną część pleców, przebiły tułów na wylot i wyszły przez pierś. Kaprał musiał być blisko strefy zero jednego z wybuchów.

Musicant uklęknął obok Hondy. Rozstawił szeroko kolana, żeby nie stracić równowagi.

Rozpiął zakrwawioną koszulę kaprała i zrobił mu zastrzyk pobudzający w serce. August wziął

radiooperatora za rękę. Była zimna. Na ziemi rosła kałuża krwi. Musicant przysiadł na piętach i

czekał. Honda nie reagował. Był błąd nie tylko z zimna. Pułkownik i sanitariusz patrzyli na niego jeszcze chwilę.

- Przepraszam - szepnął Musicant do martwego kolegi.
- Był dobrym i odważnym żołnierzem - powiedział August.

159

- Amen - odrzekł Musicant,

August uświadomił sobie, jak mocno ściska rękę Hondy. Puścił ją delikatnie. Wielu przyjaciół pułkownika zginęło w Wietnamie. Dobrze znał to uczucie goryczy. Ale nigdy nie stracił prawie całego oddziału;

Musicant wstał i obejrzał ramię Augusta. Pułkownik był zaskoczony tym, jak bardzo się rozgrzał w ciągu ostatnich kilku minut. Teraz, kiedy dramat się skończył, serce zwolniło i krew krążyła słabiej. Zimno szybko wracało. Musieli wkrótce ruszać.

Kiedy Musicant czyścił i bandażował ranę, pułkownik włączył TAG-SAT. Wprowadził osobisty kod dostępu, potem wybrał numer Boba Herberta. Czekał na połączenie, wyjął swoje radio z kieszeni kamizelki.

Wywołał kogoś innego.

I pomodlił się o odpowiedź.

ROZDZIAŁ 38

Waszyngton Czwartek, 7.24

Nie odezwali się jeszcze? - zapytał Paul Hood, kiedy wszedł do biura Boba Herberta. Szef wywiadu Centrum pił kawę i patrzył na monitor komputera.

- Nie - odparł. - NRO też ich jeszcze nie widzi. Nadal tylko Pakistańczyków.

Hood spojrzał na zegarek.

- Powinni już być na ziemi. Transportowiec wylądował?
- Nie. Pilot skontaktował się przez radio z wieżą w Chushu. Zawiadomił, że dostarczył ładunek, ale nic więcej.
- Na pewno nie krążą nad miejscem zrzutu, żeby sprawdzić, czy nasi dotarli na dół.

- Raczej nie - zgodził się Herbert. - Tak blisko granicy z Pakistanem samolot pewnie szybko zawrócił na południe i odleciał.
- A na co miał czekać? - mruknął Hood. - Próbujemy tylko powstrzymać ich kraj przed wplątaniem się w wojnę jądrową.
- Cynizm to moja specjalność - zauważył Herbert. - Oni pewnie nawet nie wiedzą, o jaką stawkę toczy się gra.

Zadzwieczał telefon. Ktoś dzwonił na bezpiecznej linii. Herbert włączył głośnik.

160

- Herbert, słucham.
- Tu August, Bob. - Pułkownika prawie nie było słychać.
- Straszny u was wiatr - odrzekł Herbert. - Mów głośniej.
- Mamy poważny problem - powiedział August wolno i wyraźnie. - Indyjski oddział z linii kontroli ostrzelał nas rakietami przeciwlotniczymi, kiedy byliśmy w powietrzu. Większość naszych zginęła. Tylko Musicant i ja jesteśmy na płaskowyżu. Rodgers chybił, ale może wylądował w dolinie. Nie wiemy, czy jest ranny. Próbuję go wywołać przez radio.
- Potwierdź - poprosił Herbert. - Dwaj bezpieczni, jeden zaginiony w akcji, reszta martwa?
- Potwierdzam.

Herbert podniósł wzrok na Hooda. Miał ściągniętą twarz i mamrotał coś pod nosem. Hood nie mógł go zrozumieć.

Ale zrozumiał Augusta.

- Nic się wam nie stało, pułkowniku? - zapytał.
- Nie, Musicant i ja jesteśmy cali - odrzekł August. - Przepraszam, że zawiedliśmy.
- Nie zawiedliście - zapewnił go Hood. - Wiedzieliśmy, że to nie będzie łatwe zadanie.

Słowa pułkownika dopiero docierały do zmęczonego umysłu Hooda. Usiłował to ogarnąć.

Ci ludzie nie mogli tak po prostu zginąć. Dla wielu z nich dopiero się zaczynało życie. Sondra

DeVonne, Ishi Honda, Pat Prementine, Walter Pupshaw, Terrence Newmeyer. Hood widział w wyobraźni ich twarze. Zdjęcia z akt personalnych ustąpiły miejsca wspomnieniom z ćwiczeń, które obserwował, ze spotkań przy grillu, meczów piłkarskich. To nie było to samo co śmierć jednego człowieka. Gdy stracili Charliego Squiresa i Bassa Moore'a, Hood koncentrował się na tym, by pomóc ich rodzinom przejść ciężką próbę. Ale rozmiar tej tragedii był

przytłaczający, wręcz paraliżujący.

- Jak pan ocenia sytuację, pułkowniku? - zapytał. W jego głosie brzmiały siła i pewność siebie. Musiało tak być na użytek Augusta.
- Nadal chcemy spróbować przechwycić bojówkę - odpowiedział pułkownik. - Dwa dodatkowe pistolety mogą im się przydać w drodze.
- Zgoda - odparł Hood.
- Ale zbliżają się do nas duże siły piechoty - ciągnął August. - Możecie się skontaktować z Pakistańczykami i zawiadomić ich, co się stało?
- Postaramy się - obiecał Hood. - Kobieta dowodząca bojówką ma radiotelefon Fridaya.

Ale nie jest skora do współpracy.

- Wie o naszym przylocie?

161

- Tak.
- Coś z nią uzgodniliście? - spytał pułkownik. Chodziło mu o to, kto będzie dowodził, kiedy połączą siły.
- Nie przeprowadziłem z nią takiej rozmowy - odrzekł Hood. - Inicjatywa hędzie należała do pana.
- Dziękują - powiedział August. - Jeszcze jedno, sir. Robi się ciemno, zimno i coraz bardziej wieje. Mam nadzieję, że jest jakiś plan rezerwowy.
- Właśnie nad tym pracujemy - skłamał Hood. - Ale bardziej liczymy na pana i kaprała Musicanta.
- Zrobimy, co się da - zapewnił pułkownik.
- Wiem - odrzekł Hood. - Tylko bądźcie ostrożni.

August obiecał, że będą. Powiedział też, że zawiadomi Centrum, jeśli uda mu się wywołać Mikę'a Rodgersa. Potem się odmėldował. Hood wyłączył głośnik. Zapadła długa cisza.

- Wszystko w porządku? - zwrócił się Hood do Herberta. Herbert wolno pokręcił głową.
- Mieliśmy tam trzynastu ludzi - powiedział ponuro.
- Wiem - przytaknął Hood.
- Głównie dzieciaki - ciągnął Herbert.

- To była moja decyzja - przypomniał niu Hood. - Ja wydałem zgodę na tę operację.
- A ja cię poparłem - zauważył Herbert. - Nie mieliśmy wyboru, do cholery. Ale to jest cena, której oni nie powinni byli zapłacić.

Hood zgodził się z przyjacielem, choć jego stwierdzenie zabrzmiało trochę patetycznie. Byli specjalistami od zarządzania kryzysowego i czasem jedyną barierą między kontrolą a chaosem była ludzka tarcza. Bez względu na to, jak silną wolę miała ta bariera, składała się z mięśni i kości.

Hood wszedł za biurko i spojrzał na monitor. Czuł wewnętrzną pustkę. Wiedział, że ta misja jest ryzykowna, ale był rozgoryczony, że jednym z niebezpieczeństw okazał się atak sił

lądowych sojusznika. Nikomu nie przyszło do głowy, że indyjska piechota ostrzela komandosów, którzy wyskoczyli z samolotu indyjskich sił powietrznych na spadochronach należących do indyjskiej armii. W tej fazie operacji zagrożeniem dla wyszkolonych zawodowców powinien być tylko żywioł. Większość członków Strikera - jeśli nie wszyscy - miało szansę przeżyć. Jak mogło pójść aż tak źle?

- August ma rację, że powinien być plan rezerwowy - powiedział Herbert. - Odstąpiliśmy od tej zasady. Musimy go opracować i...
- Zaczekaj - przerwał mu Hood. - Coś jest nie tak.

162

-Co?-zapytał Herbert.

- Spójrz na ten przekaz satelitarny - odrzekł Hood.

Herbert spojrzał.

• Bojówka nadal posuwa się naprzód pod nawisami skalnymi - powiedział Hood. - Idą tak od wschodu słońca. Ale teraz mają trochę swobody. Mogą się kryć w tych cieniach. - Wskazał

nieregularne czarne plamy na monitorze. - Widzisz, jak wydłużają się cienie, kiedy słońce zachodzi

za Himalaje?

- Widzę, ale nie rozumiem, o co ci chodzi.
- Popatrz na kierunek cieni w stosunku do słońca. Bojówka idzie na zachód, nie na północny zachód jak wcześniej.

Herbert przez chwilę wpatrywał się w ekran.

- Masz rację - przyznał. - Po cholereę zmienili kierunek?
- Może idą na skróty - podsunął Hood. - Zhająsytie przejście przez lodowiec.

Herbert wyświetlił mapy fotograficzne NASA z naniesionymi współrzędnymi, służące do rozmieszczania satelitów nadęciami. Wydał komputerowi polecenie, żeby oznaczył miejsce, które obserwował teraz !Viens. Hood pochylił się nad wózkiem Herberta i patrzył uważnie w monitor, gdy czerwony kursor zaczął pulsować w rejonie, który przemierzała bojówka.

- Tam nie ma żadnego skrótu - powiedział Herbert. - Cóż oni robią, do cholery? Idą teraz dłuższą drogą do linii kontroli.
- August zdoła ich przechwycić? - zapytał Hood.
- Tak. - Herbert wskazał rejon nieco na północ od pozycji bojówki. - Brett wylądował tutaj.

Posuwa się na południowy wschód. Spotka się z nimi o wiele wcześniej, niż zakładaliśmy. -

Przyjrzał się mapie. - Ale to nadal nie ma sensu. Trasa Pakistańczyków jest dalej od linii kontroli, nie jest położona niżej i nie wygląda na łatwiejszą do przejścia.

- Może na tej drodze mają magazyn broni albo następną kryjówkę?
- Możliwe - zgodził się Herbert i wrócił do obrazu na żywo z NRO. - Ale przedtem byli stosunkowo blisko granicy. Po co dają Hindusom więcej czasu na złapanie ich?

Zadzwiećwał telefon międzyagencyjny. Herbert włączył głośnik.

- Tak?
- Tu Viens. W obserwowanym rejonie robi się ciemno. Możemy przejść na termowizję bez obawy, że zostaniemy oślepieni. Łatwiej będzie nam śledzić bojówkę.
- Dobra - odparł Herbert i wyłączył mikrofon.

On i Hood wciąż patrzyli na mapę. Hood studiował teren u podnóża pła-skowyżu.

- Czy jeśli przemieścimy satelitę, będziemy mogli zajrzeć do tej doliny? - spytał, wskazując sektor oznaczony liczbą 77.
- Nie wiem. - Herbert zerknął na szefa. - Paul, ja też chcę znaleźć Mikę[^]. Ale mamy tylko jednego satelitę w tym rejonie. Czy możemy go wykorzystywać wyłącznie do tych poszukiwań?
- Mikę mógł stracić albo uszkodzić swoje radio przy lądowaniu - powiedział Hood. - Jeśli żyje, mógłby pomóc Brettowi. Jest nam potrzebna każda para rąk.
- Nawet jeśli są oddaleni od siebie o trzy tysiące metrów w pionie i Bóg wie ile kilometrów w linii prostej?
- Nie wiemy na pewno, gdzie jest Miko. Musimy to ustalić.

Zanim Herbert zdążył się zastanowić nad słowami Hooda, na linię wrócił Viens.

- Bob, patrzysz na nowe zdjęcia satelitarne? - spytał.

Herbert włączył mikrofon.

- Nie - odparł i natychmiast wyświetlił widok z OmniCóma. - Jakiś problem?
- Być może. Nawet kiedy bojówka była pod nawisem skalnym, zawsze udawało nam się dostrzec czyjąś głowę lub ramię, więc wiedzieliśmy, że ciągle tam są. Co widzisz teraz?

Herbert i Hood przysunęli się bliżej do monitora, gdy uformował się obraz. Wyglądał

psychodelicznie, jak animacja z lat sześćdziesiątych. Na zielonym tle skał i śniegu rozlewały się czerwone cienie ciepła.

Cienie tylko trzech osób.

- Co tam się dzieje, do cholery? - spytał Herbert.
- Nie wiem - przyznał Viens. - Niektórzy terroryści mogli odpaść po drodze.
- Albo wzięli się do Fridaya i indyjskiego oficera - zastanawiał się głośno Herbert. - Mogły być ofiary. Spróbujmy wywołać ich przez radio.
- Nie - sprzeciwił się Hood. - Skontaktuj się z Augustem i powiedz mu, że ma przed sobą trzy osoby. Uprzedź go, że mogą być wrogo nastawione. Niech sam zdecyduje, czy lepiej się ukryć, czy nawiązać walkę. Stephen, możesz mi dać obraz z sektora 77 na mapie OP-1017.63?
- Wyświetlę tę mapę i zobaczę, czy to miejsce jest w zasięgu ogniskowej OmniCóma -

odrzekł Viens. - To potrwa tylko minutę.

- Dzięki - powiedział Hood.

164

Herbert pokręcił głową.

- Jaki powód mogłaby mieć bojówka, żeby zaatakować Fridaya?
- Może to Friday zwrócił się przeciwko nim - podsunął Hood i wyprostował się. - A może ani jedno, Sni drugie.
- Co masz na myśli?
- Ron Friday musiał powiedzieć bojówce, że zbliżają się do nich indyjscy żołnierze.
- Słusznie - przyznał Herbert.
- Pakistańczycy nie mogli wiedzieć o zagrożeniu, zanim dołączył do nich Friday - ciągnął

Hood. - Nie wiedzieli, że dostarczenie Nandy do Pakistanu to jedyny sposób, w jaki mogą zapobiec wojnie jądrowej. Co byś zrobił, gdybyś to wiedział i dodatkowo został

poinformowany, że przyjdzie ci z pomocą amerykańska jednostka szturmowa? Gdybyś był sprytny, odważny i zdesperowany, spróbowałbyś zrobić coś nieoczekiwanego.

- Jak podzielenie oddziału na dwie grupy, żeby jedna odciągnęła indyjskich żołnierzy - domyślił się Herbert.

- Właśnie - przytaknął Hood. - Co oznacza, że pozostałe cztery osoby mogą być gdzie indziej, prawdopodobnie na pierwotnie zaplanowanej trasie.

- Jeśli tak, to nie możemy pozwolić, żeby August i Musicant dołączyli do grupy, która będzie chciała ściągnąć na siebie ogień indyjskiej piechoty.

- Nie możemy - zgodził się Hood. - Przekaż to Augustowi, Bob. - Znów pochylił się nad monitorem i wpatrzył w mapę NASA. - Stephen, muszę zajrzeć do doliny.

- Mam już tę mapę - odezwał się Viens. - Sprawdzam, czy współrzędne są w komputerze OmniComa.

Herbert wybrał numer TAC-SAT-u Strikera.

- Paul, chyba nie myślisz o tym, co podejrzewam?

- A dlaczego nie?

- Bo nawet jeśli on żyje, nie wiadomo, czy uda ci się z nim porozmawiać.

- Wszystko w swoim czasie - odparł Hood.

t Da się to zrobić, Paul! - zawołał Viens. - Już wysyłam polecenie. Nie wiem, jakie tam jest zachmurzenie i widoczność, ale za półtorej minuty będziesz miał dolinę.

- Dzięki.

- Czego szukamy? - zapytał Viens.

- Spadochronu - odparł Hood. - Takiego, do którego może być przyczepiony Mike Rodgers.

165

ROZDZIAŁ 39

Dolina Mangala Czwartek, 17.30

K

iedy komandosi Strikera wyskoczyli, transportowiec AN-12 zawrócił na południe. Potężny ciąg powietrza wytworzony przez odlatujący samolot wessał Mike'a Rodgersa do środka grupy. Dzięki temu był chroniony przed głównym uderzeniem ataku przeciwlotniczego. Ale słyszał eksplozje i widział, jak pociski trafiały jego ludzi. Gdy skierował się do celu, towarzyszył mu już tylko jeden spadochroniarz. Mimo wysiłków komandosa stojącego na skalnym występie Rodgers minął płaskowyż. Zawadził o krawędź nogami, a potem prawym biodrem i piersią. Na szczęście kamizelka kuloodporna zamortyzowała uderzenie. Ale opadał zbyt szybko i nie mógł się zatrzymać. Nie zdążył zobaczyć, co się stało z towarzyszącym mu skoczkiem. Jeśli udało mu się - albo jej - uwolnić od czaszy, powinno być w porządku.

Rodgers spojrział w dół. Nie zrezygnował z próby dołączenia do innych i szukał wzrokiem skalnej półki, na której mógłby wylądować. Niestety, nie mógł się trzymać blisko góry. Ze zbocza wystawało tyle ostrych skał, że groziłoby to rozdarciem czaszy spadochronu.

Niechętnie postanowił opaść w dolinę.

Po drodze rozglądał się w poszukiwaniu innych skoczków na dole. Widział, co się stało z jego ludźmi, i wątpił, by któryś przeżył upadek. Ale nie chciał myśleć o żołnierzach, którzy niemal na pewno zginęli. Na żalobę będzie czas później. Teraz liczyła się tylko misja i musiał

znaleźć sposób, żeby wrócić do akcji.

Na mniejszej wysokości prądy powietrzne osłabły. i Czasza spadochronu przestała się kołysać. Generał wisiał prosto niczym ciężarek pionu, osłonięty górami przed porywistym wiatrem. Szybował w dół przez pasma chmur.

Zerknął na swój podświetlany zegarek. Był w powietrzu od prawie pięćdziesięciu minut.

Opadł już tak nisko, że mógł zdjąć aparat tlenowy i gogle. Przypiął je do pasa. Para wodna z chmur osiadała mu na twarzy. Chłodziła spocone czoło i policzki i dodawała mu energii.

Chmury zaczęły się przersedzać. Widział już teren w dole.

Nie wyglądało to najlepiej.

Dolina ciągnęła się między dwoma pasmami górskimi. Środkiem płynęła płytka, rwąca rzeka. Wszędzie roilo się od skał o ostrych krawędziach, co wykluczało miękkie lądowanie, a lądowanie bezpieczne też mogło być co najmniej trudne. Dobrze, że przynajmniej w powietrzu jest spokojnie. Może sterować spadochronem i spróbować ominąć najbardziej niebezpieczne miejsca.

166

Kiedy znalazł się pod ostatnią warstwą chmur, zobaczył pierwszy spadochron Strikera.

Czasza unosiła się jak orchidea na środku rzeki. Skoczek był najwyraźniej pod spodem. Po chwili Rodgers zauważył dwa następne spadochrony u stóp jednej z gór. Obok leżeli komandosi. Na ich zimowych kombinezonach była krew. Czasza czwartego spadochronu zwisała z małego występu skalnego jakieś dziesięć metrów wyżej. Tuż pod nią kołysała się w uprzęży Sondra DeVonne.

Nie myśl o tym teraz, upomniał się Rodgers. Musisz myśleć o sprawie, dla której ci żołnierze poświęcili życie. Inaczej będzie dużo więcej ofiar.

Dalej na południe, za zakrętem doliny, unosił się dym. Coś tam wybuchło albo się rozbiło.

Rodgers wątpił, żeby to był ich AN-12. Gdyby samolot został trafiony, komandosi usłyszeli by to i z pewnością zobaczyli, jak spada. Rodgers zerknął na północ. Miał przed sobą podnóże lodowca. Dlatego w dolinie było tak cholernie zimno.

Ziemia zbliżała się. Rodgers nie chciał uderzyć w zbocze, ale nie chciał też wylądować w wodzie - mokry kombinezon zamrzłby w ciągu kilku minut. Nie chciał również uderzyć w poszarpane skały wzdłuż rzeki. Mógłby rozdrzeć ocieplany kombinezon albo połamać sobie kości. Niestety, urwiska zwęzły się tak ciasno ku rzece, że właściwie nie było miejsca do wylądowania.

Została mu tylko jedna możliwość. Wolałby z niej nie korzystać, ale wybór na wojnie nigdy nie jest łatwy. Generał podjął decyzję.

Skierował się ku czaszy spadochronu w rzece. Tkanina była rozciągnięta wzdłuż wschodniego brzegu. Na jej krawędziach zanurzonych w wodzie lśnił lód. Czasza wydawała się wystarczająco sztywna, by utrzymać ciężar lądującego Rodgersa. Nie powinna pójść pod wodę. Generał miał nadzieję, że ustoi na nogach i przeskoczy na wąski brzeg, zanim czasza złoży się do środka.

Tuż przed lądowaniem zajął pozycję nad spadochronem. Z jednej strony zobaczył ludzką rękę w wodzie. Skóra była bladosina. Rodgers nie chciał opaść na ciało komandosa. Spojrzał

na drugą stronę czaszy.

Cel rósł w oczach. Prędkość, z jaką opadał, stwarzała dziwne wrażenie, że siła grawitacji wręcz ciągnie go za nogi.

Wylądował miękko na czaszy. Tkanina ugięła się w miejscu, gdzie na nią opadł, ale krawędzie pozostały płaskie. Rodgers zdołał utrzymać się na nogach. Natychmiast Uwolnił się od swojego spadochronu i odwrócił w stronę brzegu. Po sekundzie przez krawędzie czaszy zaczęła się przelewać woda, ale Rodgers zdążył dać kilka długich kroków i przeskoczyć na twardy grunt. Podnóże granitowego urwiska było metr od niego. Podeszedł do skalnej ściany, żeby spojrzeć w głąb doliny.

167

Czasza, na której wylądował, zaczęła dryfować w dół rzeki. Rodgers obejrzał się za siebie i zobaczył pod wodą ciało. Martwy komandos leżał twarzą w dół. Mokry kombinezon był wzdęty. Poruszały się tylko linki spadochronu.

Generał zostawił zabitego żołnierza. Nie miał czasu. Sięgnął do kieszeni kamizelki po radio.

A raczej po to, co z niego zostało.

Rodgers popatrzył na aparat. Płyta czołowa była zmiażdżona. Z popękanego plastiku wystawały żółte i zielone przewody. W środku grzechotało kilka kawałków czarnej obudowy i zniszczone chipy. Radio musiało się roztrzaskać, kiedy uderzył biodrem w krawędź płaskowyżu.

Rodgers zerknął na kamizelkę martwego komandosa. Kieszeń z radiem była pod wodą.

Nawet jeśli radio nie zostało rozbite, nie może działać. Spojrzał w dół rzeki na splątane spadochrony dwóch innych komandosów. Wydęte czasie przetaczały się tam i z powrotem na wietrze. Ciała za nimi spoczywały na wąskim, skalistym kawałku suchego gruntu po jego stronie rzeki. Rodgers pobiegł do nich.

Szeregowiec Terry Newmeyer i kapral Pat Prementine leżeli nieruchomo w uprzężach spadochronów. Rodgers podeszedł do Newmeyera i ostrożnie odwrócił go na plecy. Policzek i kombinezon szeregowca były lepkie od niemal zamrożonej krwi, a jego radio roztrzaskane.

Wyglądało na to, że trafił w nie kawałek szrapnela. Generał poklepał komandosa po ramieniu i podeszedł do Prementine'a. Kapral leżał na wznak, z lewą ręką na piersi, a prawą wygiętą pod tułowiem. Jedno oko miał zamknięte, drugie na wpół otwarte. Jego radio wydawało się całe.

Rodgers wyjął je z kieszeni kamizelki i odwrócił się do skalnej ściany. Idąc w kierunku urwiska, włączył aparat. Czerwona dioda w górnym prawym rogu rozjarzyła się. Przynajmniej coś w tej

choleryjnej dolinie wciąż żyje, pomyślał gorzko generał.

Podniósł radio do ust i wcisnął przycisk nadajnika.

Miał nadzieję, że armia indyjska nie monitoruje tej częstotliwości.

ROZDZIAŁ 40

Wysokie Himalaje Czwartek, 17.41

B

rett August i William Musicant ruszyli przez płaskowyż na południe. Ochłodziło się i wiał

lodowaty wiatr, musieli więc włożyć gogle, żeby nie łzawiły im oczy. Kierowali się w stronę skalnej półki jakieś czterysta

168

Metrów przed nimi. Według NRO, był to północny odcinek trasy, którą szła pakistańska bojówka.

Zadzwieczyła TAC-SAT. Pułkownik zatrzymał się, przykucnął i podniósł słuchawkę.

Dzwonił Bob Herbert. Poinstruował ich, żeby zaczekali tam, gdzie są.

- Co się dzieje? - zapytał August.
- Bojówka prawdopodobnie się rozdzieliła - wyjaśnił Herbert. - Możliwe, że grupa, która się do was zbliża, jest przynętą dla indyjskich żołnierzy i ma ich odciągnąć na północny zachód.
- To całkiem sensowne - przyznał August.
- Tak, ale jest również możliwe, że doszło do walki. Zajmijcie jakąś wysuniętą pozycję, gdzie będziecie mogli się bronić, i czekajcie tam.
- Zrozumiałem - odpowiedział August. Miejsce, w którym płaskowyż się zwężał, nadawało się do tego idealnie.
- Paul poprosił Stephena Viensa, żeby rozejrzał się po okolicy na północny wschód od płaskowyżu - *ciągnął Herbert. - Mamy powody przypuszczać, że reszta bojówki kieruje się w tamtą stronę.*
- Tam wylądował Mikę - powiedział August.
- Wiem - odparł Herbert. - Paul uważa, że jeśli go zlokalizujemy, będzie mógł nam pomóc znaleźć tamtą część bojówki...

W kieszeni kamizelki Augusta oderwał się niski przerywany sygnał.

- Zaczekaj, Bob! - zawołał pułkownik. - Ktoś mnie wywołuje przez radio.

Odłożył słuchawkę telefonu i sięgnął do kieszeni kamizelki po radio. Nie łudził się, że to któryś z komandosów Strikera. Bardziej prawdopodobne, że ktoś znalazł radio albo że łącznościowiec armii indyjskiej wszedł na ich częstotliwość.

- Atom - zgłosił się. Taki kryptonim sobie wybrał, zgodnie z pierwszą literą nazwiska.

Członkowie Strikera używali kryptonimów, kiedy nie byli pewni, kto ich wywołuje. Jeśli któryś został uwięziony i zmuszony do nawiązania łączności z innymi, używał kryptonimu zapasowego, zgodnego z pierwszą literą imienia.

- Atom, tu Ropucha.

August przestał czuć wiatr i zimno. Martwy świat nagle ożył.

- Wszystko gra? - zapytał.

- Tak — odrzekł Rodgers. - Ale jestem sam. A co z tobą?

- Minuta i ja jesteśmy cali - odpowiedział August. Wyjął z kieszeni kamizelki mapę rejonu ze specjalnymi oznaczeniami kodowymi i rozłożył ją na ziemi. -1-Masz swoją mapę? - spytał.

- Tak - odparł Rodgers. - Jestem w trzydzieści siedem czterdzieści dziewięć.

169

- Trzy siedem cztery dziewięć - powtórzył August. – Przyjąłem. Jesteś bezpieczny na pozycji?

- Na to wygląda.

- Świetnie. Przekażę to do domu. Mogą być dla nas nowe instrukcje.

-

Zrozumiałem - potwierdził Rodgers.

Pułkownik położył radio na mapie i podniósł słuchawkę TAC-SAT-u. Po tem pokazał Musicantowi uniesiony kciuk. Sanitariusz uśmiechnął się słabo.

- Bob, to był Mike - powiedział August do słuchawki. - Jest bezpieczny w dolinie, około pięciu kilometrów od podnóża lodowca.

- Dzięki ci, Boże. - Herbert odetchnął z ulgą. - Ocalał jeszcze ktoś?

- Nie.

- Rozumiem. Przygotuj stanowisko obrony, trzymaj się i przekaz Mike'owi to samo.

Powtórzę Paulowi twoją informację.

- Bob, pamiętaj, że to bardzo trudny teren. Jeśli mamy wysłać Mike'a na rozpoznanie, zostało mu około czterdziestu minut widoczności.

- Kontroluję sytuację - zapewnił Herbert. - Powiedz mu, żeby dobrze się przyjrzał okolicy.

Odezwiemy się do ciebie, jak tylko będziemy mogli.

August wyłączył się i zawiadomił Rodgersa. Generał zareagował ze swoim zwykłym spokojem.

- Poradzę sobie - powiedział. - Jeśli będą musiał pójść na północ, droga do lodowca jest prosta. Wystarczy trzymać się rzeki.

- Nie rozdarłeś kombinezonu? - zapytał pułkownik.

- Nie, kombinezon jest cały. Potrzebuję tylko jednego. Pewnie tego samego, co ty.

- To znaczy?

- Dowiedzieć się, kto nas sprzedał, i załatwić go tak, żeby tego pożałował.

ROZDZIAŁ 41

Waszyngton Czwartek, 8.30

P

aul Hood rozmawiał przez telefon z senator Barbarą Fox. Teraz, kiedy akcji już nie można było odwołać i polityka nie mogła wejść w drogę bezpieczeństwu międzynarodowemu, przedstawił pani senator sytuację Strikera i stan operacji. Miał nadzieję, że senator Barbara Fox okaże współczucie i chęć pomocy jego ludziom, którzy pozostali w terenie. Mylił się.

Senator wpadła w furję.

170

- Centrum Szybkiego Reagowania wzięto na siebie całą odpowiedzialność za prowadzenie tej operacji - warknęła wściekle. - Chyba zapomnieliście, że istnieją inne agencje wywiadowcze.

- Przecież poinformowałem CIOĆ, że mamy kryzys, który wymaga natychmiastowej reakcji - odparł Hood. - Powiedziałem, że będziemy współpracowali z NRÓ i NSA w takim zakresie, na jaki pozwolą czas i środki. Nie miała pani obiekcji.

- Ale nie powiedział pan, na czym polega zagrożenie. Przedstawił pan tylko jego skalę.

- Nie znaleźliśmy szczegółów, dopóki nie znaleźliśmy się w samym środku sytuacji.
- Właśnie o to mi chodzi - powiedziała. - Zaczął pan działać bez dostatecznego rozpoznania sytuacji, panie Hood.

Zadzwieczył sygnał linii wewnętrznej.

- Chce pani, żebym wycofał ludzi, którzy mi zostali? - spytał Hood. Do cholery. Jeśli Fox zamierza krytykować jego ocenę sytuacji, niech sama dalej prowadzi tę operację.
- Jest inny sposób na przezwycięzenie kryzysu? - zapytała senator.
- Naszym zdaniem, nie - odparł Hood.
- Więc jesteśmy skazani na realizację pańskiego scenariusza - burknęła Fox.

Jasne, pomyślał Hood. Dla polityka to sytuacja, w której nie może przegrać. Jeśli operacja się uda, Fox przypisze sobie zaangażowanie w sprawę CIOĆ, uratowanie życia niedobitkom Strikera i ocalenie milionów Hindusów i Pakistańczyków. Jeżeli zaś skończy się fiaskiem, cała wina spadnie na niego. Nie po raz pierwszy współpracowali w czasie kryzysu, ale jeszcze nigdy skala zagrożenia nie była tak duża, a cena tak wysoka. Hood był rozczarowany, że Fox szuka kozła ofiarnego zamiast rozwiązania.

A może to on szuka winnego i to ona ma rację. Może przyspieszył akcję po prostu dlatego, że Striker był już w drodze, a ryzyko wydawało się początkowo stosunkowo niewielkie. Może powinien był odwołać operację, kiedy się dowiedział, jakie niebezpieczne będzie samo lądowanie.

Sygnał linii wewnętrznej zadzwieczył ponownie.

Przed laty odchodzący na emeryturę burmistrz Los Angeles Chad Malcolm dał Hoodowi jedną z najcenniejszych rad w jego życiu. Powiedział mu, że dobry przywódca powinien przyjmować informacje, przetrawiać je, a potem reagować instynktownie. „Tak, jak ludzki organizm - wyjaśnił. - Wszystko wchodzi górą, a wychodzi dołem. Każdy inny sposób jest po prostu nienaturalny”.

171

Senator Fox oznajmiła, że CIOĆ zajmie się tym „fiaskiem” na nadzwyczajnym posiedzeniu.

Hood nie miał nic więcej do powiedzenia. Wyłączył się i odebrał drugi telefon.

- Tak? - zgłosił się.
- Paul, znaleźliśmy Mikę'a - powiedział Herbert. - Brett z nim rozmawiał.
- Jest cały?

- Nic mu się nie stało. Wylądował w dolinie u stóp płaskowyżu.
- Dzięki Bogu. - Hood miał ochotę krzyknąć z radości. Zadowolili się głębokim westchnieniem i uśmiechem.
- Kiedy czekałem, aż odbierzesz, zadzwoniłem do Viensa - podjął Herbert. - Powiedziałem mu, żeby już nie szukał Mike'a, tylko spróbował sprawdzić, czy bojówka rzeczywiście się rozdzieliła. Wypatrzyłem na mapie punkt, który doskonale by się do tego nadawał. Jest położony między miejscem, gdzie Friday dołączył do Pakistańczyków, a obecną pozycją Augusta. Gdyby jedna grupa poszła stamtąd prosto do Pakistanu, musiałaby pokonać około piętnastu kilometrów. Po drodze są dwie przeszkody: linia kontroli i lodowiec Sjaczen. Ale jeśli indyjscy żołnierze ruszą za drugą grupą, granica będzie słabo strzeżona.
- Lodowiec to wystarczające utrudnienie - zauważył Hood.
- Owszem, ale problemem jest własna wytrzymałość, a nie przewaga liczebna wroga - odparł Herbert. - W takich okolicznościach podjąłbym wyzwanie.
- Ja też - przyznał Hood.
- U podnóża lodowca jest Mikę - ciągnął Herbert. - Ma dobrą pozycję wyjściową do przechwycenia Pakistańczyków, gdybyśmy ich znaleźli.

Hood wyświetlił mapę na monitorze swojego komputera.

- Kto jest z nim w kontakcie? - zapytał.
- Brett - odrzekł Herbert.
- Niech Mikę rusza z doliny - polecił Hood.
- Chcesz go wysłać na lodowiec, zanim sprawdzimy, czy jest tam bojówka?
- Nie mamy wyboru.
- Mamy - zaprotestował Herbert. - Znajdźmy Pakistańczyków i zobaczymy, w jakim kierunku idą. Jeśli do doliny, Mikę nie będzie musiał pokonywać cholernie trudnego terenu.
- Patrzą na mapę plastyczną regionu - powiedział Hood. - Muszą przejść przez lodowiec.

Okrężna droga do doliny to dodatkowe dwadzieścia kilometrów.

- Ale stosunkowo płaskiego, łatwego terenu » zauważył Herbert. - A lodowiec ma wysokość prawie pięciu i pół tysiąca metrów.
 - Widzą.
 - Pakistańczycy byli na wysokości ponad dwóch tysięcy metrów, kiedy dołączył do nich Friday - ciągnął Herbert. - Musieliby być stuknięci, żeby wchodzić na górę, skoro mogą zejść do doliny położonej zaledwie sześćset metrów nad poziomem morza.
 - Armia indyjska też tak rozumuje - odparł Hood-
 - Być może - zgodził się Herbert.
 - Nie być może, tylko na pewno. Zastanów się. Gdybyś uszczuplił swoje siły na linii kontroli, obstawiłbyś wyjście z doliny czy lodowiec? Zwłaszcza gdybyś myślał, że bojówka idzie w zupełnie innym kierunku?
 - Nadal uważam, że wysyłanie Mike'a na górę jest przedwczesne - upierał się Herbert. - Viens musi znaleźć Pakistańczyków i zobaczyć, dokąd idą. Wtedy podejmiemy decyzję.
 - Jeśli Viens ich znajdzie i jeśli będzie dość czasu, żeby Mikę dotarł na górę - odparł Hood.
 - Satelita musi przeszukać kawał terenu.
 - Więc mam inny pomysł - zirytował się Herbert. - Niech August po prostu wyceluje AK-47 w grupę, która się do niego zbliża, i każe im ujawnić, co planują.
 - Uwierzyłbyś w to, co by mu powiedzieli? - zapytał Hood.
- Najwyraźniej zaskoczył Herberta, bo zapadła cisza.
- Myśl logicznie, Bob - podjął Hood. - Bojówka się podzieliła, bo nie chce wpaść na duże siły indyjskie. Co oznacza, że pójdzie przez lodowiec, gdzie najbardziej będzie potrzebowała pomocy. Jeśli Mikę teraz nie wyruszy, może jej nie złapać.
 - „Jeśli”, „gdyby”, „może”... Dużo tu domysłów, Paul. Cholernie dużo.
 - Fakt - przyznał Hood. - Barbara Fox też mi zarzuca, że rozpocząłem operację bez dokładnego rozpoznania wywiadowczego. Być może. Ale wojna jądrowa to poważna sprawa.

A teraz cel jest bardzo wyraźny. Kluczową postacią nie jest Mikę, tylko ta dziewczyna z Kargilu. Trzeba ją bezpiecznie dostarczyć do Pakistanu. Jeśli druga grupa Pakistańczyków pójdzie przez lodowiec, nie możemy sobie pozwolić, żeby Mikę tkwił w dolinie albo pędził, żeby ich dogonić. Jest

naszą największą, może jedyną szansą. Musi wejść do gry.

- W porządku, Paul. Ty tu rządzisz. Zawiadomię Bretta, żeby przekazał twoje rozkazy Mike'owi.
- Dziękuję - odrzekł Hood.

173

- Ale to nie znaczy, że popieram twoją decyzję. Uważam, że przed wysłaniem Mike'a na lodowiec powinniśmy mieć więcej informacji żeby właściwie ocenić sytuację.

Herbert wyłączył się.

Paul Hood odłożył słuchawkę, a potem odwrócił się do komputera i zamknął mapę Himalajów. Przeszedł na bezpośredni przekaz satelitarny z NRO.

OmniCom właśnie skończył ustawiać obiektyw na cel i na ekranie zaczął się pojawiać widok brązowo-białego pustkowia. Hood patrzył zmęczonymi oczami na piksele wypełniające monitor. Żałował, że nie jest z Rodgersem w terenie. Generał miał solidne oparcie w jakiejś organizacji, miał po swojej stronie ludzi, którzy się za niego modlili, miał swój honor i dumę, bez względu na bieg wypadków.

Ale tę myśl Hooda natychmiast zastąpiły dwie inne. Pierwsza, że nie ma prawa uważać się nad sobą. Nie po takich stratach, jakie poniósł Striker, i nie przy takim ryzyku, jakie podejmowali Mike Rodgers, Brett August i inni.

Druga, że musi doprowadzić do końca operację, którą rozpoczął. A był tylko jeden sposób, żeby to zrobić.

Działać bardziej stanowczo niż ludzie, którzy to zaczęli.

ROZDZIAŁ 42

Wysokie Himalaje Czwartek, 18.42

B

Brett August został żołnierzem z dwóch powodów. Po pierwsze, chciał pomóc w tym, żeby jego ojczyzna była silna. W szóstej klasie szkoły podstawowej czytał o takich krajach, jak Anglia czy Włochy, które przegrywały wojny. Chłopiec z Nowej Anglii nie potrafił sobie wyobrazić, jak by się czuł, wymawiając co dzień rano słowa Ślubowania Wierności ze świadomością, że Stany Zjednoczone zostały kiedyś pokonane lub były pod butem najeźdźcy.

Po drugie, uwielbiał przygody. Wychowywał się na westernach, filmach wojennych i komiksach w rodzaju *GI War Tales* i *4-Star Battle Tales*. Jego ulubioną zabawą było budowanie fortec ze śniegu

zimą i szalasów na drzewach latem. Te ostatnie splatał starannie z odciętych gałęzi topól na podwórzu za domem. On i Mikę Rodgers wcielali się na zmianę w pułkownika Thaddeusa Gearharta w forcie Russell albo w Williama Barretta Trávisa w Alamo. Rodgers lubił odgrywać dramatyczną scenę śmierci młodego oficera w walce z przeważającymi siłami wroga.

174

Rzeczywistość okazała się zupełnie inna niż wyobrażenia Augusta.

Największym zagrożeniem dla Stanów Zjednoczonych nie był wróg zewnętrzny, lecz wewnętrzny. August przekonał się o tym po powrocie z obozu jenieckiego w Wietnamie. Nie czekały na niego zaszczyty. Wielu dawnych znajomych potępiało go za to, że walczył w niemoralnej wojnie. Spotykał się też z ostrą krytyką niektórych wojskowych, bo chciał wrócić do Wietnamu i dokończyć to, co zaczął. Oni uważali, że tylko bombardowania zmuszą Wietkong do poddania się. Temperatura w tyglu Ameryki doszła do punktu wrzenia. Ludzie walczyli ze sobą, zamiast poznawać dzielące ich różnice.

Co do przygód, zabijaniu i niewoli towarzyszyło męstwo, ale niewiele dramaturgii czy chwały. Śmierć nie była piękna i widowiskowa, ale brzydka i samotna. Konający nie przerywał umierania, by zasalutować fladze, tylko wrzeszczał, że jest ranny, lub wzywał

ukochaną na drugim końcu świata. Strach o siebie i przyjaciół sprawiał, że August nie czuł

nic poza zwykłym zadowoleniem, kiedy jego patrol wracał do bazy.

W tej chwili napędzała go tylko determinacja doświadczonego zawodowego żołnierza.

Nawet instynkt przetrwania był od niej słabszy. Zginęła większość jego ludzi. Niełatwo będzie z tym żyć. Pułkownik zastanawiał się ponuro, czy William Barrett Travis rzucił się samotnie na meksykańskich żołnierzy na początku bitwy o Alamo nie w akcie odwagi, ale dlatego żeby nie patrzeć, jak padają jego podwładni, żeby oszczędzić sobie tego cierpienia.

Uznał, że nie pora na myślenie o beznadziejnych szarżach. Musiał być tu i teraz i zwyciężyć.

Tkwiał za wyszczerbionym głazem dwa razy większym od niego i obserwował wąską skalną półkę przed sobą. Widział tylko jej pięćdziesięciometrowy odcinek do ostrego zakrętu. Słońce już prawie zaszło i zapadał zmierzch. August nie włożył jeszcze gogli noktowizyjnych, bo oszczędzał baterie na wypadek nocnej walki z indyjską piechotą.

Musicant był schowany za jeszcze większym głazem dwadzieścia metrów na lewo od pułkownika. Mieli pod ogniem krzyżowym odcinek między krańcem skalnej półki a płaskowyzem. Nikt nie zdołałby się tędy przedostać.

Z prawej strony Augusta stał TAC-SAT. Pułkownik przełączył sygnał z dźwiękowego na świetlny, żeby zachować ciszę na swojej pozycji, i przyciemnił diodę. Gdyby rozbłysła, nie będzie widoczna po drugiej stronie głazu.

Stały wiatr dął im w plecy. Podrywał z płaskowyzu drobiny lodu i zmiatał je ze szczytów.

Lodowa mgiełka wznosiła się ostrymi łukami, wlatywała dostatecznie wysoko, by załsnąć w ostatnich promieniach słońca, i opadała

175

z powrotem na ciemną skałę. August był zadowolony z tej zadymki. Ograniczy widoczność każdemu, kto zbliżałby się skalną półką.

Rozbłysła dioda TAC-SAT-u. Pułkownik chwycił słuchawkę, nie odrywając wzroku od skalnej półki.

- Tak?! - zawołał, przyciskając dłonią kaptur do wolnego ucha.
- Tu Bob, Brett. Coś się dzieje?
- Jeszcze nic - odparł August. - O co chodzi?
- Musisz się skontaktować z Mikiem - wyjaśnił Herbert. - Podejrzewamy, że część bojówki idzie w kierunku lodowca Sjaczen. Viens jej szuka. Paul chce, żeby Mike wyruszył na górę.
- To cholernie trudna trasa - odparł August.
- Nie musisz mi tego mówić - mruknął Herbert. - Paul się obawia, że jeśli rzeczywiście jest druga grupa, Mike jej nie złapie, jeśli zaraz nie wyruszy. Przekaż Mike'owi, że gdyby Viens zauważył Pakistańczyków, podamy wam ich pozycję.
- Rozumiem - powiedział pułkownik. - A jeśli pierwsza grupa będzie coś wiedziała, dam ci znać.
- W porządku - odrzekł Herbert. - Próbuję ich wywołać przez radio, ale się nie zgłaszają.

Posłuchaj, Brett. Jeśli Mike uzna, że nie jest w stanie tego zrobić, zawiadam mnie.

- Naprawdę myślisz, że Mike Rodgers mógłby nie wykonać zadania?
- Nie. Dlatego chcę, żebyś go uważnie słuchał. Jeśli wyczujesz, że jest jakiś problem, przekaż mi to.
- Jasne.

August wyłączył się i odpiął radio od pasa. Mike miał najlepszy „pokerowy głos” w siłach zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Pułkownik tylko w jeden sposób mógł się dowiedzieć, czy Rodgers ma jakiś problem z wykonaniem zadania: zapytać go wprost. Ale generał wcale nie musiał powiedzieć mu prawdy.

Rodgers zgłosił się i August przekazał mu instrukcje Hooda.

- Dzięki - odrzekł generał. - Ruszam.
- Mike, czy to wykonalne z takim sprzętem, jaki masz? Herbert chce wiedzieć.
- Jeśli nie odpowiem na następne wezwanie, będziecie wiedzieli, że nie było wykonalne - odparł Rodgers.
- Jesteś jak wrzód na dupie - stwierdził August.
- Jeśli jeszcze czujesz swoją dupę, to jesteś w dużo lepszej sytuacji niż ja - odpowiedział generał.
- Punkt dla ciebie, Rodgers. Bądź ze mną w kontakcie.

176

- Ty ze mną też.

August przełączył radio z sygnału dźwiękowego na wibrowanie i przypiął z powrotem do pasa. Wciąż obserwował skalną półkę. W ciągu Mtttnich kilku minut wiatr przybrał na sile.

Kryształki lodu już nie wirowały w powic-trzu łagodnymi krzywiznami. Przelatywały obok głazu ukośnymi Wtfltwa-mi. Uderzały w ścianę urwiska i odbijały się pod kątem prostym.

Wywoływały złudzenie, że przed skalną półką wisi sceniczna kurtyna.

Nagle za zasłoną lodowej zadymki pojawił się czarny kształt. *Q0^M* się wyraźnie na ciemnobursztynowym tle zmierzchu. Postać nie wygUj^pi na uzbrojoną, choć było już za ciemno, żeby mieć pewność.

August wykonał gest do Musicanta. Sanitariusz skinął głową, *zewiEHi*, Pułkownik zapomniał o całym świecie, przyszłości i filozofii. Obc&ckpiło go teraz tylko jedno.

Żeby przeżyć to spotkanie.

ROZDZIAŁ 43

Wysokie Himalaje Czwartek, 18.57

S zarab całkowicie straciła poczucie czasu. Wiedziała, że wędrują od wielu godzin, ale nie miała pojęcia, od ilu. Od ciągłej wspinaczki i schodzenia w dół piekły ją uda, na stopach porobiły się pęcherze. Każdy krok sprawiał jej ból. Nie wiedziała, jak długo jeszcze wytrzyma. Zejście tam, gdzie według niej powinna być indyjska piechota, wydawało się niemożliwe. Mu siała znaleźć sposób,

żeby spowolnić przeciwnika stąd, z góry.

Mężczyźni idący za nią byli w nie lepszej formie. Porzucili latarki i cięższą broń do strzelania z ramienia. Zostawili też po drodze prawie wszystkie materiały wybuchowe, które planowali Wykorzystać do zwrócenia na siebie uwagi indyjskich żołnierzy. Zjedli prowiant, żeby nie musieć go nieść. Woda w manierkach zamarzła, więc pozbyli się ich. Kiedy chciało im się pić, odłamywali po prostu sople, które znajdowali w małych zagłębieniach terenu.

Każdy miał tylko karabin, pełną kieszeń amunicji, pistolet i dwa zapasowe magazynki. Szarab wiedziała, że jeśli natkną się na żołnierzy, nie pokonają ich. Mogła mieć tylko nadzieję, że uda się ich odciągnąć i zatrzymać na tyle długo, żeby Amerykanin, Nanda i inni zdążyli dotrzeć do Pakistanu.

Szansa na przeżycie wciąż malała. Jeśli nie zabiją ich Hindusi, zrobi to żywioł.

177

Szarab miała nawet wątpliwości, czy w ogóle spotkają indyjską piechotę. Wcześniej słyszeli jakby ogień artyleryjski. Zastanawiała się, czy to elitarna jednostka amerykańska nawiązała walkę z przeciwnikiem. Miała nadzieję, że nie. Tylko tego brakowało, żeby Hindusi cofnęli się na linię kontroli i wezwali posiłki. Jednak z drugiej strony, byłoby dobrze, gdyby Amerykanom udało się wylądować. Na pewno mogliby pomóc w walce z Hindusami.

-Niestety, Szarab nie mogła się dowiedzieć, co zaszło. Radio, przez które rozmawiała z Waszyngtonem, stało się dla niej takim ciężarem, że je zostawiła.

Probiny lodu niesione wiatrem osiadały na jej wełnianym kapturze. Zimno przenikało do środka i spocone włosy zamarzły. Kaptur zrobił się taki ciężki, że musiała iść ze zwieszoną głową. To dobrze. W ten sposób chroniła oczy i policzki przed ostrymi lodowymi pociskami.

Idąc, opierała się ręką o ścianę urwiska, żeby nie zgubić drogi i nie upaść. Ali szedł za nią i trzymał się krawędzi jej parki. Co jakiś czas czuła szarpnięcie, kiedy przystawał lub się potykał. Za Alim szedł Hassan. Szarab wiedziała, że wciąż tam jest, bo słyszała jego modlitwę.

Kiedy skalna półka rozszerzyła się, usłyszała inny dźwięk. Zabrzmiał jak nagły, silny poryw wiatru. Potem powtórzył się głośniejszy. To nie był wiatr. Ktoś krzyczał.

Szarab stanęła i podniosła głowę. Osłoniła ręką oczy i spojrzała przed siebie.

Zobaczyła głaz wielkości wiejskiej chaty. Z prawej strony wylaniało się coś dużego. Nie mogła rozpoznać, co to jest. Powtórzyła sobie w pamięci wycie, które wcześniej usłyszała. Na tak dużej wysokości nie spotykało się niedźwiedzi himalajskich ani jeleni. Może to dzik lub kozica górską.

Albo człowiek.

Znów rozległo się wycie. Szarab ściągnęła kaptur i odwróciła się prawym uchem w kierunku głazu. Zdjęła też jedną rękawicę, wetknęła ją do lewej kieszeni i wyciągnęła z prawej pistolet.

- Kim jesteście?! - zawołała postać.

Szarab cofnęła się.

• A kto pyta?! - odrzyknęła. Była zaskoczona wysiłkiem, z jakim wydobyła z siebie głos.

Aż przyspieszyło jej serce. Jej słowa zabrzmiały apatycznie w zimnym górskim powietrzu.

• Jesteśmy z człowiekiem, który się do was wcześniej przyłączył - odpowiedział drugi mężczyzna. - Gdzie on jest?

- Z którym człowiekiem? - zapytała Szarab. - Było dwóch.

Mężczyzna mówił po angielsku z amerykańskim akcentem. To ją podniosło na duchu.

178

• Wiemy tylko o jednym - odrzekł mężczyzna,

• Jak się nazywa?

, Mężczyzna zawahał

się, Ktoś musiał zrobić pierwszy krok, żeby dowieść, kim jest. Szarab nie zamierzała być pierwsza.

• Friday - powiedział wreszcie mężczyzna. Szarab bardzo ostrożnie posunęła się naprzód.

• Nie ma go z nami!

• Co się z nim stało?

• Odszedł. Porozmawiajmy twarzą w twarz.

• Niech pani podejdzie bliżej z podniesionymi rękami - polecił Amerykanin. Nie wyszedł zza głązu. Teraz ona musiała mu zaufać.

Znów przysłoniła oczy i spróbowała zobaczyć, co jest za gładem. Na prawo dostrzegła drugi, mniejszy, ale żadnych innych ludzi. Za dwoma gładami nie mogło się ukryć wielu żołnierzy. Ale zza takiej osłony można było prowadzić ogień krzyżowy.

Szarab kazała Alemu i Hassanowi zostać na miejscu. Skinęli głowami. Wyciągnęli wcześniej broń i stali blisko siebie przy skalnej ścianie. Ali odsunął się trochę od urwiska, żeby dać Szarab wsparcie.

- Jeśli coś mi się stanie, walczcie i wydostańcie się stąd - powiedziała. —

Musicie ściągnąć na siebie uwagę indyjskich żołnierzy.

Znów skinęli głowami.

Amerykanin był kilkadziesiąt metrów od Szarab. Nie schowała pistoletu. Uniosła ręce na wysokość ramion i ruszyła w kierunku bliższego głazu. Niewiele widziała w lodowej zadymce i musiała odwrócić głowę w bok. Drobiny lodu kłuły skórę. Piekł ją policzek. W końcu musiała opuścić lewą rękę, żeby osłonić twarz. Obok nie było skalnej ściany, o którą mogłaby się oprzeć. Chore stopy dźwigały cały ciężar ciała. Powłóczyła nogami, by trochę im ulżyć.

Przynajmniej teren był równy. Mięśnie nóg miały łatwiejsze zadanie.

Wiatr i ból wyciskały jej łzy z oczu. Kilka metrów od celu zaczęła się zataczać. Drżały jej kolana i nie mogła ustać na nogach. Opadła na gład i zsunęła się po nim. Chwyciły ją silne dłonie w rękawicach i podniosły. Wciąż trzymała pistolet, ale nawet gdyby chciała się bronić, miała zbyt zeszywniałe palce, by pociągnąć za spust.

Mężczyzna w białym kombinezonie wciągnął ją za gład, posadził na ziemi i osłonił własnym ciałem od wiatru. Nachylił się do jej ucha.

- Jest pani dowódcą? - zapytał.
- Najpierw niech pan mi powie, kim pan jest - zażądała. Ledwo mogła mówić. Drżały jej wargi.

179

- Pułkownik Brett August - przedstawił się. - Amerykańska jednostka specjalna Striker.
- Dowodzę tymi bojownikami MWR - odrzekła Szarab. Spojrzała zmrużonymi oczami na ciemny płaskowyż. Zauważyła tam drugiego przykucniętego mężczyznę.
- To kapral William Musicant - wyjaśnił August. - Mój sanitariusz. Jeśli któryś z pani ludzi potrzebuje pomocy medycznej, wyślę go do nich.
- Nic nam nie jest - powiedziała Szarab. - Tylko strasznie zimno. W palce, stopy, usta...

Mężczyzna przysunął się bliżej. Chuchnął jej na wargi. Uczucie ciepła było przyjemne.

Powtórzył to.

- Ilu ma pan ludzi? - spytała Szarab.

- Jest nas trzech - odrzekł. Przeszyła go

wzrokiem.

- Tylko trzech? Skinął głową.

• Te odgłosy, które słyszeliśmy...?

- Ostrzelała nas indyjska piechota. Większość moich ludzi zginęła. Gdzie jest Friday?

-, Podzieliliśmy się na dwie grupy - wyjaśniła Szarab. - Poszedł z tamtymi w innym kierunku.

• Przez lodowiec? Szarab skinęła głową.

• Idą do Pakistanu? - naciskał August.

Szarab nie odpowiedziała od razu. Przyjrzała się jego twarzy. Był w goglach, więc nie mogła dostrzec oczu. Jego usta nie zdradzały żadnych emocji. Miał bladą, ale szorstką skórę.

Z pewnością był Amerykaninem i niejedno w życiu widział.

.- Po co panu ta informacja? - spytała.

• Trzeci z nas wylądował w dolinie - odrzekł August. - Spróbuje się spotkać z pani ludźmi.

• Rozumiem - powiedziała. - Tak, będą się starali dojść przez lodowiec do domu.

- Ma pani z nimi jakiś kontakt?

Pokręciła głową.

•- A co wy zamierzaliście zrobić? - spytał. - Odciągnąć indyjskich żołnierzy od drugiej grupy, na północny zachód?

- Tak - potwierdziła. - Mieliśmy materiały wybuchowe. Chcieliśmy zwró*

cić na siebie ich uwagę, może spowodować jakieś osunięcie skał.

180

.- Tb nie będzie konieczne - rzekł August. - Indyjscy żołnierze idą w naszym kierunku.

Trudno im będzie wspiąć się tutaj, więc zdołamy ich zatrzymać. Dopóki nie ściągną śmigłowców z linii kontroli. - Sięgnął po swoje radio. - Potrzebujecie jedzenia albo wody?

- Jedzenie by się przydało - przyznała.

August zostawił radio przy pasie. Otworzył kieszeń kamizelki i wyjął garść batonów regeneracyjnych.

• Niech pani da kilka swoim ludziom i powie im, żeby do nas dołączyli. - Podał jej batony. -

Hindusi widzieli, jak lądowaliśmy. Jestem pewien, że zjawią się tu. Musimy zorganizować linię obrony płaskowyżu. Będziemy mieli szansę odpocząć, jeśli zaczekają z atakiem do rana.

- Dobrze - odparła Szarab.

Zaczęła wstawać. August pomógł jej. Kiedy ją podniósł, spojrzała na niego.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało z pańskimi ludźmi - powiedziała.

- Dziękuję - odrzekł.

- Ale pocieszę pana - ciągnęła Szarab - że śmierć w służbie naszego narodu zapewni im miejsce w raju. „Nieugiętych, co dobrze czynią, czeka wybaczenie i sowita nagroda”.

Amerykanin uśmiechnął się lekko. Puścił Szarab, gdy oparła się o skałę, i odpiął od pasa radio.

Szarab skrzywiła się, kiedy znów przeniosła cały ciężar ciała na opuchnięte stopy. Zaczęła kuśtykać z powrotem w kierunku skalnej półki. Ale teraz przynajmniej wiedziała, że ból wkrótce się skończy.

ROZDZIAŁ 44

Waszyngton Czwartek, 10.30

Paul Hood przeżył dziewięćdziesiąt trudnych minut. Ale ciężkie chwile to pojęcie względne, powiedział sobie. Fizycznie nic mu nie groziło, jego dzieci były bezpieczne. To mu pomagało patrzeć na swoją sytuację z właściwej perspektywy.

Po utarczce słownej z Bobem Herbertem wezwał do swojego biura Liz Gordon, Lowella Coffeya, Ann Farris i łącznika politycznego Rona Plummera. Chciał im powiedzieć, co się stało ze Strikerem, i od razu zmobilizować do działania. Liz zawiadomi personel Centrum i rodziny poległych. Coffey przygotuje się do rozwiązania problemów prawnych, które mogą się 181

pojawić przy zabieraniu ciał. Ann zostanie bez zajęcia. Dla krajowych urzędników państwowych i zagranicznych rządów Centrum będzie miało oficjalną wersję wydarzeń.

Komandosów Strikera wysłano do Kaszmiru na prośbę indyjskiego rządu, żeby odnaleźli silosy z pociskami jądrowymi. Przypadkowo ostrzelali ich indyjscy żołnierze, którzy poszukiwali pakistańskich terrorystów. Jeśli Ann jest winna przysługę komuś w czołowych mediach, może im powiedzieć to samo. Ani słowa więcej. Ann była bardzo profesjonalna i pomocna. Jeżeli podejrzewała, że między nią i Hoodem jest coś nie tak, nie okazywała tego.

Tylko prezydent poznał prawdę o Strikerze. Lawrence i Hood odbyli krótką rozmowę, zanim do biura Hooda przyszli jego współpracownicy. Prezydent nie wydawał się ani wstrząśnięty, ani zadowolony. Powiedział tylko, że od tej chwili popiera plan. Reakcja prezydenta nie zaskoczyła Hooda. Dawało to Lawrence'owi pole manewru. Będzie mógł

pochwalić albo zganić Centrum, zależnie od tego, jak ułożą się sprawy.

Prezydent zasugerował jednak, żeby natychmiast ujawnić prawdę ambasadorowi Pakistanu w Waszyngtonie. Nie chciał, żeby Islamabad albo ambasador Simathna wydali oświadczenie o

amerykańskich działaniach przeciwko muzułmanom lub o poparciu dla Indii. Gdyby Mikę pokazał się potem z bojówką, podważyłoby to słuszność przeprowadzenia operacji.

Wyglądałoby to tak, jakby Amerykanie zmusili Nandę do kłamstwa, żeby naprawić stosunki z Pakistanem i światem muzułmańskim.

Hood zlecił to zadanie Ronowi Plummerowi. Chciał również, aby Plummer został z ambasadorem pod pretekstem, że powinien informować go na bieżąco o rozwoju wydarzeń. W

rzeczywistości chodziło o to, żeby prawda przedwcześnie nie wyszła na jaw. Hood obawiał się, że Indie mogłyby odpowiedzieć zmasowanym uderzeniem w regionie. Ponieważ terroryści nadal uciekali i nadal obwiniano ich o dokonanie zamachów bombowych, New Delhi miałyby do tego moralne prawo i poparcie światowej opinii publicznej.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, do Hooda zadzwonił Bob Herbert.

- Właśnie rozmawiałem z Brettem Augustem i mam dobre wiadomości -

oznajmił. - Spotkał się z bojówką.

Hood zatrzymał gestem Rona Plummera i pokazał mu, żeby zamknął drzwi za Coffeyem.

• Dzięki Bogu - powiedział do telefonu. - Bob, jest u mnie Ron. Przełączę cię na głośnik.

• Okay - zgodził się Herbert. - W każdym razie, mieliśmy rację - ciągnął. - Pakistańczycy rozdzielili się. W jednej grupie jest Nanda Kumar, jej dzie-182

dbk, Ron Fr^ay i jeden Pakistańczyk. I nie myliłeś się, Paul. Idą przez lodowiec Sjaczf H\

• Czy 3 fwJOzmawiał z Mikiem?

• Jeszd • W eterze są zakłócenia z powodu lodowej, zadymki na płaskowyżu. 1 i* Ttówi, że zamieć nadchodzi falami. Próbuje się wstrzelić w chwilę< Hood poczuł się nagle winny, że siedzi w ciepłym gabinecie z działającym telefonem.

• Paul, mam pewną sugestię - mówił dalej Herbert. - Uważam, że powinniśmy poprosić Pakistańczyków o pomoc w ewakuacji obu grup. W końcu to ich tyłki ratujemy z pożaru.

• Nie możemy - wtrącił się Plummer.

• Dlaczego? - spytał Herbert.

• Jeśli sytuacją jest aż tak napięta, jak opisał mi Paul, ingerencja pakistańskich sił

powietrznych tylko by ją pogorszyła. Dałaby indyjskiej armii dodatkowy powód do ataku.

- Ale mielibyśmy przynajmniej wojnę konwencjonalną - zauważył Herbert.
- Niekoniecznie - odrzekł Plummer. - Zwłaszcza jeśli gdzieś w górach są pakistańskie silosy. Dalibyśmy też Pakistańczykom do zrozumienia, że możliwy jest atak jądrowy. To mogłoby zachęcić Islamabad do uderzenia wyprzedzającego.
- Do dżihadu - powiedział Hood.
- Duchowni mogliby to tak nazwać - zgodził się Plummer. - Dla generałów byłby to po prostu manewr taktyczny. Sytuacja jest wystarczająco niebezpieczna bez rzucania do walki większych sił partyzanckich.
- A gdyby Stany Zjednoczone wysłały w góry dodatkową jednostkę? -podsunął Hood.
- Nic z tego nie wyjdzie - odparł ponuro Herbert. - A nawet gdyby szefowie połączonych sztabów i prezydent zgodzili się skierować tam oddział szturmowy z Turcji albo Bliskiego Wschodu, minęłyby godziny, zanim dotarłby na miejsce.
- Nie rozumiem jednej rzeczy - powiedział Plummer. - Dlaczego musimy reagować militarnie? Nie możemy po prostu zawiadomić Indii o spisku ich Służby Ochrony Pogranicza?

Jestem pewien, że bardzo mało osób w ich rządzie wie o planie wrobienia terrorystów w te zamachy.

- To na pewno jest bardzo ścisła konspiracja - zgodził się Hood. - Problem w tym, że nie mamy pojęcia, kto należy do spisku.

183

- Ktoś najwyraźniej podłączył się do linii informacyjnej Centrum-New Delhi - stwierdził

Herbert. - Bo skąd by wiedzieli o misji Strijbra? W każdym razie, przed zamachami umiarkowani politycy indyjscy mogli jeszcze coś zrobić. Ale Kev Custer monitoruje tamtejsze programy telewizyjne i radiowe. Poparcie dla militarystów szybko rośnie.

- Co oznacza, że umiarkowani mogą się bać zabrać głos - powiedział Hood.
- Dokładnie - przytaknął Herbert.
- A co z sekretarzem generalnym ONZ-etu? - zapytał Plummer. - Ty ją znasz, Paul. Zapomnij o starciach między wami. Jest Hinduską. Ma ważny powód, żeby ujawnić fakty dotyczące zamachu.
- Mała Chatterjee? - mruknął Herbert. - Ona jest taka wyrozumiała dla terrorystów, że słuchając jej przemówień, nawet najbardziej tolerancyjni ludzie zamieniają się w tłum żądny linczu. Nie zamykały jej się usta, kiedy w siedzibie Rady Bezpieczeństwa zabijano zakładników.
- Chatterjee ma zbyt wielu osobistych wrogów-zgodził się Hood.-W tej chwili jej zaangażowanie

tylko pogorszyłyoby sprawę.

- Powtórzę to jeszcze raz, Paul - powiedział Herbert. - Może Rosjanie jednak chcieliby nam pomóc powstrzymać Indie? Chcą być uważani za poważnych obrońców pokoju.
- Możliwe - przyznał Hood. - Ale nawet jeśli zwrócimy się do nich, problemem będzie czas.
- I niedawne konflikty - dodał Plummer. - Pakistan łączą silne więzy z Afganistanem. Jest jeszcze wielu rosyjskich polityków, którzy chętnie widzieliby oba te kraje zrównane z ziemią.
- Ale ciągły pat w stosunkach indyjsko-pakistańskich to stałe zapotrzebowanie na broń i sprzęt wojskowy, które New Delhi kupuje od Moskwy -zauważył Herbert.
- Zgadza się, ale jest jeszcze kwestia, którą poruszył Paul - odrzekł Plummer. - Taka sarna debata, jaką teraz prowadzimy trwałaby na Kremlu kilka dni, jeśli nie dłużej. Nie mamy tyle czasu.
- Zaczynasz mnie wkurzać, Ron - warknął Herbert.
- Ja tylko gram rolę adwokata diabła - bronił się Plummer. - Możemy przekazać część tych propozycji Moskwie i Pentagonowi, ale wątpię, żebyśmy dostali takie wsparcie, jakiego potrzebujemy.
- Niestety, tak to jest, kiedy mamy zarządzanie kryzysowe, zamiast prewencji kryzysowej - stwierdził Hood ponuro. - Jak w to wejdziesz, nie masz zbyt wielu opcji.

184

- .Widzę tylko jedną - odparł Herbert.

Oczywiście miał rację. Mimo tylu środków, jakie miały do dyspozycji Stany Zjednoczone, tylko jeden człowiek mógł zapobiec wojnie jądrowej między Indiami i Pakistanem. Był teraz poza zasięgiem, słabo wyposażony i zdany na siebie.

Generał Mikę Rodgers.

ROZDZIAŁ 45

Lodowiec Sjaczen Czwartek, 21.11

P

odczas lotu z Waszyngtonu Mikę Rodgers przeczytał kilka opracowań na temat lodowca Sjaczen.

Autorem najbardziej interesującego był pewien oficer pakistańskiego wywiadu.

Choć prasa indyjska i pakistańska nazywają lodowiec Sjaczen „najwyżej położonym na świecie polem bitwy”, nie ma on znaczenia strategicznego. Pakistańczycy od lat roszczą sobie prawo do tego terenu. Lodowiec ma wysokość niemal pięciu i pół tysiąca metrów, temperatury spadają tam poniżej minus trzydziestu pięciu stopni, a ciągłe zamiecie i brak tlenu czynią z tego rejonu „niehumanitarne środowisko”, jak to określił jeden z indyjskich raportów. Nikt tam nie mieszka i nie przemierza tego terenu pieszo.

Lodowiec stał się strefą działań wojennych w roku 1984, gdy w jego rejonie zaczęli się pojawiać oficerowie indyjskiego wywiadu. Chcieli zmusić Pakistan do przemieszczenia tam sił

wojskowych, a tym samym do wycofania ich z zamieszkanego Kaszmiru i linii kontroli. Ale Pakistan wcześniej wykrył obecność indyjskich drużyn zwiadowczych dzięki ogłoszeniu dla alpinistów, które ukazało się w pewnym indyjskim magazynie ilustrowanym. Obiecywało ono doświadczonym alpinistom przysługę życia i duże wynagrodzenie za pomoc w przeprowadzaniu grup turystów przez „tereny niena-niesione jeszcze na mapy”. Agenci kontrwywiadu pakistańskiego zaczęli tropić i wyłapywać indyjskie drużyny zwiadowcze.

Konflikt się zaostrzał i wkrótce obie strony zaczęły ściągać siły do spornego rejonu. Niemal dwadzieścia lat później masywny lodowiec patrolowały tysiące żołnierzy i dziesiątki samolotów z obu krajów.

Rodgers nie mógł zobaczyć ani usłyszeć, czy są tam teraz. Był już w wielu odludnych miejscach, ale jeszcze nigdy nie doświadczył czegoś takiego jak tutaj. Stał samotnie u stóp lodowca i widział tylko na taką odległość, na jaką

185

sięgał snop światła latarki, a w swoim radiu słyszał same zakłócenia. Oświetlił: lodową pochyłość. Podnóże lodowca przypominało mu lwią łapę. Wielkie bryły brudnobiałego lodu rozdzielały rozpadliny. Prowadziły ku łagodnemu zboczowi, które wznosiło się wysoko w ciemność. Rodgers czuł się przy tym olbrzymie mały i nieważny. Lodowiec pewnie wyglądał

dokładnie tak samo, kiedy pierwsi ludzie pojawili się w dolinie. Zadzwieczało radio. Rodgers odpiął je od pasa.

- Tak?
- Cel jest na górze - usłyszał.

Łączność została przerwana. Rodgers nie rozpoznał głosu, ale nie miał wątpliwości, że to był August. Pułkownik nie wiedział, jak długo zdoła nadawać, dlatego od razu przeszedł do rzeczy.

- Przyjąłem - odrzekł Rodgers.
- Cztery osoby - odezwał się znów August. - Dziewczyna, jej dziadek, Friday i jeden członek

bojówki.

- Przyjąłem - powtórzył Rodgers. - Jestem na dole strefy. Mam iść na górę teraz?
- Jeśli zaczekasz do wschodu słońca, możesz ich zgubić. Przykro mi.
- Nie ma sprawy.
- Postaramy się, żeby wróg był zajęty. - Głos Augusta znów zaczął zanikać. - Straszna tu zadymka... Bojówka wykończona... Mało amunicji.
- Więc spadaj stamtąd. Ja sobie poradzę.

Odpowiedź Augusta zagłuszyły zakłócenia.

- Mam przewagę na starcie. - Rodgers wykrzykiwał każdą sylabę w na dziei, że pułkownik go usłyszy. - Nawet jeśli wejdą teraz do doliny, nie do rwą mnie. Rozkazuję ci się wycofać. Słyszysz? Masz się wycofać!

Nie było odpowiedzi. Tylko głośnie trzaski.

Rodgers jeszcze chwilę pozostał na nasłuchu. Potem wyłączył radio, żeby nie wyczerpywać baterii, i przypiął do pasa.

Miał nadzieję, że August nie będzie próbował wytrwać za wszelką cenę na swojej wysuniętej placówce. Powrót na dół mógł nie być dobrym wyjściem, ale znalezienie jakiejś grotty i rozpalenie ognia wydawało się rozsądniejsze niż trzymanie się zbocza i ściąganie na siebie indyjskiej piechoty. Niestety, Rodgers dobrze znał Augusta. Pułkownik uznałby odwrót za opuszczenie przyjaciela i strategicznej pozycji. Jedno i drugie byłoby dla niego nie do przyjęcia.

Poza tym na płaskowyżu zginęli komandosi Strikera. Nie było mowy, żeby August po prostu się odwrócił i stamtąd odszedł. Nie ma sensu walczyć o teren bez znaczenia strategicznego, ale jeśli przelano tam krew, walczy się ku 186

czci poległych towarzyszy. Ib nadaje ich ofierze sens, który potrafi zrozumieć tylko frontowy żołnierz.

Rodgers szedł chwilą wzdłuż podnóża lodowca. Wydawało się bez znaczenia, skąd rozpocznie wspinaczkę. Musiał się podciągnąć na jeden z „palców” i zacząć iść w górę.

W kieszeni kamizelki miał składane dwużębne raki. Wyjął je i założył na buty. Rozwidlone stalowe pazury zapewniały lepszą przyczepność stóp.

Zapiął paski i wyciągnął z innej kieszeni haki skalne. Podczas wspinaczki zamierzał je trzymać w zaciśniętych dłoniach i wbijać rękami. Nie chciał używać młotka lodowego, żeby nie tracić czasu. Chyba że byłby zmuszony.

Przymocował do prawego naramiennika specjalną latarkę. Miała mocne baterie kadmowe, wystarczające na całą noc, i energooszczędną żarówkę umieszczoną przed lustrzanym odbłyśnikiem. Rzuciła rozproszony snop światła. Oparł nosek lewego buta na „palcu”

lodowca i podniósł wzrok na lodową ścianę.

- Pokonam cię - mruknął. - Wejdę na górę i dokończę to, co zaczął mój oddział.

Wpatrywał się w ciemność nad sobą. Zobaczył gwiazdy, ledwo widoczne za pasmami chmur. Czas jakby przestał istnieć. Rodgers wbił zęby raka w lód i sięgnął w górę hakiem. Nie widział już gwiazd. Widział oczy poległych komandosów Strikera, czuwających nad nim.

ROZDZIAŁ 46

Waszyngton Czwartek, 12.00

Ambasada Islamskiej Republiki Pakistanu mieści się w niewielkiej rezydencji przy Massachusetts Avenue w północno-zachodniej części Waszyngtonu.

Ron Plummer zatrzymał swojego saaba przed bramą. Głos w domofonie polecił mu wjechać do środka. Plummer podjechał betonowym podjazdem do drugiego punktu kontrolnego na tyłach budynku.

Stał przy podwójnych białych drzwiach, gdzie powitał go agent ochrony w czarnym garniturze i okularach przeciwsłonecznych. W uchu miał słuchawkę, pod białą koszulą kamizelkę kuloodporną, pod pachą kaburę z pistoletem. Sprawdził dokument tożsamości Plummera, wskazał mu miejsce dla gości na małym parkingu i zaczął na niego.

187

Ron Plummer wszedł do budynku. Po drodze przecesał palcami przerzedzone kasztanowe włosy i poprawił grube okulary w czarnej oprawce. Trzydziestodziewięcioletni były analityk CIA czuł na sobie ciężar odpowiedzialności. Był świadom tego, jak wiele spraw musi się ułożyć pomyślnie, żeby nie doszło do wojny na subkontynencie indyjskim.

Narodowe Centrum Zarządzania Kryzysowego miało niewiele do czynienia z ambasadą pakistańską. Ambasador, doktor Ismail Simathna, poznał ludzi z Centrum tylko dzięki akcji Paula Hooda i Mikę'a Rodgersa w siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych. Kiedy uwolnili zakładników, zaprosił obu do ambasady. W wizycie uczestniczył również Plummer.

Simathna pragnął wyrazić uznanie odważnej i błyskotliwej amerykańskiej jednostce wywiadowczej. Wśród wielu uratowanych byli ambasador Pakistanu w ONZ--ecie i jego żona.

Ale Hood i Plummer podejrzewali, że Simathna chciał po prostu poznać ludzi, którzy wprawili w zakłopotanie indyjską sekretarz generalną. Utwierdzili się w tym przekonaniu, gdy pakistańskie media szeroko zrelacjonowały wizytę. Hood był zadowolony, że Plummer też przyszedł. Jego obecność nadała treść spotkaniu, które zaplanowano po to, by oświadczyć, że Indie nie działają skutecznie na

rzecz światowego pokoju.

Agent ochrony przekazał Plummerowi sekretarzowi ambasadora. Młody człowiek uśmiechnął się uprzejmie i wprowadził Amerykanina do gabinetu Simathny. Siwowłosy ambasador wyszedł zza biurka ze szklanym blatem. Był w brązowym garniturze i żółtym krawacie.

Sześćdziesięcioletni dyplomata walczył kiedyś na froncie i miał blizny na obu policzkach, które przebił na wylot pocisk. Był ekspertem do spraw wywiadu i profesorem politologii.

Zanim został ambasadorem swojego kraju w Waszyngtonie, wykładał socjologię polityczną na Uniwersytecie Quaid-E-Azam w Islamabadzie. Przywitał się serdecznie z przedstawicielem Centrum Szybkiego Reagowania.

Plummer nie wyjaśnił wcześniej ambasadorowi, dlaczego chce się z nim spotkać. Powiedział tylko, że to pilne.

Usiedli w nowoczesnych fotelach przy oknie. Gruba szyba kuloodporna tłumiła ich głosy.

Kiedy Plummer mówił, jego słowa brzmiały niemal jak konspiracyjny szept.

Ambasador miał poważną minę, ale jego pociągła twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Pochylił się do przodu i słuchał w milczeniu. Plummer opowiedział mu o operacji Strjker'a i o obawach Hooda co do działań indyjskiej ŚOP. Kiedy skończył, ambasador odchylił się do tyłu.

- Jestem zawiedziony, że nie przyszedł pan do mnie wcześniej po informacje wywiadowcze o broni jądrowej w Kaszmirze - powiedział.

188

- Nie chcieliśmy nadużywać pańskiej przyjaźni - odrzekł Plummer. - Ona wiele dla nas znaczy.

Simathna uśmiechnął się lekko.

• To ładnie z waszej strony, ale teraz złożył mi pan wizytę.

• Owszem - przytaknął Plummer. - Żeby poprosić pana o pomoc, **zaufanie** do nas, cierpliwość, a przede wszystkim o odpowiedzialne postępowanie. Uważamy, że możemy opanować sytuację, ale nadchodzące godziny będą trudne.

• Można tak opisać zagrożenie nuklearne - zgodził się ambasador. Wasi komandosi wykazali dużą odwagę, decydując się na desant powietrzny w górach. Ocalali członkowie Strikera dają mi nadzieję. Narody nie są moriolityczne, nawet takie jak Hindusi i Pakistańczycy. Kiedy ludzie obchodzą siebie nawzajem, można wiele osiągnąć.

• Paul Hood i ja podzielimy pański optymizm - powiedział Plummer.

• Nawet w tej chwili?

• Zwłaszcza w tej chwili.

Podczas rozmowy Plummer obserwował ciemne oczy ambasadora. Simathna był myślami gdzie indziej. Plummer obawiał się, że dyplomata chce zaalarmować swój rząd.

Ambasador wstał.

- Proszę mi wybaczyć, panie Plummer, ale muszę zostawić pana samego na kilka minut.

Plummer też wstał.

• Jeszcze jedno, panie ambasadorze.

• Tak? - zapytał dyplomata.

• Nie chciałbym naciskać, ale muszę mieć pewność, że dokładnie przedstawiłem sytuację.

To bardzo ważne, żeby pański rząd nie podejmował żadnych kroków, dopóki nasi ludzie w terenie nie ewakuują tej Hinduski.

• Wyraził się pan całkiem jasno - odparł Simathna.

• Istnieje bardzo poważne niebezpieczeństwo, że nawet jedno słowo przecieku zamieni obecną sytuację w koszmar - dodał Plummer.

• Zgadzam się z tym - zapewnił go ambasador. Uśmiechnął się i ruszył do drzwi.

• Panie ambasadorze, proszę mi powiedzieć, co pan zamierza zrobić. - Plummer nie ustępował. - Wypadłby bardzo głupio, gdyby się okazało, że Simathna idzie po prostu po aspirynę lub do toalety. Ale musiał spytać.

• Zamierzam zwrócić się do pana z pewną prośbą - odparł Simathna.

- Proszę bardzo. Czym mogę służyć?

Ambasador otworzył drzwi i obejrzał się.

189

• Chciałbym, żeby zrewanżował mi się pan tym samym, o co prosił mnie pan przed chwilą.

• Oczywiście. Słucham. - Odtwarzał w myślach całą rozmowę i usiłował sobie przypomnieć, o co, do cholery, prosił ambasadora.

- Niech mi pan zaufa - powiedział Simathna.
- Ufam panu - zapewnił Plummer. - Dlatego tu przyszedłem. Chcę tylko wiedzieć, czy jesteśmy na tej samej stronie podręcznika taktycznego.
- Tak - odrzekł ambasador. - Z tym że ja mam dostęp do przypisów, a pan nie.

Po tych słowach pakistański dyplomata wyszedł z gabinetu i cicho zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 47

Lodowiec Sjaczen Czwartek, 22.57

Wściekłość chroniła Rona Fridaya przez zamarznięciem. Kiedy zaczynał ten etap operacji, był optymistą. Skutecznie przejął od Szarab dowodzenie. Nawet gdyby kobieta przeżyła spotkanie z indyjską piechotą, on byłby tym, który przeprowadził bojówkę do Pakistanu. On by triumfował. Zadanie wydawało się wykonalne. Przynajmniej tak wynikało z indyjskich map wojskowych, które zabrał z helikoptera. Wyglądało na to, że przełęcz Bellpora na linii kontroli jest słabo strzeżona. Ale rozległą otwartą przestrzeń łatwo było kontrolować z powietrza.

Friday i jego grupa musieli zachować czujność. Gdyby bojówka była jeszcze na przełęczy podczas lotu zwiadowczego, musiałyby znaleźć jakąś kryjówkę i przeczekać.

Z upływem godzin Friday miał coraz mniej zapału do tej operacji. Był przyzwyczajony do działania w pojedynkę. To zawsze dawało mu przewagę psychologiczną. Nie musiał się o nikogo troszczyć ani na nikim polegać, co pozwalało na szybką zmianę taktyki.

Samuel prowadził grupę. Badał grunt długim kijem, żeby sprawdzić wytrzymałość lodu.

Friday szedł za nim. Pod prawą pachą niósł dwie niezapalane pochodnie z grubych gałęzi owiniętych ciasno płótnem, które bardziej się żarzyły, niż płonęły. Pochodni mieli użyć tylko w ostateczności. Friday miał w kieszeni tylko kilka zapalek i nie zamierzał ich marnować.

Nanda i jej dziadek szli z tyłu. Dziewczyna radziła sobie zupełnie dobrze. Była wprawdzie szczupła i szybko traciła ciepło, ale miała ducha walki 190

i poruszały się szybciej gdyby nie Apu. Starszy mężczyzna był wykończony.

Kumarowie coraz bardziej irytowali Fridaya. Nie mógł znieść niedołęstwa ApU, a poświęcenie Nandy wkurzało go. Miała obowiązek zakończyć kryzys, który pomogła wywołać. Każda minuta opieki nad Apu spowalniała ich marsz przez lodowiec i wyczerpywała siły.

Życie hodowcy drobiu nie było aż tak ważne.

Friday rozejrzał się po raz ostatni, zanim na dobre zapadła noc. Byli na rozległym, płaskim pustkowiu. Na wschodzie, w odległości około kilometra, wznosił się niemal pionowo niebieskobiały lodowiec o wysokości kilku tysięcy metrów. Powierzchnia była nierówna i poszarpana, jakby

oderwał się fragment wielkości góry. Teren od strony zachodniej był dużo gładzijszy. Pewnie dlatego, że od wieków spływały tędy deszcze i woda z gór. Lodowa ściana opadała ku odległej dolinie. Friday nie był tego pewien, bo w niższych, cieplejszych partiach podnosiła się mgła.

To zresztą nie miało znaczenia. Pakistan leżał na wprost, na północy. Friday wiedział, że jeśli nie przyspieszą tempa marszu, nie dotrą tam na czas albo nie dotrą wcale.

Wyjął małą latarkę i podał Samuelowi.. Obawiał się, że baterie nie wystarczą do świtu, kazał więc Pakistańczykowi rozejrzeć się, a potem zgasić latarkę i używać jej tylko w ostateczności. Noc była mroźna, ale lodowiec osłaniał ich od silnych górskich wiatrów. Friday czekał na Nandę i Apu. Kiedy zrównali się z nim, ruszył obok dziewczyny. Trzymała dziadka za rękę i szła trochę przed nim. Robiła jeden krok, stawiała i dosłownie przyciągała dziadka do siebie po lodzie, stanowczo, ale delikatnie. Dyszała ciężko, a Apu był zgięty wpół.

- W tym tempie nie dojdziemy do celu - powiedział Friday.
- Dojdziemy - odparła Nanda.
- Kiedy będzie za późno. - Friday nie ustępował. Dziewczyna nie zareagowała.
- Jeśli któraś ze stron zrzuci gdzieś w górach głowicę jądrową, ten lodowiec zamieni się w słodkowodne jezioro - ciągnął Friday. - Zostawmy twojego dziadka z Samuelem. Pójdziemy do Pakistanu we dwoje. Jak dotrzemy na miejsce, wyślemy im pomoc. ,
- Mam zostawić dziadka z jednym z ludzi, którzy nas więzili? - oburzyła się. - Nie ufam mu.
- Okoliczności się zmieniły - przekonywał Friday. - Samuel chce uratować swoich rodaków.

Zaopiekuj się twoim dziadkiem.

191

Dziewczyna nadal pomagała Apu posuwać się naprzód. Friday słyszał, jak stopy Kumara suną po lodzie. Sam dźwięk był irytujący.

- Nanda, musisz ze mną współpracować - naciskał.
- Współpracuję - odrzekła.
- Nic nie rozumiesz - upierał się Friday. - Jesteśmy odcięci od świata. Nie wiemy, co się tam dzieje. Musimy jak najszybciej przekroczyć linię kontroli.

Nanda stanęła i powiedziała dziadkowi, żeby chwilę odpoczął. Gdy Apu osunął się z ulgą na kolana, odciągnęła Fridaya na bok. Amerykanin kazał Samuelowi iść dalej. Wiedział, że go znajdzie dzięki błyskom latarki.

- Jeśli zostawimy mojego dziadka z terrorystą, nikt ich stąd nie zabierze -powiedziała Nanda. - Znam ten rejon. Po obu stronach granicy panuje wielkie napięcie. Wojskowi nie będą chcieli zrobić żadnego prowokacyjnego ruchu.
- Wyślemy tu cywilny helikopter. Ambasada amerykańska może to załatwić.
- Do tego czasu oni umrą. Mój dziadek jest u kresu sił. Jeśli odejdę, podda się.
- A jeśli nie odejdiesz, dwa narody mogą przestać istnieć. Odegrałaś kluczową rolę w tej sprawie. Musisz to wyprostować.

Dziewczyna milczała. Friday nie widział jej twarzy, ale słyszał jej oddech. Był trochę spokojniejszy. Nanda zastanawiała się. Miękła. Zamierzała się zgodzić.

- Dobrze - powiedziała wreszcie. - Zrobię to, o co mnie pan prosi. Ale pod warunkiem, że zostanie pan z moim dziadkiem.

Zaskoczyła Fridaya.

- Dlaczego ja?-spytał.
- Bo pan wie, jak tu przetrwać - odrzekła. Dla podkreślenia tych słów położyła rękę na niezapalonych pochodniach. - Widziałam dolinę na zachód stąd. Może pan sprowadzić go na dół, znaleźć ciepłe schronienie i wodę.. Jeśli mi pan obieca, że zajmie się dziadkiem, pójdę naprzód z Samuelem.

Pot na twarzy Fridaya zaczął zamarzać. Uczucie było dziwne, jakby twardniał wosk ze świecy. Amerykanin miał otartą skórę na wewnętrznej stronie ud i bolały go płuca od oddychania mroźnym powietrzem. Im dłużej tu stał, tym wyraźniej zdawał sobie sprawę, jacy są bezbronni.

Położył pochodnie na ziemi, zdjął prawą rękawicę i zdrapał lód z czoła i policzków. Potem wsunął rękę do kieszeni. Nanda była jego zdobyczą. Nie miał zamiaru zostawać z tyłu ani słuchać jej rozkazów.

Wyjął z kieszeni pistolet. Nanda nie widziała w ciemności broni, nie mogła też wiedzieć, co Friday zamierza zrobić. Gdyby wpakował kulę w głowę jej dziadka, nie miałyby wyboru i musiałyby iść naprzód. Choćby po to, żeby

192

postawić Fridaya przed sądem. Tłumaczyłby, że Apu nie chciał być ciężarem dla innych, rzucił się więc na pistolet, żeby odebrać sobie życie. Doszło do szamotaniny i broń wypaliła.

Friday zawahał się. Strzał mógł zwrócić uwagę indyjskich żołnierzy na linii kontroli. Ale górskie szczyty i kręte doliny uniemożliwią zlokalizowanie dźwięku, a formacje lodowe są na tyle daleko, że

huk raczej nie spowoduje osunięcia się ich luźnych fragmentów.

Wyminął Nandę.

- W porządku - oświadczył. - Zajmę się twoim dziadkiem.

ROZDZIAŁ 4tt

Waszyngton Czwartek, 13.28

R

on Plummer nie był cierpliwy. Oficerowie wywiadu i łącznicy rządowi nie mogą sobie pozwolić na cierpliwość. Muszą bez przerwy myśleć, być dociekliwi i mieć wyobraźnię.

Inaczej nie potrafiliby motywować swoich ludzi i siebie ani dostrzegać, co się kryje za pozornie oczywistymi sprawami, i akceptować impasów. Ale muszą się również kontrolować.

Udawać opanowanych, kiedy są niespokojni.

Ron Plummer zazwyczaj nie miał z tym problemu, lecz w tej chwili jego samokontrola została wystawiona na ciężką próbę. Powodem było coś, czego nie cierpiał najbardziej -

lekceważenie.

Minęły prawie trzy kwadranse, odkąd ambasador Simathna wyszedł z gabinetu. Plummer przez kilka minut siedział, potem trochę pospacerował, znów chwilę posiedział, wreszcie wstał

i zaczął krążyć po wielkim pokoju. Patrzył na książki wypełniające oszklone szafy. Większość była po angielsku, część w języku urdu. Na pokrytych boazerią ścianach wisiały tabliczki pamiątkowe, pochwały i zdjęcia ambasadora z różnymi przywódcami światowymi. Jedno pokazywało Simathnę w towarzystwie sekretarza generalnej ONZ-etu Mali Chatterjee. Nie uśmiechali się. Plummer miał nadzieję, że to nie jest zły omen. Zatrzymał się przed dokumentem, który wisiał w ramce blisko biurka ambasadora. Podpisał go w 1906 roku Aga Khan III, indyjski muzułmanin. Była to deklaracja programowa Ogólno indyjskiej Ligi Muzułmańskiej, którą syn sułtana założył w celu utworzenia w regionie państwa muzułmańskiego. Plummer zastanawiał się, czy właśnie wtedy interesy hindusów i muzuł-

manów po raz ostatni były zbieżne.

193

Zobaczył własne odbicie w szybie przeciwsłonecznej. Obraz był półprzezroczysty, co pasowało do jego sytuacji. Łącznik polityczny musiał być na tyle wyrazisty, by załatwić swoją sprawą, a jednocześnie na tyle elastyczny, żeby brać pod uwagę potrzeby innych. Musiał też umiejętnie pośredniczyć między różnymi grupami. Nawet tacy rozsądni i pełni dobrej woli ludzie, jak Hood i Simathna mogli się ze sobą nie zgadzać.

Paul Hood czekał na wiadomość, ale Plummer nie chciał dzwonić do Centrum. Po pierwsze, nie miał nic do zameldowania. Po drugie, w ambasadzie na pewno są podsłuchy. W pokojach i telefonach musiały być pluskwy, a każdy numer wybrany na komórce zostałby wyłapany przez elektroniczne detektory impulsów. Urządzenia te, mające kształt i wielkość zegarka kieszonkowego, były przeznaczone tylko do rozpoznawania i rejestrowania impulsów telefonów komórkowych. Ale potem każda rozmowa z namierzonej komórki prowadzona w zasięgu anteny odbiorczej ambasady mogła być podsłuchiwana przez wywiad pakistański albo tego, komu Islamabad sprzedawał te dane.

Plummer zastanawiał się, co postanowił ambasador Simathna. Na pewno złożył raport wywiadowczy szefowi rządu republiki generałowi Abdulowi Qureshiemu. Ale co dalej?

Islamabad lub ambasada mogłyby wydać oświadczenie dla prasy potępiające dwulicowość New Delhi. Indie oczywiście gwałtownie odparłyby zarzuty. Oba narody poparłyby swoich przywódców i napięcie wzrosłoby jeszcze bardziej. Zwłaszcza w Centrum Szybkiego Reagowania, które Islamabad bez wątpienia wymieniłby jako źródło informacji.

Druga możliwość była taka, że nie będzie oświadczenia dla prasy. Jeszcze nie teraz. Zamiast tego Qureshi i generałowie z pakistańskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego zaplanują szybkie uderzenie nuklearne na Indie. Zniszczą tyle wyrzutni pocisków, ile zdołają, po czym opublikują informacje uzyskane od Centrum. Stany Zjednoczone zostaną uwikłane w konflikt jako sojusznik Pakistanu.

Ale Plummer nie tracił nadziei, że jest trzecia możliwość. Nazywał ją „zwrotem o sto osiemdziesiąt stopni”. Eksperci nigdy nie brali pod uwagę takiej opcji, bo całkowicie różniła się od powszechnych przewidywań. Tak było z lądowaniem aliantów w Normandii zamiast w Calais w czasie drugiej wojny światowej i ze zwycięstwem Harry'ego Trumana nad Thomasem Dewe-yem w wyborach prezydenckich w 1948 roku.

Ostatnie słowa Simathny o przypisach, do których tylko on ma dostęp, dawały Plummerowi nadzieję na zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.

Drzwi otworzyły się, gdy Amerykanin czytał manifest sprzed dziewięćdziesięciu lat.

- Często stoję tam, gdzie pan teraz, i patrzę na ten dokument - powiedział

ambasador, wchodząc do gabinetu. - Przypomina mi o marzeniu, którego mam zaszczyt strzec.

Zamknął ciężkie drzwi i ruszył w stronę biurka. Wydawał się bardziej roztargniony niż przedtem. To mógł być zarówno dobry, jak i zły znak. Może dyplomacja zwyciężyła i Islamabad dał czas Mike'owi Rodgersowi na dokończenie operacji. Ambasador stałby się wówczas bohaterem lub kozłem ofiarnym. Albo potomkowie Agi Khana III zamierzali ułożyć nowy manifest Ligii Muzułmańskiej. Taki, który zapisze się w historii eksplozją plutonu 239.

Simathna wszedł za biurko i wskazał Plummerowi krzesło po drugiej stronie. Amerykanin usiadł dopiero wtedy, gdy zrobił to ambasador. Dyplomata odwrócił telefon w kierunku Plummera.

- Czy zechciałby pan zadzwonić do pana Hooda i poprosić, żeby połączył

pana z generałem Rodgersem? - spytał. - Muszę porozmawiać z jednym i drugim.

Plummer pochylił się na krzesło.

• Co pan im powie?

• Rozmawiałem z generałem Qureshim i członkami Rady Bezpieczeństwa Narodowego -

odrzekł ambasador. - Bardzo się zaniepokoiłi, ale nie wpadli w panikę. Trwają już ciche przygotowania do uruchomienia systemów obrony i kanałów dyplomatycznych. Jeśli pańska opowieść o tej Hindusce jest prawdziwa, nie powinniśmy pogarszać sytuacji.

• Jak możemy pomóc?

Ambasador powiedział, co ustalili pakistańscy przywódcy. Ich plan był czymś więcej niż zwrotem o sto osiemdziesiąt stopni. Taka opcja nigdy nie przysłaby Plummerowi do głowy.

Zdał sobie sprawę, że plan jest bardzo ryzykowny. Pakistańczycy mogą szukać sojusznika w wojnie z Indiami. Jeśli ambasador wprowadzi go w błąd co do ich intencji, Stany Zjednoczone znajdą się w epicentrum pożogi.

Dosłownie.

Na szczęście lub na nieszczęście Ron Plummer musiał tylko wykonać telefon.

Podjęcie decyzji należało do Paula Hooda.

HOZDZIAŁ 40**Waszyngton Czwartek, 13.36**

P

aul Hood podkradał kawałek pizzy z biurka swojego asystenta, gdy zadzwonił Ron Plummer.

Hood poprosił Pluskwę, żeby wezwał Boba Herberta, po czym wrócił do własnego biurka i odebrał telefon.

- Co załatwiłeś? - spytał. Usłyszał w słuchawce lekki pogłos, który wskazywał, że na drugim końcu linii jest włączony głośnik. Włączył swój.
- Jestem u ambasadora Simathny - oznajmił Plummer. - Pan ambasador ma pewną propozycją.
- Dzień dobry, panie ambasadorze - przywitał się Hood. - Jak możemy pomóc?

Wjechał Herbert i zamknął za sobą drzwi.

- Po pierwsze, panie dyrektorze, proszę przyjąć moje kondolencje z powodu tragicznej śmierci pańskich komandosów z oddziału Striker i wyrazy uznania mojego rządu dla ich wysiłków - powiedział Simathna.
- Dziękuję panu - odrzekł Hood. Głos ambasadora brzmiał zbyt współczująco. Dyplomata musiał wiedzieć, że Striker nie został wysłany do regionu, by pomóc zapobiec indyjskiej agresji.

Herbert zareagował bardziej otwarcie. Zamachał pięścią.

- Po drugie, mój rząd ma plan, który może pomóc generałowi Rodgersowi i jego ludziom - ciągnął Simathna. - Ale jak już mówiłem panu Plummerowi, wymagane będzie zrozumienie waszego rządu, że szczegóły tej operacji nie mogą być ujawnione.
- Nie jestem upoważniony do wypowiedzania się w imieniu mojego rządu - odparł Hood. -

Jeśli wyjaśni mi pan, o co chodzi, natychmiast porozumiem się z ludźmi, którzy mają uprawnienia do udzielania takich zapewnień.

Hood tracił cierpliwość. Mijały cenne sekundy, zagrożone było ludzkie życie, a on i ambasador pozowali. Ale tak się prowadziło tę grę.

- Proponujemy, żeby wasza grupa w terenie skierowała się do silosu pociągu nuklearnego, który nasi

wojskowi ulokowali w lodowcu— wyjaśnił Si mathna. - Wyrzutnia jest zdalnie sterowana i monitorowana od wewnątrz przez kamery wideo. Ta Hinduska będzie mogła nadać oświadczenie z wnętrza silosu.

Hood spojrział na Herberta. Mike'a Rodgersa zapraszano do złożenia wizyty w jednym z silosów, które miał odnaleźć Striker. Ironia tej propozycji była niemal bolesna. A plan wysoce ryzykowny.

196

- Mógłby pan minutę zaczekać, panie ambasadorze? -zapytał Hood.
- Biorąc pod uwagę sytuację, wolałbym, żeby nie trwało to dłużej - odparł Simathna.
- Rozumiem pana, ale muszę się poradzić z jednym z moich współpracowników - powiedział Hood.
- W porządku - zgodził się Simathna. Hood wyłączył mikrofon.
- Co ci podpowiada instynkt, Bob? Chcą nas wykorzystać?
- Nie wiem - wyznał Herbert. - Przeczucie mówi mi, że nasi ludzie powinni jak najszybciej dotrzeć do najbliższego ciepłego schronienia. Im dłużej patrzę na zdjęcia lodowca, tym bardziej się obawiam, że nie pokonają go z taką ilością sprzętu i prowiantu, jaką mają. A prognozy pogody dla tamtego regionu są kiepskie. Przed północą temperatura spadnie do ponad minus dwudziestu stopni. Ale pakistański silos nuklearny to ostatnie miejsce, do którego bym ich wysłał.
- Mnie też się to nie podoba - powiedział Hood. - Problem w tym, że musimy jak najszybciej postawić Nandę Kumar przed kamerą.
- Nandę tak. Ale chodzi mi o Mike'a i Fridaya. Jeśli Pakistańczycy będą ich mieli na taśmie, diabli wiedzą, jaką bzdurną historię może spłodzić Islamabad. Mogą wykasować dźwięk, udostępnić film mediom i powiedzieć, że Mike i Fri-day są tam jako doradcy techniczni. Jak to zostanie przyjęte w Indiach, Rosji, Chinach i Bóg wie, gdzie jeszcze? Amerykański generał i oficer wywiadu współpracują z Pakistańczykami przy instalowaniu pocisków nuklearnych?
- Powiedzieliby, że od początku pomagamy im w tej operacji - odrzekł Hood. - Ale nie widzę innej możliwości.

Herbert pokręcił głową.

- Ja też nie.
- Więc prowadźmy to dalej i po prostu uważajmy na każdy krok - zdecydował Hood. -

Przede wszystkim musimy spróbować nawiązać kontakt z Brettem. Dowiedzieć się, czy w ogóle może wywołać Mikę'a.

- Zaraz się tym zajmę - obiecał Herbert.
- Wezmę od Simathny współrzędne tego silosu. Potem zadzwonię do Hanka Lewisa, do senatora Fox i do prezydenta. Powiem im, co chcemy zrobić.
- Nie uzyskasz poparcia Fox ani prezydenta.
- Wiem, ale nie sądzę, żeby przerwali operację. Za głęboko już w tym siedzimy. Jeśli Mikę i Friday przekroczą linię kontroli z pakistańskimi terrorystami, Islamabad powie, że Stany Zjednoczone pomagały im w ucieczce. To byłaby prawie taka sama katastrofa.

197

Herbert skinął głową i odjechał w róg pokoju, gdzie wybrał numer TAC--SAT-u na swoim telefonie przy wózku,

Paul Hood wrócił do rozmowy z ambasadorem Simathną. Wyłączył głośnik, żeby nie przeszkadzać Herbertowi.

- Panie ambasadorze?
- Słucham - odezwał się Simathną.
- Dziękuję, że pan zaczekał - powiedział Hood. - Jesteśmy zgodni, że powinniśmy rozważyć pańską propozycję.
- Rozważyć? - powtórzył ambasador. - Czy to znaczy, że bierzecie pod uwagę również inne warianty?
- W tej chwili nie - odrzekł Hood.
- Ale moglibyście? - naciskał dyplomata.
- Owszem - przyznał Hood. - Na razie nie wiemy nawet, czy uda nam się skontaktować z generałem Rodgersem, a co dopiero wysłać go do silosu. Nie mamy pojęcia, w jakim stanie jest jego grupa.
- Zdaję sobie sprawę, że jest pan w trudnej sytuacji, ale proszę mnie zrozumieć - odparł

ambasador. - Nie chcemy ujawniać lokalizacji naszego stanowiska obrony, jeśli pański oficer z niego nie skorzysta.

Rozmowa była zabawą w podchody, zamiast nawiązywaniem współpracy. Hood musiał to zmienić. Zwłaszcza jeśli miał powierzyć temu człowiekowi los Mike'a Rodgersa.

- Rozumiem pana - zapewnił.

Herbert nagle się odwrócił i pokręcił głową.

- Moment, panie ambasadorze - powiedział Hood i wyłączył mikrofon. -

Co jest, Bob?

- Brett nie może wywołać Mike'a - odparł Herbert.

Hood zaklął.

- Ma w radiu same zakłócenia - ciągnął Herbert. - Szarab mówi mu, że wiatr uspokoi się za pięć, sześć godzin.

- To nam nie pomoże - stwierdził Hood.

Zastanowił się. Mieli w powietrzu tysiące satelitów i placówki w całym regionie. Musiał być jakiś sposób na przekazanie Mike'owi wiadomości. Albo komuś, kto z nim jest, pomyślał

nagle.

- Może uda nam się coś zdziałać - rzekł. - Powiedz Brettowi, że odezwiemy się do niego za kilka minut. Potem połącz mnie z Hankiem Lewisem.

- Dobra.

Hood włączył mikrofon.

- Panie ambasadorze, może pan zostać na linii?

198

- .Zagrożone jest bezpieczeństwo mojego kraju - odparł Simathna.

- Czy mam to uważać za odpowiedź twierdzącą? - zapytał niecierpliwie Hood. Nie miał czasu na słuchanie przemówień.

- Tak. Dałem to wyraźnie do zrozumienia, panie Hood.

- Czy pan Plummer jeszcze jest u pana?
 - Jestem, Paul - odezwał się Plummer.
 - To dobrze. Mogę potrzebować twojej pomocy.
 - Rozumiem.
 - Przełączę was na głośnik, panowie, żebyście obaj mogli uczestniczyć w tym, co się dzieje
- powiedział Hood.

Ambasador podziękował mu.

Głos Simathny zabrzmiał szczerze. Hood miał nadzieję, że tak jest. Bo gdyby ambasador naraził na niebezpieczeństwo Rodgersa lub misję, Hood natychmiast by o tym wiedział.

Ron Plummer zadbałby o to.

HOZDZIAŁ 50

Lodowiec Sjaczen Czwartek, 23.40

To była ostatnia rzecz, jakiej Friday się spodziewał. Kiedy zbliżał się do klęczącego Apu Kumara, poczuł w kieszeni kamizelki wibracje komórki. Mógł dzwonić tylko ktoś z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Ale tutaj Friday powinien być całkowicie poza zasięgiem sygnału. Lodowiec otaczały góry, wieże radiowe w Kaszmirze były daleko, szalała lodowa zadymka. Przy tarciu cząsteczek lodu powstawały ładunki elektrostatyczne, które utrudniały nawet komunikowanie się przez radio do łączności wewnątrzoddziałowej.

A jednak telefon dzwonił, jakby Friday jechał w tej chwili waszyngtońskim metrem, a nie brnął przez lodowiec w sercu Himalajów. Przystanął i wsunął pistolet do kieszeni. Sięgnął pod kurtkę, wyjął komórkę i wcisnął przycisk.

- Tak? - zgłosił się.
- Ron Friday? - odezwał się ktoś głośno i wyraźnie.
- A kto mówi?
- Pułkownik Brett August z jednostki Striker.
- Ze Strikera? - powtórzył Friday. - Gdzie jesteście? Kiedy wylądowaliście?

naszego TAC-SAT-u. Dyrektor Lewis dał nam pański numer telefonu i kod wywoławczy.

Pułkownik podał prawidłowy numer identyfikacyjny dyrektora NSA przy zakodowanej łączności. Ale Friday był nieufny.

- Ilu was tam jest?
- Tylko trzech.
- Trzech? Co się stało?
- Dostaliśmy się pod ogień indyjskiej piechoty - wyjaśnił August. - Czy generał Rodgers jest z panem?
- Nie.
- Niech pan go wypatruje. Musicie połączyć siły. To ważne.
- Gdzie on jest?
- Wylądował w dolinie Mangala i kieruje się na wschód. Zwiad satelitarny podał mu w przybliżeniu pańską pozycję.
- W dolinie - powtórzył Friday. Spojrzał tam, gdzie w ciemności poruszał się Samuel. - To tuż przed nami.
- To dobrze - odparł August. - Kiedy się spotkacie, pójdziecie razem do miejsca o następujących współrzędnych na pańskiej mapie lotniczej...
- Moment, muszę ją wyjąć - przerwał mu Friday.

Ukucnął i położył telefon na lodzie. Wyciągnął z kieszeni mapę i długopis. Spróbował

odczytać mapę w zielonej poświacie komórki, ale nie udało się. Musiał zapalić jedną z pochodni. Nagła jasność oślepiła go i skrzywił się. Usiłował wbić gałąź w ziemię, ale podłoże było zbyt twarde. Apu wyciągnął rękę i potrzywał mu pochodnię. Friday pozostał

przykucnięty nad rozłożoną mapą.

- Jestem gotów - oznajmił, kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do blasku ognia.

- Siedemnaście i trzy dziesiąte stopnia północ, dwadzieścia jeden i trzy dziesiąte stopnia wschód - podał August.

Friday spojrział na ten punkt na mapie. Zobaczył tylko lód.

- Co tam jest? - * spytał.

- Nie wiem - odparł August.
- Słucham?!
- Nie wiem - powtórzył pułkownik.
- A kto wie? - zapytał Friday ostro.
- Tego też nie wiem. Przekazuję tylko rozkazy naszych przełożonych w Centrum i NSA.

200

- W ciemno nigdzie nie pójde. -Friday nadal studiował mapę. - Zwłaszcza że widzę, iż kierując się do tamtego miejsca, oddalilibyśmy się od linii kontroli.
- Niech pan posłucha -> powiedział August. - Wie pan, o jaką stawkę chodzi. Waszyngton też wie. Nie prosiliby pana o pójście tam, gdyby to nie było ważne. Siedzę tu na górze bez moich ludzi i mam na karku indyjską piechotę. Muszę sobie z tym poradzić. Ja albo William Musicant podamy panu następne informacje za dwie godziny. Mniej więcej tyle czasu zajmie panu droga z doliny do tamtego miejsca.
- O ile tam pójdziemy.
- Zakładam, że wykona pan rozkaz, tak jak to zrobili moi ludzie. Bez odbioru.

Na linii zapadła cisza. Friday wyłączył komórkę. Arogancki skurwysyn, pomyślał. Z ciemności dobiegł głos Nandy.

- O co chodzi?

Friday nadal tkwił w kucki nad mapą. Żar pochodni roztopiał lód obok niego, ale uczucie ciepła było przyjemne.

- Wszystkowiedzący w Waszyngtonie mają dla nas nowy plan, ale nie zamierzają go nam zdradzić - wyjaśnił. - Chcą, żebyśmy poszli do pewnego miejsca i poczekał tam na instrukcje.

Nanda podeszła do niego.

- Do którego miejsca? - spytała. Friday pokazał jej punkt na mapie.
- To środek lodowca - zauważyła.
- Orientujesz się, co tam może być?
- Nie - odparła.

- Nie podoba mi się to - powiedział Friday. - Nawet nie wiem, czy rzeczywiście rozmawiałem z pułkownikiem Augustem. Mogła go złapać indyjska piechota i wydusić z niego numer kodowy.

- Nie - odezwał się w ciemności czyjś głos.

Friday i Nanda aż podskoczyli. Amerykanin chwycił pochodnię i poświecił w lewo. Stamtąd dobiegł głos.

W ich stronę szedł mężczyzna. Miał na sobie biały kombinezon spadochroniarski do skoków z dużej wysokości i kamizelkę kuloodporną US Army. Niósł latarkę. Samuel trzymał się kawałek za nim. Friday przełożył pochodnię do lewej ręki, a prawą wsunął do kieszeni z pistoletem. Wstał.

- General Mike Rodgers z jednostki Striker - przedstawił się obcy. - Do myślam się, że pan to Ron Friday, a pani to Nanda Kumar.

201

- Tak - potwierdziła młoda kobieta.

Friday nie był zachwycony, że majątowarzystwo. Najpierw chciał się upewnić, że obcy jest tym, za kogo się podaje. Przyglądał się uważnie nadchodzącemu mężczyźnie. Nie wyglądał na Hindusa. Policzki i okolice oczu miał czerwone od wiatru, jakby przeszedł długą drogę, żeby tu dotrzeć.

- Skąd pan wie, że ten, kto do mnie dzwonił, to rzeczywiście był August?

- zapytał Friday.

- Pułkownik August spędził kilka lat jako gość w Wietnamie Północnym

- odparł Rodgers. - Nie powiedział swoim gospodarzom niczego, co chcieli wiedzieć. Nie zmienił się od tamtej pory. Po co się z panem skontaktował?

- Waszyngton chce, żebyśmy poszli do punktu na północny wschód stąd, daleko od linii kontroli - odrzekł Friday. - Ale nie wyjaśnili, po co.

- Oczywiście, że nie - powiedział Rodgers. - Jeśli wpadniemy w ręce wroga, nie będziemy mogli zdradzić, dokąd idziemy. - Wyjął swoje radio i sprawdził. Rozległy się tylko trzaski zakłóceń. - Jak pułkownik połączył się z panem?

- Z TAC-SAT-u na komórkę.

- Sprytnie. Co u niego? Wszystko w porządku?

Friday skinął głową. Dopóki August powstrzymywał Hindusów, nie obchodziło go, jak sobie radzi.

Rodgers podszedł do Apu i wyciągnął rękę. Wokół stóp Hindusa zaczęła się tworzyć kałuża wody.

- Proponuję, żebyśmy ruszyli w drogę, zanim tu zamrozniemy - powie dział generał.

- Więc to postanowione? - spytał Friday. - Zdecydował pan, że mamy iść w głąb lodowca?
- Nie ją Waszyngton. - Rodgers pomógł Apu wstać, ale nie spuszczał Fridaya z oczu.
- Mimo że nie wiemy, co tam jest? - naciskał Friday.
- Zwłaszcza dlatego - odparł Rodgers. - Jeśli cel jest tajemnicą, musi być ważny.

Friday nie mógł się z tym nie zgodzić. Ale nie ufał ludziom, którzy uważali, że wiedzą, co jest dla niego najlepsze. W dodatku nie podobał mu się Rodgers. Friday nigdy nie lubił

wojskowych. Byli jak zwierzęta w stadzie. Spodziewali się, że każdy obcy będzie słuchał

rozkazów przewodnika i dostosuje się do potrzeb stada, nawet gdyby to oznaczało jego śmierć. Fridayowi nie odpowiadały reguły obowiązujące w stadzie. Dlatego pracował sam.

Jeden człowiek zawsze znajdzie sposób, żeby przetrwać.

202

Nanda i Samuel podeszli do Rodgersa i Apu. Gdyby Hinduska postanowiła iść dalej do linii kontroli, Friday poszedłby z nią. Ale skoro przyłączyła się do *Rogersa*, nie miał wyboru i musiał zrobić to samo.

Na razie.

Zgasił pochodnię w kałuży. Wiedział, że woda zamroźnie w ciągu paru sekund i będzie mógł zeskrobać lód, gdyby pochodnia znów była potrzebna.

Grupa ruszyła w drogę. Samuel prowadził, Rodgers i *Nanda* pomagali Apu iść. Friday trzymał prawą rękę w kieszeni, na kolbie pistoletu. Gdyby sprawy przestały się układać po jego myśli, skierowałby je powrotem na właściwy tor.

Z generałem *Rodgersem* albo bez niego.

ROZDZIAŁ 51

Pasma górskie Himaćal

Czwartek, 23.41

To był ciężki dzień dla majora *Deva Puriego* i dwustu ludzi z jego elitarniej jednostki frontowej. Mieli iść szeroką tyralierą przez podnóża Wysokich Himalajów, tymczasem wciąż napływały zaskakujące meldunki o pojawieniu się nieoczekiwanego wroga oraz zmianie strategii i celów.

Najbardziej ryzykowna była ostatnia zmiana planów, mogła bowiem zwrócić uwagę pakistańskich sił ochrony pogranicza i ułatwić przeciwnikowi przekroczenie linii kontroli w bazie numer 3.

Indyjscy żołnierze maszerowali właściwie bez odpoczynku. Początkowo warunki były znośne, ale na większych wysokościach zrobiło się zimno i wietrznie, a teren stawał się coraz bardziej nierówny. Udany atak na spadochroniarzy podniósł morale, wkrótce jednak zapadła ciemność i zaczął padać śnieg z deszczem. Teraz czekała ich wyczerpująca wspinaczka, w dodatku nie znali sił i dokładnej pozycji przeciwnika.

Prawie osiem godzin wcześniej żołnierze Puriego zwarli szyki u podnóża góry Gompa w paśmie Himaćal. Według ostatniej informacji wywiadowczej, którą dostał major, amerykańscy komandosi mieli pomóc terrorystom przedostać się przez linię kontroli do Pakistanu. Tani właśnie kierowali się spadochroniarze. Członkowie pakistańskiej bojówki zostali pozbawieni pomocy Amerykanów, na pewno byli też bardzo zmęczeni i stosunkowo słabo uzbrojeni. Ale major nie lekceważył ich. Wiedział, że sprawa nigdy nie jest przesądzona, gdy przeciwnik znajduje się na terenie położonym wyżej. Puri

203

opracował plan ataku. Wyśle na szczyt dwudziestu pięciu ludzi, a reszta żołnierzy będzie ich osłaniała z dołu ogniem z karabinów snajperskich. W razie, gdyby pierwsza grupa potrzebowała wsparcia, w pogotowiu będzie czekać druga, tak samo liczna. Któryś zespół

zlikwiduje bojówkę. Zapewne część żołnierzy zginie. Niestety, minister obrony Kabir nie chciał czekać, aż terroryści zejść na dół. Teraz, po zabiciu spadochroniarzy, Waszyngton i New Delhi zażądają wyjaśnień. Minister robił, co mógł, żeby wstrzymać loty zwiadowcze i zapobiec zlokalizowaniu i zabraniu ciał Amerykanów. Poinformo*wał już premiera, że w górach jest oddział majora Puriego, który odnajdzie komandosów i wskaże ich lokalizację Himalajskim Orłom. Kabir obawiał się, że lotnicy mogą zauważyć i Pakistańczyków, i ciała spadochroniarzy. A nie chciał, żeby członkowie bojówki przeżyli.

Używając noktowizorów i osłoniętych latarek, ludzie Puriego rozkładali swój sprzęt alpinistyczny. Wykryli słabe ślady ciepła powyżej, wiedzieli więc, że przeciwnik czeka na nich na górze. Niestety, nie mógł im teraz pomóc zwiad lotniczy. Lodowa zadymka ograniczała widoczność i utrudniała pilotaż. Zbombardowanie rejonu na ślepo nie gwarantowało zlikwidowania bojówki. Terroryści mogliby się ukryć w grocie. Poza tym podnóża gór i niektóre wyżej położone jaskinie zamieszkiwały pustelnicze sekty religijne i plemiona troglodytów. Żadna ze stron nie chciała przypadkowo zniszczyć siedzib tych neutralnie nastawionych ludzi i sprowokować ich albo ich zwolenników na świecie do aktywności politycznej czy militarnej.

Byli w połowie przygotowań do wspinaczki, gdy major dostał przez radio zaskakującą wiadomość. Kilka godzin wcześniej załoga śmigłowca odbywającego rutynowy patrol zameldowała, że zauważyła w dolinie Mangala wrak, który wyglądał na szczątki helikoptera.

Nie mieli jednak gdzie wylądować, żeby sprawdzić, czy ktoś ocalał. Major Puri wysłał

czterech żołnierzy, by to zbadali. Dwie godziny temu zawiadomili go, że znaleźli rozbity helikopter. Wyglądał na model Ka-25, ale był tak spalony, że nie mieli pewności. Puri skontaktował się z centrum łączności bazy numer 3 i poprosił, aby to sprawdzić w Ministerstwie Lotnictwa. Okazało się, że w ten rejon nie wysłano żadnego helikoptera z zadaniem specjalnym.

Ponieważ maszyna spadła do wąskiej doliny, ekipa ratownicza miała tam wyruszyć dopiero następnego dnia. Nocne skoki spadochronowe byłyby zbyt ryzykowne, a z katastrofy helikoptera nikt nie ocalał.

Godzinę później zwiadowcy Puriego znaleźli ciała dziesięciu amerykańskich spadochroniarzy. Major zawiadomił o tym ministra obrony. Minister powiedział, że ujawni tę informację dopiero po zlikwidowaniu bojówki. Miał

204

już przygotowaną wersję wydarzeń: indyjski oddział - co jest godne pożałowania - wziął

Amerykanów za Pakistańczyków i zestrzelił desant.

Zwiadowcy zauważyli, że w radiu do łączności wewnątrzoddziałowej, które miała przy pasie martwa czarnoskóra kobieta z amerykańskiego desantu, od czasu do czasu błyskała czerwona dioda. Ktoś próbował się z nią skontaktować, najwyraźniej więc nie wszyscy Amerykanie zginęli. Niestety, indyjscy żołnierze nie mogli tego potwierdzić. W radiu słyszeli tylko zakłócenia.

Puri spodziewał się, że zastanie ocalałych Amerykanów na szczycie urwiska, z Pakistańczykami. Ale jego zwiadowcy w dolinie Mangala ustalili coś innego.

- Mamy bardzo silne pojedyncze źródło ciepła kilka kilometrów na północny wschód stąd, na lodowcu - zameldował dowódca drużyny zwiadowczej, sierżant Baliah.

- To mogą być jacyś miejscowi - odrzekł Puri.

W wyższych partiach gór w rejonie lodowca mieszkało kilka grup etnicznych. Ich członkowie często polowali nocą, gdy drobna i grubsza zwierzyna wróciła już do swoich kryjówek. Korzystali też z ciemności, by zastawiać sidła na drapieżniki wyruszające na łowy o świcie. Nie jadali mięsa wilków i lisów, ale używali ich skór do wyrobu odzieży. Pułapki zapobiegały również nadmiernemu rozmnażaniu się dzikich zwierząt.

- Nie zapuściliby się tak daleko na zachód - zauważył Baliah. - Poza tym to źródło światła jest za małe na rząd pochodni. Zastanawiam się, czy to nie Amerykanie. Jeśli w czasie desantu stracili sprzęt, mogli rozpalić ognisko.

- Kilka kilometrów to znaczy ile? - spytał Puri.

- Około sześciu - odpowiedział Baliah. - Tylko nie rozurhiem, po co Amerykanie mieliby opuszczać dolinę. Tam jest dużo lepsza pogoda. Nie mogli nie widzieć lodowca.

- Może znaleźli wrak helikoptera i obawiali się nadejścia oddziału zwiadowczego?
- Ale dlaczego zostawili radio? Mogli je przecież zabrać. Wtedy nikt by nie wiedział, że ktoś z nich przeżył.
- Może chcieli, żebyśmy je znaleźli. Mogliby nadawać fałszywe informacje i wprowadzać nas w błąd. - Nim Puri skończył mówić, zdał sobie sprawę, że to bez sensu. Amerykanie nie mogli wiedzieć, że w drodze do doliny jest oddział zwiadowczy.

Zaczął rozważać różne możliwości. Helikopter w dolinie zapewne wspierał tajną operację Amerykanów. Czekał, żeby ich ewakuować, kiedy zakończą akcję, i dlatego natychmiast nie odleciał. Może Amerykanie mieli tylko eskortować Pakistańczyków do granicy.

205

Nagle przyszło mu do głowy, że może nadal mają taki zamiar.

- Sierżancie, możecie szybko dotrzeć do tego źródła ciepła?
- Oczywiście, panie majorze. Jak pan myśli, co tam się dzieje?
- Nie wiem. Możliwe, że część Amerykanów przeżyła desant i dołączyła na płaskowyżu do pakistańskiej bojówki. A inni spadochroniarze mogli wylądować w dolinie.
- I obie grupy starają się nawiązać kontakt, żeby się znaleźć?
- To możliwe.

Major spojrział na płaskowyż, na który mieli się wspinać jego ludzie. Nie był pewien, czy jest tam bojówka. Sugerowała to tylko obecność amerykańskich spadochroniarzy. A jeśli Pakistańczyków tam nie ma? Jeśli amerykański desant był manewrem mylącym? Najkrótsza droga z tego rejonu do Pakistanu prowadziła przez lodowiec Sjaczen i sektor z bazą numer 3.

Przez strefę pod jego dowództwem.

- Sierżancie, ścigajcie grupę na lodowcu - zdecydował. - Zażądam natychmiastowego wsparcia lotniczego w tamtym rejonie.
- W nocy?
- W nocy - potwierdził Puri. - Kapitan Anand dobrze zna ten teren. Potrafi doprowadzić śmigłowiec szturmowy do celu. Potrzebuję was tam na wypadek, gdyby nieprzyjaciel okopał się w miejscu, gdzie nie będą go mogły osiągnąć rakiety.
- Już ruszamy, panie majorze. Zameldujemy się za dwie godziny.

• Do tego czasu powinien już przylecieć śmigłowiec. Powodzenia, sierżancie - powiedział

Puri i zakończył rozmowę.

Podszedł do oficera łączności i poprosił go o połączenie z bazą. Musiał wydać rozkazy kapitanowi Anandowi. Zwiad lotniczy musi się rozpocząć jak najszybciej i w całkowitej tajemnicy. Anand weźmie tylko jeden śmigłowiec, a z bazą może się łączyć tylko w ostateczności, bo nawet gdyby Pakistańczycy nie zdołali rozszyfrować zakodowanych wiadomości, nagły ruch w eterze mógłby ich zaalarmować, że coś się dzieje.

Kiedy czekał na połączenie z kapitanem Anandem, polecił porucznikowi dowodzącemu grupą szturmową zakończyć przygotowania, ale wstrzymał się z rozpoczęciem wspinaczki.

Mogli sobie pozwolić na opóźnienie akcji o dwie godziny. Pakistańczycy nie mieli dokąd uciec.

Jeśli rzeczywiście byli na płaskowyżu.

206

ROZDZIAŁ 52

Lodowiec Sjaczen Piątek, 0.00

K

Kiedy Mikę Rodgers był w obozie szkoleniowym dla rekrutów, usłyszał od instruktora musztry coś, w co długo nie wierzył. Instruktor nazywał się Glen Sheehy i miał przyzwisko Młot.

Powiedział, że kiedy przeciwnik zainkasuje cios podczas walki, prawdopodobnie tego nie poczuje.

- Organizm ignoruje trafienia, które nie są śmiertelne - wyjaśnił. - Młot lizuje wszystkie siły, żeby uśmierzyć ból, i potęguje potrzebę odwetu.

Rodgers uwierzył w to dopiero podczas swojej pierwszej misji bojowej w Wietnamie.

A amerykański patrol i oddział zwiadowczy Wietkongu dosłownie wpadły na siebie na północ od Bo Duc niedaleko granicy z Kambodżą. Rodgers został zraniony nożem w lewe ramię, ale zdał sobie z tego sprawę dopiero po walce. Jeden kolega dostał postrzał w pośladek i nadal chodził. Kiedy patrol wrócił do obozu i rannymi zajęli się sanitariusze, jeden z kumpli Rodgersa dał mu czarną chustę z napisem zrobionym czerwonym flamastrem: *Boli dopiero wtedy, kiedy przestają walczyć.*

To była prawda. Nie ma czasu na ból, zwłaszcza gdy od ciebie zależy życie innych.

Rodgers nie przestawał myśleć o śmierci komandosów Strikera, ale jeszcze nie czuł bólu.

Był za bardzo skoncentrowany na zadaniu, które miał wykonać.

Ledwo trzymał się na nogach, a gładki jak szkło lód dodatkowo utrudniał marsz. Rodgers był

zadowolony, że idzie w rakach, choć sporo ważyły. Nadal pomagał Apu wspinać się po śliskim stoku. Kumar nie poddawał się tylko ze względu na Nandę - chciał być pewien, że jego wnuczka dotrze w bezpieczne miejsce. Rodgers pomagałby mu tak czy inaczej, ale był wzruszony poświęceniem starca.

Ron Friday szedł kilka kroków za Rodgersem, Kumarem i Nandą, a Samuel idący na przodzie, co kilka minut włączał na chwilę latarkę, żeby oświetlić drogę. W pewnej chwili Friday zrównał się z Rodgersem i powiedział:

- Wlokąc go ze sobą, naraża pan na niebezpieczeństwo całą operację. Choć mówił cicho, Rodgers był pewien, że Nanda usłyszała jego głos.

- Nie patrzę na to w ten sposób - odparł.

- Opóźnia pan dotarcie do celu - ciągnął Friday. - Im dłużej to trwa, tym jesteśmy słabsi i wolniej idziemy.

207

- Więc niech pan przyspieszy -burknął Rodgers.

- Tak zrobię - powiedział Friday. - Zabiorę Nandę i przeprowadzę ^rzez granicę.

- Nie - zaprotestowała dziewczyna.

- Nie rozumiem, dlaczego oboje tak ufacie tym skurwielom z Waszyngtonu - mówił dalej Friday. - Jesteśmy teraz bardzo blisko granicy. To tylko dwadzieścia, trzydzieści minut drogi stąd. Żołnierzy na pewno przemieszczono na linię natarcia.

- Część tak - zgodził się Rodgers. - Ale nie wszystkich.

- To wystarczy - nie ustępował Friday. - Lepiej pójść tam, niż wlec się kolejną godzinę Bóg wie dokąd.

- Ci, którym podlegamy, uważają inaczej - przypomniał mu Rodgers.

- Bo nie są na naszym miejscu - odparował Friday. - Gdyby byli, na pewno zmieniliby zdanie.

- Oni nie prowadzą operacji w terenie - zauważył Rodgers. - To nas do tego wyszkolono.

- Głupia, ślepa lojalność? - spytał Friday. - Tego pana nauczono, generale?

- Nie - odparł Rodgers. - Nauczono mnie zaufania. Wierzę, że ludzie, z którymi pracuję, dobrze oceniają sytuację.

- Może dlatego w dolinie za nami leżą martwi żołnierze.

Mikę Rodgers puścił tę uwagę mimo uszu. Nie miał czasu ani siły, żeby złamać Fridayowi szczękę. Agent NSA pokręcił głową.

- Ile razy wojskowy musi dostać w dupę, żeby wreszcie zaczął działać samodzielnie? - spytał. - Herbert nie jest nawet oficerem. Przyjmuje pan rozkazy od cywila.

- A pan przeciąga strunę - ostrzegł Rodgers.

t, O coś pana zapytam - ciągnął Friday niezrażony. - Gdyby pan wiedział, że zdoła przekroczyć linię kontroli i dostarczyć Nandę tam, gdzie mogłaby nadać swoje oświadczenie, zignorowałby pan rozkazy?

- Nie - odparł Rodgers.

- Dlaczego?

- Bo może być coś, o czym nie wiemy.

- To znaczy co?

- Dam panu przykład. Przyleciał pan tu z indyjskim oficerem, zamiast zaczekać, aż spotkamy się z bojówką. Wbrew rozkazom. Może nie cierpi pan słuchać rozkazów albo po prostu jest pan uparty. Ale może współpracuje

208

Pan z nimi i jeśli pójdziemy z panem w stronę granicy nigdy nie dotrzemy do Pakistanu.

- To możliwe - przyznał Friday. - Ale dlaczego nie załatwiłem pana jeszcze w dolinie?

Wtedy miałbym pewność, że będzie tak, jak ja chcę.

- Bo Nanda zorientowałaby się, że już jest martwa - odpowiedział Rodgers.

- A czy pan może jej zagwarantować, że tak się nie stanie, jeśli pójdzie z panem przez ten lodowiec?

Rodgers milczał. Friday był bystry, potrafił wykorzystać każdy argument do poparcia swojego punktu widzenia. A on nie chciał zrobić niczego, co mogłoby podsycić wątpliwości Nandy.

- Niech pan się zastanowi - ciągnął Friday. - Od paru godzin wspinamy się na ten cholerny lodowiec, nie wiedząc nawet, dokąd idziemy i po co. Jeszcze trochę, a całkiem opadniemy z sił

i nigdy nie dotrzemy do celu. Czy bierze pan pod uwagę, że właśnie taki może być plan biurokratów z Waszyngtonu?

- Jeśli chce pan przekroczyć linię kontroli, niech pan tam idzie - powiedział Rodgers.
- Chcę. - Friday spojrzał na Nandę. - Jeśli ona pójdzie ze mną, przeprowadzę ją bezpiecznie do Pakistanu.
- Nie zostawię dziadka - oświadczyła dziewczyna.
- Przedtem byłaś gotowa to zrobić - przypomniał jej Friday. - Dlaczego zmieniłaś zdanie?
- Przez pana - odparła. - Kiedy dziadek klęczał, a pan podszedł do niego.
- Chciałem mu pomóc - zapewnił Friday.
- Wątpię. Był pan wściekły.
- Skąd wiesz?
- Słyszałam pańskie kroki na lodzie.
- Kroki?
- Kiedy Pakistańczycy byli w naszym domu - wyjaśniła - całymi dniami nasłuchiwalismy pod drzwiami sypialni. Nie mogliśmy usłyszeć, co mówią, ale mimo to zawsze wiedziałam, w jakim są nastroju. Poznawałam to po ich krokach. Chodzili szybko albo wolno, raz lekko, a raz ciężko, przystając co chwila. Sposób chodzenia zdradzał, w jakim nastroju jest każde z nich.
- Chciałem mu pomóc - powtórzył Friday.
- Chciał pan skrzywdzić mojego dziadka - odparła. - Ja to po prostu wiem.
- Mylisz się - skłamał. - Ale nie twój dziadek jest ważny. To ty zrobiłaś coś, co może spowodować, że zginą miliony ludzi.

Mikę Rodgers nie chciał brać udziału w tej dyskusji, nie mógł jednak dopuścić, żeby przerodziła się w awanturę. Nie był też pewien lojalności Fridaya. Pracował z dziesiątkami agentów wywiadu i wiedział, że zwykle są samotnymi wilkami, ale rzadko - jeśli w ogóle -

lekceważyli polecenia przełożonych. I nigdy tak jawnie jak Friday.

Ron Friday był nie tylko samotnikiem. Rodgers podejrzewał, że ma jakiś ukryty cel.

- Uratujemy i dziadka Nandy, i te miliony ludzi, o których pan się martwi - oświadczył. -1

właśnie dlatego pójdziemy stąd na północny wschód.

- Pan jest chyba ślepy! - krzyknął Friday. - Tkwie w tej sprawie od samego początku.

Byłem na rynku podczas eksplozji. To jak odkryłem, że były dwa oddzielne zamachy, że za jednym stała SOP i że ona jest w to zamieszana. - Wskazał Nandę. - Nie powinien pan ufać ludziom, którzy pociągają za sznurki, tylko facetowi, który od początku jest w strefie zero.

Rodgers milczał. Chciał zobaczyć, do czego doprowadzi ten wybuch. Ludzie, którzy tracą panowanie nad sobą, często za dużo mówią.

Friday zapalił pochodnię. Rodgers zmrużył oczy od blasku. Zwolnił, kiedy agent NSA zastąpił im drogę.

- No więc? - zapytał Friday.

- Z drogi - warknął Rodgers

- Bob Herbert rozkaże, Mikę Rodgers posłucha i Centrum Szybkiego Reagowania przejmuje operację - powiedział Friday.

- O to chodzi? - zapytał Rodgers. - Do tego to się sprowadza?

- Nie chodzi mi o zasługi - odparł Friday - Chodzi mi o to, co robimy, żeby żyć. Zbieramy i wykorzystujemy informacje.

- Pan to robi - sprostował Rodgers.

- Owszem, jasne, że tak - zgodził się Friday. - Staram się być tam, gdzie mogę się czegoś dowiedzieć, poznać ludzi. Ale my, nasz kraj, potrzebujemy sojuszników w Pakistanie, w muzułmańskim świecie. Jeśli zostaniemy na tym lodowcu, nadal będziemy za indyjskimi liniami. To nam nic nie da.

- Tego pan nie wie - zauważył Rodgers.

- Fakt - przyznał Friday. - Ale wiem, że jeśli dotrzemy do Islamabadu jako Amerykanie, którzy uratowali Pakistan przed zagładą nuklearną, stworzymy nowe warunki do wymiany informacji i współpracy z tamtym światem.

- To sprawa polityczna, nie wojskowa - odparł Rodgers. - Jeśli wykonamy zadanie, może Waszyngton zajmie się tym, o czym pan wspomniał.

Nadal podtrzymując Apu, zaczął wymijać Fridaya, ale agent NSA zatrzymał go.

210

- Waszyngton jest bezradny - powiedział. - Politycy żyją na pokaz. To aktorzy. Angażują się w publiczne kłótnie i pozują tam, gdzie ludzie mogą ich zobaczyć i wygwizdać albo nagrodzić owacjami. To my się liczymy. Ryjemy wewnątrz. Drażymy tunele. Kontrolujemy kanały.

- Idziemy, panie Friday - rozkazał Rodgers.

Chodziło o władzę. Generał nie miał na to czasu.

- Pójdę - odrzekł Friday. - Z Nandą do linii kontroli. Dwóm osobom uda się przejść.

Rodgers już miał się przepchnąć obok Fridaya, gdy nagle poczuł słabe, szybkie wibracje pod stopami. Po chwili nasiliły się.

- Niech pan mi da pochodnię! - zażądał.

- Co?!

Rodgers sięgnął po nią.

- Samuel, nie włączaj latarki!

- Wiem, czuję to! - odpowiedział Pakistańczyk.

- Co? - spytała Nanda.

- Jasna cholera! - zaklął Friday. Najwyraźniej też to poczuł i wiedział, co to znaczy. -

Niech to szlag!

Rodgers wyrwał mu pochodnię, uniósł ją nad głowę i poświecił dookoła. Na prawo, w odległości około trzystu pięćdziesięciu metrów, zobaczył górę lodową. Ciągnęła się kilometrami w obu kierunkach, a jej szczyt tonął w ciemnościach.

Rodgers podał pochodnię Nandzie.

• Idź na tamten szczyt - polecił. - Samuel! Za Nandą! Pakistańczyk już do nich biegł.

• Dobrze! - odkrzyknął.

• Mój dziadek...! - zawołała Nanda.

- Zajmę się nim - uspokoił ją Rodgers. Spojrzał na Fridaya. - Chciałeś władzy? Teraz ją masz. Ochroniaj dziewczynę, skurwysynu.

Friday odwrócił się i pobiegł za Nandą, ślizgając się na lodzie. Rodgers nachylił się do ucha Apu.

• Musimy się poruszać tak szybko, jak to możliwe - powiedział. - Niech pan się mocno trzyma.

• Dobrze.

Obaj mężczyźni zaczęli się posuwać w kierunku szczytu. Wibracje były już tak silne, że Rodgers czuł je na całym ciele. Po chwili rozległ się odgłos rotorów i nisko nad horyzontem pojawił się indyjski helikopter.

211

ROZDZIAŁ 53

Lodowiec Sjaczen Piątek, 0.53

P

otężny rosyjski śmigłowiec Mikojan Mi-35 leciał nisko nad lodowcem. Dwuosobowa załoga obserwowała uważnie teren pod sobą. Helikopter miał przyciemnione światła, żeby trudno go było zobaczyć i zestrzelić z ziemi. Przed zderzeniem z górami lodowymi chronił go radar.

Hełmy z goglami noktowizyjnymi i mała wysokość powinny umożliwić lotnikom dostrzeżenie przeciwnika.

Mi-35, podstawowy śmigłowiec szturmowy indyjskich sił powietrznych, jest uzbrojony w czterolufowy karabin maszynowy dużego kalibru podwieszony pod dziobem i sześć przeciwczołgowych pocisków raketowych. Służy do przeciwdziałania wszelkim operacjom lądowym nieprzyjaciela, od pełnej ofensywy do infiltracji.

Załoga wyciskała z maszyny pełną moc. Lotnicy musieli wykonać zadanie jak najszybciej, bo nawet na tej stosunkowo małej wysokości było bardzo mroźno, a silne porywy lodowatego wiatru mogły przyspieszyć zamarznięcie przewodów hydraulicznych i mechanizmów. Siły lądowe mogły się zatrzymać i odmrozić sprzęt. Piloci helikoptera nie mieli tego luksusu.

Orientowali się, że mają problem, kiedy było już za późno, gdy wirnik główny lub ogonowy przestawał się obracać.

Na szczęście „przypuszczalny cel” zauważyli już po siedemdziesięciu minutach lotu. Drugi pilot zawiadomił o tym majora Puriego.

- Widzimy pięć osób biegnących po lodzie - zameldował.
- Biegnących? - zdziwił się Puri.
- Tak - potwierdził lotnik. - Nie wyglądają na miejscowych. Jeden jest w kombinezonie spadochroniarskim do skoków z dużej wysokości.

-- Białym?

- Tak.
- To jeden z amerykańskich komandosów. Możecie określić, kto z nim jest?
- Pomaga komuś biec po lodzie. Ten drugi ma na sobie parkę. Z przodu są trzy osoby.

Jedna w parce, dwie w ubraniach do wspinaczki wysokogórskiej. W goglach noktowizyjnych nie rozróżniam kolorów. Ale są ciemne.

- Terrorysta zabity w górskiej grocie był w granatowym ubraniu - powiedział Puri. - Muszę wiedzieć, jakie to kolory.
- Moment. - Drugi pilot sięgnął do włącznika reflektora na panelu między fotelami. Ostrzegł pierwszego pilota, żeby przez chwilę nie używał noktowizora. Inaczej światło oślepiłoby go.

Drugi pilot zapalił reflektor. Szybę

212

kokpitu wypełnił oślepiający blask odbity od lodu. Lotnik wyjął lornetkę ze schowka w drzwiach kabiny. Zmrużył oczy, gdy odnalazł wzrokiem jedną z postaci w dole i przyjrzał się jej ubraniu. Było granatowe. Lotnik przekazał tę informację majorowi.

- To jeden z terrorystów - oświadczył Puri. - Zneutralizujcie ich i zameldujcie się.
- Proszę o powtórzenie rozkazu, panie majorze.
- Znaleźliście bojówkę terrorystyczną. Macie użyć broni i wyeliminować...
- Panie majorze - przerwał mu pierwszy pilot - czy ten rozkaz potwierdzi dowództwo bazy?
- Przekazuję wam rozkaz alarmowy gamma zero czerwony osiem - odparł Puri. - Takie jest upoważnienie dla was.

Pilot zerknął na swój wyświetlacz alarmowy, a jego kolega wpisał kod na klawiaturze na panelu

sterowniczym. Komputer pokładowy przez moment przetwarzał dane. Gamma zero czerwony osiem to był kod upoważnienia ministra obrony Johna Kabira.

- Potwierdzam upoważnienie gamma zero czerwony osiem - zameldował

pilot. - Przystępujemy do wykonania rozkazu.

Drugi pilot wyłączył reflektor i zsunął na oczy swój noktowizor. Gdy zeszli przez pułap trzydziestu metrów na wysokość piętnastu, opuścił na gogle wizjer celownika przy hełmie, położył rękę na joysticku do obsługi karabinu maszynowego i opadł na uciekające postacie.

ROZDZIAŁ 54

Lodowiec Sjaczen Piątek, 0.55

Mike Rodgers podtrzymywał Apu w pasie. Spojrzał przed siebie na te-ren oświetlony reflektorem śmigłowca. Patrzył bezradnie, jak Nanda upada i zsuwa się w dół, a potem usiłuje wstać.

- Szybciej! - zawołał. - Musisz się zbliżyć do szczytu! Nawet gdybyś miała się czołgać!

Pomyślał, że to ostatnie słowa, jakie powiedział do dziewczyny. Hałas wirnika nadlatującego helikoptera narastał z każdą sekundą. Dochodził z tyłu i odbijał się od lodowego zbocza przed nimi.

Ron Friday był kilka kroków przed Nandą i tuż za Samuelem. Zanim zgasł reflektor śmigłowca, Rodgers zdążył zobaczyć, że obaj mężczyźni obejrzeliby 213

Rodgers zorientował się po dźwięku jej głosu, że Nanda jest jakieś trzydzieści metrów od niego. Nie przestawał biec. Po kilku sekundach wpadł na kogoś z grupy. Friday. Obaj zatrzymali się. Rodgers ominął przeszkodę i wyciągnął rękę, żeby sprawdzić, gdzie jest Nanda. Była następna w szeregu. Stała twarzą do niego.

• Gdzie mój dziadek?! - krzyknęła.

• Wszyscy naprzód! - wrzasnął Rodgers.

W sytuacji kryzysowej człowiek często ma dylemat: walczyć czy uciekać? Groźny okrzyk stanowczej osoby zwykle odbiera chęć stawiania oporu. Zwycięża instynkt przetrwania, który podpowiada, żeby słuchać rozkazów. Ale w tym wypadku krzyk Rodgersa tylko sprowokował

Nandę do buntu. Friday zamarł w bezruchu, gdy dziewczyna wrzasnęła jeszcze głośniejsze:

• Gdzie on jest?!

• Nie udało mu się - odrzekł Rodgers.

Zawołała dziadka, a potem chciała pobiec tam, skąd przyszli. Rodgers złapał ją za ramiona, przytrzymał i odwrócił w przeciwnym kierunku.

- Nie zostawię go! - krzyknęła.
- On mnie zasłonił własnym ciałem! - ryknął Rodgers. - Błagał mnie, żebym cię ratował!

Dziewczyna wrywała się, żeby wrócić po dziadka. Rodgers nie miał cza su jej przekonywać. Dosłownie poderwał ją do góry, odwrócił i popchnął

naprzód. Miała trudności z utrzymaniem się na nogach, ale przynajmniej walczyła o zachowanie równowagi, a nie z nim.

Rodgers chwycił ją i pobiegł przed siebie. Na wpół niósł, na wpół włókł Nandę po lodzie.

Kiedy odzyskała równowagę, wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. Nie opierała się, choć słyszał jej łkanie przez warkot nadlatującego śmigłowca. Dopóki z nim biegła, dopóty wszystko było w porządku.

Zbocze skręcało ostro na północny wschód. Samuel nadal był na czele grupy. Starali się uciec z linii wzroku załogi helikoptera, ale karabin maszynowy milczał i jego terkot nie podrywał w powietrze cząsteczek lodu. Pilot wkrótce odzyska dobrą widoczność.

- Samuel, bierz Nandę za rękę i biegnijcie dalej! - zawołał Rodgers.
- Tak jest.

Samuel sięgnął za siebie, chwycił dłoń dziewczyny i oboje pobiegli naprzód. Rodgers przystanął i Friday wpadł na niego.

- Co pan robi? - zapytał.
- Niech pan mi da pochodnie i zapalki i biegnie za nimi - rozkazał Rodgers, wyjmując spod pachy parkę Apu.

216

Friday wykonał polecenie, Kiedy zniknął, Rodgers zapalił jedną pochodnią i wetknął do szczeliny w zboczu. Potem powiesił parkę Apu na występie skalnym tuż powyżej, wyciągnął

pistolet i oddalił się od ściany. Przyklęknął na jednym kolanie, położył pochodnię na bucie, żeby nie zamokła, i wycelował z pistoletu w górę pod kątem sześćdziesięciu stopni. W ten sposób powinien strzelić na wysokość mniej więcej osiemnastu metrów. Jego widoczność kończyła się na poziomie około sześciu, ale lepsza nie była mu potrzebna.

Na razie.

Śmigłowiec wyłonił się zza zakrętu w ciągu sekund. Piloci zatrzymali maszynę w powietrzu, żeby podnieść gogle noktowizyjne. Inaczej oślepiłby ich blask pochodni. Włączyli reflektor i oświetlili zbocze. Myśląc, że mają przed sobą jednego z terrorystów, otworzyli ogień. Rodgers też. Celował w nawisy lodowe najbliżej wirnika helikoptera. Pociski z karabinu maszynowego posiekały pochodnię i płomień zgasł. Huk oderwał od ściany kawałki lodu. W tym samym momencie lodowe nawisy odstrzelone przez Rodgersa dostały się między łopaty rotora.

Zostały zmielone na mokrą miazgę, która opadła na kokpit. Woda na szybie natychmiast zamarzała.

Lotnicy przerwali ogień.

Rodgers też.

Reflektor pozostał włączony i generał zastanawiał się przez moment, czy nie ostrzelać kokpitu. Ale od czasu Afganistanu i Czeczenii Rosjanie wyposażyli szturmowe mikojany w kuloodporne szyby chroniące załogi przed snajperami. Rodgers nie chciał, żeby błyski z lufy pistoletu zdradziły jego pozycję.

Czekał przykucnięty na otwartej przestrzeni, żeby zobaczyć, co będzie dalej. Obliczył, że śmigłowiec jest w powietrzu od jakichś dziewięćdziesięciu minut. Pilot musiał mieć przynajmniej drugie tyle na powrót do bazy. Jeśli zostanie tu dłużej, może mu zabraknąć paliwa. Mechanizmom maszyny groziło też przekroczenie tolerancji cieplnej, zwłaszcza gdyby załoga walczyła z lodową zadymką przy każdym użyciu karabinu maszynowego. Choć szyba powinna odmarznąć za minutę lub dwie, lód wychładzał zewnętrzną obudowę wału rotora.

Rodgers obserwował helikopter wiszący w powietrzu. Z zimna i podniecenia serce biło mu dwa razy szybciej niż normalnie. Zastanawiał się, czy -pomijając niską temperaturę - tak się czuł młody pasterz Dawid po wystrzeleniu z procy w filistyńskiego olbrzyma Goliata.

Trafienie oznaczało zwycięstwo jego ludu. Gdyby chybił, zginąłby straszną śmiercią.

Reflektor śmigłowca zgasł. Lodowiec znów pogrzyżył się w ciemności. Rodgersowi pozostało czekanie i nasłuchiwanie. Dokładnie po piętnastu,

217

udenzeniach serca usłyszał to, na co czekał. Obroty wirnika nagle wzrosły, Mi-3 5 zawrócił i odleciał. Hałas oddalał się szybko za ścianą lodu.

Rodgers czekał, żeby się upewnić, czy helikopter nie wróci. Po minucie na lodowcu zapadła cisza. Generał schował pistolet, wyjął z kieszeni zapalniczki i zapalił pochodnię. Trzymał ją przed sobą. Płomień rzucał migotliwy pomarańczowy blask na lód. Oświetlał słabo lodową ścianę. A wraz z nią zgaszoną pochodnię i podziurawioną parkę.

- Dziękuję ci, Apu, że uratowałeś mnie drugi raz - powiedział Rodgers.

Zasalutował, odwrócił się i poszedł za resztą grupy na północny wschód.

Waszyngton Czwartek, 16.30

P

aul Hood patrzył, jak zmieniają się wskazania zegara na monitorze jego komputera.

- Dzwon, Bob - powiedział.

Bob Herbert i Lowell Coffey towarzyszyli Hoodowi w jego biurze, Drzwi były zamknięte, a Pluskwa Benet miał im nie przeszkadzać, chyba że zadzwoni prezydent lub senator Fox.

Herbert podniósł słuchawkę telefonu przy swoim wózku inwalidzkim, żeby połączyć się z Brettem Augustem. Coffey siedział obok niego w skórzanym fotelu. Miał być w Centrum do końca operacji, żeby doradzać Hoodowi w kwestiach prawnych, które mogły się pojawić.

Powiedział już Hoodowi, że bardzo mu się nie podoba ta sprawa. Amerykański oficer prowadzi grupę składającą się z pakistańskiego terrorysty, agenta NSA i dwojga indyjskich zakładników do pakistańskiego silosu nuklearnego na spornym terytorium. Pomysł, że to powołany naprędce zespół inspektorów Rady Bezpieczeństwa ONZ-etu, nie przemawiał do niego.

Hood zgadzał się, że plan ambasadora Simathny nie jest najlepszy. Niestety, to był jedyny plan. Bob Herbert i Ron Plummer popierali Hooda.

Numer TAC-SAT-u, który Herbert musiał wybrać, zawierał dodatkowo kod dostępu do satelity, żeby maksymalnie utrudnić niepowołanym osobom połączenie się z tym aparatem lub skorzystanie z niego. Hood czekał, aż Herbert wystuka długi numer.

Tak jak się spodziewał, nie odezwał się do niego ani prezydent, ani żaden z członków Kongresowej Komisji Nadzoru nad Służbami Wywiadowczymi. Ponad półtorej godziny temu Hood wysłał im e-maile ze skrótem pakistań-

218

skiego planu. Według asystentów prezydenta Lawrence'a i senator Fox, propozycja Centrum była jeszcze „rozpatrywana”. Po krótkiej, ostrej wymianie zdań z Coffeyem Hood postanowił

nie mówić prezydentowi ani Fox, jaką pakistańską instalację wojskową ma odwiedzić Rodgers. Nie chciał, żeby CIA zmobilizowała wszystkie środki w regionie do ustalenia, co tam jest. Coffey argumentował, że w sytuacji, kiedy nie kontrolują bezpośrednio wydarzeń, Hood ma obowiązek ujawnić prezydentowi wszystkie fakty i to, co wie. I do prezydenta, a nie do Hooda, należy decyzja, czy zawiadomić CIA. Hood nie zgadzał się z tym, Miał tylko słowo Simathny na to, że jest tam silos nuklearny. Nie chciał legalizować ewentualnej pakistańskiej ekspedycji, angażując w to Biały Dom i tym samym nadając jej pozory uzasadnionego działania. Co więcej, informacja o silosie mogłaby

sprovokować indyjski atak, kiedy będzie tam Rodgers. To z kolei zmusiłoby Stany Zjednoczone do konfrontacji z Indiami.

Mimo przedstawienia odpowiednio zredagowanego raportu Hood nie oczekiwał, że prezydent albo Fox odezwą się do niego przed godziną H. Jeśli operacja zakończy się fiaskiem, powiedzą, że Hood działał na własną rękę. Jeśli zaś misja Strikera zakończy się sukcesem, szybko przyłączą się do Hooda, jak Rosjanie wypowiadający wojnę Japonii w ostatnich godzinach II wojny światowej.

Po tym wszystkim, co Paul Hood zrobił, żeby pomóc prezydentowi Lawrence'owi, powinien mieć większe poparcie. Ale z drugiej strony, kiedy ratował administrację przed zamachem stanu, wykonywał po prostu swoją pracę. Teraz prezydent wypełniał swoje obowiązki.

Stosował taktykę uników. Wykorzystywał zwłokę do stworzenia buforu wiarygodnego zaprzeczenia. To miało ochronić Stany Zjednoczone przed ewentualną reakcją świata, gdyby sytuacja w Kaszmirze eksplodowała. W braku poparcia dla Hooda nie było nic osobistego.

Tylko tak to wyglądało.

Hood nie mógł sobie pozwolić na luksus zwłoki. Powiedział Mike'owi Rodgersowi, że Brett August odezwie się do niego za dwie godziny. Ten czas minął. Nadeszła pora, żeby wykonać telefon.

Dyrektor Centrum Szybkiego Reagowania rzadko czuł się taki osamotniony. Zwykle pomagał im obcy personel terenowy lub organizacje międzynarodowe, jak choćby rosyjskie Centrum Operacyjne czy Interpol. Nawet gdy mieli do czynienia z terrorystami w siedzibie ONZ-etu, Hooda wspierał Departament Stanu. Teraz, poza symbolicznym poparciem nowego szefa NSA i pomocą Stephena Viensa z NRO, byli sami. Próbowali zapobiec wojnie jądrowej na drugim końcu świata przez telefon komórkowy. Nawet Narodowe 219

Biuro. Zwiadowcze nie mogło im w tej chwili wiele pomóc. Wysokie szczyty wokół lodowca zasłaniały satelitom szpiegowskim większość „pola gry”, jak eksperci wywiadu nazywali każdy rejon działań. Viens nie był nawet w stanie zweryfikować, czy w miejscu o współrzędnych podanych przez ambasadora Pakistanu jest cokolwiek poza lodem.

Herbert nie rozmawiał z Augustem od blisko godziny. Nie chciał go rozpraszać. Hood miał nadzieję, że na drugim końcu linii jest ktoś, kto podniesie słuchawkę TAC-SAT-u.

Pułkownik odebrał bardzo szybko. Herbert przełączył rozmowę na głośnik. Głos Augusta brzmiał czysto i wyraźnie, mimo wycia wiatru w tle.

Ron Plummer i ambasador Pakistanu nadal byli na linii Hooda. Zgodnie z obietnicą, on też zostawił głośnik włączony.

• Jestem tu z Paulem i Lowellem Coffeyem, Brett - poinformował Augusta Herbert. - Na drugiej linii mamy ambasadora Pakistanu i Rona Plummera. Słuchamy cię wszyscy przez głośnik.

• Przyjąłem - odparł pułkownik.

August wiedział teraz, że nie może powiedzieć nic, co mogłoby zdradzić amerykańskie plany obronne lub operacyjne.

- Co tam się dzieje? - zapytał Herbert.
- Wygląda na to, że nic - odparł August.
- Zupełnie nic?
- Niewiele widzimy w ciemności i lodowej zadymce - wyjaśnił pułkownik. - Ale Hindusi od czasu do czasu zapalają światła i oceniamy, że u podnóża płaskowyżu nadal jest około dwustu żołnierzy. Przygotowywali się do wspinaczki, ale mniej więcej półtorej godziny temu przestali.

Chyba na coś czekają.

- Może na wsparcie? - zasugerował Herbert.
- Możliwe - zgodził się August. - Albo na poprawę pogody. Wokół nas szaleje lodowa zamieć. Wspinaczka nie byłaby łatwa. Szarab mówi, że wiatr zwykle słabnie o świcie. Może Hindusi na to czekają. Przy słabszym wietrze mogliby też dostać wsparcie lotnicze z małej wysokości. Albo po prostu czekają, aż zamarzniemy.
- Ocenia pan, że w tej chwili nie grozi wam niebezpieczeństwo? - wtrącił się Hood.
- Nie wygląda na to - odrzekł August. - Poza tym, że dokucza nam zimno, wszystko jest w porządku.
- Mamy nadzieję, że niedługo będziemy mogli zabrać was stamtąd - po wiedział Herbert. - Chcielibyśmy, żebyś wywołał Mike'a. Jeśli jego grupa 220

dotarła już do miejsca a podanych wcześniej współrzędnych, ale tylko, jeśli dotarła, przekaż mu, że są przy podziemnej pakistańskiej wyrzutni pocisku nuklearnego. Silos nie ma obsługi, jest zdalnie sterowany. Każ im tam poczekać i zadzwoń do mnie. Ambasador poda nam kod, który umożliwi im wejście do środka. Kiedy już będą wewnątrz, dostaną instrukcje, jak skorzystać ze sprzętu wideo, którego pakistańscy wojskowi używają do monitorowania silosu.

- Rozumiem - odpowiedział August. - Zaraz skontaktuję się z generałem Rodgersem.
- Daj nam znać, jeśli jeszcze nie dotarł na miejsce, i dowiedz się, w jakiej formie jest jego grupa - dodał Herbert.
- Dobrze - odrzekł August i odmeldował się.

Hood nie wiedział, czy cokolwiek z tego, co do tej pory powiedział ambasador Simathna, jest prawdą. Ale kiedy Herbert się wyłączył, Pakistańczyk powiedział coś, z czym obaj się zgodzili.

- Ten pułkownik to odważny człowiek - stwierdził Simathna.

Lodowiec Sjaczen Piątek, 2.07

R

odgers i jego grupa byli skrajnie wyczerpani i przemarznięci, ale wreszcie dotarli do miejsca o współrzędnych, które podał Brett August.

Generał spodziewał się, że Pakistańczycy mają tu tymczasową wysuniętą placówkę: kilka ruchomych wyrzutni rakiet, światła ładownicze dla helikopterów, jeden czy dwa zamaskowane baraki. Tymczasem znaleźli w najbardziej niegościnnym miejscu, jakie dotąd spotkali. Rodgers poczuł się, jakby został przeniesiony do epoki lodowcowej.

Do niewielkiej kotliny otoczonej przez strome szczyty prowadził tunel o gładkich ścianach -

najwyraźniej wydrążony w lodowej ścianie. Zbocza wznosiły się niemal pionowo, a na ziemi leżały setki ogromnych brył lodu. Albo oderwały się od ścian, albo też była tu kiedyś lodowa jaskinia i zawaliło się jej sklepienie. Nierówne podłoże przecinały wąskie, poszarpane szczeliny. Ostre krawędzie brył wskazywały, że dociera tu niewiele słońca - ciepło jego promieni wygładziłoby lodową powierzchnię. Rodgers wątpił, aby temperatura w kotlinie nawet latem wzrastała powyżej minus piętnastu stopni.

221

Spojrzał na Nandę. Szła posłusznie obok niego, ale przez całą drogę nie odzywała się i sprawiała wrażenie nieobecnej duchem, wręcz oziębiającej. Rodgers widywał takie reakcje w Wietnamie u żołnierzy, którzy stracili w walce bliskiego przyjaciela. Martwił się, bo wiedział, że podobny stan może trwać wiele dni. Po tym wszystkim, przez co przeszli, to byłaby tragedia, gdyby nie zdołał nakłonić Nandy do opowiedzenia jej historii.

Samuel i Friday, którzy szli kilka kroków przed Rodgersem i Nandą, zatrzymali się. Friday zapalił pochodnię, rozejrzał się dookoła, a potem podszedł do generała.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział ze złością, podając mu komórkę. -

Tylko, gdzie, do cholery?

Rodgers puścił dłoń Nandy. Chciał sprawdzić godzinę na komórce, ale był taki mróz, że popękał wyświetlacz ciekłokrystaliczny i cyfry natychmiast zniknęły.

- Dobra robota - mruknął Friday. -

Rodgers zmiął w ustach przekleństwo. Komórka była ich jedynym środkiem łączności ze światem. Powinien przewidzieć, co się może stać na takim zimnie. Schował telefon do kieszeni, po czym

odwrócił się do Nandy i ogrzał jej policzki swoim oddechem. Wstąpiła w niego nadzieja, gdy dziewczyna spojrzała mu w oczy.

- Spróbujcie się zorientować, po co nas tu przysłali - polecił mężczyznom.
- Pewnie po to, żebyśmy tu zdechli - odparł Friday. - Nie ufam tym skurwielom, ani Hindusom, ani Pakistańczykom.
- Ani własnemu rządowi - wtrącił Samuel.
- Więc słyszałeś. Masz rację. Politykom w Waszyngtonie też nie ufam. Wykorzystują nas do czegoś.
- Do zapewnienia pokoju - stwierdził Samuel.
- Właśnie to robiliście w Kaszmirze? - ironizował Friday.
- Staraliśmy się osłabić wroga, który nas gnębi od wieków - odpowie dział Samuel. - Im jesteśmy silniejsi, tym większą mamy możliwość utrzymania pokoju.
- Walka o pokój. Co za bzdura. Chcecie zdobyć władzę, jak wszyscy inni.

Rodgers nie przerywał tej dyskusji, bo wiedział, że gniew rozgrzewa ciało.

Ale teraz uznał, że wystarczy. Wszedł między dwóch mężczyzn.

- Sprawdźcie teren - rozkazał.
- Po co? - zapytał Friday. - Żeby zobaczyć, czy jest tu tajne wejście do sezamu? Albo do lodowej fortecy Supermana?

222

- Niech pan mnie nie prowokuje, Friday - ostrzegł Rodgers.
- Przez tych cholernych biurokratów jesteśmy tu jak kaczki na strzelnicy, a pan mi mówi, że to ja pana prowokuję? Wolne żarty!

W kieszeni Rodgersa odezwała się komórka. Masz szczęście, gnoju, pomyślał generał, bo mógłbyś nieźle oberwać. Wiedział, że cios w szczękę to żaden argument, ale naprawdę miał ochotę przyłożyć temu aroganckiemu dupkowi.

Wyjął komórkę i osłonił wysokim kołnierzem.

- Rodgers - zgłosił się.
- Tu Brett - odezwał się August. - Dotarliście do miejsca o współrzędnych, które podałem?

- Przed chwilą. Co u ciebie? Wszystko gra?

- Na razie tak. A u ciebie?

- Żyjemy.

- Trzymaj się ciepło.

- Dzięki.

Rodgers zamknął komórkę i schował z powrotem do kieszeni. Friday i Samuel spojrzeli na niego, kiedy skończył rozmawiać.

- Krótko to trwało - zauważył Friday.

- Centrum potrzebowało tylko potwierdzenia, że tu jesteśmy - wyjaśnił Rodgers. - Niedługo powiedzą nam, co dalej.

- Mają już plan czy czekają, aż Pakistan coś wymyśli?

- Nie wiem - przyznał Rodgers.

- Wystawiają nas - stwierdził Friday. - Jestem pewien.

- Skąd ta pewność? - zapytał Rodgers. Agent NSA był wyjątkowo antypatyczny, ale to nie znaczyło, że się myli.

- Jack Fenwick miał dobre określenie dla pracowników operacyjnych, którzy przyjmowali niepełne kody albo niekompletne mapy - zaczął Friday. - Mówił na nich „martwi”. Jeśli nie możesz kontrolować sytuacji, to znaczy, że ktoś to robi za ciebie.

- W tym wypadku jest ku temu powód - przypomniał mu Rodgers. - Chodzi o bezpieczeństwo.

- To służy interesom Islamabadu i Waszyngtonu, nie naszym - odparł Friday. - Fenwick nigdy nie zawarłby takiej umowy z wrogim rządem.

Wszyscy tajni pracownicy operacyjni są ostrożni, ale ten facet wydawał się paranoikiem.

Albo coś kombinuje, pomyślał Rodgers.

- Często kontaktował się pan z Fenwickiem? - zapytał.

Friday, najwyraźniej zaskoczony, nie odpowiedział od razu.

- Nie współpracowałem z nim blisko - rzekł wreszcie. - On był dyrektorem NSA, a ja jestem agentem terenowym. Nasze działania raczej się nie pokrywały.

- Ale musiał pan z nim mieć jakiś kontakt - nie ustępował Rodgers. - Obaj stacjonowaliście w Azerbejdżanie, gdzie Fenwick prowadził swojąostatnią operację.
- Rozmawialiśmy kilka razy - przyznał Friday. - Prosił mnie o informacje i dostarczyłem mu ich. To nic niezwykłego. Dlaczego pan pyta?
- Bo ufa pan swojemu instynktowi - odparł Rodgers. - Jak my wszyscy, kiedy jesteśmy w terenie. Zastanawiam się, czy instynkt podpowiedział panu kiedykolwiek, że Fenwick to zdrajca.
- Nie.
- Więc instynkt pana zawiódł.

Friday zrobił taką minę, jakby uważał, że to niemożliwe.

Albo coś go zaniepokoiło, pomyślał nagle Rodgers. Nie przyzna się, że instynkt go zawiódł, bo wcale tak nie było. Bo wiedział, że Jack Fenwick próbował obalić rząd Stanów Zjednoczonych.

Fenwick chciał doprowadzić do wojny o ropę między Azerbejdżanem, Iranem i Rosją. Aby plan się powiódł, musiał zlikwidować agentów CIA ulokowanych w ambasadzie amerykańskiej. Zabójcy jednego z nich nigdy nie znaleziono.

Znowu zadzwieczyła komórka w kieszeni Rodgersa. Generał odebrał telefon.

- Jesteś w kotlinie otoczonej lodem? - zapytał August*
- Tak - potwierdził Rodgers.
- W porządku. Spójrz na północny zachód. U podnóża jednego ze zboczy powinieneś zobaczyć idealnie równą, płytę lodową o wymiarach około dwu na dwa metry.

Rodgers polecił Fridayowi wziąć jedną z pochodni i ruszyli razem w kierunku północno-zachodniego krańca kotliny.

- Idziemy tam, Brett - powiedział do Augusta. - Czy wiesz, jaki kształt ma płyta, której szukamy?
- Niestety, nie - odrzekł pułkownik.

Rodgers i Friday brnęli dalej przez nierówny teren. Wreszcie generał zobaczył bryłę lodu o wymiarach podanych przez Augusta.

- Chyba ją mamy! - powiedział do telefonu.
- Świetnie - odparł August. - Odsuńcie ją, a potem zaczekajcie, aż znów się odezwę.

- Dlaczego? - spytał Rodgers.
- Podam wam kod do otwarcia włazu pod płytą - wyjaśnił August.
- Włazu? - zdziwił się Rodgers. - Do czego?
- Do pakistańskiej wyrzutni pocisku nuklearnego - odrzekł pułkownik. - Nie ma tam obsługi. Pakistańczycy monitorują to miejsce za pomocą kamer wideo. Użyjecie ich do nadania oświadczenia.
- Rozumiem.

Rodgers zdał sobie sprawę, że cała ta kotlina jest równie sztuczna jak atrakcja w parku rozrywki. Łód był wprawdzie naturalny, ale uformowano go tak, żeby wyglądał

nieprzystępnie i zniechęcał zwiad lądowy i powietrzny. Pakistańscy żołnierze musieli tu obozować w namiotach maskujących przez miesiące, a może nawet lata, budując silos i jego otoczenie. Zapewne lotnictwo dostarczało im sprzęt i zaopatrzenie pojedynczymi samolotami i nocą, aby zmniejszyć niebezpieczeństwo wykrycia. Jeśli naprawdę mieściła się tu instalacja wojskowa, to była imponującym osiągnięciem.

Rodgers kopnął czubkiem buta krawędź płyty. Była ciężka. Potrzebowali pomocy.

Odwrócił się i przywołał gestem Samuela.

W tym momencie dostrzegł ruch wzdłuż słabo oświetlonej ściany za Pakistańczykiem. Na lodzie w pobliżu północno-wschodniego zbocza przesuwały się cienie. Wrażenie ruchu wywoływał blask pochodni. Ale cieni nie rzucały lodowe bryły. Cienie brył poruszały się w górę i w dół, a te przemieszczały się z boku na bok.

Tuż obok wejścia do kotliny.

- Friday - powiedział Rodgers cicho, ale stanowczo. - Zgaś pochodnię i odsuń się ode mnie.

Przynaglający ton musiał zrobić wrażenie na Fridayu, bo natychmiast wetknął płonący koniec pochodni w szczelinę i odskoczył w lewo.

- Samuel, schowaj się! - krzyknął generał.

Ecty) jego słów jeszcze rozbrzmiewało w zamkniętej przestrzeni, gdy pobiegł przed siebie.

Bał się, że telefon wypadnie mu z kieszeni, więc wetknął go pod kamizelkę kuloodporną.

Chwilę później potknął się i upadł, uderzając lewym ramieniem w bryłę lodu. Zamiast wstać, popęzł dalej na czworakach. Kierował się tam, gdzie ostatnio widział Samuela i Nandę. Nie czuł bólu. Myślał tylko o tym, żeby dotrzeć do Nandy. Miał nadzieję, że to, co zobaczył, tylko mu się

przywidziało.

Niestety.

Po chwili rozległ się terkot broni automatycznej i od lodowych ścian odbiły się iskry.

225

ROZDZIAŁ 57

Waszyngton Czwartek, 17.00

W biurze Hooda panowała nienaturalna cisza, gdy zadzwieczał telefon Herberta. Serce zaczęło mu szybciej bić chwilę wcześniej, jakby wiedział, że zaraz odezwie się sygnał. A może z upływem minut coraz bardziej się niecierpliwił. Nawet gdy nic się na działo, starał się być w kontakcie z terenem.

Wcisnął przycisk i z maleńkiego głośnika dobiegło wycie wiatru. Dźwięk przepływał z podłokietnika wózka inwalidzkiego do głośnika na biurku Hooda. Herbert nie był

przyzwyczajony do pracy przy słuchaczach. Nie lubił tego.

- Mów! - krzyknął.

-

Bob, chyba coś się dzieje przy silosie - poinformował go August.

Herbert zerknął gniewnie na głośnik na biurku, a potem spojrzał na swoje go szefa. Chciał, żeby Hood wyłączył to cholerne urządzenie.

- Mikę ma dupę na linii ognia - wycedził przez zęby.
- Już za późno. - Hood wskazał ruchem głowy głośnik na swoim biurku. Na linii nadal był ambasador Pakistanu. - Co się dzieje, pułkowniku? - zapytał głośno.

- Nie jestem pewien - odpowiedział August. - Słyszałem strzały i krzyki. Potem ucichły.

Odczekałem kilka minut i postanowiłem zadzwonić. Pomyślałem, że wezmę kody, na wypadek gdyby Mikę znów się odezwał.

- Orientujesz się, kto mógł strzelać? - wtrącił się Herbert.
- Nie. Zanim to się zaczęło, usłyszałem, jak ktoś krzyknął do innych, żeby się kryli.

Przypuszczam, że to był generał Rodgers.

- Jesteś bezpieczny? - spytał Herbert.
- Tak, tutaj nic się nie zmieniło.
- W porządku - powiedział Herbert. - Zaczekaj. Hood odwrócił się do swojego telefonu.
- Panie ambasadorze, słyszał pan meldunek pułkownika?
- Każde słowo - potwierdził Simathna. - Wygląda na to, że sytuacja nie jest dobra.
- Za mało wiemy, żeby dokładnie ocenić, jaka jest - zauważył Hood. - Zgadzam się z pułkownikiem Augustem, że czas przekazać mu kody dla Mike'a Rodgersa. Jeśli generałowi uda się dostać do wnętrza silosu...
- Nie mogę się na to zgodzić - przerwał ambasador.

226

- Dlaczego?
- Grupę generała prawie na pewno atakują indyjscy żołnierze - odparł Simathna.
- A skąd wiadomo, że to nie pakistańska ochrona silosu? - spytał Herbert.
- Bo oddział, który monitoruje lodowiec, został po naszej stronie linii kontroli. Był uprzedzony o waszej ingerencji.
- „Naszej” ingerencji? - Herbert nawet nie próbował ukryć irytacji. - W tej grupie jest Pakistańczyk.
- Pod dowództwem amerykańskiego oficera - przypomniał mu Simathna.
- Skąd wiadomo, że wasz oddział wykonał rozkaz? - naciskał Herbert.
- Ma pan na to moje słowo - odparł ambasador.

Hood skrzywił się i przeciągnął wierzchem kciuka po gardle. Pokazał Herbertowi, żeby zakończył tę dyskusję. Herbert chętniej wykończyłby Simathnę. Starali się uratować jego kraj przed zagładą, a facet nie zamierzał kiwnąć palcem, żeby pomóc Mike'owi Rodgersowi.

- Panie ambasadorze - odezwał się Hood - musimy zakładać, że generał Rodgers i jego ludzie zwyciężą. Kiedy to nastąpi, będą musieli jak najszybciej wejść do silosu. Rozsądnie byłoby podać pułkownikowi Augustowi kody.

- Nie mogę się na to zgodzić - powtórzył Simathna. - Wystarczająco niefortunne jest to, że nasi przeciwnicy mogą się dowiedzieć o istnieniu tego miejsca. Ale przynajmniej są tam zabezpieczenia.

- Jakże? - zainteresował się Hood.

- Przesunięcie lodowego bloku na szczycie silosu włączy zapalnik czasowy ładunku wybuchowego pod włazem - wyjaśnił ambasador. - Jeśli w ciągu sześćdziesięciu minut nie wprowadzi się właściwego kodu, nastąpi seria eksplozji, które zniszczą wszystko na powierzchni.

- Nieprzyjaciel zginie, a silos pozostanie nietknięty - domyślił się Herbert.

- Zgadza się - przytaknął dyplomata.

- Panie ambasadorze, nadal stoimy w obliczu ataku jądrowego na Pakistan - naciskał Hood.

- Rozumiemy to i dlatego nie możemy dopuścić do wykrycia naszych silosów - odrzekł

Simathna.

To zdanie zwróciło uwagę Herberta. Ambasador właśnie ujawnił, że są inne silosy, zapewne w równie odludnych miejscach. Nie zrobił tego przypadkowo. Chciał, żeby Centrum dowiedziało się o tym właśnie teraz.

Herbert zastanawiał się, czy ujawnienie tej informacji New Delhi spowodowałoby natychmiastowe uderzenie nuklearne w rejonie, czy zmusiło Indie 227

do wycofania się. Prawdopodobnie to drugie. Skoro wywiad m. indyjski nie wiedział o silosach, Hindusi nie mieliby pojęcia, gdzie uderzyć. Może dlatego Simathna o nich wspomniał. Informacja zabrzmiałaby bardziej wiarygodnie, gdyby przeciekła do New Delhi z amerykańskiej agencji wywiadowczej.

- Panie ambasadorze, zamierzam poprosić pułkownika Augusta, żeby zwolnił swoją linię telefoniczną - oznajmił Hood. - Da nam znać, kiedy tylko dowie się czegoś od generała Rodgersa.

Spojrzał na Herberta, a ten skinął głową i powiedział Augustowi, żeby się odezwał po nawiązaniu kontaktu z Rodgersem. Potem przerwał połączenie i odchylił się do tyłu.

- Dziękuję - odezwał się Simathna. - Proszę spróbować zrozumieć nasze stanowisko.

- Próbuję - zapewnił go Hood.

Herbert też próbował. Rodgers i August narażali życie dla ludzi, którzy nie mieli zamiaru im pomóc. Herbert siedział w tej branży dostatecznie długo, by wiedzieć, że tajnych pracowników operacyjnych spisuje się na straty. Są pierwsi do odstrzału.

Ale nie dla tych, którzy ich znają.

Nie wtedy, gdy mają twarze i nazwiska, gdy jest się z nimi na co dzień.

Jak z Rodgersem i Augustem.

W pokoju znów zapadła cisza.

Herbert słyszał tylko przyspieszone bicie swojego serca.

rozdział 58

Lodowiec Sjaczen Piątek, 2.35

Na niebie eksplodowały białe i czerwone flary. Rodgers mógł teraz zobaczyć, kto do nich strzela. Indyjskich żołnierzy ściągnięto zapewne z linii kontroli. Czterech czy pięciu Hindusów zajęło pozycje za lodowymi formacjami przy wejściu do kotliny.

Rodgers natychmiast padł na ziemię i zaczął się czołgać po nierównym terenie. Friday był

za płytą maskującą włącz do silosu. Strzelał do Hindusów, żeby ich zatrzymać. Rodgers obserwował przesmyk i szukał wzrokiem następnych żołnierzy. Ale nikogo nie zauważył.

W świetle flar zobaczył Samuela i Nandę. Byli mniej więcej dziesięć metrów od niego, schowani za grubą lodową bryłą. Pakistańczyk leżał tuż za 228

Nandą starając się ją osłaniać. Rodgers nie miał czasu na snucie refleksji, ale ironia tego, że pakistański terrorysta chroni własnym ciałem indyjską agentkę, nie uszła jego uwagi.

Nadlatujące pociski uderzały w lodową barykadę. Kiedy rozkruszyły większą część bryły, Samuel rozejrzał się. Nie zauważył generała.

- Samuel! - zawołał Rodgers.

Pakistańczyk spojrzał w jego kierunku. Rodgers przesunął się w prawo za lodową bryłę w kształcie głazu. Chciał, żeby Nanda była możliwie jak najbliżej niego na wypadek, gdyby zdołali wejść do środka silosu.

- Chodźcie tutaj! - krzyknął. - Będę was osłaniał!

Samuel skinął głową. Poderwał Nandę z lodu, przytulił do siebie i pobiegł w niskim półprzysiadzie w stronę Rodgersa. Generał wstał i strzelił kilka razy do Hindusów. Kiedy tylko flary zgasły, żołnierze wstrzymali ogień. Najwyraźniej oszczędzali amunicję. W kotlinie zapadła upiorna cisza. Słychać było tylko kroki Samuela na lodzie.

Pakistańczyk i Nanda dotarli za lodowy gład. Samuel osunął się na kolana obok Rodgersa.

Nandę posadził plecami do lodu. Dziewczyna otrząsnęła się już z katatonicznego stanu.

Spoglądała na boki i wydawało się, że jest świadoma tego, co się wokół dzieje.

Samuel przysunął się do Rodgersa.

- Kiedy zapaliły się flary, coś zobaczyłem - wysapał.
- Co? - zapytał Rodgers.
- To było dokładnie za panem i za panem Fridayem. Na jednym z niższych występów na zboczu, na wysokości trzech, może czterech metrów. Wyglądało jak antena satelitarna.

Łączę, pomyślał Rodgers.

- Może to ma coś wspólnego z tym, po co nas tu przysłali - ciągnął Samuel.
- Jestem prawie pewien, że tak - odparł Rodgers. - Czy ta antena jest na otwartej przestrzeni?
- Nie. Jest ukryta w małej grocie o szerokości jakichś dwóch, trzech metrów. - Pokręcił głową i westchnął. - Nie mogę zagwarantować, że to antena. Widziałem białą kratownicę, ale to mogły być sopte i gra świateł.

• Czy byłaby widoczna z powietrza?

• Pionowo z góry nie.

Rodgers obejrzał się. Było za ciemno, żeby zobaczyć lodową ścianę, ale to, co powiedział

Samuel, miało sens. Jeśli w pakistańskim silosie jest kamera wideo, na zewnątrz musi być antena nadawcza. Niekoniecznie na szczycie

229

góry. Wystarczyło, żeby była nakierowana na odsłonięty fragment jba. Wycelowana w punkt, gdzie na orbicie geosynchronicznej znajdował się satelita telekomunikacyjny. Przewody łączące silos z przekaźnikiem biegły prawdopodobnie głęboko w lodowej ścianie. Ktokolwiek to zaprojektował, na pewno starał się poprowadzić kable daleko od powierzchni. Inaczej topniejący lód mógłby je odsłonić i byłyby narażone na działanie wiatru, śniegu, z deszczem i korozji. Nie mówiąc o tym, że byłyby widoczne z przelatującego samolotu zwiadowczego.

- Powiedz mi coś, Samuelu - odezwał się Rodgers. - Instalowałeś dla Szarab zdalne zapalniki w bombach, prawda?
- Tak - potwierdził Pakistańczyk cicho.

- Znasz się na radiach?
- Pracowałem przy wszystkich urządzeniach elektronicznych. W Islamabadzie naprawiałem dla wojska sprzęt łącznościowy...
- Przenośne radia też?
- Walkie-talkie?
- Nie tylko. - Rodgers przerwał, żeby zebrać myśli. Jego pytania i plany wyprzedzały odpowiedzi. - Czy jeśli jest tu antena satelitarna, potrafiłbyś podłączyć do niej telefon komórkowy?
- To rządowa komórka, z jakimiś zabezpieczeniami?
- Wątpię.
- Więc gdyby udało się nam dostać do przewodu anteny, pewnie umiałbym to zrobić.
- Jakie narzędzia byłyby ci potrzebne?
- Wystarczyłby mi mój scyzoryk.
- Doskonale. Jak można się dostać do groty z anteną? Są tam jakieś występy, kłamry, stopnie?
- Nie zauważyłem nic takiego. Widziałem tylko gładką ścianę.
- Rozumiem.

W ferworze ratowania Nandy generał stracił trochę orientację w terenie. Musiał ją odzyskać. Odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, twarzą tam, gdzie powinien być przeciwległy kraniec kotliny. Przykucnął.

- Friday, jesteś jeszcze przy płycie?! - zawołał. Cisza.
- Odezwij się! - wrzasnął Rodgers.
- Jestem tu! - odkrzyknął Friday.

Rodgers umiejscowił jego głos. Wpatrywał się w ciemny punkt. Jednocześnie sięgnął do kamizelki i wyjął komórkę. Podał ją Samuelowi.

230

- Jeśli zadzwoni pułkownik August, powiedz mu, żeby zaczekał na linii -poleciał.
- Co pan chce zrobić? - zapytał Pakistańczyk.
- Dostać się do anteny - odparł Rodgers. - Jak stoisz z amunicją?

- Mam kilka sztuk i jeden zapasowy magazynek.

- Oszczędzaj naboje. Mogę potrzebować osłony, kiedy zacznę się wspinać na zbocze.

- Dobrze.

Mikę Rodgers rozruszał zmarznięte palce w rękawicach i położył dłonie na ziemi. Był

spięty. Wiedział, że czeka go trudne zadanie, od którego wiele zależy. Niepokoił go również Ron Friday; coś, co agent NSA powiedział wcześniej. Rodgers zastanawiał się, czy jeśli wyjdą z tego impasu, nie czeka ich jeszcze większe niebezpieczeństwo. Ale teraz nie mógł sobie pozwolić na to, żeby się tym przejmować. Wszystko w swoim czasie.

Wziął głęboki, uspokajający oddech i zaczął się posuwać na czworakach przez nierówny teren.

ROZDZIAŁ 59

Lodowiec Sjaczen Piątek, 2.42

R

on Friday nasłuchiwał. Ktoś się zbliżał. Rodgers albo Samuel. Pewnie Rodgers, pomyślał, nieustraszony wojownik. Ma plan, jak uratować misję. Fridayowi to odpowiadało - nikt nie chce wojny jądrowej. Ale zależało mu również, żeby wynieść się w cholerę z tego lodowca i dostać do Pakistanu. A stamtąd gdzie indziej. Daleko od zagrożonego subkontynentu indyjskiego.

Friday nie bał się śmierci. Ale przerażała go głupia śmierć: nie dla zdobyczy czy skarbu, tylko dlatego że coś się spieprzyło. A na to się zapowiadało. Skok w bok, który nie powinien się zdarzyć. Wszystko przez to, że zaufali biurokratom z Waszyngtonu i Islamabadu.

Hindusi też musieli usłyszeć ruch, bo znów otworzyli ogień. Niezbyt gwałtowny, najwyraźniej oszczędzali amunicję. Padało tylko tyle strzałów, żeby utrzymać przeciwnika przy ziemi i zmusić do zmiany miejsca.

Friday wpatrywał się w ciemność. Od zimna bolały go nozdrza i płuca. Mimo grubych rękawic i butów miał zdrętwiałe palce rąk i nóg. Zastanawiał się, jak długo zamarzałyby krew, gdyby oberwał.

231

Wylądował twardo na ziemi. Nie dosięgnął! lodowej barykady, ale znalazł się na tyle blisko, że błyskawicznie wgramolił się za nią. Miejsce, w którym był, sekundę wcześniej posiekały pociski z indyjskich karabinów. Kiedy tylko dostał się za osłonę, spojrzął na Rona Fridaya.

Agent NSA uniósł kciuk. Rodgers zerknął na antenę. Za jej podstawą zobaczył dużą czarną obudowę. Był zadowolony, że Friday wie, co to jest. On musiałby wdrapać się na górę, otworzyć pokrywę i

spróbować rozpoznać przewody.

Rodgers popatrzył na Samuela i Nandę. Dał im znak, żeby do niego dołączyli. To był chyba najlepszy moment.

Potem wyjął broń i pokazał Fridayowi, żeby zrobił to samo, a następnie przesunął się na kraniec lodowej barykady. Stąd najlepiej widział Samuela. Uniósł trzy palce. Pakistańczyk zrozumiał. Miał wystartować na trzy. Rodgers dał mu chwilę na przygotowanie się.

Samuel odciągnął Nandę od głazu, za którym oboje leżeli, pomógł jej uklęknąć i podniósł do półprzysiadu. Potem spojrział w kierunku Rodgersa. Generał wyprostował kolejne palce. Na trzy Samuel poderwał się i pociągnął ze sobą Nandę. Była z przodu, Pakistańczyk osłaniał ją własnym ciałem. Kiedy pobiegli naprzód, Rodgers i Friday natychmiast wstali i zaczęli strzelać w kierunku Hindusów. Żołnierze byli poza zasięgiem ich ognia, ale najwyraźniej nie wiedzieli o tym. Natychmiast padli, dając Samuelowi czas na pokonanie większości dystansu do wjazdu silosu.

Gdy zapadła ciemność, Hindusi oddali kilka strzałów.

- Nie odpowiadaj ogniem! - krzyknął Rodgers do Fridaya.

Obawiał się, że w ciemności trafią Samuela lub Nandę.

Nasłuchiwali kroków. Zbliżały się, ale były nierówne. Może z powodu śliskiego terenu. Kierowały się na prawo od Rodgersa i oddalały od silosu. Generał przesunął

się w tamtą stronę i czekał.

Kilka sekund później ktoś upadł obok niego. Rodgers sięgnął po leżącą postać, żeby wciągnąć ją za barykadę. To była Nanda. Generał otoczył ją ramionami i dosłownie wrzucił za siebie. Potem znów odwrócił się w prawo. Usłyszał jęki. Przysunął się bliżej. Przed barykadą znalazł Samuela. Pakistańczyk leżał na brzuchu. Rodgers chwycił go pod pachy. Prawą dłonią wyczuł gęstą wilgoć. Wciągnął Samuela za lodowe kikuty.

• Słyszysz mnie? - zapytał.

• Tak - odrzekł Pakistańczyk.

Rodgers dotknął jego boku. Wilgoć rozprzestrzeniła się. Samuel krwawił.

• Jesteś ranny - powiedział Rodgers.

• Wiem - odparł Samuel. - Spieprzyłem sprawę, generale.

- Nie - zaprzeczył Rodgers. - Dobrze się Spisałeś. Załatwimy to...

- Nie o tym mówię - przerwał mu Samuel. - Zgubiłem komórkę. Jego słowa uderzyły Rodgersa jak pocisk.

Nagle z lewej huknęły strzały. Ogień otworzył Ron Friday.

- Nasi kolesie znów się ruszyli! - zawołał.

- Padnij! - krzyknął generał.

Sięgnął do kamizelki po cylindryczny granat odłamkowy. Bez wahania wyszarpnął

zawleczkę i rzucił granat. Nie chciał zabijać Hindusów, ale nie mógł sobie pozwolić na stratę czasu. Samuel był ranny.

Rodgers schylił się i pociągnął Nandę w dół. Kilka sekund później nastąpił wybuch. Huk odbił się echem od ścian, zadrżała ziemia. Zanim przebrzmiał odgłos eksplozji, Rodgers wyciągnął z kamizelki dwudziestotrzycentym-trowy nóż. Natychmiast ustalił kolejność działań. Zatrzymać Hindusów. Zatać krewawienie Samuela. Potem będzie się martwił o telefon.

- Niech pan się mną nie przejmuje - powiedział Samuel. - Nic mi nie jest.

- Dostałeś - przypomniał mu Rodgers.

Rozciął kurtkę Pakistańczyka, włożył do otworu prawą rękę i poszukał palcami rany.

Znalazł dziurę po pocisku tuż pod lewą łopatką. Sięgnął w prawo i wymacał swoje rękawice.

Wyciął z nich miękki ocieplacz, przyłożył do rany i mocno przycisnął. Nie potrafił wymyślić nic innego.

Kiedy zamarł odgłos wybuchu, wokół zapadła śmiertelna cisza. Nie było słyhać żadnych jęków ani krzyków. Czas uciekał, możliwości malały. Bez telefonu komórkowego nie mogli się skontaktować z Augustem ani podłączyć do anteny. Odszukanie komórki w ciemności wymagałoby czasu, jeśli w ogóle było możliwe. Wyjście na otwartą przestrzeń z pochodnią byłoby samobójstwem. A gdyby stracili Samuela, to wszystko przestałoby mieć znaczenie.

Mikę Rodgers tkwił przykucnięty z opuszczonymi ramionami. Nadal przyciskał do rany prowizoryczny opatrunek. Miał nadzieję, że krew pod spodem zamarznie. Potem spróbuje znaleźć telefon, nawet gdyby miało go to kosztować życie.

W pewnej chwili uderzył prawym łokciem o coś przy swoim pasie.

Natychmiast zdał sobie sprawę, co to jest.

Szansa na ratunek.

ROZDZIAŁ 61

Sjaczen, baza numer 3, Kaszmir

Piątek.

3.22

Ś

migłowiec Mikojan Mi-35 usiadł na małym, ciemnym lądowisku. Czworokątna płyta składała się z dwóch warstw asfaltu przedzielonych bawełną. Tkanina zapobiegała przedostawaniu się lodu z dolnej warstwy do górnej. Zanim pilot wyłączył silniki, dostał przez radio wiadomość.

- Właśnie nadszedł rozkaz majora Puriego - poinformował go szef łączności bazy. - Ma pan zatankować maszynę, usunąć oblodzenie i wrócić tam, gdzie pan był.

Kapitan i drugi pilot wymienili niechętnie spojrzenia. Kokpit był słabo ogrzewany i obaj byli zmęczeni po trudnym locie. Nie mieli ochoty na nową misję.

Do helikoptera zbliżała się już obsługa naziemna. Przez płytę lądowiska jechała cysterna z paliwem i ciężarówka załadowana grubymi węzami i beczkami z roztworem chlorku sodu i żelazocyjanku.

- Co jest naszym celem? - zapytał pilot.
- Bojówka, którą pan wcześniej tropił - odrzekł szef łączności. - Jeden z pododdziałów majora Puriego trzyma ją w pułapce. Dowódca ocenia, że są tam cztery osoby, ale nie wie, czy mają ciężką broń.

Kapitan poczuł satysfakcję. Choć podziwiał człowieka, który w pojedynkę, uzbrojony tylko w pistolet, zmusił ich do odwrotu, nie lubił, gdy ktoś jest sprytniejszy od niego.

- Gdzie oni są? - spytał. Jednocześnie wyświetlił na monitorze komputera mapę topograficzną.
- Na płaskowyżu Górny Chittisin - odpowiedział oficer i podał współrzędne.

Pilot wprowadził liczby. Terroryci wspięli się na górę. Była to wyjątkowo zimna i niegościnna część lodowca. Zastanawiał się, czy weszli tam celowo, czy przez przypadek.

Jeśli celowo, to nie potrafił sobie wyobrazić, po co. Może mają tam kryjówkę albo magazyn broni.

Bez względu na to, co tam jest, mógłby okrążyć helikopterem lodowiec od południowo-zachodniej strony i być na miejscu za czterdzieści pięć minut.

- Co mamy robić, kiedy ich znajdziemy? - zapytał.
- Ewakuować ludzi majora Puriego, a potem dokończyć poprzednie zadanie - odparł szef łączności.

Kapitan potwierdził przyjęcie rozkazu.

Dziesięć minut później był w powietrzu i kierował się do celu. Tym razem zlikwiduje terrorystów.

ROZDZIAŁ 62

Lodowiec Sjaczen Piątek, 3.23

K

rew Samuela zaczęła zamarzać. Rodgers czuł to pod palcami. Były jedyną ciepłą częścią jego rąk. Wziął nóż i przysunął się do Nandy.

- Chcę, żebyś poszła ze mną - powiedział.

- Dobrze - zgodziła się.

Przekradli się przez otwartą przestrzeń między lodową barykadą i wejściem do silosu.

- To ja i Nanda - szepnął generał, żeby Friday nie pomyślał, że okrażają go Hindusi.

- Wszystko w porządku? - zapytał agent NSA.

- Samuel dostał.

- Mocno oberwał?

- Mocno.

- Jesteś głupim skurwielem - burknął Friday. - A ja jeszcze głupszym, bo za wami polazłem.

- Chyba tak - przyznał Rodgers. Przycupnął obok Fridaya i podał mu nóż. - Jeśli skończyłeś gadać, wracam po Samuela. Przez ten czas zacznij kopać dół w lodzie wzdłuż bocznej krawędzi wejścia do silosu.

- Tak chcesz się dostać do kabla?

- Właśnie tak - potwierdził Rodgers.

- On może być trzy metry pod ziemią! - wykrzyknął Friday.

- Nie jest. Lód topnieje i ponownie zamarza. Przewód prawdopodobnie często pęka. Nie położyliby go tak głęboko, żeby nie móc go odsłonić i naprawić.

- Być może - przyznał Friday - ale przekopanie się nawet przez metr czy półtora lodu zajmie...

- Bierz się do roboty - przerwał mu Rodgers.

• Wal się - odparował Friday. - Jak nasz przyjaciel Sammy odpłynie i tak będzie po nas.

Chyba pogadam z naszymi indyjskimi sąsiadami. Może dojdziemy do porozumienia.

Rodgers usłyszał, jak nóż upada na lód.

237

Po chwili rozległo się skrobanie.

- Ja to zrobię - oznajmiła Nanda.

Jej głos brzmiał zdecydowanie. To była pierwsza oznaka, że „wróciła”. W samą porę. Po raz pierwszy dopisało im szczęście.

Rodgers nie widział Fridaya, ale słyszał jego chrapliwy oddech. Generał trzymał prawą rękę w kieszeni kurtki, gotów zastrzelić Fridaya, gdyby musiał. Nie za to, że chciał odejść. Miał do tego prawo. Obawiał się, co przemarznięty, zmęczony i głodny agent mógłby opowiedzieć o ich sytuacji.

Ron Friday nie ruszył się z miejsca. Nanda musiała go zawstydzić. A może sprawdzał

Rodgersa. Czasami milczenie w odpowiedzi na groźbę mówiło więcej i było bardziej niebezpieczne niż ostre słowa.

- Zaraz tu wrócę z Samuelem - oznajmił Rodgers spokojnie.

Odwrócił się i znów pokonał niewielką przestrzeń między dwiema pozycjami. Hindusi nadal zachowywali ciszę. Rodgersowi przyszło do głowy, że to może być mały oddział zwiadowczy.

Żołnierze najwyraźniej mieli rozkaz pilnować przeciwnika, dopóki nie dostaną wsparcia.

Generał miał nadzieję, że nie nastąpi to wcześniej niż za pół godziny.

Samuel oddychał szybko. Rodgers nie był lekarzem, nie wiedział, czy to dobry, czy zły objaw. W tych okolicznościach wydawało mu się, że dobry.

• Jak się czujesz? - zapytał.

• Marnie - odrzekł Samuel. Charczał. Brzmiało to tak, jakby miał krew w gardle.

• Jesteś zdezorientowany z powodu szoku - skłamał generał. - Zajmiemy się tobą, jak tylko tu skończymy.

- Bez komórki nic nie zrobimy - zauważył Samuel.

Rodgers wsunął ręce pod jego plecy.

• Mamy jeszcze moje radio do łączności wewnątrzoddziałowej - odparł. - Będzie się nadawało?

- Powinno. Konstrukcja jest zasadniczo taka sama.
- Tak myślałem. Musimy teraz dotrzeć do kabla i otworzyć obudowę radia. Potem wytłumaczysz mi, jak się podłączyć do anteny satelitarnej.
- Moment - szepnął Samuel.

Rodgers już miał go podnieść, ale się zawahał.

- Niech pan posłucha - powiedział Pakistańczyk. - Trzeba poszukać pod ziemią czerwonego kabla. To zawsze jest dźwięk. W radiu musi pan znaleźć największy chip. Będą przy nim dwa przewody. Jeden prowadzi do mikrofonu, drugi do anteny. Przetnie pan ten drugi. Potem połączy go pan z czerwonym kablem anteny satelitarnej.

238

- Dobrze.
- Wszystko jasne?
- Tak - zapewnił Rodgers.
- Więc niech pan idzie.

Samuel mówił coraz ciszej. Rodgers ścisnął jego rękę, odwrócił się i pobiegł z powrotem do płyty.

ROZDZIAŁ 63

Lodowiec Sjaczen Piątek, 3.25

Nanda niewiele pamiętała z tego, co się działo, odkąd zaatakował ich śmigłowiec. Wiedziała, że jej dziadek zginął. Ale potem miała wrażenie, że jej umysł gdzieś uleciał. Była przytomna, ale nieobecna duchem. Szok spowodowany śmiercią dziadka stłumił jej *kundalini*, siłę życiową. To zmusiło Śakti, żeńskie bóstwo czuwające w chwilach zmagań nad głęboko wierzącymi, do przejęcia nad nią opieki. Używając swoich tajemnych mantr i mandali, mistycznych słów i znaków, Śakti strzegła siły życiowej Nandy, dopóki nie pobudziła jej osłabiona naturalna energia dziewczyny.

Szok wywołany ostatnimi eksplozjami i strzelaniną przyspieszył ten proces, a działania generała Rodgersa w ciągu ostatnich minut doprowadziły go do końca. Nanda odzyskała czujność, którą zawsze zachowywała podczas kontaktów z SOR I wyglądało na to, że jej

„powrót” rozładował rosnące napięcie między generałem Rodgersem a drugim Amerykaninem.

Nanda nadal rozbijała twardego lodu. Nóż trzymała w prawej ręce, a lewą usuwała odłupane kawałki i jednocześnie szukała kabla. Oby tylko nie był to przewód ze stali, którego nie da się przeciąć.

Bez względu na wynik dobrze się czuła przy tym zajęciu. Ruch wzmacniał krążenie krwi i rozgrzewał

ją.

Rodgersa nie było tylko minutę czy dwie. Wrócił sam.

- Gdzie twój chłopak? - zapytał Friday.
- Kiepsko z nim - odparł Rodgers. - Ale powiedział mi, co trzeba zrobić. - Generał przysunął się do Nandy. - Przerwij na moment. Chcę sprawdzić ten dół.

Nanda przestała rozbijać lód. Usłyszała, jak generał bada dłonią zagłębienie wzdłuż krawędzi płyty.

239

- Dobra robota - pochwalił. - Dzięki. Teraz cofnijcie się oboje pod zbocze. Połóżcie się z kolanami pod brodą i rękami przy tułowiu. Zakryjcie dłońmi uszy. Starajcie się być jak najmniej odsłonięci.
- Co pan chce zrobić? - spytała Nanda.
- Mam jeszcze jeden granat błyskowo-hukowy - wyjaśnił Rodgers. - Taki jak tamten, którego użyłem wcześniej. Włożę go tu. Dostatecznie dużo siły wybuchu pójdzie w dół. Ciepło eksplozji powinno roztopić lód w promieniu kilkudziesięciu centymetrów.
- Czy nasz przyjaciel terrorysta powiedział, co zrobić, jeśli kabel jest schowany w stalowej rurze o grubości pięciu centymetrów? - zapytał Friday.
- W takim wypadku zakopiemy mój granat odłamkowy - odparł Rodgers. - Powinien rozwalić każdą osłonę. A teraz cofnijcie się. Czas zaczynać.

Nanda ruszyła na czworakach w kierunku zbocza. Teren był nierówny i ostre krawędzie kaleczyły jej dłonie. Ale była zadowolona, że czuje ból. Lata temu, w Śrinagarze, pewien garncarz powiedział jej, że lepiej czuć cokolwiek, niż nie czuć nic. Myśląc o swoim cierpieniu i śmierci dziadka, wreszcie zrozumiała, o czym mówił tamten człowiek.

Kiedy dotarła do ściany, skuliła się na lodzie, tak jak kazał Rodgers.

Generał podziękował jej za pracę, którą wykonała. Wśród całego tego zamieszania i zwątpienia, wśród przerażenia tym, co już się wydarzyło i jeszcze mogło się wydarzyć, jego słowo było jak piękna róża.

Nanda widziała ją w wyobraźni, gdy zatrzęsła się ziemia. Na plecach poczuła falę gorąca, na rękach podmuch, a pod czaszką wibrujący huk.

HOZD/JAKU

Lodowiec Sjaczen Piątek, 3.27

odgers nie oddalił się od strefy zero tak daleko jak inni. Wiedział, że eksplozja nic mu nie zrobi, będzie tylko gorąco. Ale na to liczył. Zdrętwiały mu odsłonięte dłonie i musiał je ogrzać, zanim weźmie się do pracy. Podeszedł do krawędzi płyty, usiadł i ukrył głowę między podciągniętymi kolanami. Potem przechylił się w lewo najmocniej, jak mógł. Miał nadzieję, że jeśli siła wybuchu go przewróci, nie przygniecie sobą radia.

Wybuch był potężniejszy, niż Rodgers się spodziewał. Generał nie upadł, ale eksplozja oderwała krawędź płyty. Rodgers usłyszał, jak kawał lodu poszybował z gwizdem do góry.

Dźwięk był tak przeraźliwy, że nie zagłuszył

240

go huk detonacji. Bryła wylądowała gdzieś na lewo. Rodgers wyobrażał sobie, co pomyślą Hindusi - że to ostrzał z moździerza. Dopiero po chwili zorientują się, że przeciwnik zdetonował drugi granat błyskawiczno-hukowy.

Nastąpiła seria słabszych błysków i trzasków, gdy granat się dopalał. Zanim zgasł, Rodgers zbliżył się do miejsca eksplozji. Wybuch zrobił w ziemi dziurę mniej więcej metrowej średnicy. Dół wypełniał roztopiony lód. Przez środek biegł przecięty kabel.

Kiedy szczątki granatu zarzyły się jeszcze na krawędzi otworu, Rodgers położył się na brzuchu i chwycił część kabla od strony anteny. W plastikowej osłonie grubości około centymetra były trzy przewody: czerwony, żółty i niebieski. Rodgers wyjął nóż i oddzielił

ostrzem czerwony przewód od pozostałych. Odciął mokrą końcówkę i szybko oczyścił

kawałek przewodu z gumowej izolacji. Kiedy kończył, zaczęły dogasać ostatnie szczątki granatu.

- Friday, zapalki! - zawołał Rodgers. Cisza.

- Friday! - powtórzył generał.

- Nie ma go tul - odezwała się Nanda.

Rodgers obejrzał się. Było za ciemno, żeby coś zobaczyć. Friday albo czekał w ukryciu, żeby się przekonać, co zdiagnozował generał, albo przekradał się do Hindusów. Cokolwiek robił, Rodgers nie miał teraz czasu zajmować się nim. Położył kabel tak, by nie zamoczyć oczyszczonej końcówki, a potem wyjął z kieszeni kamizelki mapę. Rozłożył ją z dala od resztek żaru, żeby nie wywołać podmuchu. Wstrzymał oddech, pochylił się i przytknął

krawędź mapy do rozżarzonej magnezji. Obawiał się, że jeśli dotknie zbyt mocno, zgasi żar, a jeśli za słabo, papier się nie zajmie.

Teraz los dwóch narodów zależał od jednego człowieka, który wykorzystywał pierwszą i najbardziej

prymitywną formę technologii, jaką opanowały istoty ludzkie.

Papier zadymił, potem rozżarzył się na krawędziach. Po chwili z drukowanego obrazu Kaszmiru wystrzelił triumfalnie pomarańczowy płomień. Wydawał się stosowny do okoliczności.

- Nanda, chodź tutaj! - zawołał Rodgers.

Dziewczyna szybko dołączyła do niego. Zakładając, że Hindusi na nich nie ruszą, na razie byli bezpieczni. Pozostała część płyty zapewniała im dostateczną osłonę.

Rodgers podał Nandzie płonący papier. Zdjął kurtkę, położył na lodzie obok dołu i polecił dziewczynie rzucić na nią mapę. Wyjaśnił, że kurtka się nie zapali, ale trzeba znaleźć coś innego na ognisko.

241

- I to szybko - dodał.

Nanda sięgnęła do kieszeni swojej kurtki i wyjęła tomik Upaniszad, który zawsze nosiła przy sobie, oraz dokumenty obciążające terrorystów, które miała im podrzucić, kiedy zostaną złapani.

Gdy papiery zapłonęły, generał wyciągnął radio z pętli przy pasie, położył na kurtce i pochylił się nad nim.

Radio miało jednoczęściową obudowę. Rodgers wiedział, że nie zdoła jej rozbić bez uszkodzenia części, które były mu potrzebne. Wsunął więc ostrze noża tuż przy wgłębionym mikrofonie i podważył go ostrożnie. Musiał się dostać do przewodu i chipa pod spodem.

Wydobył kostkę połączoną z mikrofonem, ale nie mógł jej odciąć. Gdyby to zrobił, pozbawiłby ją źródła zasilania. Musiała pobierać prąd z baterii radia, nie z akumulatora za anteną satelitarną. Odciągnął mikrofon najdalej jak mógł i przychylił otwór w stronę światła, żeby mieć pewność, że przetnie właściwy przewód. Dwadzieścia lat wcześniej zadanie byłoby niewykonalne. W radiach z tamtej epoki były ciasno upchane tranzystory i przewody niemożliwe do rozszyfrowania. Wnętrze tego radia było stosunkowo puste -tylko kilka chipów i przewodów.

Rodgers zobaczył baterię i przewód, który łączył ją z mikrochipem i mikrofonem. Musiał przeciąć drugi przewód, prowadzący do anteny radia.

Ostrożnie położył radio na kurtce i przeciął przewód tak blisko anteny, jak tylko mógł.

Został mu odcinek o długości około pięciu centymetrów.

Ukucnął, położył odcięty kawałek przewodu na nosku buta i oczyścił z izolacji. Potem sięgnął po przecięty kabel od anteny satelitarnej. Zdarł paznokciami plastikową koszulkę na odcinku około centymetra, splótł dwa miedziane druty i włączył radio. Cofnął się i delikatnie przysunął Nandę do

aparatu.

To było najbardziej toporne i prowizoryczne urządzenie, jakie Mikę Rodgers widział w ciągu całej swojej kariery wojskowej. Ale to nie miało znaczenia. Liczyło się tylko jedno.

Że zadziałało.

ROZDZIAŁ 05

Waszyngton Czwartek, 18.21

R

on Plummer jeszcze nie przeżył czegoś podobnego. W jednym momencie czuł ogromną radość, wręcz euforię, a w następnej skrajne przygnębienie.

242

Kiedy ambasador Simathna dostał telefon z Islamabadu, przez chwilę słuchał, a potem uśmiechnął się szeroko. Plummer nie musiał czekać na włączenie głośnika, żeby wiedzieć, o co chodzi.

Mikę Rodgers odniósł sukces. Jakimś cudem udało mu się nadać wiadomość do pakistańskiej bazy monitorującej silos. Tekst przekazano pakistańskiemu Ministerstwu Obrony. Stamtąd nagranie trafiło do CNN i usłyszał je cały świat.

- Nazywam się Nanda Kumar - mówił z magnetofonowej taśmy kobiecy głos. - Jestem obywatelką indyjską i mieszkam w Kaszmirze. Należę do tak zwanej Cywilnej Sieci Operacyjnej. Przez kilka miesięcy współpracowałam z indyjską Służbą Ochrony Pogranicza w celu zdemaskowania pakistańskiej grupy terrorystycznej. Powiedziano mi, że moje działania doprowadzą do aresztowania terrorystów. Tymczasem Służba Ochrony Pogranicza wykorzystała dostarczone przeze mnie informacje do oskarżenia Pakistańczyków. Ci terroryści są odpowiedzialni za wiele strasznych czynów, ale to nie oni do konali w ostatnią środę zamachu bombowego na autobus z pielgrzymami i hinduską świątynię na rynku w Śririagarze. To robota Służby Ochrony Po granicza.

Ambasador Simathna wciąż promieniał, gdy wyłączył telefon i nachylił się do drugiego aparatu głośnomówiącego. Na tej linii był Paul Hood.

- Dyrektorze Hood, słyszał pan? - zapytał dyplomata.
- Tak - odparł Hood. - Właśnie nadaje to CNN.
- To wspaniale - ucieszył się Simathna. - Gratuluję panu i generałowi Rodgersowi. Nie wiem, jak puścił w eter oświadczenie tej kobiety, ale zaimponował mi.
- Generał Rodgers potrafi zaimponować - zgodził się Hood. - Też chcielibyśmy wiedzieć, jak to

zrobił. Bob Herbert mówi mi, że pułkownik August nie może wywołać generała. Widocznie telefon komórkowy przestał działać.

- Oby tylko telefon - zażartował Simathna. - Hindusi będą oczywiście twierdzili, że Pakistańczycy zrobili pannie Kumar pranie mózgu. Ale generał Rodgers pomoże nam zaprzeczyć tej kłamliwej propagandzie.
- Generał Rodgers powie prawdę, bez względu na to, jaka ona jest - odrzekł Hood dyplomatycznie.

Zadzwieczył drugi telefon na biurku. Ambasadora Simathna przeprosił i odebrał.

Po chwili uśmiech zniknął z jego twarzy. Zbladł. Ron Plummer wolał sobie nie wyobrażać, czego dowiedział się dyplomata. Przez głowę przemknęła mu myśl o pakistańskim uderzeniu nuklearnym.

243

Simathna nie odzywał się. Tylko słuchał. Wreszcie wyłączył się i spojrzał na Plummera.

Jego oczy miały wyraz głębokiego smutku.

- Obawiam się, panie Hood, że mam dla pana złą wiadomość - powiedział.
- Co się stało? - zapytał Hood.
- Płyta na szczycie silosu została przesunięta lub poważnie uszkodzona podczas działań generała Rodgersa - wyjaśnił ambasador.

Nie musiał mówić dalej. Wszyscy wiedzieli, co to znaczy. Ładunki wybuchowe wokół silosu zostały automatycznie uzbrojone. Eksplodują za kilka minut. Chyba że rozbroi je ktoś wewnątrz silosu.

ROZDZIAŁ 60

Waszyngton Czwartek, 18.24

P

aul Hood nie mógł uwierzyć, że Mikę Rodgers doszedł tak daleko, dokonał niemal cudu tylko po to, by teraz zginąć, choć można byłoby temu zapobiec. Ale żeby temu zapobiec, musieliby się z nim skontaktować. Hood, Herbert i Coffey siedzieli w milczeniu, przygnębieni i sfrustrowani. Mimo technologii, którą dysponowali, byli bezradni, jakby żyli w epoce kamienia łupanego.

Hood jeszcze nigdy nie czuł się tak bezradny. W przeszłości zawsze było jakieś wyjście.

Mogli wezwać kogoś na pomoc, mieli czas, żeby przemieścić odpowiednie środki, a przynajmniej działała łączność. Teraz nie. Teraz Mi-ke'owi, Nandzie i pozostałym mogła pomóc tylko modlitwa. Hood nie wierzył w moc modlitwy, lecz mimo to prosił w duchu wszystkich bogów, w których wierzyli chrześcijanie, hindusi i muzułmanie, by nadal czuwali nad tamtymi. Nie był gotowy na utratę

Mike'a Rodgersa. Jeszcze nie.

- Może Mikę i ta dziewczyna zrobili swoje i wynieśli się stamtąd - zasugerował Coffey.

- To możliwe - przyznał Herbert. - Choć znając Mike'a, pewnie będzie nadawał jeszcze przez jakiś czas. Mogą nie wiedzieć, że ich wiadomość poszła.

Coffey pokiwał głową.

- A jeśli nawet się stamtąd wynieśli, obawiam się, że nie odejdą dostatecznie daleko -

ciągnął Herbert.

- Co masz na myśli? - zapytał Coffey.

244

- Tam jest ciemno, środek nocy - wyjaśnił Herbert. - Przypuszczam, że po tym wszystkim, przez co przeszli, Mikę będzie chciał znaleźć jakąś kryjówkę i przeczekać tam do rana, aż zrobi się trochę cieplej. Jeśli ktoś jest ranny, na pewno postara się udzielić mu pierwszej pomocy. Problem w tym, że nie wiemy, ile czasu zostało do eksplozji. Mikę dostał się do silosu, żeby nadać wiadomość. Ładunki wybuchowe uzbroiły się, kiedy usunął płytę.

Odliczanie trwa już jakiś czas.

- Nie wierzę, żeby skurwiele w Pakistanie nie mogły tego przerwać - mruknął Coffey,

- Ja wierzę - odparł Herbert. - I powiem ci, co się teraz dzieje. Założę się, że połączyli wszystkie podziemne silosy siecią tuneli. W tej chwili pocisk jest automatycznie przemieszczany do innego punktu.

- .Pod ziemią? Jak scud?

- Dokładnie. Jak tylko będzie poza zasięgiem eksplozji, silos wyleci w powietrze. Wśród szczątków nie zostanie żaden dowód obecności pocisku. Pakistańczycy oznajmiają, że to było schronienie dla naukowców badających lodowiec albo dla żołnierzy patrolujących tamten rejon.

- To nie pomoże nam wydostać stamtąd Mike'a - zauważył Coffey ponuro.

Zadzwieczył telefon. Hood odebrał. Dzwonił Stephen Viens z Narodowego Biura Zwiadowczego.

- Jeśli Mikę jest jeszcze na płaskowyżu Chittisin, mamy w kamerze szerokiego zasięgu coś, o czym powinieneś wiedzieć - powiedział.

Hood włączył głośnik i usiadł prosto.

- Mów, Stephen.

- Kilka minut temu zobaczyliśmy punkt zbliżający się do tamtego rejonu - wyjaśnił Viens. -

Uważamy, że to indyjski Mi-35. Możliwe, że ten sam, co przedtem. Zatankował i wrócił.

Hood i Herbert wymienili pełne nadziei spojrzenia. Zrozumieli się bez słów. Nagle pojawiła się szansa. Tylko czy wystarczy czasu, żeby ją wykorzystać?

- Stephen, zostań na linii - poprosił Hood. -1 dziękuję ci. Bardzo ci dziękuje.

Herbert chwycił słuchawkę telefonu przy wózku inwalidzkim i wcisnął szybkie wybieranie numeru swojego łącznika w armii indyjskiej.

Hood też coś zrobił. Podziękował w duchu Bogowi, który czuwał nad Mi-kiem.

245

ROZDZIAŁ 67

Lodowiec Sjaczen Piątek, 4.00

R

odgers tkwił przykucnięty za płytą i wpatrywał się w ciemność. Ogień już zgasł, ale Nanda jeszcze nie skończyła swojego oświadczenia. Gdyby Hindusi ruszyli do ataku, nie chciał im ułatwiać zadania.

Wyglądało na to, że czekają albo na ruch przeciwnika, albo na wsparcie. Albo też zamierzali zaatakować o świcie. Mieli broń o większym zasięgu; potrzebowali tylko światła, żeby wspiąć się na zbocze i dostrzec cel. A może już się zbliżają, wolno i ostrożnie. Ron Friday mógł

przejsć na ich stronę i zdradzić pozycję Rodgersa i Nandy w zamian za azyl. Generał nie byłby tym zaskoczony. Friday wsypał się, kiedy nie okazał zdziwienia przyczynami rezygnacji Fenwicka. Tylko Hood i prezydent wiedzieli, że Fenwick to zdrajca.

No i Friday, bo pewnie był wtyczką tego skurwysyna w Baku. I pewnie przyłożył rękę do zabicia agentów CIA, którzy tam stacjonowali. Friday odpowie za to. Rodgers albo dopadnie go tutaj, albo na zakończenie transmisji nada wiadomość dla Hooda.

Ale teraz generał miał inny problem. Poświęcił dla sprawy rękawice i kurtkę. Groziła mu hipotermia, jeśli wkrótce temu nie zaradzi.

Upewnił się, czy Nanda jest bezpieczna za ocalałym fragmentem płyty, a potem wrócił za lodową barykadę, gdzie zostawił Samuela.

Pakistańczyk nie żył.

Rodgers nie był tym zaskoczony, ale ze zdumieniem stwierdził, że czuje smutek.

Samuel nie pasował do stereotypu fanatycznego terrorysty. W ostatnich chwilach życia, zamiast modlić się do Allaha, tłumaczył, jak podłączyć radio do anteny satelitarnej.

Nawet teraz, po śmierci, mógł uratować Rodgersowi życie. Okradanie zabitych wrogów było przyjęte, ale poległym sojusznikom żołnierze nie zabierali nawet tych rzeczy, których potrzebowali. Dlatego generał, zdejmując martwemu Pakistańczykowi kurtkę i rękawice, pomyślał, że są one ostatnim darem Samuela, a nie łupem.

Kiedy skończył się ubierać, poczuł mrowienie w kolanach. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to nie z zimna. Ziemia lekko drżała, a potem rozległ się niski grzmot.

Lawina? Jeśli tak, podnóże góry nie było najbezpieczniejszym miejscem.

246

Rodgers wstał i pobiegł z powrotem do Nandy. Po drodze poczuł charakterystyczne wirowanie. Dobrze wiedział, co oznacza.

To nie była lawina, ale coś znacznie gorszego.

Za lodowymi szczytami rozbłysła łuna, a grzmot zamienił się w wyraźny warkot. Powinien był się tego spodziewać. Żołnierze podali przez radio pozycję nieprzyjaciela pilotom Mi-35, którzy wcześniej próbowali zabić zbiegów.

Rodgers dotarł do Nandy i przyklęknął na wprost niej. Odnalazł po omacku jej twarz i przysunął usta do jej ucha, żeby mogła go usłyszeć w hałasie.

• Postaram się odwrócić uwagę załogi helikoptera, a ty spróbuj się stąd wydostać -

powiedział. - Przejście przez pozycje żołnierzy nie będzie łatwe, ale to twoja jedyna szansa.

• Skąd pan wie, że nas zabijają? - zapytała.

• Nie wiem - przyznał Rodgers. - Ale lepiej spróbować uciec, niż od razu się poddać, żeby się przekonać.

- Słuszna uwaga - odpowiedziała.

Rodgers usłyszał w jej głosie uśmiech.

- Zaczynaj iść wzdłuż ściany za moimi plecami - polecił. - Jeśli dopisze nam szczęście, helikopter wywoła lawinę po ich stronie.

- Mam nadzieję, że nie - odparła. - To moi rodacy.

Punkt dla ciebie, pomyślał.

- Ale dziękuję panu - dodała. - Za walkę, którą pan stoczył. Powodzenia.

Ruszyła, a Rodgers obserwował zniżający się śmigłowiec. Maszyna zawisała w bezruchu nad środkiem kotliny równoległe do niego i Hindusów. Tkwiła tak' może dwadzieścia sekund, po czym poderwała się i odleciała na południe. Zniknęła za jednym ze szczytów w pobliżu przesmyku. Przez wąski trtwór bił blask jej reflektora.

Rodgers wychylił się zza płyty. Helikopter wylądował. Może piloci obawiali się, że wywołają lawinę, i postanowili rozmieścić żołnierzy na ziemi. Ucieczka przez przesmyk byłaby wówczas niemożliwa. Rodgers poderwał się i po* biegł za Nandą. Musiał ją zatrzymać i wymyślić inną strategię. Może wynegocjuje z żołnierzami wypuszczenie dziewczyny. W

końcu byli jej rodakami.

Nagle zobaczył przed sobą trzech indyjskich.żołnierzy uciekających z kotliny.

To, co się stało po chwili, zaskoczyło go jeszcze bardziej.

- Generale Rodgers! - zawołał ktoś.

Rodgers spojrział na zachód od przesmyku. Stał tam ktoś częściowo ukryty za lodową formacją. W porządku, pomyślał Rodgers. Jest w zasięgu strzału.

247

• Tak?! - odkrzyknął.

• Wasza wiadomość poszła! - oznajmił Hindus. - Musimy natychmiast opuścić to miejsce!

Rodgers poczuł gwałtowny przypływ adrenaliny. Nadal biegł, przeskakując rozpadliny i omijając lodowe pagórki. Albo Ron Friday go sprzedał, albo ten człowiek mówił prawdą. Bez względu na to, jak było, Rodgers musiał w to wejść. Nie miał innej możliwości.

Spojrzał przed siebie i zobaczył, że Nanda jest już w przesmyku. Biegła w kierunku światła.

Rodgers dotarł tam chwilę później. Indyjski sierżant zrównał się z nim. Karabin miał na ramieniu. W rękach nie trzymał żadnej broni.

- Musimy się pospieszyć - powiedział, nie przerywając biegu. - To miej sce jest pakistańską bombą zegarową. Jakimś arsenałem czy czymś w tym rodzaju. Nie wiem jak, ale uruchomił pan system obronny.

Może przez podłączenie się do anteny satelitarnej, pomyślał Rodgers. Albo pakistańscy wojskowi

chcieli wszystkich zlikwidować, żeby się nie wydało, że jest tutaj silos z pociskiem nuklearnym. To bardziej prawdopodobne.

- Nie mogę uwierzyć, że byliście tu tylko we dwoje - ciągnął sierżant, gdy pędzili wąskim tunelem. - Myśleliśmy, że jest was więcej.

- Było nas więcej - odparł Rodgers. Spojrzał na helikopter. Żołnierze pomagali Nandzie wejść do środka. Uświadomił sobie, że brakuje Fridaya. -Reszta nie żyje.

Generał i sierżant wyłonili się z tunelu i przebiegli ostatnie dwadzieścia pięć metrów do śmigłowca. Gdy tylko wskoczyli do wnętrza, maszyna uniosła się, przechyliła w skrajność i natychmiast oddaliła od niebezpiecznego pakistańskiego silosu.

Rodgers podszedł chwiejnie do przeciwległej ściany zatłoczonej kabiny pasażerskiej. Poczł, że adrenalina przestała działać. Ugięły się pod nim nogi i opadł na podłogę. Nanda kuliła się obok skrzyni z amunicją. Rodgers wziął ją za rękę i przytulił się do niej. Hindusi siedzieli wokół nich, paląc papierosy i chuchając na dłonie.

Temperatura w helikopterze ledwie przekraczała zero, ale uczucie względnego ciepła było błogie. Rodgers powoli się rozgrzewał. Opadały mu powieki, umysł też zaczął się wyłączać.

Zanim zasnął, pomyślał z radością, że Samuel umarł na terytorium, które nominalnie było jego ojczyzną. Silos, arsenał - czy jakkolwiek nazywał to Islamabad - został zbudowany przez Pakistańczyków.

Pomyślał też o Fridayu, który zginie z dala od ojczyzny.

I dobrze. Taki los powinien spotkać każdego zdrajcę.

248

ROZDZIAŁ 68

Lodowiec Sjaczen Piątek, 4.07

R

on Friday był zdumiony, kiedy zobaczył, że śmigłowiec odlatuje. Miał prosty plan. Gdyby ten harcerzyk Rodgers odniósł sukces, powiedziałby mu, że oddalił się, żeby obserwować, czy żołnierze nie rozpoczynają ataku. Gdyby zwyciężyli Hindusi - tak jak oczekiwał -

powiedziałby, że próbował do nich dotrzeć, żeby pomóc zakończyć ten impas.

Nie spodziewał się, że obie strony dojdą do porozumienia i wycofają się stąd razem. Został sam na drugim końcu kotliny, gdzie hałas helikoptera zagłuszał jego krzyki.

Obserwując start śmigłowca, nie był wściekły ani nie czuł się oszukany. Czuł się samotny, ale to nie było nic nowego. Musi odpocząć i dotrwać do końca tej mroźnej nocy. Rano wyruszy z powrotem do linii kontroli.

Tam, gdzie od początku chciał iść.

Po dotarciu do celu znajdzie jakiś sposób, żeby odnieść z tego korzyść. Nadal odgrywał

kluczową rolę w operacji, która zapobiegła wojnie jądrowej o Kaszmir. Miał informacje cenne dla obu stron.

Friday widział, że do Hindusów dołączyły tylko dwie osoby. To oznaczało, że ktoś z ich czwórki, prawdopodobnie Samuel, zginął w pobliżu wejścia do silosu. A nieboszczyk nie potrzebuje ubrania. Trzeba znaleźć jakąś małą niszę i zrobić z jego rzeczy zasłonę przez zimnem. Ma jeszcze zapałki, więc w razie potrzeby rozpali ognisko. Dopóki trwa życie, zawsze jest nadzieja.

Chwilę później, w chaosie eksplozji lodu i ognia, nie było już żadnej nadziei dla Rona Fridaya.

ROZDZIAŁ 69

Pasma górskie Himaćal Piątek, 4.12

B

rett August i William Musicant usłyszeli daleką eksplozję. Ziemia zadrżała, szczyty i niebo na północnym wschodzie oświetliła czerwona luna. Przypominała żar na grillu, kiedy poruszy się gasnące węgle. Krwawy blask miał jednakową intensywność na całej przestrzeni.

Pułkownik obserwował horyzont, żeby zobaczyć, czy z ognia uniesie się smuga. Nie pojawiła się. To oznaczało, że nie odpalono pocisku raketowego.

249

Wybuch nastąpił w okolicy, gdzie powinien być Rodgers. August miał nadzieję, że Mike jest sprawcą, a nie ofiarą eksplozji.

Ogień szybko przygasł. Pułkownik spojrzał na dolinę. Byli tam ludzie, którzy zabili jego ludzi. August nie chciał eskalacji konfliktu, ale w duchu liczył na to, że Hindusi zaatakują płaskowyż. Pragnął pomścić swój oddział.

Lodowa zadymka ustała, nadal jednak wiał zimny wiatr. Dał z niezmienną siłą i przerażającą jednostajnością. Najgorszy był jego bezlitosny świst. Może to wiatr, pomyślał August, dał

początek legendom o syrenach, których śpiew doprowadzał żeglarzy do szaleństwa, sprawiał, że nie słyszeli niczego innego.

Tak jak on teraz. Nie usłyszał nawet sygnału TAC-SAT-u. Na szczęście zauważył, że błyska czerwona dioda. Rozpiął wysoki kołnierz, który osłaniał mu twarz, i ustawił

potencjometr na maksimum. Chciał dobrze słyszeć Boba Herberta.

- Tak?! - krzyknął do mikrofonu.
- Już po wszystkim, Brett - oznajmił Herbert.
- Możesz powtórzyć? - August nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.
- Mikę nadał wiadomość - powiedział Herbert głośniej i wyraźniej. - Indyjscy żołnierze ściągnięci z linii kontroli zostali wycofani. O wschodzie słońca przyleci po was helikopter.
- Przyjąłem. Minutę temu widzieliśmy eksplozję na północnym wschodzie. To robota Mike'a?
- Poniekąd. Dowiesz się wszystkiego w powietrzu.
- A co z naszymi poległymi?
- Będziemy musieli nad tym popracować.
- Nie ruszę się stąd bez nich - uprzedził August.
- Pułkowniku, tu Paul - wtrącił się Hood. - Musimy ustalić, pod czyją administracją jest dolina...
- Nie ruszę się stąd bez nich - powtórzył August. Zapadła długa cisza.
- Rozumiem - odezwał się w końcu Hood.
- Brett, wytrzymasz tam do późnego rana? - spytał Herbert.
- Jak długo będzie trzeba - zapewnił August.
- W porządku. Helikopter może zabrać kaprala Musicanta. Obiecuję, że postaramy się załatwić sprawę jak najszybciej.
- Dzięki. A co mam zrobić z trójką Pakistańczyków?
- Teraz, kiedy spełnili swoje zadanie - odparł Herbert - powinieneś wpakować każdemu z nich kulę w łeb. Moja żona kontroluje drogę na górę. Dopilnuje, żeby autobus do raju zawrócił.

- Pomijając względy moralne - wtrącił się Hood - trzeba wziąć pod uwagę kwestie prawne i polityczne oraz możliwość zbrojnego oporu. Centrum Szybkiego Reagowania nie ma prawa sądzić Milicji Wolnego Kaszmiru, a Indie nie wystąpiły z żadną oficjalną prośbą o zajęcie się resztą bojówki. Jeżeli Pakistańczycy postanowią się poddać, na pewno zostaną aresztowani i postawieni przed sądem indyjskim. A jeśli zwrócą się przeciwko panu, pułkownikowi, będzie pan musiał zareagować odpowiednio do sytuacji.

- Paul ma rację - przyznał Herbert. - Najważniejsze, żebyście obaj z kapralem Musicantem wrócili bezpiecznie do domu.

August potwierdził, że zrozumiał. Gdy tylko helikopter dostarczy mu prowiant, powiedział, wyruszy do doliny Mangala na poszukiwanie ciał komandosów Strikera.

Wyłączył się, podniósł na zeszywniałych z zimna nogach i zapalił latarkę. Poszedł przez pokryty lodem płaskowyż do miejsca, gdzie tkwił na pozycji Musicant. Przekazał

sanitariuszowi dobrą wiadomość, a potem wrócił do Szarab i jej dwóch towarzyszy. Kulili się z zimna. W przeciwieństwie do komandosów Strikera, nie przeszli zimowego treningu. I nie byli tak ciepło ubrani jak August i Musicant.

Pułkownik przykucnął obok nich. Skrzywili się, gdy oślepiło ich światło. Przypominali trędowatych, którzy boją się słońca. Szarab drżała. Miała szkliste oczy, spękane wargi, czerwone policzki i oblodzone włosy i brwi. Jej towarzysze wyglądali jeszcze gorzej. Krwawili z nosów, mieli odmrożone uszy, a ich rękawice były tak oblodzone, że zapewne nie mogli poruszać palcami.

Pułkownik zdał sobie sprawę, że ta trójka nie jest zdolna do walki ani do ucieczki.

- Generał Rodgers i Nanda wypełnili swoją misję - powiedział.

Szarab wpatrzyła się w przestrzeń i zaczęła bezgłośnie poruszać wargami.

Modli się, pomyślał August.

- O wschodzie słońca przyleci indyjski helikopter - rzekł cicho. - Zabie rze kaprała Musicanta. Ja zamierzam wrócić do doliny i odnaleźć ciała moich ludzi. Jakie macie plany?

Szarab spojrzała na niego załzawionymi oczami.

- Czy Ameryka pomoże nam w walce o pakistański Kaszmir? - spytała drżącym głosem.

>

- Myślę, że to, co się stało w ciągu ostatnich kilku dni, zmieni sytuację. - odparł August. -

Ale nie wiem, co zrobi mój rząd.

Szarab położyła mu oblodzoną rękawicę na ramieniu.

251

- A pan nam pomoże? - naciskała. Oni zabili pańskich ludzi.
- Zabiło ich szaleństwo między waszymi krajami - odrzekł August.
- Nie - zaprzeczyła i wskazała gwałtownie w kierunku krawędzi płaskowyżu. - Zabili ich tamci aa dole. Są bezbożni... i źli.

August nie miał ochoty dyskutować z kobietą, która wysadzała w powietrze budynki publiczne i zabijała policjantów.

- Szarab, to koniec naszej współpracy - oświadczył. - Nie mogę zrobić nic więcej. Aresztują was i postawią przed sądem. Jeśli się poddacie, będziecie mieli okazję przedstawić wasze racje.
- To nie pomoże - upierała się.
- Od czegoś trzeba zacząć - odparł.

• A jeśli pójdziemy z powrotem przez góry? - zapytała. - Co pan zrobi? . - Powiem wam do widzenia.

- Nie spróbuje pan nas zatrzymać?
- Nie - zapewnił. - Przepraszam, ale muszę wracać do mojego kolegi.

Przyglądał się jeszcze chwilę pakistańskiej terrorystce. Choć przemarznięta i skrajnie wyczerpana, aż ziała nienawiścią. August widział już wielu zdeterminowanych bojowników.

Ludzi, którzy walczyli o swoje domy i rodziny. Ale fanatyzm Szarab był przerażający.

Pułkownik odwrócił się i ruszył z powrotem przez smagany wiatrem płaskowyż.

Zastanawiał się, ile lat musi upłynąć, zanim odwieczny konflikt między Hindusami i Pakistańczykami zostanie zażegnany. Pomyślał, że on na pewno tego nie doczeka.

Przez jedną krótką chwilę dzielił coś z Szarab.

Uczucie głębokiej rozpacz.

ROZDZIAŁ 70

Waszyngton Wtorek, 7.10

aul Hood siedział w swoim gabinecie. Patrzył na monitor komputera i czytał tekst przemówienia, które miał wygłosić na pogrzebie komandosów Strikera.

Herbert przekonał Hindusów, żeby ściągnęli helikoptery z linii kontroli i zabrali ciała amerykańskich spadochroniarzy. Użył prostego argumentu. Gdyby Pakistańczycy, którzy zgodzili się wycofać chwilowo z rejonu, choć uważali dolinę za swoje terytorium, zabrali ciała Amerykanów zabitych przez

252

Hindusów, wymagałoby to politycznego komentarza - a ani Indie, ani Stany Zjednoczone nie miały ochoty go wygłaszać.

Pułkownik August czekał w dolinie na dwa Mi-35. Przyleciały w piątek późnym popołudniem. Ciała były już ułożone pod czaszami spadochronów. August towarzyszył

poległym aż do Quantico.

New Delhi podziękowało Centrum za zdemaskowanie pakistańskiej bojówki. Ciała trójki terrorystów znaleziono u podnóża pasma Himaćal w Himalajach. Wyglądało na to, że spadli ze skalnej półki. Zidentyfikowano ich dzięki temu, że figurowali w kartotece Służby Ochrony Pogranicza.

Islamabad podziękował Centrum za pomoc w udaremnieniu ataku jądrowego na Pakistan.

Major Dev Puri i podlegli mu oficerowie zeznali, że za spiskiem stał indyjski minister obrony John Kabir, ale ten odparł wszystkie zarzuty. Zapowiedział, że obali każdy akt oskarżenia, jaki przygotuje rząd. Hood podejrzewał, że minister złoży rezygnację i na tym się skończy.

New Delhi będzie wolało zatuszować sprawę, niż dopuścić do tego, by Pakistan stał się bardziej wiarygodny w oczach świata.

Hood dostał też telefon od Nandy Kumar. Powiedziała, że generał Rodgers to prawdziwy bohater - nie zdołał uratować jej dziadka, ale robił, co mógł, by ułatwić mu wędrówkę.

Dodała, że ma nadzieję odwiedzić Hooda i Rodgersa w Waszyngtonie, kiedy wyjdzie ze szpitala. Choć Nanda pracowała dla indyjskiego wywiadu, Hood nie wątpił, że dostanie wizę amerykańską. Po nadaniu oświadczenia stała się sławna. Hood miał nadzieję, że dwudziesto-dwuletnia Hinduska jest mądrzejsza, niż wskazywałby na to jej wiek, i wykorzysta dostęp do mediów do promowania tolerancji i pokoju w Kaszmirze, a nie Indii czy siebie.

Mimo pochwał przychodzących z zagranicy w kraju zadano Centrum kilka dotkliwych ciosów. Najbardziej wrogo nastawieni byli Hank Lewis i Kongresowa Komisja Nadzoru nad Służbami Wywiadowczymi. Chcieli wiedzieć, dlaczego generał Rodgers ewakuował się z lodowca Sjaczen bez Rona Fridaya, dlaczego komandosów Strikera zrzucono do strefy zagrożonej działaniami

wojennymi w dzień, zamiast w nocy i dlatego w operację było zaangażowane tylko NRO. Hood i Rodgers pojechali do Kapitolu, żeby wyjaśnić to wszystko Lewisowi, Fox i jej kolegom z CIOĆ.

Równie dobrze mogliby mówić w języku urdu. CIOĆ już podjęła decyzję. Oprócz ustalonych wcześniej cięć postanowiono pozbawić Centrum własnej jednostki wojskowej. Striker zostanie rozwiązany, pułkownik Rodgers i kapral Musicant dostaną przeniesienia, rola generała Rodgersa będzie „powtórnie oceniona”.

253

Hooda poinformowano również, że odtąd ma składać CIOĆ raporty codziennie zamiast dwa razy w tygodniu. Komisja chce kontrolować wszystkie działania agencji - od analiz sytuacji do rozpoznania fotograficznego.

Hood podejrzewał, że dalsze istnienie Centrum uratowała tylko lojalność prezydenta.

Lawrence i sekretarz generalna ONZ-etu Mała Chatterjee wydali wspólne oświadczenie, w którym gratulowali Paulowi Hoodowi i jego zespołowi zasług dla ludzkości i światowego pokoju. CIOĆ nie mogła zlekceważyć tego dokumentu, zwłaszcza po wcześniejszym potępieniu przez Chatterjee sposobu, w jaki Hood uporał się z kryzysem w Radzie Bezpieczeństwa. Hood nie potrafił sobie wyobrazić, jakiej presji musiał użyć Lawrence, żeby wydać to oświadczenie. Zastanawiał się też, jak się teraz czuje Chatterjee. Była indyjską pacyfistką, a jej kraj próbował wywołać wojnę jądrową z sąsiednim państwem. Hood nie byłby zaskoczony, gdyby złożyła rezygnację i postanowiła ubiegać się o stanowisko polityczne w Indiach.

Paul jeszcze raz przeczytał pierwsze zdanie swojej mowy:

- To druga rodzina, którą tracę w ostatnich dwóch miesiącach...

Usunął je, bo uznał, że jest zbyt osobiste.

A potem zastąpił takim, które było właściwe. Wiedział, że jest właściwe, bo uwięzło mu w gardle, gdy próbował je wypowiedzieć.

- Wiem jedno - napisał. - Dokądkolwiek los rzuci kogoś z nas, zawsze będziemy rodziną...

PODZIĘKOWANIA

Pragniemy wyrazić wdzięczność Martinowi H. Greenbergowi, Larry 'emu Segriffo-wi, Robertowi

Youdelmanowi, Tomowi Mallonowi i wspaniałym ludziom z Penguin Putnam, w tym Phyllis

Grann, Davidowi Shanksowi i Tomowi Colganowi. Jak zawsze podziękowania należą się też

Robertowi Gottliebowi z William Morris Agency, naszemu agentowi i przyjacielowi, bez którego ta

książka by nie powstała. Ale przede wszystkim to wy, nasi czytelnicy, musicie ocenić, na ile nasze wspólne przedsięwzięcie jest udane.

Tom Clancy i Steve Pieczenik